

PAMIĘTNIKI
Z WOJNY HISZPAŃSKIEJ
(1808 – 1814)

STANISŁAWA BROEKERA

b. oficera b. legionów francuzko-polskich.

TŁUMACZONE Z ORYGINAŁU NIEMIECKIEGO

przez córkę jego

PAULINĘ CYBULSKĄ.

Rendez l'honneur à celui qui merite l'être honoré.

WARSZAWA
DRUKIEM JÓZEFA UNGRA.
Nowolipki Nr. 2406 (3).

1877

OD TŁÓMACZA.

Lubo wszystko, co odziedziczamy po rodzicach, jest dla nas drogie i nieocenione, wszelako pominąwszy wiele z takowych, najtrwalsze i niezatarte w pamięci są rękopisma własnoręczne, jeżeli które z dzieci po swych ojcach mogło je dostać w posiadanie.

Ś. p. ojciec mój Stanisław Broekere, skreślił swoje Pamiętniki w roku 1824, nietylko jako pamiątkę dla nas dzieci wartość mającą; więcej jeszcze dla swych współrodaków, ażeby ożywić i unieśmiertelnić swą życzliwość i pamięć zacnych swych i walecznych kolegów, jak również i dla potomków tych, których ojcowie oddawna, razem z moim ojcem w grobach spoczywają.

Szczera dążnością było ś. p. ojca mojego jeszcze za życia swego, Pamiętniki te ogłosić drukiem; lecz niestety, skutkiem braku materialnych środków, nie mógł tego dokonać. Otóż ja mając w posiadaniu własnoręczny tenże rękopism Pamiętników ojca mojego przez lat 16, utrzymywałam takowy w zachowaniu; — wprawdzie w tym czasie udawałam się do różnych osób, ażeby te zechciały przyjąć mi z pomocą,

VI

w przetłómaczeniu i wydrukowaniu Pamiętników; — daremne jednak były moje usiłowania i zabiegi; trudno jak okazało się walczyć kobiecie z przeciwnościami tam, gdzie pieniądź górę bierze! — a często tym sposobem i najdrogocenniejsze pamiątki i wspomnienia o zasłużonych rodakach pod tym ciosem upaść muszą.

Nakoniec znaleźli się dobrzy i światli ludzie, którzy mnie zdrową wsparli radą, t. j., ażebym drogą prenumeraty wydrukowała Pamiętniki ojca mojego jako naocznego świadka i starego legionisty z czasów Napoleona I.

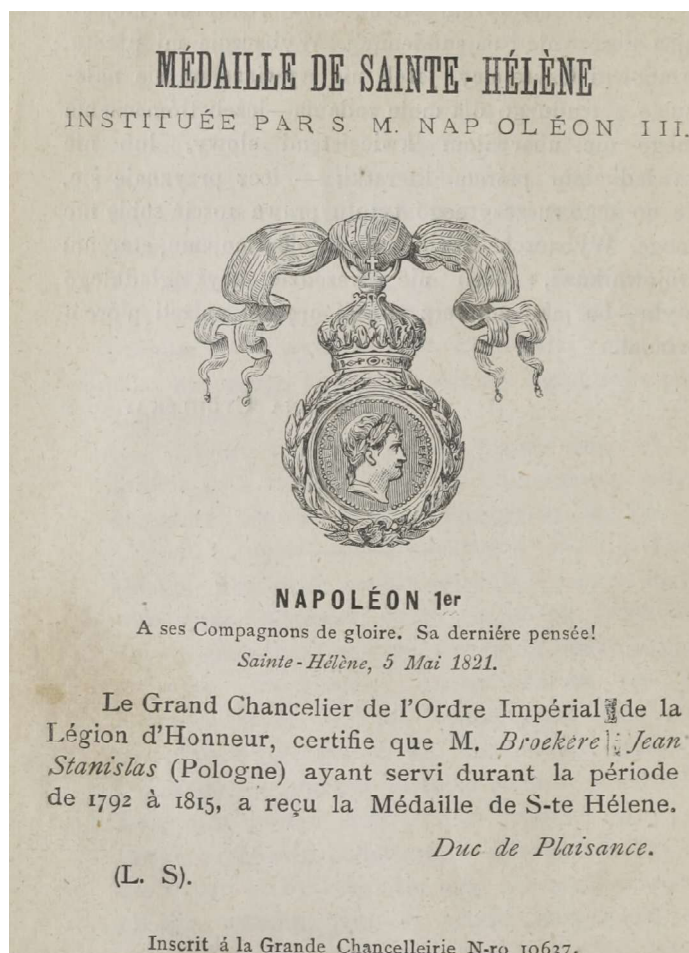
Ojciec mój jako katolik prawy zmarł w Warszawie d. 4 Stycznia 1860 r. i pochowany został na cmentarzu Powązkowskim, przeżywszy lat 74.

Ś. p. ojciec mój pochodząc z W. Ks. Poznańskiego, ukończył nauki swoje w korpusie kadetów w Berlinie; skutkiem czego język niemiecki dokładnie posiadał, i w tym języku napisał swoje Pamiętniki. Ja również znając dobrze ten język, a oprócz tego chowana będąc przez ojca mojego prawdziwie po żołniersku, natchniona mocą ducha i odwagą — pragnąc nietylko spełnić przedśmiertną wolę ojca mojego, który mi w ostatniej chwili życia swego pracę swą podarował, — ale jako dobra Polka nie chcąc ażeby rękopism ojca przeszedł w ręce obcego narodu, jako w języku niemieckim spisany, dołożyłam wszelkich starań, ażeby rękopism tenże wydrukowany został w naszym ojczystym języku.

VII

Przetłómaczyłam zatem sama rękopism mojego ojca dosłownie i najsumiennie. Wybaczcie mi przeto, Szanowni Czytelnicy, jeżeli nie wywiązałam się należycie z trudnego dla mnie zadania — jeżeli tłumaczenia mego nie ubarwiłam kwiecistemi słowy, lub nie zawładnęłam piórem literatki; — lecz przyznaję się, że do tego zaszczytnego tytułu prawa rościć sobie nie mogę. Wybaczcie również ś. p. ojcu mojemu, staremu wojownikowi, jeżeli nie wszędzie użył gładkiego stylu — bo jako żołnierz więcej orężem aniżeli piórem władał.

PAULINA CYBULSKA.





Autor niniejszego dzieła po wyjściu z korpusu kadetów w Berlinie r. 1806.

Powodowany prawdziwem uczuciem przyjaźni, pracę moja poświęcam kolegom, będącym wraz ze mną uczestnikami wyprawy hiszpańskiej, jak również tym, którzy uwięzieni, wspólnie znosili przykrą i ciężką niewolę.

Poświęcam ją także potomkom moich zacnych towarzyszy broni.

1824 roku.

Stanisław Broekere.

PRZEDMOWA.

Znalazłszy liczne niedokładności w dziełach opisujących wojnę hiszpańską od roku 1808 do 1811, przedsięwziąłem jako bezpośredni w niej uczestnik, skreslić wam, łaskawi czytelnicy, niektóre jej wypadki. Jako naoczny świadek, chcę wam opisać wiarogodne jej zdarzenia od początku aż do końca. Prawdziwość mojego opisu potwierdzić mogą towarzysze broni, dzielący wraz ze mną losy walki. Im to pracę niniejszą poświęcam — (jeżeli ich Opatrzność przy życiu zachować raczyła), oddając zarazem pod ich sąd rzetelność mojego opisu, o czem zaświadczyć mogą panowie oficerowie wyższych i niższych stopni różnych narodowości, z którymi wspólnie tyle lat w niewoli hiszpańskiej jęczałem.

Mając przytem sposobność poznania zwyczajów i obyczajów ludu hiszpańskiego, przypatrując się owej sławnej walce byków, tak zwanej Los juegos de los torros, postanowiłem w końcu mojej pracy o tem nadmienić. Wiele lat spędzonych w tym uroczym kraju, pomimo że oprócz niewoli, dużo innych przykrości

XIV

wycierpieć w nim musiałem, zachęca mnie jednak do opisania miejscowości i mieszkańców.

Może słowa starca, znękanego tyloletnią wojną a następnie zgnębionego niewolą, nie trafią do przekonania potomności; wybaczenie więc, czytelnicy, staremu wojakowi, który więcej szablą i bagnetem niżeli piórem władał. Jako żołnierz przechodziłem różne koleje losu, to zachwycając się oczami pięknych Hiszpanek, to tęskniąc za swym krajem rodzinnym, lub też cierpiąc ostatnią nędzę. W rozlicznych marszach o chłódzie i głodzie, w obcowaniu z ludem, dokładnie mogłem poznać kraj i jego mieszkańców; któż bowiem ma do tego lepszą sposobność jak nie żołnierz, który wypuszczony z niewoli, bosy i o głodzie, nieraz nawet z narażeniem własnego życia powraca do ojczyzny.

Nader bolesne jest podczas wojny położenie żołnierza, stojącego na biwaku pod odkrytem niebem naprzeciw stanowisk nieprzyjacielskich, nieprzeczuwającego co się z nim jutro stać może. Przykro jest podczas wojny znajdować się we własnym kraju, a coś dopiero w obcym, gdzie zmieniając często kwaterę, nieraz po trudach wojennych tem się musi zadowolnić, co mu mieszkańcy dostarczyć mogą, a jednakże ten posiłek niejednokrotnie bywa pożądalszym i przyjemniejszym, niż najwykwintniejsze przysmaki na stołach bogaczy. Ludzie majętni, zwiedzający w przelocie miasta zagraniczne, nie mają czasu

zwrócić uwagi na najpiękniejsze okolice kraju, w którym przebywają; chociaż nieraz ze względu na zabytki uświęcone wspomnieniami ważnych wypadków, zasługują one na

XV

bacniejszą uwagę. Nic w tem jednak nie ma dziwnego, gdyż po większej części celem ich jest zaspokojenie czelej tylko ciekawości.

Historia nie może wskazać epoki, w której by tak jak w pierwszych latach bieżącego wieku, narody europejskie były wzburzone i palające żądzą wojny; wtedy gdy każdy prawie młodzieniec w najpiękniejszej porze życia opuszczał swe strony rodzinne, a nauczywszy się obcych języków, zapominał nieraz ojczystej mowy, jak również swego kraju, nie odnajdując już częstokroć drogich swemu sercu osób.

Gdzież nie powstała noga polskiego żołnierza?... Czyliż nie potykał się z Egipcjaninem, z zaciętym Kalabryjczykiem w Apeninach, z dumnym Hiszpanem w rejtardzie na najwyższym szczycie Sierra Moreny, albo w ciemnych i wązkich ulicach Saragossy?... Walczył nawet na drugiej półkuli z zamorskimi mieszkańcami St. Domingo. Musiał się przyzwyczajać do stref gorących, podczas gdy Hiszpan ocieślał, nawykły do wygod właściwych swemu krajowi, brnąłby musiał w pokrytych zaspami śniegu lesistych okolicach północy. Szczęśliwy ten, kto swą ojczyznę odnajdzie. Nie tylko Hiszpan powracający do swego łagodnego klimatu, ale każdy cieszy się zobaczywszy progi rodzinne, chociażby zimne i puste, są one zawsze dla niego najmiłszymi, bo któżby swojej ojczyzny nie kochał! Jak trudną jesteś do zbadania, Opatrzności! jak srogo zdawałaś się igrać losami biednych ludzi w tej niezbyt odległej epoce! Iluż to walecznych znalazło śmierć na obcej ziemi!... Niejeden w kwiecie wieku, w najlepszym

XVI

zdrowiu opuścił ojczyznę, a powrócił do swoich kalek; jeżeli zaś nie znalazł już rodziny, cóż mu pozostało — kij żebraczy. Inny wrócił do swoich okryty sławą i godnościami. Niejedni znowu rodzice łzy wylewali po straconym synu. Niech więc ten będzie zadowolony, komu po takich przejściach udało się ziemię rodzinną znów oglądać, cieszyć się w kółku swoich bliskich i żyć wspomnieniem przeszłości; bo to jest jedyną jego nagrodą na tej ziemi.

I mnie przesuwają się w myśli moje żołnierskie życie, widzę wszystko przed sobą — wszystko w żywej pamięci zachowałem. Częstokroć myślę o swoich współtowarzyszach, dziękując Bogu, że mi dozwolił przywleć do ojczyzny moje strudzone kości.

Ilekoć cofam się myślą do tych okropnych wypadków wojennych od 1808 do 1811 roku, i wycierpianych później latach niewoli od 1811 do 1814, przejmuję mnie dreszcz i powtarzam wzruszony: Pokój ludziom na ziemi!

AUTOR.

ROZDZIAŁ I.

Wstęp i powód do wojny hiszpańskiej.

Podczas kiedy inne mocarstwa europejskie poczęści z własnych widoków, poczęści z litości dla nieszczęśliwej familji królów francuzkich (Burbonów) wzięły się do broni; Hiszpania więcej niż inne narody miała powodów przystąpienia do związku, nie tylko z obawy niegodnego wpływu, jaki sąsiedni naród wywierał, ale więcej jeszcze z przyczyny, że Karol IV król Hiszpański pochodził z tejże samej dynastji. Gdy jednak wypadki po uporczywej wojnie zawiodły nadzieje narodów, mocarstwa sprzymierzone ostygły w swym zapale a związek zupełnie osłabł, bowiem wszyscy jednomyślnie dążyli do wojny, co naturalnie bieg rewolucji jeszcze powiększyło zamiast ją powstrzymać. Ponieważ udało się Francuzom wziąć fortecę Figueras w Katalonji i trzy prowincje w Biskai a generał Perignon zagrażał zajęciem całej Hiszpanji, wkroczeniu zaś Francuzów nic nie mogło stanąć na przeszkodzie; przeto Hiszpania poszła za przykładem

2

króla Pruskiego, a przewidując, że w swoim położeniu za górami na żadną pomoc liczyć nie może, zawarła pokój w Bazylei dnia 22 Czerwca 1795 roku, w skutek którego odzyskała zdobyte przez Francuzów prowincje. Francji zaś odstąpiła swojej części na wyspie San Domingo, a co więcej, odnowiła z nią poprzednie związki i układy. Pokój ten tak ucieszył króla, że księciu Alcudii nadał tytuł księcia Pokoju (Principe de la pas). Od czasu pokoju Bazylejskiego Hiszpanie byli najwierniejszymi sprzymierzeńcami Francji, na usługi której chętnie oddawali swe skarby i flotę i bez szemrania największe czynili ofiary. Tem więcej dziwiła się Europa postępowaniu Napoleona względem króla Hiszpańskiego. Od lat 12 trzymał ster rządu Manuel Godoj, znany pod imieniem księcia Pokoju, który z prostego żołnierza wzniósł się na stopień pierwszego ministra i ożenił się z wnuczką króla. Ulegający wpływowi Francji, używał wszelkich sił i sposobów dla zjednania sobie łaski królewskiej — ale napróżno. Gdy przewidywany wybuch wojny między Prusami i Francją przestał już być tajemnicą, natenczas Hiszpanja wystawiła 14,000 zbrojnego żołnierza, ale sekretny cel tego uzbrojenia został wykrytym. A gdy rozeszła się wieść o całkowitem rozprzężeniu się państwa Pruskiego, zaniechano kroków wojennych, skutkiem czego Hiszpanja doznała najokropniejszych klęsk. Napoleon bowiem natychmiast powziął zamiar detronizowania Karola IV. Jednocześnie samowładne rządy księcia Pokoju wywołały niezadowolenie pomiędzy Hiszpanami. Wielu

3

znakomitszych Grandów uknuło przeciw niemu spisek, do którego wciągnięto i następcę tronu, wówczas 23ch-letniego młodzieńca. Napoleon postanowił z tych niesnasek skorzystać. Pod Bajonną zgromadził 50,000 wojska, nad którym powierzył dowództwo generałowi Junot, przeznaczonemu przedtem do zajęcia Portugalji. W tym czasie, gdy francuzcy wodzowie ukazali się w Hiszpanji i zajęli fortecę Pampelonę, S. Sebastian, Figueras i Barcelonę — wielkie rozdwojenie panowało w familji Karola IV. Księżę Pokoju wtajemniczony w zamiary następcy tronu, obstawał za upadkiem tegoż, wmawiając w słabego króla, że syn zamierza nie tylko zrzucić go z tronu, ale nawet pozbawić życia. W roku 1807 z rozkazu króla następcą tronu został przytrzymany

i uwięziony wespół z swoim powiernikiem Escoiquise i księciem Infantem, lecz wkrótce uwolniony, ponieważ wojska francuskie posuwały się coraz bardziej w głąb Hiszpanji. Murat, głównodowodzący tem wojskiem, zbliżał się ku Madrytowi pod pozorem zajęcia Gibraltaru. Szybko rozeszła się wieść o odjeździe króla do Sewilli. Hiszpanie obawiając się tego samego losu, którego doznali Portugalczycy, przypisali całą winę swego nieszczęścia księciu Pokoju i podnieśli przeciw niemu bunt w *Aranjues*¹⁾, w skutek czego został uwięziony. Dokładniejsze szczegóły, dotyczące się księcia Pokoju, znajdują się w „Zeitgenossen“ (Współczesny w tomie IV,

¹⁾ *Aranjues*, 7 hiszpańskich mil od Madrytu, letnia rezydencja królów, nad Tagiem w prześlicznej okolicy.

4

Zeszyt 13 — 16). Właściwe jego nazwisko było Emanuel Godoj Alvarez de Farria z Bossy; pochodził z Vesty z okolic Badajoz, z powołania był wajdelotą, jako taki królowej Hiszpańskiej Ludwice został przedstawiony i przez nią później wezwany na dwór królewski, podniesiony był do godności księcia Pokoju (Principe de la Pas) 20 Lipca 1796 r. W dniu 19 Sierpnia 1796 zawarłszy z Francją zaczepno-odporne przymierze, wystąpił ze służby. Kiedy został uwięziony, przysłał pismo do Napoleona 29 Października 1807 roku, zawiadamiając go, że następca tronu Ferdynand VII powziął zamiar detronizowania ojca a na życie matki nastaje, radząc przytem ażeby został ukaranym i uznanym za pozbawionego praw do tronu, w skutek czego Ferdynanda aresztowano. Kiedy hufce wojsk francuskich wtargnęły a Godoj wzbronil im otwarcia fortecy, wzmogła się trwoga Hiszpanów. Już się zbliżał Murat z 40,000 Francuzów do stolicy, podczas gdy na dworze (*Aranjues*) czyniono przygotowania do podróży. Gdy wszystko już do niej było gotowem i następca już o tem został uwiadomiony, przy pożegnaniu rzekł do tych, którzy służbę przy nim pełnili: „Jesteśmy zgubieni! Godoj oszukał mego ojca, zamierza Hiszpanję opuścić i do Ameryki uciec. Godoj tajemnicy nie dochował.“ Wyrzeczone

słowa następcy przechodziły z ust do ust i stały się wyrokiem przekleństwa dla księcia Pokoju. Wszystko się cisnęło do zamku; działo się to o północy, karety zajeżdżały jedna za drugą, król już był na schodach — w tem zabrzmiały donośne głosy: stój! Straż przyboczna

5

nie dozwalała przejścia służbie i zaparła wejście. „Niech żyje król! Niech żyje królowa! Śmierć Godojowi!“ z tym wrzaskiem wcisnęło się pospólstwo do mieszkania księcia Pokoju, nie zważając na ogień, który dawała straż przyboczna, po trupach dostając się wewnątrz. Złota i klejnotów znajdujących się w mieszkaniu nie dotknięto, szukając tylko jego samego i wołając: Niech zginie! Lecz Godoj wraz ze swym służącym wymknąwszy się na dach sąsiedniego domu, schował się na strych, gdzie w ciągłej obawie przepędził trzy dni; czwartego jednak był już na wpół umarły z głodu i pragnienia. Natenczas służący jego chcący się przemknąć został spostrzeżonym i tłum z radością wykrzyknął: „Godoj znaleziony!“ Schwytano go za ręce i nogi, wleczono, szarpano, wyciągnięto wreszcie na ulicę i tam nad jego losem radzono. Nagle tłum rozstał się z uszanowaniem — przybył Ferdynand. Godoj przywlokłszy się do jego stóp, błagał łaski. Następca rozkazał ludowi rozejść się, Godoj zaś został przyaresztowany. „Wie on więcej tajemnic, rzekł Ferdynand, które nam pierwszej odkryć musi“ — poczem lud rozszedł się, a księcia Pokoju zaprowadzono do więzienia, z którego wkrótce przez Francuzów uwolnionym został. Podczas ukrywania się księcia Pokoju Karol IV złożył koronę, w czasie zaś jego uwięzienia nowy król Ferdynand udał się do Bajonny, dokąd przybył 26 kwietnia 1808 roku. Stary król potwierdził swoją abdykację i oddał się pod opiekę Murata, który natenczas zajął Madryt. Obadwaj przeto królowie byli w mocy Napoleona, lecz młodszy z nich

6

nie chciał ściągnąć na siebie nienawiści Hiszpanji, a starszy nie chciał się udać do Bajonny. Murat zażądał urzędownie uwolnienia księcia Pokoju od junty w Madrycie, na czele której stał Infant Antonijo. Ten ostatni mniemał, że osiągnie koronę, lecz musiał ustąpić naleganiom ludu. Godoja odesłano niezwłocznie do Bajonny. Król Karol IV i królowa pospieszyli tam za nim, ale kiedy przybyli, Godoj z Napoleonem już się naradzili o dalszych krokach wojennych. Gdy się Napoleon zszedł z Ferdynandem oraz ojcem i matką jego, Karol IV zagroził synowi, że jeżeli mu nazajutrz z całą uroczystością nie włożą korony na głowę, jak to bywało zwyczajem przodków, będzie go uważał wraz z jego bratem i doradcami za wygnanych z kraju. Napoleon zaś oznajmił nieszczęśliwemu królowi, że nie tylko nie odmawia mu pomocy przeciwko buntownicemu synowi, ale nawet czuje się w obowiązku udzielenia takowej. Kiedy urażony syn chciał odpowiedzieć, ojciec nakazał mu milczenie, nazwał go wydziercą korony, ojcobójcą, groził mu zaciśniętą pięścią, a matka przeklęła własnego syna, dopominając się krwi jego u Napoleona. Następca zaś struchlał słysząc to, porwawszy za kapelusz, rzucił go w powietrze, mówiąc: „Co za kobieta! Jak mnie to oburza!“

Ferdynand przeto dla dobra kraju wyrzekł się praw do korony, a Karol IV odstąpił swoich Napoleonowi, co też niebawem i inni książęta uczynić musieli. Cesarz wezwał swego brata Józefa, ówczesnego króla Neapolitańskiego i osadził go na tronie Hiszpanji

7

i Indyi (w czerwcu 1808), a Compiegne wyznaczył za miejsce pobytu Karolowi IV, królowej i Emanuelowi Godoj. Ferdynanda VII osadził w fortecy Walencyi, gdzie pozostawał uwięziony do dnia 13 Marca 1814 roku. Po upadku Napoleona powrócił przez Perpignan, Figueras i Geronę do Hiszpanji, gdzie wśród wielkich, ale niestety, zbyt swobodnych okrzyków narodu d. 14 Maja 1814 r. do Madrytu przybył.

Król Józef przybył do Madrytu 16 Czerwca 1808 roku. Nadaniem swobód chciał zjednać sobie naród, ale zabiegi jego były daremne (spostregalem to bardzo często jako naoczny świadek). Ferdynandowi VII okazywano zawsze najgorętszą, sympatyę a nienawiść dla nowo wyniesionych, zwłaszcza z dynastji Napoleonidów, była bez granic.

Te to były przyczyny, które spowodowały wojnę hiszpańską, tak okrutnie ze stron obu prowadzoną. Skreśliłem je tu w krótkości, pozostawiając moim czytelnikom swobodę odwołania się do dzieł kompetentniejszych i obszerniejszych. Gdybym chciał rys ten dokładniejszym uczynić, zboczyłbym od zamierzonego celu, bowiem o tyle tylko tę wojnę opisać postanowiłem, o ile brał w niej czynny udział pułk, w którym służyłem; był to 9 liniowy pułk piechoty, ówczesnego Księstwa Warszawskiego. Powracam przeto do tego, co dotyczy mego pułku i mniejszych jego oddziałów.

ROZDZIAŁ II.

Moje wstąpienie do wojska i służba wojskowa.

Urodziłem się dnia 8 Maja 1789 r. za czasów Królestwa Polskiego w Wielkim Księstwie Poznańskim, w majątku mego ojca, niedaleko miasteczka Międzyrzycza. W jedenastym roku życia oddany zostałem wraz z trzema braćmi do niższej szkoły wojskowej w K... Stosownie do lat, zdolności i umiejętności, każdy z nas stopniowo był wysyłany do korpusu kadetów w Berlinie. W roku 1803 wypadła na mnie kolej i jako najmłodszy odesłany byłem do korpusu, gdzie już starsi bracia mnie poprzedzili. Tam pozostawałem do 1806 roku, to jest póki nie doszedłem do lat właściwych i nie nabrałem odpowiednich powołaniu mojemu wiadomości; wtenczas wstąpiłem do służby jako junkier w szląckiej armii do pułku piechoty S., który stał załogą w F. Niedługo pełniłem służbę w tym garnizonie, gdyż

9

zaczęto pospiesznie uruchomić pułki, które w sierpniu 1806 roku przeszły Elbę pod Miśnią (Meissen). Przechodziliśmy wiele miast niemieckich i stanęliśmy naprzeciw nieprzyjaciela w pobliżu Ilmenau w górzystym lesie Turyngskim. Z przyczyny pewnych

okoliczności dnia 10 Października pozostawaliśmy oddaleni o dwie mile jako widzowie, zajmując stanowisko na wysokich górach pod Saalfeld, tak, że każdy wystrzał armatni był przez nas dokładnie widzianym.

Pomijam następstwa tej wojny, gdyż takowa prowadzoną, była niezbyt daleko od mojej ojczyzny, przeto rezultaty jej prawie wszystkim są znane, tyle tylko o niej nadmieniam, o ile ma związek z moją historią. Po tych wypadkach, a mianowicie po bitwie pod Jena 14 października 1806 stoczonej, ponieważ cała armia pruska rozproszoną została, z dwudziestu innemi tego pułku (gdyż każdy poszedł gdzie chciał), wraz z szefem mojej kompanii majorem S., z rodu Francuzem, przeszliśmy przez Erfurt, Nordhausen, Halberstadt do Magdeburga. Tu zebrały się resztki armii złożone z pułków różnej broni, tymczasem nieprzyjaciel postępował tuż za nami. Każdy był do fortecy wpuszczony, lecz przez most na Elbie przejście było wzbronione. Takim sposobem zebrało się przeszło 20,000 ludzi, którzy miasta i fortecy bronić mieli. Magdeburg nie był zaopatrzony w żywność na dłuższy przeciąg czasu — przestrach był do nieopisania. Dwa najpiękniejsze przedmieścia Kraków i Seidenburg kazał komendant

10

bez żadnej potrzeby jeszcze przed zbliżeniem się nieprzyjaciela spalić do szczętu. Francuzi opasali fortecę i energicznie odpierali wycieczki nieprzyjacielskie. Ta piękna i wielka forteca po upływie trzecygodniowego oblężenia musiała w końcu kapitulować dnia 11 Listopada 1806 r.; 28,000 wojska złożyło broń przy głośnych okrzykach zwycięzców. Zwyczajni żołnierze zostali jako jeńcy wojenni do Francji odesłani. Oficerowie i junkrowie po złożeniu przysięgi, że przeciwko Francji walczyć nie będą, otrzymali pozwolenie powrotu do miejsc rodzinnych. W tej liczbie znajdowałem się i ja. Opatrzony marszrutą, udałem się na Szląsk do mego starego garnizonu, chcąc pozostawione tam przezemnie rzeczy do porządku przyprowadzić i wyczekiwałem pewien przeciąg czasu, aby przekonać się, jaki sprawy wojenne dalszy obrót wezmą.

Ponieważ przeszliśmy Głogowę, Wrocław, Brzeg, Świdnicę, a cały Szląsk przepełniony był wojskiem nieprzyjacielskiem, nie przeto więcej nie pozostawało jak wrócić do mojej ojczyzny. W skutek pokoju zawartego w Tylży (Tilsitt) wszyscy Polacy ze służby

uwolnieni zostali. Wziąłem więc dymisyę na mocy ustanowień pokoju i wyszedłem ze służby pruskiej. Tym sposobem zaledwie wszedłszy do służby wojskowej, pozbawiony zostałem widoków zrobienia wyższej kariery, co mi wielką przykrość sprawiało, tem więcej, że od młodości miałem zamiłowanie do tego stanu. Z pewnych zasad postanowiłem już raz na zawsze nie powracać do służby pruskiej. Jedną mi

11

tylko w mojem zmartwieniu pozostała pociecha, że znów ujrzę moich rodziców, których od lat 9 nie widziałem, że będę mógł ucałować ich ręce z prawdziwie synowską miłością. Lecz niestety! powróciwszy, zastałem rozdwojenie między rodzicami, skutkiem czego dla nas dzieci wynikły niekorzystne i bolesne zmiany. Matki mojej już nie zastałem i już jej nigdy ujrzeć nie miałem, ten ukochany obraz matki znikł dla mnie na zawsze. Kiedy byłem jeszcze w szkołach w roku 1800 rodzice moi rozwiedli się, lecz przyczyny tego kroku nie były mi znane, nie badałem też ich dokładnie, wiedząc tyle tylko, że ojciec mój wypożyczając znaczne summy pieniężne swoim przyjaciółom, przez dobre serce i łatwowierność takowe utracił, za co w późniejszym wieku gorzko odpokutował. Gdym chciał badać ojca, krótko i ozięble odpowiedział mi, że rozeszli się z matką, i że ta obecnie przebywa u przyjaciółki swojej w Zachodnich Prussach. Poprzestałem na tem, nie chcąc zboląłego ojcowskiego serca głębiej poruszać, albowiem nie mogło mi to do niczego posłużyć.¹⁾

¹⁾ Uwaga. O moich trzech braciach dowiedziałem się co następuje: Pierwszy dosłużył się w armii pruskiej w Hannoverze 1805 roku stopnia porucznika, wziął dymisyę i przeszedł na stronę Anglii, a odtąd nic o nim nie słyszałem. Drugi brat został także porucznikiem w pułku, który stał

w Monasterze (Münster): przy kapitulacji w Hameln poddał się ten pułk, brat mój uwolniony za złożeniem słowa honoru, wstąpił do wojska holendersko-francuzkiego i był w tym samym korpusie, który niegdyś oblegał Hameln; był także

12

Nie znalazłszy żadnej pociechy na łonie rodziny, ponieważ bracia moi rozpierzchli się po całej Europie i żadnej o nich wiadomości nie powziąłem, pozostałem sam opuszczony, rzucony na igraszkę losu. W ówczesnem Wielkim Księstwie Warszawskiem ustanowioną była konskrypcya; każdy musiał być żołnierzem. Uformowano wiele pułków pod dowództwem

generała Dąbrowskiego; wszyscy żołnierze, którzy służyli w armji pruskiej, czy to w piechocie, czy to w konnicy, zostali zaciągnięci. Wszyscy sprzyjali bardzo nowemu rządowi polskiemu, a będąc już wprawni w obrotach wojennych, łatwo pojęli polską komendę. Z radością więc wstępowała młodzież w szeregi nowego wojska i z zapalem oczekiwała dalszych wypadków. Wkrótce uformowaną została blisko stu tysięczna armija. Byli to inni żołnierze pełni ducha i odwagi, i ja, który byłem wychowany w służbie wojskowej, doznałem tegoż samego uczucia. Będąc pozbawionym matki, braci i nadziei odziedziczenia majątku, postanowiłem służyć w szeregach ojczystych.

z Hollendrami w hiszpańskiej wojnie. W 1814 roku wziął dymissję z rangą pełnego porucznika, następnie powrócił do rodzinnego miejsca, gdzie w 1830 roku życie zakończył. Trzeci był chorążym w pułku piechoty, który stał we Wrocławiu. Po bitwie pod Jena udał się na południe i wstąpił do austriackiego wojska do drugiego pułku strzelców tyrolskich, jako podporucznik odbył kampanię 1809 roku, uczestniczył w bitwach pod Aspern i Wagram, w 1813 roku ranny w kolano, podał się do dymissji i powrócił jako pełny porucznik do swojej ojczyzny, gdzie umarł w 1852 r.

13

Nowe widoki przyszłości zabłyśły w mojej wyobraźni. Młody człowiek żyje w tej wierze, że cały świat dla niego jest stworzonym, jakież on plany, jakież świetne nadzieje roi! Toż samo stało się i ze mną: poszedłem za swoją wolą i chęciami. Gdy niektóre pułki naszej armji otrzymały rozkaz natychmiastowego wymaszerowania, byłem zaraz na to zdecydowany, ponieważ to było moim celem, do którego dążyłem. Pominąwszy konskrypcję, zaciągnąłem się jako ochotnik do 9 liniowego pułku piechoty, który był przeznaczony do wyprawy hiszpańskiej. Wszedłem do służby jako sierżant (w wojsku polskiem natenczas junkrów nie było). Z dziecięcą czułością żegnałem mojego ukochanego ojca i krewnych. Pelen mocy ducha udałem się do moich szeregów. Przechodząc połowę Europy, mając przed sobą najpiękniejsze kraje i okolice, wystawiałem sobie przyszłość w bujnej wyobraźni. O błogie nadzieje! Ciekawości mojej nic zaspokoić nie mogło.

W końcu Czerwca 1808 roku opuściliśmy Międzyrzec (Meseritz), ostatnie miasto na naszej ziemi ojczystej. Pułkownikiem komenderującym tym pułkiem był książę Ordynat Antoni Sułkowski, dwudziestoczteroletni młodzieniec, pięknej i ujmującej powierzchowności. Wychowany i kształcony po większej części zagranicą, posiadał on najpiękniejsze przymioty duszy. Sformował on ten pułk swoim kosztem i na czele jego odznaczył się przy oblężeniu Kołobrzegu (Kolberg) i Gdańska. Książę jako pułkownik

14

przrzekł mi ze swojej strony, gdym do tego pułku wstępował: że pierwszy awans na oficera padnie na mnie — i wiernie słowa dotrzymał, gdyż w miesiącu Lipcu 1809 roku mianowany zostałem podporucznikiem.

ROZDZIAŁ III.

Marsz przez Niemcy aż do Renu.

Pułk składał się z 2ch kompanij grenadierów, 2ch kompanij wołytyżerów i 12 kompanij strzelców (fusiliers), jednym słowem, składał się z 16 kompanij czyli 2,400 ludzi. W szeregu pięknych oficerów tego korpusu oraz w licznym orszaku muzyki wojennej strojnie umundurowanej maszerowaliśmy przez Zielenzig, Drossen, Frankfurt nad Odrą i Breskow, a w państwie Saskiem przez Lübben, Luckau, Hertzberg aż do Torgau, gdzieśmy pierwszy dzień wypoczynku mieli. Kiedyśmy przeszli Elbę, dano mi polecenie zająć się kwaterami dla naszej kompanji. Ztamtąd wyruszyliśmy dalej, kierując się na Lipsk, Erfurt, Gotha, Eisenach. W miastach tych i ich okolicach wiele było osobliwości do widzenia, skorzystaliśmy też z tego i zwiedzili Wartburg pod Eisenach. Komuż nie jest ono znane z historii, któż nie wie jakich jeńców ukrywało przed nieprzyjaciółmi? Jest tu liczny zbiór ryszunków z niemieckich dawnych czasów rycerskich. Widok

16

z Wartburga na miasto Eisenach i jego okolice jest prześliczny.

Pomijam opis innych miast, któreśmy zwiedzili, ponieważ są czytelnikowi dobrze znane; jednakże nim opuścimy Saksonię, nadmienię o tem, co najbardziej przynosi chlubę temu krajowi. Przyznać muszę, że Saksonija jest jedną z najpiękniejszych prowincyj Niemiec. Cywilizacya, rolnictwo, nauki, rękodzielnie, fabryki, zakłady górnicze kwitną tu w najwyższym stopniu. Prosty człowiek w tym kraju łagodnością obyczajów i powierzchownem wykształceniem odznacza się od innych mieszkańców Niemiec. Żaden kraj w północnej Europie nie był tak przez nieprzyjacielskie wojska nawiedzany, jak Saksonija. Czyż nie tu prowadzone były: wojna 30sto-letnia, wojny Karola XII, wojna 7mio-letnia, wojny z Napoleonem od 1806 do 1813 roku. Przypisać to głównie należy niekorzystnemu położeniu tego kraju. Przyznać potrzeba, że w ostatnich czasach najwięcej Saksonija ucierpiała. Ileż to tysięcy wojska różnej narodowości przechodziło przez ten kraj i długi czas w nim przebywało. Ci poczciwi, dobroduszni i gościnni mieszkańcy przyjmowali te wojska z całą serdecznością, dając każdemu opiekę i schronienie bez różnicy narodowości; na gościnność taką tylko Saksończyk zdobyć się może, ponieważ to leży w jego charakterze i zamożności. Często pół kompanji: oficerowie, podoficerowie i żołnierze byliśmy rozkwaterowani u jednego chłopca; każdy z nas od najniższych do najwyższych był zarówno gościnnie przez tych dobrych ludzi przyjętym. Nie

17

zdarza się nawet, aby Saksończyk swego przyjaciela, a choćby nieprzyjaciela zdradził lub w czemkolwiek szkodził. Ojciec opowiada synowi o wojnach i żołnierzach, których za swych czasów przyjmował i ugościł, dając mu zarazem rady, jak się z nimi obchodzić powinien. Zaledwie syn dorósł, wybuchła znowu wojna, naszyły znów na Saksonię nowe narody, ale syn wstępując w ślady ojca, zawsze był względem nich gościnnym.

Nasi żołnierze wiedzieli dobrze, gdzie się Saksonija kończy, takiej gościnności nigdzie indziej nie mogliśmy spodziewać się; to też roztawaliśmy się przejęci wdzięcznością dla tego poczciwego ludu. Maszerowaliśmy dalej przez Vach, Fulda, Gellenhausen, Schlichten aż do Hanau. Ztąd mieliśmy odpłynąć, aby drogę od Moguncyi (Mainz) przez Frankfurt nad Menem

odbyć wodą a nie łądem. Stało się to na żądanie miasta Frankfurtu, które miało na uwadze, żeby nasz pułk i wiele innych wojsk, które za nim postępowały, nie naraziły się mieszkańcom i obciążały ich kwaterunkami. Dla powyższych przyczyn w Hanau nad Menem wsiedliśmy w wielkie czółno bez nakrycia, w którym śmiało pomieścić się mogło od 2ch do 3ch kompanij. Ale cóż to była za smutna i powolna przeprawa — jakaż różnica między ówczesną żegluga; kiedy nie znano jeszcze statków parowych, a obecną? Do uprzyjemnienia podróży wielce się przyczynili towarzyszący nam markietanie i przekupki z Hanau, których się mnóstwo zebrało i popłynęło dla dostarczania nam podczas podróży jadła i napoju. Bardzo

18

nas ubawiły te hanauskie przekupki, stare baby i młode nieumiejące ani słowa po polsku; tymczasem żołnierze chcący kupować znowu ich zrozumieć nie mogli, gdyż takowe tylko po niemiecku mówiły. Wesołe te sceny trwały bez przerwy aż do Moguncyi, gdzie wylądowaliśmy. Przy końcu masztu naszej łódki była przymocowaną wielka lina, której dwa końce były tak długie, że sięgały brzegu. Do każdego końca tej liny był zaprzężony stary koń, w taki sposób, żeby jeden za drugim mógł iść po brzegu, aby łódkę przyciągnąć. Za temi końmi szedł poganiacz z biczem, którym popędzał szkapy, aby lepiej ciągnęły. Przestrzeń nad brzegiem była miejscami szerszą lub węższą, lina, którą konie ciągnęły, zaczepiała się coraz o krzak lub drzewo, które stało na brzegu; dość więc pracy musieli poświęcić ci ludzie, aby liny odczepić i znowu czółno w bieg wprowadzić. Jeżeli biedne szkapy za silnie pociągnęły, natenczas lina pękała, a one albo wpadały w wodę lub z całą siłą swego ciężaru w piasku utykały.

Podobnego rodzaju wydarzenia spowodowały przy tej i tak już wesołej przeprawie nowe śmiechy i żarty, co wstrzymywało nas od prędszego wylądowania. Rano o świcie odbiliśmy od brzegów Hanau a dopiero późno po zachodzie słońca stanęliśmy we Frankfurcie. Żołnierze otrzymali należną żywność, lecz noc spędzili na łódkach. Następnego dnia zdjęto kotwicę, podróż dalsza z biegiem Renu odbywała się szybciej i około Fête du Pont minąwszy Kastel,

19

tegoż samego dnia przed wieczorem stanęliśmy w Moguncyi. Tu wylądowaliśmy pierwszy raz na ziemi francuskiej. Niemcy znikły dla nas na długi czas. Ale ochoczy i wesoły humor żołnierski pozostał i towarzyszył nam stale, gdyż po większej części byli to ludzie młodzi, zdrowi i wytrwali, nie troszczący się wcale o los wojny. Niedostatku dotychczas nie doznali, byli przeto wesołego i swobodnego umysłu.

ROZDZIAŁ IV.

Marsz od Renu przez Francję do granicy Hiszpańskiej.

Mainz czyli Moguncya jest jednym z najstarszych miast, istniało bowiem jeszcze za czasów Cesarstwa Rzymskiego. Odznacza się jako warownia zewnątrzniemi swojemi fortyfikacjami tak od strony Renu, jak i od łądu. O d czasu swojego ufortyfikowania Moguncya jest głównym punktem pozycyi Renu, czego dowiodły wypadki wojenne w 1793 i 1794 roku. Miasto samo przez się jest bardzo wielkie, posiada ulice widne i szerokie. Dano nam dzień odpoczynku, w ciągu którego głównem zajęciem było uporządkowanie oficerów i żołnierzy podług reguły francuskiej, oraz wypłacenie dziennego żołdu. Właściciele domów dawali tylko kwatery i światło. Otrzymaliśmy z arsenału nową, francuską broń, ładunki, tornistry i czapki z francuską trójkolorową kokardą. Następnie maszerowaliśmy dalej przez Creutznach, Grewenmacher aż do Luksemburga, także wielkiej fortecy. Piliśmy wszędzie po drodze wino reńskie w dobrym gatunku,

21

choć bardzo tanie. Gościńce podobnie jak z tamtej strony Renu wysadzone są po obu stronach drzewami owocowemi, pomiędzy którymi w znacznej liczbie znajdują się orzechy włoskie. Przy takiej obfitości owoców wyrabiają napój powszechnie tam używany,

zwany *jablecznik* (le cidre). Nasi żołnierze, zwłaszcza młodzi nie przyzwyczajeni do tego napoju, nie mogli go z początku używać, gdyż ich bardzo osłabiał. Pomaszerowaliśmy dalej przez Trewir, Longwy (także fortecę i pierwszą stację Francyi), Montmedy i Carignan, również fortecę położoną na górze, w której znajdowało się przeszło 1000 jeńców angielskich. Dalej szliśmy przez Sedan, Mezieres i Charleville. W Charleville spotkaliśmy starego generała Valence, przeznaczonego nam jako generała dywizji. Był on już podeszły w latach, ale bardzo żywego temperamentu, w roku 1794 był generałem rzeczpospolitej i służył razem z Dumouriez'em. Posiadał on ogromne dobra, między innemi miasto Epernay, gdzie wyrabiają najlepsze wina szampańskie. W tej prawdziwie pięknej okolicy Szampanji staliśmy przez dni 18, poczem udaliśmy się w pochód prze z Lonois, Rheims, Soissons bez odpoczynku, wśród największej wesołości żołnierzy do Paryża. W stolicy Francyi spędziliśmy tylko 8 dni a pułk nasz wkwaterowano do koszar położonych przy bulwarze włoskim (Boulevard des Italiens). Na placu Vendôme odbyliśmy przegląd (Revue) przed cesarzem Napoleonem, następnie zaprowadzono nas do szkoły wojskowej (École militaire), gdzie stała żandarmerja (Gendarmie d'elite). Dla

22

całego pułku wystawiono objad prawdziwie cesarski, a żandarmerja nam usługiwała. Uczta urządzoną była w kilku salonach, oficerowie naturalnie byli od nas odłączeni i osobno przyjęci. Tak było wszystkiego obficie, że dla podoficerów i żołnierzy podano 12 potraw, mieliśmy przytem najwyborniejszego gatunku wino, smaczne łakocie, czarną kawę z arakiem, nakońcu zaś podano gorące, czerwone wino. Salony były długie, ozdobione po bokach godłami zwycięstwa, to jest różną bronią i rynsztunkami wojennymi, nad którymi sterczały sztandary rozmaitych narodowości, jako to: austriackie, pruskie, ruskie, tureckie, z napisami, w jakich bitwach były zdobyte. Nie tylko nasz pułk, lecz każdy przechodzący przez Francję do Hiszpanji był tak ugoszczonym. Po tej uroczystości udaliśmy się do swych koszar, a następnego dnia wymaszerowaliśmy przez St. Cloud do Wersalu (Versailles). Opis Paryża pomijam, gdyż mamy takowych wiele, nawet bardzo dokładnie skreślonych, to tylko nadmienię, że na bramie S. Marcina (porte du S. Martin) zwrócił moją uwagę symbol mitologiczny przedstawiający cztery konie

ciągnące Neptuna na wozie. Symbol ten był przedtem umieszczony na bramie Brandeburskiej w Berlinie, obecnie zabrany i tu umieszczony, zdaje się przekładać terazniejsze miejsce pobytu nad poprzednie. Z Wersalu, dawniejszej rezydencji królów francuskich, w owym czasie pustego i opuszczonego miasta, pomaszerowaliśmy przez Rambouillet, Chartres, Bonville, Vendôme aż do Tours nad Loarą, na której zbudowany jest wspaniały, kamienny most. Tours

23

jest miasto dość wielkie, położone w pięknej, rozkosznej okolicy, obfitującej w przepyszne owoce różnych gatunków. Mieszkańcy przyjęli nas z muzyką, uczęstowali winem i arakiem, a dla oficerów korpusu wydano bal i frej-teatr, gdyż cały pułk miał dzienny odpoczynek. Podczas marszu przez Francję żołnierze nasi bardzo często z utęsknieniem wspominali gościnność Saksończyków, gdyż każdy miał dzienny żołd 10 sous, które mu miały na wszystko wystarczyć. Dobra tylko wola mieszkańców miast Francji udzielała nam żywności, ale nie w tym stopniu jak gościnni Sasi. Skutkiem tego wynikły różne nieporozumienia i awantury, które złe skutki za sobą pociągały. Mieszkańcom jednak miast i wieśniakom francuzkim tę sprawiedliwość oddać należy, że zachowują wzorowy porządek i czystość, co im chlubę przynosi; ale nic w tym nie ma dziwnego, w tak bowiem wysoko ucywilizowanym kraju jak Francja, lud powinien się odznaczać porządkiem. Za to w gościnności Francuzi nie mogą się zrównać z innymi mieszkańcami; żołnierz nasz pojawiwszy ich charakter, zadawałniać się musiał tem, czem go przyjęto. Różnica, jaka zachodzi pomiędzy mową polską a francuską, niejednokrotnie była przyczyną scen, gdyż Polak Francuza a Francuz Polaka zrozumieć nie mógł. Z Tours pomaszerowaliśmy dalej przez Poitiers, położone na górze w cudownej okolicy, ztamtąd przybyliśmy do Chatelreau, miasta znacznego, leżącego również w pięknej okolicy. Obok miasta znajduje się ozdobny park i zwierzyńiec, służący mieszkańcom za miejsce nader przyjemnej rozrywki. Niedaleko parku jest piękny pałac zamieszkiwany

24

niegdyś przez jakąś starożytną, książęcą rodzinę. Całe to księstwo wraz z miastem Poitiers było własnością Maryi Stuart. Chatelreau jest bardzo zaludnione i pięknie zabudowane, odznacza się zaś tem, że mieszka w nim 4000 nożowników, utrzymujących się z wyrobu scyzoryków, nożyczek i t. p. Jedni wyrabiają ostrza, drudzy trzonki, inni okładki z ozdobami, inni znowu polerują, wyrabiają figury złożone w ogniu i t. d. Wszystkie te wyroby, o wiele przewyższające wyroby fabryk niemieckich, są bardzo delikatnie i gustownie opracowane. Sprzedających wyroby nożownicze znajduje się w mieście paruset, roznoszą oni swój towar pięknie ułożony i rozgatunkowany w koszach zarzuconych na plecy i przymocowanych szerokim rzemieniem. Handlarze ci rozchodzą się po całej Francji i znani są pod nazwą Les couteliers de Chatelreau. Wychodzą przeciw każdemu obcemu i podróżnemu, zachęcając do kupienia swojego towaru po nader przystępnej cenie, z powodu że fabryk wiele a kupujących mało. Dziwnem nam się zdawało, że już o pół mili od miasta handlarze ci napastowali nas, naznaczając bardzo niskie ceny, aby tylko co zbyć, a byli tak natrętni, że towarzyszyli nam aż do miasta. Rozeszli się dopiero wtedy, gdyśmy się rozkwaterowali. Magistrat i mieszkańcy miasta wydali dla oficerów korpusu wielki bal, w którym brali udział oficerowie polskiej gwardii ułanów. Podczas zabawy oficerów wyniesiono do parku wina i wódki dla żołnierzy, muzyka pułkowa musiała popisywać się, wykonywając wyborowe sztuki. Wino

25

wprowadziło wszystkich w dobry humor, tak, że tańczono do rana z pięknymi dziewczętami francuzkami, po większej części córkami mieszczan. Gdy się już zanadto poświęcono Bachusowi a wesołości trzeba było kres położyć, udano się nadedniem do swoich kwater, zachowując największą spokojność. Nazajutrz wymaszerowaliśmy dalej ¹⁾, przechodząc wiele mniej znacznych miast, przybyliśmy nareszcie do Bordeaux nad Garonną. Cały nasz bataljon był przewieziony w niewielkich łódkach. Bordeaux, jedno z największych i najznakomitszych miast w całej Francji, leży przy ujściu Garony do Oceanu Atlantyckiego. Garonne, rzeka wypływająca z gór Pyrenejskich, odznacza się swoją szerokością; natenczas nie było jeszcze na niej mostu. Mnóstwo towarowych okrętów różnych narodowości stoi w porcie, miasto prowadzi ogromny handel lądowy i morski. Domy trwale zbudowane, ulice widne i szerokie, nadają miastu miły widok. Żywność, a mianowicie ryby morskie, ostrygi i wino bardzo tanie i w dobrym gatunku. Mnóstwo obszernych winnic i pięknych ogrodów zdobi okolice miasta. Klimat jest tu bardzo łagodny i przyjemny; chłodny wiatr powiewający od strony morza i Pyreneów uśmierza zbyt gorące upały. Dla rozrywki mieszkańców znajdują

¹⁾ W rok później, gdyśmy byli blisko Hiszpanji, uwiadomiono nas z Angoulême od mera, że jedna dziewczyna została matką małego Polaka, do czego nasi żołnierze, zwłaszcza piechota i gwardja ułanów cesarskich przyznać się nie chcieli. Rzecz ta pozostała pomiędzy nami, pobudzając do częstych żartów, ale czas wszystko zatarł.

26

się w mieście dwa teatry. Zostawiliśmy tu przez 4 dni, w ciągu których odłączono z kompanji żołnierzy starszych wiekiem i osłabionych, i uformowano z nich oddział, pozostawiony tutaj na czas wojny.

Opuściwszy piękne okolice Bordeaux, pomaszerowaliśmy dalej przez Castres, Tartras i Dax. W tem ostatniem mieście godnym widzenia jest urządzone w środku rynku na wzniesieniu kamienny basen (bassin), z którego wytryska gorąca woda i znowu napowrót odpływa w ziemię. Mieszkańcy mają z tego wielką wygodę, gotując naprędce bez rozniecenia ognia niektóre pokarmy. Z tamtąd udaliśmy się do Mont de Marçand i Roquefort; ostatnie to miasto leży we właściwej Gaskonji (Les Landes). Nie ma w całej Francji gruntu tak piaszczystego, jak w okolicy Roquefort. Lasy po większej części złożone z drzewa korkowego i kasztanów. Nędzne to miasto oddalone 12 — 15 mil od stacyi, nie mające zajezdnych domów lub restauracyj; można zaledwie dostać chleba nacieranego czosnkiem, i to jeszcze dla nas było najlepszem pożywieniem. Biedny ten kraj przedstawia bardzo smutny widok. Lud nieucywilizowany, język, tak zwany patois, to jest chłopski, niemiły dla ucha, ubiór ich składa się z białych szarawarów i krótkiego czarnego płaszczyka, co ich czyni nader śmiesznymi. Są to ludzie uparci i nieuczciwi, skutkiem czego wynikały straszliwe awantury z żołnierzami; dochodziło nawet do tego, że obie strony porywały za broń. Mieszkańcy nie chcieli przyjmować żołnierzy na kwatery i odmawiali udzielenia posiłku. Z radością

27

opuszczaliśmy te miejsca i przybyliśmy nakoniec do Bajonny, wielkiego miasta otoczonego z dwóch stron rzeką wpadającą do Oceanu Atlantyckiego. Bajonna, miasto bardzo ożywione, prowadzi wielki handel kolonialny. Bawiliśmy tu przez trzy dni i

zastaliśmy już dużo wojska, które się zbierało na obszernym placu, umyślnie na ten cel przeznaczonym. Każdy z naszych żołnierzy dostał 60 ładunków i 4 skałki, oraz zaopatrzony był w żywność na dni 9. Niektóre wojska udały się przez Pampelonę do Barcelony, inne przez Pau do Saragossy, my zaś udaliśmy się przez St. Jean de Lus, ostatnie miasto na granicy Francji, odległe o mil 2 od Bajonny. Miasto leży nad znaczną rzeką Bidassao wypływającą z gór Pyrenejskich i wpadającą bystro do Atlantyku. Mieszkańcy przedstawiają czysty typ Biskajczyków.

Całą więc Francję przemaszzerowaliśmy, znajdując kraj ten wysoko ucywilizowanym, pięknie zabudowanym i obfitującym w owoce. Nie zdarzyło się nam spotykać miejsc górzystych, będzie ich za to więcej za Pyrenejami. Dziś ostatnia noc na ziemi francuskiej, jutro już spać będziemy w Hiszpanji.

ROZDZIAŁ V.

Lista imienna oficerów niższych i wyższych stopni

9go liniowego pułku piechoty W. Ks. Warszawskiego, którzy liczyli się w pułku przy przejściu Bidassao na granicy Hiszpańskiej w Październiku 1808 r.

I. Do sztabu głównego należeli:

1. Jaśnie Oświecony książę Antoni Sułkowski, pułkownik głównokomenderujący.
2. Jakubowski, pełny major.
3. Sielski, podpułkownik, szef I batalionu.
4. Grotowski, podpułkownik, szef II batalionu.
5. Muchowski, kapitan kwatermistrz.
6. Milewski, porucznik, adjutant pułku.
7. Zboiński, adjutant I batalionu.
8. Koch, sztabslekarz.
9. Kunowski
10. Baum
11. Tietz, kapelmajster.
12. Marciński, kapitan, był zawsze przy boku księcia jako prywatny adjutant.

29-30

II. Kapitanowie i szefowie kompanij:

1. Dobiejewski.
2. Hetlof.
3. Czyński.
4. Zawadzki.
5. Kierski.
6. Borkowski (kompanji wołyżerów).
7. Borkowski (kompanji grenadjerów).
8. Rudnicki.
9. Górzyński.
10. Sztabiewski.
11. Rynarzewski.
12. Rozmysłowski.
13. Zaleski.
14. Rybiński.
15. Ostrzeszewski.
16. Geisler.
17. Jasiński.
18. Ćwierciakiewicz.
19. Malinowski.

III. Porucznicy i podporucznicy

1. Paszkowski.
2. Czarnicki Jan.
3. Kędrzyński.
4. Górski.
5. Nagorski.
6. Sierakowski.
7. Wesołowski.
8. Kozłowski.
9. Przeszkodzyński
10. Grotowski.
11. Dzierzgowski.
12. Czarnecki Teodor.
13. Rauer.
14. Laskowski.
15. Paprocki.
16. Kowalski ślepy.
17. Czyński.
18. Kowalski.
19. Szmygielski.
20. Gutowski.
21. Zdzitowiecki.
22. Rowiński.
23. La Rose młodszy.
24. Buławecki.
25. Haumann
26. Sobolewski
27. Jabłoński
28. Schütz
29. Kiełpiński

Ci dopiero przybyli do pułku
w 1809 roku wraz

30.	z zasiłkami 200 ludzi.
Krzyżanowski	
31. Gurowski	
32. Illustrowski	
33. Danowski chirurg	

31

IV.

1. Rybicki	adjutanci podoficerowie (adjudants (sousofficiers) przeznaczeni do pułkowej kancelaryi sztabu.
2. Kamiński	
3. Polittowski	

V.

1. Brockere Stanisław	Ci przeszli granicę hiszpańską jako podoficerowie, lecz po bitwie pod Almonacid d. 11 Sierpnia 1809 roku zostali podporucznikami.
2. La Rose starszy	
3. Bothe	
4. Wedelstaedt	
5. Pawłowski	
6. Chodecki	
7. Kleczewski	

VI.

1. Bałdowski	podoficerowie 4 pułku piech. W.K s. Warsz., mianowani podporucznikami i do naszego pułku przyłączeni.
2. Młocki	
3. Krajewski	

Cała nasza dywizja nosiła nazwisko generała Dąbrowskiego; część jej udała się do Hiszpanji, część zaś pozostała w Polsce. Następujące części wojska polskiego były obecne w Hiszpanji:

Trzy pułki piechoty pod dowództwem pułkownika Chłopickiego, 600 koni z pierwszego pułku ułanów pod dowództwem pułkownika *Routiers*.

32

Wojska te zaraz z Bajonny wymaszerowały przez Pampelonę do Saragossy i brały największy udział w oblężeniu tego miasta przez półtora roku. Ponieważ nasza dywizja wymaszerowała prosto ku Madrytowi i Portugalji, przeto przez cały ciąg wojny już się nie więcej nie połączyli.

ROZDZIAŁ VI.

Marsz od granicy hiszpańskiej do Madrytu i wypadki wojenne 1808 roku.

Jednego z ostatnich dni Października 1808 r. przy wesołych okrzykach radości przeszliśmy granicę Hiszpanii, pytanie zachodzi czy z podobnem uczuciem każdy z nas ją opuści. Z tej strony Bidassao przy moście wznosi się komora celna francuzka z napisem l'Empire Français a na wieży uroczyście powiewała trójkolorowa chorągiew, jak gdyby błogosławiła nas na drogę. Wreszcie doszliśmy do komory granicznej Hiszpańskiej z napisem el Rejne de Espanna. Narodowa chorągiew żółto – czerwona z lwem, opuszczona ku ziemi, smutnie nas witała. Od granicy pomaszerowaliśmy zaraz ku góróm, gościńcami przez Pireneje, których wysokość w tem miejscu wynosi około półtora tysiąca stóp. Z przyczyny skalistych dróg udaliśmy się drugim gościńcem wijącym się w gzyg Zag, każdy taki łuk wynosił około 1000 kroków. Gościniec ten z obu stron otoczony jakby naturalnym murem — niedostępными skałami.

34

Jest to główna droga z Francji do Hiszpanji, przechodzi ona przez sam szczyt Pirenejów. Skały strzępiące się po bokach drogi, zwłaszcza przy blasku słońca na pieszym podróżnym sprawiają straszne wrażenie, za to widok z góry na Ocean Atlantycki i płaszczyznę Francji jest bardzo malowniczy. Najwyższy szczyt gór Pirenejskich pozostał od nas na lewo. W ogóle góry te są daleko wyższe w okolicach Pau i Pampelony. Najwyższe wierzchołki często bywają śniegiem pokryte, aleśmy na ten widok w marszu naszym nie natrafili.

W pośrodku gór o 2 mile od granicy leży miasto Irun; co za różnica pomiędzy temi dwoma sąsiednimi krajami, pomiędzy ich mieszkańcami i mową! Mówią językiem biskajskim, którego nikt nie rozumie, okolica dzika i pusta — podobnegoż usposobienia są i mieszkańcy. Cóż za niemiły widok dla podróżnego zwiedzającego hiszpańskie miasta przedstawiają ulice ciasne, domy bez stylu architektonicznego i gustu, okna bez szyb tylko w okienicach powyrzynane otwory, przez które powietrze i światło dochodzi. Domy są zakopcone, mieszkańcy przyrządzają jedzenia pod ścianą, na ulicy paląc słomę i mierzwę oślą. Oberży nie ma w całej okolicy. Mieszkańcy biedzi i smutni, otuleni w długie i szerokie czarne płaszcze snują się po ulicach, trzewików nie używają, tylko okręcają nogi powrozami lub sandałami. Gromadami stoją ci próżniacy po rogach ulic i radzą szemrząc, a jak ciekawie na nas spoglądali, pytanie, czego też chcieli. Można było żądać co kto chciał, ale

trudno było co dostać nawet za pieniądze. W tem miejscu pozostaliśmy przez noc. Furjer zaprzestał starania się o kwatery, bo jakże bez narażania się na niebezpieczeństwo mogło się nasze wojsko rozkwaterować w mniejszych oddziałach — wśród takiej dziczy. Musieliśmy jednak sobie radzić, ażeby biedę przetrwać. Wprawdzie w wielu innych miasteczkach np. w Victoria było lepiej, gdyż natrafiliśmy przynajmniej na ślady pozakładanych przez Francuzów magazynów z żywnością. Chociaż mieszkańcy ukrywali się w domach, mógł jednakże żołnierz dostać porcję chleba, wina, a czasami baraniego lub koziego mięsa. Ale po za Victorią przedstawiły się nam inne okolice, bowiem po rewolucji Madryckiej Hiszpanie posunęli się dalej. Przechodziliśmy przez miasta Montdragon, Villafranca i Tolosa, wszystkie niewiele lepsze od Irun, ztamtąd mieliśmy fatalne przejście, przez złe drogi, manowce i góry. Gdyśmy zeszli z wysokich gór maszerowaliśmy znów trzy dni samymi wąwozami, przez doliny otoczone wysokimi i skalistymi górami, poprzerywane wielu strumieniami. Ponieważ było to w późnej jesieni a pora deszczów zbliżała się, strumienie płynęły z takim pędem, że w wielu miejscach tamowały nam drogę.

Jak zwykle tak i te górskie strumienie wijąc się po dolinach, to w prawo, to w lewo, kierowały swój bieg ku stromym ścianom skał. Strumienie te płyną wąską strugą — miewają jednak łożyska dość szerokie, częstokroć napelnione żwirem, miejscami nawet wysychające. Trzydzieści razy dziennie musieliśmy błądź

przez te źródła, nie mogąc obrać innej drogi; nadomiar złego niustanny ulewny deszcz utrudniał nam jeszcze podróż. Bardzo wiele wycierpieli żołnierze nasi. Za miastem Tolosa ujrzeliśmy pierwszą scenę tej strasznej wojny, że każdego z nas dreszcz przejmując na wspomnienie tej gościnności hiszpańskiej i ich postępowania względem cudzoziemców. Po za miastem niedaleko od gościńca leżał kawalerzysta francuzki zamordowany przez rozbójników, ciało jego przywiązane do czterech słupów było spalone. Ręce tylko i nogi nie zupełnie uległy zniszczeniu, na rękę nawet można było wyczytać nazwisko wytatuowane czerwonymi znakami. Niech sobie czytelnik wyobrazi jakie wrażenie sprawił ten widok na naszych żołnierzach. Podobne okrucieństwo mogło mieć miejsce tylko w kraju barbarzyńskim. Jak wyżej nadmieniałem mieszkańcy nie chcieli nawet słyszeć o podwodach dla ludzi i pod bagaże, trudno było przymusić ich do tego — ponieważ wszystko znikło. Mieszkańcy wraz ze swymi żonami, dziećmi, domownikami, byłem i żywnością puciekali w góry, pozostawiając do dyspozycji nieprzyjaciela tylko swe puste mieszkania. Takim sposobem prawie całe miejscowości stały pustkami, nie było widać ani żywej duszy. Wprawdzie każdy pułk miał dwa własne furgony, na których wolno było oficerom składać po 60 funtów bagażu, ale nieraz w przeciągu 6 lub 8 tygodni nie można było ich widzieć, ponieważ z powodu wysokich gór i złych dróg zdążyć za nami nie mogły. Każdy oficer zabierał z sobą ile tylko mógł, rzeczy to musiał nieść za nim służący. Wszyscy szli

pieszo, zamożniejsi tylko oficerowie sztabu lub kapitanowie, mieli własne konie i służących przywiezionych z Polski. Słowem nastąpiła tak wielka zmiana i marsz tak utrudniający dla oficerów i żołnierzy, że śmiało powiedzieć można, iż nam tu w całym znaczeniu tego wyrazu, szło po hiszpańsku. Ponieważ było to po bitwie pod Burgos, przeto podczas naszego marszu, spotkaliśmy rannych francuzkich, których w największych cierpieniach jęczących na niewygodnych dwukołowych wózkach biskajskich, transportowano do Francji. Wózki te spojone z dwóch grubych desek lub bali i okute żelazem, składały się z dwóch wysokich kół bez folg i sprych, oś w kołach raz na zawsze przymocowana unosi się pod zwierzchnią częścią wozu, krótki dyszel do którego zapręgają parę wołów, urządzone jest w dwóch żelaznych kręgach, które trąc się jedno o drugie sprawiają przeraźliwie skrzypienie. W jeździe po tych urwistych drogach obraca się oś wraz z kołami a powożący nie pomyśleli nawet o smarowidle. Był to rodzaj pryczy ułożonej z desek i przymocowanej do kół, stanowiącej lektykę dla tych nieszczęśliwych rannych, umieszczonych po dwóch na każdym wozie; przeraźliwe skrzypienie i trzęsienie powiększało jeszcze ich cierpienia. Na rozległości mili słyszeliśmy tę nieznośną muzykę — bowiem mnóstwo tych wozów postępowało powoli, jeden za drugim. Przez trzy dni spotykaliśmy te wózki; tak raziło nas skrzypienie, że potrzeba było uszy zatykać. Cóż dopiero mówić o tych biednych rannych! Przed wołami siedł Biskajczyk z długim kijem, na końcu którego

wbito był gwoździe; kij ten zakładał zwykle na grzbiet wołów, aby tym sposobem utrzymać je w porządku. Kiedy zaś chciał ich znaglić do prędszego biegu, kłół wołu kijem w grzbiet. Ogorzałe, brunatne twarze Biskajczyków i ich ponure wejrzenia zdradzały, że chętnie tę służbę spełniają. Położona przy schyłku Pirenejów, przetrzięta we wszystkich kierunkach górami i skałami, Biskaja jest najgorszą prowincją w całej Hiszpanii. Do rolnictwa mieszkańcy nie przykładają się wcale. Niewypowiedziane byliśmy szczęśliwi opuszczając tę prowincję. Im bardziej zbliżaliśmy się do Victorii, tem piękniejsze przedstawiały nam się okolice. Góry znikają powoli, a miejsce ich zajmują płaszczyzny. Ludność więcej przykłada się do rolnictwa i powierzchownych ulepszeń. Dążyliśmy prędkim marszem do miejsca zwanego Las Salinas, znanego z powodu swych ciasnych wąwozów i upamiętnionego wypadkami z ostatniej wojny. Natenczas wąwozy te służyły za schronienie bandzie Guerillasów, zostającej pod wodzą herszta zwanego Mina, który zebrał około 10,000 ludzi z celem napadania, znoszenia lub zabierania w niewolę małych oddziałów polskich, francuzkich i niemieckich. Z najwyższego szczytu gór spostrzegał każde poruszenie naszych, ponieważ wszyscy idący do Madrytu tamtędy przechodzić musieli. Mina zwykle mawiał: że każdego nieprzyjaciela idącego przez ten wąwóz policzy, i jeżeli tam idąc wymknie się, to z powrotem pewno go nie wypuści, i dotrzymał słowa. Wiele oddziałów naszego wojska, które przybywały lub powracały do Francji napadał ze swych kryjówek,

niszczył lub zatrzymywał takowe. Wyrządzał on Francuzom podczas tej wojny znaczne szkody. Nareszcie przyszliśmy do Victoria. To miasto najstarsze w całej Kastylji, dobrze zabudowane leży w pięknej równinie. Miasto przyjęło nas w swoje mury, tu raz ostatni byliśmy rozkwaterowani jako żołnierze i przyjęci przez mieszkańców. Będąc blizkimi pola bitwy, byliśmy przejęci nie tylko trwogą wojny, ale i obawą ze strony nieprzyjaciela i rozjątrzonych mieszkańców. Dalej nigdzie nie dostaliśmy już kwatery, tylko pod odkrytem niebem stać musieliśmy na biwaku, albo rozkwaterowywać się całym batalionem po klasztorach, z których mnichy puciekali ze strachu, lub byli przez żołnierzy wypędzeni. W Victoria zebrała się cała nasza dywizja pod dowództwem generała Valence, trzeci pułk huzarów holenderskich został do nas przyłączony. Z tego miejsca idąc nie radziłbym nikomu zatrzymywać się przed lub za dywizją, ponieważ mieszkańcy jeśli mogli nie darowali życia nikomu, w wielkiej liczbie

tylko byliśmy bezpieczni. W tej okolicy widzieliśmy pierwszy raz wielkie skórzane naczynia napelnione winem, które pobudzały nas do śmiechu; mogą one w sobie pomieścić 60— 70 kwart. Hiszpanie zowią je: la peleja del vine. Jeżeli ów worek

Uwaga. Kiedy z muzyką przechodziliśmy przez miasto Las Salinas, natenczas stał tam pułk holenderskiej piechoty, w którym mój brat był oficerem i widział nas stojąc przed kwatą. Tak blisko byliśmy od siebie i jeden o drugim nie wiedział wcale, ujrzeliśmy się dopiero w 1814 roku.

40

jest pełen, wówczas sam się wznosi, jeżeli zaś jest nalany tylko do połowy, wtedy szynkarka klęka na nim, aby za pomocą rury przymocowanej z wierzchu wina w dzbanek natoczyć. Rura się wznosi za pomocą powietrza, wówczas worek wydaje przeraźliwy stękający jęk, ale zarazem i smaczne czerwone wino. Wewnątrz worek czarny jest jak smoła. Nim się przyzwyczailiśmy do scen z tym przyrządem, byliśmy zawsze w dobrym humorze. Oprócz dużych worków, są także i małe dwukwartowe. Niedługo każdy nasz żołnierz miał mały dwu lub trzy kwartowy worek opatrzonej rzemieniem i zawieszony na plecach. Wina nam w marszu nie brakło. Opuściliśmy Victoria codziennie mając więcej wiadomości z pola bitwy, przechodziliśmy potem przez Mirando i most kamienny na Ebro. Na kilka dni przed naszym przybyciem, Francuzi pobili tu Hiszpanów, którzy usiłowali przejść przez most wzbronić. Ztamtąd maszerowaliśmy do Lerma, gdzie rzekę Duero suchą nogą przejść było można, dalej do Poncorvo, w tym miejscu trzeba było przejść najciaśniejsze wąwozy. Sama natura obdarzyła Hiszpanią tak trwałymi szanćami, że wcale fortec nie potrzebuje, tylko dobrych wodzów, którzyby z tego położenia korzystać umieli, zaczaiwszy się na szczytach gór — lecz Hiszpanie nie pomyśleli nawet o tem. Wąwóz Poncorvo stanowiący główne wyjście z łańcucha gór między Burgos i Poncorvo ma miłą długość. Wąwóz ten

Uwaga. Obszerniejszy opis naczyń do wina pomieszczony będzie w rozdziale XIII.

41

otoczony jest z obu stron wysokimi i urwistymi skałami, mającemi nieraz kilkaset łokci wysokości, które w pewnych miejscach tak są zetknięte z sobą, że szerokość drogi zaledwie wynosi parę łokci. Przechodząc tamtędy dreszcz nas przejmował, każdy z obawą spoglądał na towarzyszy, lub też patrzył w górę drżąc, żeby mu urwiska te na głowę nie spadły. Jeden rozbójnik spoczywając na wierzchołku strzelił do nas, ale na szczęście nikogo nie trafił, podziękowaliśmy mu za to ogólnym śmiechem, bo o ukaraniu nie można było nawet myśleć. Po przebyciu tego wąwozu, odpoczęliśmy parę godzin, poczem przybyliśmy do miasta Burgos stolicy Starej Kastylii.

W pobliżu tego wielkiego miasta położonego na płaszczyźnie zebrało się około 40,000 ludzi chcących wziąć udział w obronie miasta przeciw Francuzom. Cesarz Napoleon osobiście dowodził wojskiem. W parę godzin nieprzyjacieli był pobity i rozproszony, a po części wzięty w niewolę. Wszystkie armaty i bagaże dostały się w ręce Francuzów. Leżąca tuż za miastem maurytańska warownia licząca 5000 załogi natychmiast poddała się. Ujętych do niewoli i rannych napotykaliliśmy po paruset. Miasto zostało zrabowane i ogromny przestrah w nim panował. W parę dni po naszym przybyciu, ani żywej duszy nie było widać na ulicy, mieszkańcy skryli się do mieszkań obawiając się otworzyć drzwi lub okien, śmiertelna cisza panowała w mieście jak gdyby wszystko wymarło. Dano nam kwatery w klasztorze za miastem, mieliśmy także dostać żywność, lecz noc była tak ciemną, że

42

żadną miarą nie można było odszukać magazynów. Francuzi, Polacy, i Niemcy, błądzili wśród ciemności po ulicach i placach zapytując jeden drugiego: Qui vive; jeśli kto prędko nie odpowiedział, dawano natychmiast ognia. Ztamtąd pośpiesznym marszem udaliśmy się do Samo-Sierra. Jeszcze przed Burgos zdarzył mi się nieszczęśliwy wypadek, tak, że za dywizją podążać nie mogłem. Po tylu przykrych marszach zaczęła mnie boleć noga; choć zawsze byłem dobrym i lekkim piechurem, wtedy jednak zaledwie doszedłem z pułkiem do Burgos. Ale dalej pomaszerować nie byłem w stanie, ponieważ na lewej nodze przy palcach wdała mi się róża, skutkiem czego noga bardzo spuchła, tak, że but na szwach rozerżnięty zaledwie ściągnąć mogłem. Opowiedziałem kapitanowi moje cierpienie, lecz on mi nic na to nie mógł poradzić, ponieważ sam musiał maszerować z pułkiem, a o podwodach nie można było nawet pomyśleć w tym kraju. Pomocy znikąd nie można się było spodziewać. Pozostawiony sam sobie, podpierając się karabinem, zmuszony byłem wlec się za pułkiem, ale w jakich cierpieniach spędziłem ten dzień! Rana zasypana piaskiem zabiłżniła się. Całą dobę odbywałem ten męczący marsz. Przy tem spotykałem wielu francuzkich, niemieckich i polskich maruderów, którzy szli razem ze mną, ale żaden nie mógł mi dać pomocy. Nakoniec sprzykrzyła się im tak powolna podróż, oddalili się więc zostawiając mnie samego. Drugiego dnia podczas mego przykrego marszu, przed zachodem słońca, gdy się czułem zupełnie osłabionym, chcąc

43

odpocząć położyłem się pod ścianą skały. Po lewej ręce w odległości pół mili leżała duża wieś, którą zrabowali i spalili marodery. Zdaleka widziałem pożar, krzyk nieszczęśliwych dochodził mych uszu, smutnie siedziałem głodny i zmęczony. Nagle przystąpiło do mnie trzech olbrzymich, młodych i silnych chłopów, a zmierzwszy wzrokiem od stóp do głowy, obrzucili mnie mnóstwem zapytań, lecz nic im nie mogłem odpowiedzieć, wtedy jeszcze bowiem nie rozumiałem po kastylsku, na migi tylko pokazywałem im zbolalą nogę. Litując się nademną wzięli moją broń, oglądali ją ze wszystkich stron, podnosili do góry, odводzili kurek nakoniec oddali nienaruszoną, wskazując na gorejącą wieś. Jeden z nich dał mi kawałek chleba i sera, poczem pomówili coś do siebie i odeszli. Moje życie było w mocy Bożej, widocznie Opatrzność mnie strzegła, kiedy ci chłopci zrabowani i rozjątrzeni przez naszych nic mi złego nie zrobili. Mało do tego brakowało żeby mi bagnet w bok wepchnęli, oprócz przyjemności zemsty zyskiwali jeszcze broń. Co tych ludzi odstraszyło? Dziś gdy o tem wspomnę, dziękuję Bogu że mnie ocalił. Na drodze do Samo-Sierra jak i na innych

gościńcach, leżały ciała chłopów zastrzelonych przez naszych — okropny był to widok. Ciał tych nie uprzątnięto z drogi; armaty, furgony, wozy z prochem przejeżdżające gniotły ich na miazgę. Trupy te opuchnięte i spieczone od skwaru słońca, więcej były podobne do skóry bydlęcej zeschniętej aniżeli do zwłoków ludzkich. Dopiero nad zmrokiem opuściłem moje legowisko i podpierając się karabinem,

szedłem powoli utykając na jedną nogę. Szedłem tak przez całą noc, następnego dnia dopiero wózem dostałem się do Samo-Sierra, gdzie zastałem mnóstwo maruderów różnej narodowości. Wieś tę zrabowano, zastałem więc wszędzie pustki. W tym wózze opasanym z obu stron urwiskami założyli Hiszpanie na wysokości gór podwójną baterię. Generał hiszpański *Custanios*, ustawił się tam z 12,000 wojska. Gościniec prowadzący prosto pod górę tworzył zakręt ku wsi położonej za baterią. W nocy przybył cesarz Napoleon z małym oddziałem piechoty, ale dość liczną kawalerią, między którą znajdowali się ułani polskiej gwardyi. Po kilkakrotnych, bezskutecznych atakach francuskiej kawalerii, dano znak polskim ułanom gwardyi cesarskiej do szturmu baterii. W obecności cesarza nie zważając na dwukrotny ogień z baterii, oderwali 12 dział, rzucając się w mgnieniu oka przez rowy, wszyscy na baterię, których asystencję lancami rozszarpali; Hiszpanie zdoławszy zaledwie zagwoździć działa, zmuszeni byli uciekać. Piechota stojąca na górze widząc że bateria zdobyta, cofnęła się w nieładzie do poblizkiego miasteczka Bitrago, odległego o 3 mile, gdzie się zgromadzili w celu dalszej obrony. Sześćdziesięciu polskich gwardzystów padło ofiarą walki, zabito również wiele koni. Czyn ten tak waleczny, uwieczniony laurami sławy winien być wspominany w najdłuższe czasy. Polska gwardya zwycięstwem pod Samo-Sierra zdobyła sobie wielkopomną chwałę. Któż bowiem inny odważyłby się zdobyć baterię założoną na szczycie gór, otoczoną wózami i stromemi

45

skalami — jak nie ci młodzi ludzie, pięknej i bohaterskiej postawy, wszyscy prawie stanu szlacheckiego, którzy jako ochotnicy wstąpili do szeregów. Cesarz oddając im cześć, na znak położonych zasług rozkazał z wszelką uroczystością wojenną, pochować ich zwłoki w pełnych mundurach po dwóch w jednej trumnie. Do żyjących zaś rzekł, że przez swoją waleczność godni być przy jego boku. Nasi a zwłaszcza kawaleria, puścili się w pogoń za uciekającymi Hiszpanami, wielu dopędziwszy pozabijali lub zabrali w niewolę, a szczególnie żółtych dragonów hiszpańskich. Trzy mile drogi mieli Hiszpanie do Bitrago, gdzie reszta ich armii pod bronią stała, lecz jeszcze raz pobici przez naszą kawalerię, rozpierzchnąć się musieli uciekając w góry, aby tam znaleźć schronienie. Droga ku Madrytowi stała teraz otworem dla naszego wojska. Cała armia do której i mój pułk należał, udała się szybkim marszem najprostszą drogą do stolicy. W dwa dni po odniesionem zwycięstwie, przywlokłem się kulawy do Samo-Sierra. Noga moja nie zagoiła się jeszcze, mimo to opuściłem to spustoszone miejsce i szedłem dalej ku Bitrago, gdzie zastałem jeszcze większe pustki. Spocząłem z godzinę w miejscu tak wielkiej bitwy, poczem ruszyłem dalej. O milę od tego miejsca, po zachodzie słońca, kiedy się już ściemniło z obawy maruderów położyłem się pod skalą opodal gościńca. Maruderzy nie zważają na nic, trzymając się zasady, kto silniejszy ten rabuje. Z głodu i znużenia usnąłem. Noce były chłodne. Spałem może z godzinę, kiedy nagle przebudzony zostałem szczękiem pałaszy, rżeniem

46

koni i głośną, rozmową wielu ludzi. Zdaleka nie mogłem rozróżnić w jakim języku mówią, strach mnie więc przejął, myślałem bowiem że to kawaleria nieprzyjacielska. Kiedy się przybliżyli, rozpoznałem dźwięk niemieckiej mowy, zerwałem się więc i podążając jak mogłem najspieszniej wybiegłem na środek gościńca. Był to na moje szczęście 1-szy pułk szwoleżerów westfalskich. Na przodzie jechał pułkownik Jungsbluth, który zobaczywszy mnie zapytał kto jestem. Posiadając dobrze język niemiecki odpowiedziałem na zapytanie, objaśniając zarazem z jakiego powodu dążę za pułkiem, który pomaszerował do Madrytu. Tknięty litością nad moim położeniem pułkownik rozkazał jednemu z oficerów umieścić mnie na furgonie, napelnionym wygodnemi i miękkimi materacami. Każdy z czytelników może sobie wystawić, jak w obecnem moim położeniu byłem spokojny i uszczęśliwiony. Wraz z tym pułkiem po szybkim cztero-dniowym marszu, podczas którego troskliwie mnie doglądano i karmiono bulionem, przybyliśmy do Madrytu, gdzie zastałem mój pułk rozkwaterowany w jednym klasztorze. Do grobu nie zapomnę wdzięczności dla pułkownika Jungsbluth za jego dobre serce i uczynność. Zanim opuszczę Madryt chcę jeszcze nadmienić o dalszym marszu, oraz skreślić obraz położenia Hiszpanii, mianowicie tej części Pirenejów, przez którą przechodziliśmy. W Hiszpanii miasta, wsie i osady, bardziej są odległe jedne od drugich, niżeli w naszym kraju. Przytaczam nazwiska różnego rodzaju osad i tak: wielkie miasta Ciudads, mniejsze miasta

47

Villas, osady Lugares, wsie Pueblas, folwarki Cortijo, zabudowanie stojące osobno w polu, bez względu na wielkość, zowie się una Venta albo Taverna. W górach niema gruntu zdatnego pod uprawę zboża, znajduje się takowy tylko w dolinach, na dobrą wodę rzadko natrafić można. Wsie zaludnione dosyć, odległe są o 34 czasem 6 mil hiszpańskich (mila po hiszpańsku Leguas). O pół mili po za miastem lub wsią, ogrody, winnice, łąny zboża i urządzone lasy z oliwek, tak że przez całą drogę trudno ujrzyć osady zaludnienia. Maszerując dalej przez góry, doliny i pustki, spotykaliśmy znowu lasy oliwne i winnice, z czego można było wnosić, że w bliskości znajduje się wieś lub miasto, mieszkańcy których więcej są ucywilizowani. Ludność jest dosyć znaczna. Wieś (Pueblo) zwykle ma przeszło 1000 mieszkańców, w Andaluzji znajdowaliśmy miejsca bliżej siebie leżące i zaludnione jeszcze więcej. Karczmy stojące po drogach i w polu, w których tylko wina dostać można, rzadko się tu spotykają i te nawet Tawerny podczas naszego marszu, były prawie zawsze puste. Drzewa oliwne, kasztany, drzewa chlebowe św. Jańskie, winnice w polu, dęby hiszpańskie z ząbkowanemi i kolczastemi liśćmi, (żołędzie których są bardzo słodkie) i wiele innych drzew spotykaliśmy po drodze. Klimat jest bardzo zmienny, we dnie upał do niewytrzymania, w nocy zimno z powodu wiatrów wiejących od strony gór. We dnie chodzą bardzo mało. Na drogach mnóstwo kurzu, który nam w ciągu marszu dokuczał. Krzyży lub figur z wizerunkami świętych nigdzie tu nie widziałem, chociaż Hiszpanie są

48

fanatycy i bigoci w najwyższym stopniu. Niema tu również zwyczaju wysadzania dróg drzewami. Miasta są nierówno zabudowane, ale zato domy zbudowano trwale. Jeżeliśmy napotkali nieprzyjaciela który przeciw nam zbrojnie występował mogliśmy go zwyciężyć. Wielu z naszych padło ofiarą skutkiem nadmiernego użycia wina. My ludzie północy, a szczególnie Sławianie, lubimy rozpalające napoje, a tem bardziej wino, którego pić nie każdy jest w stanie; tu nasi żołnierze mogli się niem nasycić dowoli. Chociaż każdy dostawał swoją porcję wina, nie zawsze jednak na niej poprzestawał. W każdym domu gospodarz przyrządza i zachowuje wino w wielkich garnkach, Tinajas (1) zwanych, a mieszczących w sobie 50, 100, 200 lub 300 garncy. Ponieważ Hiszpanie skryli się przed nami w góry pozostawiając wino, żołnierze przeto (co im było dozwolonem) mieli sposobność pić ile chcieli. Były to wina czerwone i białe w najlepszym gatunku. Żołnierz nieprzyzwyczajony do trunków, pijąc do zbytku, zaledwie był w stanie iść w pośpiesznym marszu dzień i noc bez odpoczynku, a skutkiem czego 6 lub 8 żołnierzy z kompanii zostawić musiano leżących. Broń, tornistry, ładunki, odebrano im i oddano do niesienia innym żołnierzom,

pozostawiając leżących na pastwę losu. Mało który z nich powrócił, gdyż najczęściej poniósł śmierć z rąk mściwych chłopów, którzy rozjątrzeni byli stratami, jakie w skutek wojny od

(1) Tinajas wymawia się jak Tinachas, gdyż Hiszpanie j wymawiają jak ch.

49

obcych ponosili, czemu nic nie było w stanie zapobiedz. Przyszedłszy do zdrowia, tak że noga moja była w zupełnie dobrym stanie, powróciłem do mego pułku, w którym zastałem znowu moich przyjaciół i znajomych. Cztery dni pozostawałem w Madrycie i korzystając z czasu zwiedziłem go. Ulice dobrze wybrukowane, ale w ogóle brudne, hotele i restauracje niewygodne odznaczają Madryt od innych stolic Europy. Zupełnie inaczej przedstawiałem sobie stolicę Hiszpanii, która przy wkroczeniu naszego wojska zaraz się poddała, bowiem w skutek braku fortyfikacji niepodobna było myśleć o obronie. Cesarz Napoleon nie przybył do Madrytu, tylko o dwie mile od miasta stanął główną kwaterą w klasztorze st. Augustin i zabawiwszy tam parę dni, udał się napowrót do Paryża. Byliśmy tu bliższymi świadkami skutków rewolucji z 1808 roku; wiele domów w mieście było podziurawionych kulami, co szczególnie sprawiało przykry widok; po ulicach wszędzie stały armaty nabite kartaczami, a obok każdej kanonier z zapalonym lontem. Przez całą noc, tam i napowrót przechodziły lub przejeżdżały patrole, złożone ze stu ludzi każdy, z czego Hiszpanie jako mieszkańcy wielkiego miasta nie byli kontenci, gdyż zwykle przedtem po całych nocach uprzyjemniali sobie czas muzyką. Największa niedogodność jaka daje się uczuć w tem mieście jest brak wody, każdy mieszkaniec musi się zaopatrywać w takową za pomocą nosiwodów (Aquadores) których jest tu do 3000 dla wygody miasta. Każdy z nich ma

50

dzban miedziany zawieszony na plecach; uwijają. Się prędko roznosząc po domach na zamówienia świeżej wody. Próżniacy ci, których znaczna liczba brała główny udział w rewolucji, opatrzeni w długie noże, wołają bezustannie: świeża woda (aqua fresca, aqua fresca). Kto się tylko pokazał na ulicy po dziesiątej godzinie wieczorem, nie zważając czy to francuz, czy polak zaraz był aresztowany przez patrol. W domach drzwi i okna mocno pozamykano z bojaźni, kieliszka wina nie mogliśmy nieraz dostać za pieniądze. Jeżeli zapukaliśmy do szynku, natenczas szynkarz otwierał mały otwór w okiennicy i wychylając głowę do połowy pytał się: Czego żądacie (Que quiere? — wina (vino) — ile (quanto)? — zapytywał znowu — un poron (jedną kwartę). — Ay es beven auestedes (oto jest, pij pan) a złapawszy jak najprędzej zapłatę nie otworzył ani okna, ani drzwi, tak że musieliśmy pić wino na ulicy. Miasto Madryt leży nad małą rzeczką, a raczej strumieniem Manzanares, wysychającym zupełnie w lecie, przez który przerzucony jest piękny, kamienny most. Wszystkie kamienice leżą w jednym rzędzie, ulice ciasne, wyjąwszy Allaea i Ś-to Hyronimo, inne krzywe i nierówno zabudowane, szyby znajdują się tylko w oknach grandów, co nadaje miastu opustoszały widok,

do czego jednak Hiszpanie już się przyzwyczaili. Okolice miasta smutne. Niema tu żadnych upiększeń, jak w innych miastach europejskich, których środek zdobią spacerowe ogrody. Madryt otoczony jest murem, poza obrębem którego wzrok spotyka tylko nagie pola. Obok tego jest tu mnóstwo kościołów i klasztorów

51

oraz nędzny teatr i plac przeznaczony na walkę byków (la plaza de los torros), zamek królewski zwany Retiro jednopiętrowy pałac przez Francuzów zajęty na koszary, przy tem ozdobny ogród. Główna ulica od Retiro do ulicy Aleala, wysadzona dwoma rzędami drzew stanowi miejsce spaceru, gdzie w pogodny dzień grandy i piękności Madrytu widzieć się dają, przechadzające się wspaniale i z dumą. Na obszernym placu (la plaza mayor) sprzedają się wszelkie produkta żywności i wiele innych rzeczy. Z podziwieniem przypatrywałem się jak masło (Manteca del vaca) i szmalec (Manteca del porco) urządzony w wieprzowych flakach i pęcherzach sprzedawano, oraz kartofle (potatas) na funty; można sobie wyobrazić jak to wszystko smakuje. Masło sprowadzają z Hollandyi i Anglii. Wszystkie osobliwości Madrytu starałem się skreślić prędko i w krótkości. Po kilkudniowym wypoczynku przyszedł rozkaz dalszego marszu w inną zupełnie okolicę Hiszpanii; pod dowództwem generała Lefebre Desnouette (w oryginale Feldmarszall); nasz 4 korpus wraz z całą armią opuścił Madryt w miesiącu Grudniu. Ten korpus armii składał się z jednej dywizji francuskiej, jednej polskiej i jednej niemieckiej złożonej z Westfalczyków, Badeńczyków, Nassauczyków i Holendrów; tak połączeni pomaszerowaliśmy przez las Naves i Talavera la Rejna, do Estremadury, a następnie dalej ku granicy, gdzie na drugim brzegu rzeki Tagus przy moście Puento del Obispo, ustawił się nieprzyjaciół do obrony. Przyszło tu do małej utarczki z naszą awangardą, nieprzyjaciół był zmuszonym opuścić swoje

52

stanowisko a cofnąwszy się zaparł most, tamując nam takim sposobem przejście. Pomaszerowaliśmy więc napowrót za rzekę, żeby się przepawić i prędkim marszem przez wysokie góry i lasy złożone prawie z samego kolczastego drzewa. Były to pierwsze i ostatnie lasy po obu stronach rzeki Tagus, w których spotkaliśmy nieprzyjaciela. Pobity przez naszą awangardę, przepędzonym został za rzekę, pozostawiając na placu wielu rannych i zabitych, my zaś rozłożyliśmy się obozem nad brzegiem Tagu. W bitwie tej przyjmowała udział nasza polska dywizja, pod dowództwem starego generała Valence. Reszta korpusu pozostała w tyle za nami. Kiedy nasz pułk zaczął przeprawiać się przez rzekę a guè (4 i 7 pułk były już po drugim brzegu) zaczął nagle padać ulewny deszcz, a ponieważ i w innych miejscach lał gwałtownie, przeto rzeka tak szybko wezbrała, że pułk nasz zdołał zaledwie przejść, furgony zaś musiano z tego powodu pozostawić na przeciwnym brzegu, ratując tylko oderznięciem postronków konie, aby się nie potopiły. Furgony zostawiano w większej części zalane wodą. Cztery dni pozostawaliśmy w nader przykrem położeniu, gdyż deszcz lał nieustannie z równą gwałtownością, przemoknięci do nitki zdołaliśmy zaledwie osuszyć się przy ogniu i to na nasze nieszczęście brakowało drzewa. Któżby mógł sobie wystawić tak nagłą zmianę? Żywności nic nie było, w tym celu przeto wyznaczono dwóch oficerów z naszego pułku, dla wystarania się o takową, gdzieby tylko można było dostać. Udali się oni w góry do pasterzy i owczarzy, którzy zastraszeni

53

środkami gwałtu jeżeliby sami dobrowolnie dać nie chcieli oddali co mogli z bojaźni. Tym sposobem zebrali dosyć znaczna ilość bydła rogatego, owiec i kóz, mających służyć za posiłek, gdyż wymogli 6000 kóz i owiec, oraz 200 sztuk pięknej rogacizny, którą wkrótce przypędzono do obozu, poczem natychmiast wzięto się do krwawej operacji potrzebnej liczby większych i mniejszych

sztuk. Nie zdarzyło mi się nigdzie widzieć tak dużej ilości i tak tłustego mięsa jak tu, musi to być skutkiem odpowiedniej paszy jaką w tych okolicach bydło mieć może, wina za to i chleba zupełnie nam brakło. Do tłustej baraniny zamiast chleba używaliśmy chudego gotowanego, wołowego mięsa, którym zakąszaliśmy po baraninie, pijąc przy tem rzeczną wodę. Z tej przyczyny wielu żołnierzy rozchorowało się i w takim położeniu przebyliśmy 4 dni, najcięższych może z tych, jakie musieliśmy przecierpieć podczas bytności w Hiszpanii. Troszczono się przytem o wojsko z drugiej strony rzeki będące, które także uleść mogło słabości z powodu takiego posiłku. Gdyby Hiszpanie mieli więcej odwagi, mogliby wszystkich zabrać do niewoli, traf tak szczęśliwie zrządził, że im to nawet na myśl nie przyszło. Do tych kłopotów przyłączyło się jeszcze staranie o paszę dla bydła. Dano mi polecenie, dodając do pomocy czterdziestu żołnierzy, którzy stojąc na straży pilnować musieli bydła, abym dołożywszy wszelkich starań paszę wynalazł. Musieliśmy przytem pilnować bydła aby nie puciekało. Pewnego dnia przybył do mnie oficer holenderskiej artylleryi ofiarując mi bochenek chleba, za co

54

w zamian dałem mu jedną sztukę bydła. Ponieważ powierzone mi bydło nie było policzone, nie uważałem bynajmniej za złe dać mu jedną sztukę, zwłaszcza że prosił o nią dla swych żołnierzy. Oficer przyłożył nabitą broń do serca bydlęcia i wystrzelił, a gdy zwierzę padło zabite przerznął mu nożem gardło, ponieważ jego żołnierze chcieli je zabrać z sobą. Natenczas ze dwieście sztuk bydła przestraszone wystrzałem oraz widokiem krwi, nie zważając na szyldwachów bagnety, któremi było powstrzymywane, uciekało w różne strony w największych susach z zadartemi ogonami, co na nas w pierwszej chwili zrobiło wrażenie jakobyśmy widzieli Hiszpanów uciekających z pod Samo-Sierra. Bydło w szalonym pędzie uciekło w góry, chociaż żołnierze natychmiast udali się za nim w pogoń, przy usilnem jednak staraniu zdołaliśmy z tego pięknego stada zaledwie jedenaście sztuk odszukać, resztę utraciliśmy. Byłem naówczas sierżantem i z przydanemi mi do pomocy 40-ma żołnierzami, miałem powierzony nadzór nad stadem, w niemalym przeto pozostawałem kłopotcie, utraciwszy tak znaczną ilość bydła. Przetrwawszy głód i biedę, wypadło naszemu pułkowi pomaszerować napowrót przez Talavera la Rejna, dwa zaś inne pułki znajdujące się na przeciwnym brzegu Tagu pomaszerowały przez Placencję, a następnie złączywszy się w jeden oddział przez Europesa udały się do Toledo. Do tego miasta mieliśmy bardzo utrudzający marsz, albowiem pędzono za nami znaczne stado owiec i kóz, w liczbie 6000 sztuk, wraz z kilku ocalonemi sztukami bydła rogatego. Deszcz nieustannie padał, strumienie

55

i rzeki wezbrały, skutkiem czego owiec nie można było przeprowadzić i to jeszcze bez owczarza, jeden tylko biały pies, któremu owczarze dali nazwisko Toma, prowadził całe stado; jeżeli pies stanął, natenczas i owce stanęły, gdy on biegł — biegły i owce, gdy brnął przez wodę — brnęło całe stado i to było jedynem naszym szczęściem, że mieliśmy tego psa. Za nim przybyłem do Talavera la Rejna, utraciłem przeszło sto sztuk, powiększej części młodych kóz i jagniąt, które bieżąca woda poniosła w przepaść. Dywizya

nasza już od trzech dni wymaszerowała z Talavera la Rejna. Przybywszy do tego miasta i przenocowawszy, dnia następnego ruszyłem dalej. Wypadało całe stado przepędzić przez rynek miasta, lecz z przyczyny wąskiej i ciasnej ulicy tak się owce ścisnęły, że niepodobna było w żaden sposób naprzód ich popędzić, albo się pomiędzy nimi przedostać. Po wielkich trudach przecisnąłem się przez zgromadzone zwierzątka aż do rynku, chcąc zobaczyć co je powstrzymywało. Na rynku artyllerya francuzka w znacznej liczbie ustawiła park z armat, furgonów i wozów z prochem. Owce dostawszy się pod koła i lawety tak się ścisnęły, że w żaden sposób nie można było ani ich naprzód pędzić, ani w tył cofnąć. Kiedym się tem zdarzeniem kłopotał, przystąpił do mnie Marechal des logis (szef żandarmów) zapytując, czy to ja mam pod swą komendą te stado, a gdym mu na to potwierdzającą dał odpowiedź, wezwał abym się stawił u marszałka Victor'a. Kiedym przybył marszałek zapytał mnie z jakiej

56

jestem armii, korpusu, dywizyi i pułku, na co odpowiedziałem mu po francuzku krótko i węzłowato. Na to rzekł mi ażebym sobie poszedł ze swą armią tam zkąd przybyłem, dodając: „Zrabowaliście jak widać całą tę okolicę, skoro pędzicie takie duże stado owiec, zabronię dać wam paszy, lub zabiorę stado.“ Odrzekłem mu że wypełniam rozkaz mojej zwierzchności przed którą byłbym odpowiedzialnym, gdybym pozwolił zabrać sobie stado. Marszałek rozgniewany moją śmiałą lecz sprawiedliwą odpowiedzią, zagroził mi aresztem, w końcu rozkazał swoim grenadyrom utorować przejście pomiędzy stadem. Owce i kozy które były w rynku polecił mi oddać, z warunkiem aby je zaraz dalej popędzić, co też niebawem nastąpiło; lecz najpiękniejszą część stada, która się w wąskiej ulicy zatrzymała, zabrał dla siebie, odrazu więc tanim kosztem pozbyłem się przeszło 3,000 owiec i kóz. Prawo mocniejszego sprawdziło się i na mnie. Z resztą stada, wynoszącego do 2,000 sztuk, pomaszerowaliśmy z wielką trudnością do Toledo, tu zdawszy swój transport komisarzowi wojennemu (Comissaire de guerre) udałem się do pułku, który pod miastem w koszarach był rozkwaterowany. Biały pies Toma, stały opiekun i towarzysz swego stada, nie opuścił takowego aż do końca i tak się do żołnierzy eskortującej kompanii przywiązał, że im wszędzie w marszach towarzyszył. W bitwie pod Almonaci stworzenie to zostało ciężko ranne w nogę, tam więc pozostało i nie widzieliśmy

57

go już więcej. W Toledo przynajmniej mogliśmy cokolwiek odpocząć, spędziliśmy tam bowiem trzy miesiące.

Uwaga. W rozdziale 13-tym opowiem obszerniej o wielkich stadach wędrujących owiec i owczarzach.

ROZDZIAŁ VII.

Wojna w 1809 roku.

Toledo unikło rabunku, mieszkańcy przeto byli spokojni. We wszystkich domach panowała cisza oraz porządek; skutkiem pozakładanych magazynów, każdy żołnierz dostawał codziennie wyznaczoną rację, składającą się z dobrego wina, chleba, ryżu,

mięsa i słoniny. Urządzono dwa wielkie szpitale mogące pomieścić do 2000 chorych, takowe były zbudowane przez Hiszpanów, ale przez Francuzów ulepszone. Jestto najstarszy i największe miasto w starej Kastylii, odebrane było Maurom za króla Alfonsa V w 1085 roku. Miasto leży na wyniosłości nad rzeką Tagiem otoczoną na około stromemi i spadzistemi skałami. Rzeką Tag podpływa pod samą bramę Madrycką i krążąc na około przepływa pod tą samą bramę z drugiej strony, z tego dopiero miejsca odchodząc dalej, tak że tylko przez bramę suchą nogą można przejść do miasta. Brama ta jest obwarowana, miasto zaś nie posiada żadnych

59

fortyfikacyj. W kształcie wysokiego muru zasłaniają, go spadziste i nieprzystępne skały, na których widzieć się dają starożytne bastiony, tym sposobem brzegi Tagu są prawie niezdołane. Chroni to miasto od napadu nieprzyjaciół głównie ze strony zachodniej i południowej, czego następnie obszerniej dowiedzie historia oblężenia; pomimo to nie mogło by jednak czas dłuższy wytrzymać wielkiego oblężenia. Chociaż otaczające góry bronią miasto dostatecznie, jednakże dwa piękne kamienne mosty rzucone na Tagu, jeden ze strony wschodniej a drugi zachodniej opatrzone są silnemi wieżami. Na górze, wprost miasta stoi starożytny zamek maurytański, opatrzone wieżami. Leży on na południe od Toledo. W środku miasta jest zamek zbudowany przez Karola V który służył nam za koszar. Miasto zbudowane jest ciasno, ulice wąskie i krzywe jak w Madrycie, idą pod górę lub zbiegają na dół. Była tu niegdyś rezydencya Arcybiskupa Prymasa hiszpańskiego którym był zwykle książę krwi królewskiej. W Toledo liczono wtedy 40 kościołów i klasztorów, licząc na każdy przecięciowo po 10 mnichów było ich wszystkich około 400. Kościół katedralny gozien jest widzenia pod względem arcydzieł, ozdób i rzeźby; obok niego stoi pałac arcybiskupa z dwu i trzy piętrowym gankiem wspartym na dachach domów wychodzących na katedralną galerię, przez którą dozwolonom było arcybiskupowi przechodzić do katedry podczas niepogody; boki tego ganku opatrzone są szklanymi szybami. Ponieważ zakonnicy puciekali zajęliśmy na pomieszkanie ich cele. Niegdyś

60

istniały tu sądy najwyższej inkwizycji, które dla dobra ludzkości, z rozkazu króla Józefa Napoleona całkowicie zniesione zostały w dniu 4 Grudnia 1808 r. Na mocy powtórnego rozporządzenia rozkazano aby wszystkie archiwa ogólne inkwizycji i sądów w Madrycie i innych miejscowościach oddane zostały pod nadzór „don Juana Antonios Clorentes“ który w 1789 r. mianowany był sekretarzem sądu inkwizycyjnego w Madrycie przy najwyższym sędziu inkwizytoryatu Augustus Rubio de Cevallos Polecono mu wypisać wszystkie zeznania i zająścia sądowe, który to wyciąg miał posłużyć jako materiał do historii najwyższej inkwizycji. Dnia 10 Sierpnia 1809 roku zniesiono wszystkie klasztory. W roku 1811 Clorentes wydał pismo dotyczące się historii inkwizycji w Hiszpanii (*Memoria historica, sobre qual ha sido la opinion nacional en Espanna acerca del Tribunal de la Inquisicion*). Dzieło to zostało wydrukowanem w 1812 r. w tymże roku autor został członkiem akademji, profesorem języka hiszpańskiego i wydał pierwszy tom roczników inkwizycji (*Annales de la inquisicion des Espanna*), w którym przechodzi historię tej instytucji do 1508 roku. Drugi tom ukazał się w 1813 roku i kończy się 1530 rokiem. Wydanie trzeciego tomu (od 1530 — 1564) i czwartego (do 1578 roku) było już przygotowane, ale podróż autora stanęła temu na przeszkodzie. Dowodzi on w tem dziele, co także stwierdza w swoim piśmie Clausel de Consergues deputowany departamentu Aveyron, że wszystkich wiadomości do 1680 roku nie można uważać za

61

autentyczne i udawadnia iż od roku 1700 — 1808 1578 osób z powodu srogości inkwizycji śmierć poniosło, 788 bez wyroku ratowało się ucieczką, jednakże niektórzy z nich poumierali lub zostali spaleni. 11,997 okuto w kajdany, nie licząc mnóstwo ludzi skazanych na pokuty; jednym słowem 14364 osób padło ofiarą inkwizycji. Pomimo założenia uniwersytetów w Toledo, Avila, Liqueuca, Oscuna Orihuela, Gardia na początku bieżącego stulecia, czyż nie można porównać Hiszpanów powiada Clorentes z ciemnymi Hottentotami pod względem ochydlwych, nie ludzkich i zgrozą przejmujących obyczajów.

Podczas mojego pobytu w Hiszpanii były tylko dwa uniwersytety w Salamanca i Alcale do Xeuneres; widziałem w tem ostatniem mieście wielu studentów snujących się po ulicach w trójgraniastych kapeluszach otulonych wielkimi płaszczami. Więzienie inkwizycyjne w Toledo jeszcze pozostało, za naszym przybyciem uwolniono wszystkich więźniów. Zgrozą przejmował się człowiek widząc takiego wypuszczonego i słysząc opowiadania strasznych cierpień, jakich siedząc w ciemnym podziemiu doświadczał. Jakiś przeciąg czasu byliśmy spokojni, gdy w tem nagle kazano nam wymaszerować dalej, gdzie nas znowu spotkały klęski. Pobite i rozpierchłe wojska hiszpańskie znowu się zebrały, do czego poprzednio nie były skore; wojna teraz przybrała inny obrót. W Portugalii wylądowali Anglicy jako sprzymierzeńcy Hiszpanów, teraz i w tych ostatnich wzrosła odwaga którą przed tem utracili. Z porady margrabiego La Romana

62

w górzystych okolicach kraju uformowały się ze zbiegłych żołnierzy i chłopów, oddziały pod nazwą Guerillasów. Oddziały te podobne do band rozbójników, złożone z ludzi różnego rodzaju i w rozmaitych kostjumach, uzbrojonych w długie strzelby lub sztylety i noże, zebrały się tak szybko jak gdyby z ziemi wyrosły. Mieli oni swoich wodzów, a od władzy dostawali utrzymanie, oprócz tego mieszkańcy musieli ich żywić, mimo to rabowali również jak i nasi. Jeżeli się zdarzyło przemocą w pobliżu rozkwaterować, natenczas uciekali w góry i dopiero po przejściu niebezpieczeństwa powracali. Na równinach nigdzie nie zatrzymywali się, gdyż wodzowie mieli wielką trudność utrzymać ich w porządku. Banda Longa w Galicyi, braci Minas i Merino w starej Kastylii i Arragonii, mnicha kapucyna Francisqueti w la Mancha, hrabiego Montijo i Alcaldia (burmistrza) z Ontivar w wyższej Andaluzji były głównymi, oprócz tych było jeszcze wiele innych. Ponieważ nie znali ani karności ani porządku przeto stali się biczem dla własnego kraju i współbraci, popełniając najzdrożniejsze okrucieństwa, zwłaszcza tam gdzie podejrzywali mieszkańców o przychylność dla Francuzów. Jednym słowem byli wszędzie i nigdzie, pomaszerowaliśmy naprzód oni byli za nami, gdyśmy się cofnęli, oni byli z boku i t. d. Z przyczyny takich obrotów mieliśmy powstrzymany dowóz żywności; przejmowali także naszych kuryerów. Mszcząc się za wszystkie te sprawy obchodziliśmy się z nimi bez litości; każdy schwyty z bronią w rękę natychmiast był powieszony

63

lub rozszeptany. Księża i mnichy poduszczali ich i namawiali do mordowania Francuzów, to też jeśli którego dostali w swe ręce nieoszczędzali go pod żadnym względem. Gdy się znaczna liczba band zebrała w południowej stronie Toledo, przeszliśmy przez

Almonaud i Moro do Consuegra, gdzie stanęliśmy naprzeciw skoncentrowanych w tym miejscu powstańców. Gdy nasi ułani i kawaleria francuska ruszyli pomiędzy nich, bandyci poczęli uciekać na łeb na szyję, poczem zajęliśmy ich obóz rozłożony pod miastem i po zrabowaniu takowego powróciliśmy do Toledo. Lecz nie długo trwała nasza spokojność, w krótkce bandy zebrały się na nowo w jednym miejscu w znacznej liczbie; skutkiem czego przy końcu kwietnia wymaszerowała cała nasza dywizja przez Moro Consuegra do Ciudad Real, gdzie się znajdował nieprzyjaciół w liczbie 20000 ludzi. Było to wieczorem w wielką sobotę, w odległości mili od posterunków nieprzyjacielskich zatrzymaliśmy się w lesie oliwnym. Deszcz lał jak z cebra. Dnia następnego w pierwszy dzień Wielkiej-Nocy wyruszyliśmy dalej. Pod miastem Ciudad Real sformowaliśmy się w kolumny, nieprzyjaciół, który również nadszedł pod same miasto wystrzałami armatnimi dał znak gotowości do boju. Zatrzymaliśmy się na chwilę aby co prędzej zjeść śniadanie, co kto miał przy sobie, następnie udali się wolnym marszem przeciw nieprzyjacielowi. Ułani nasi prowadzili zwykle za sobą, baterię lekką (batterie volante): połączeni z francuską kawalerią na raz przypuścili ostrą i śmiałą szarżę na hiszpanów, tak że

64

wszystko w nieładzie, pobite na głowę pouciekało gdzie kto mógł; tysiące wzięto do niewoli, wszystkie armaty wpadły w nasze ręce, znaczna liczba zabitych została na placu bitwy, nasi zaś ani jednego nie dali wystrzału, ani jeden nie został zabity, tak się dzielnie i spieszenie sprawiali ułani; im to zawdzięczać należy że wyszliśmy cało z tej potyczki.

(Ciudad Real w kwietniu 1809 roku). Następnie ścigaliśmy nieprzyjaciela przez Mikultura, Almagro do Santa Cruz, gdzie hiszpański pułk żółtych dragonów przez ułanów naszych dognanym został, którzy to dragoni na głowę porażeni byli, tak że mnóstwo trupów hiszpańskich w rowach obok drogi leżało; w ten dzień nie daliśmy im spokoju ścigając i prześladowając aż do Elvisilio u stóp Sierra Morena, podczas kiedy reszta rozpieczętych hiszpanów, pouciekała do swoich siedzib na wysokie góry. Natenczas zostaliśmy przez trzy dni w Elvisilio; wszystką zdobytą broń i amunicję jako to: wozy z prochem i bagażami, ładownice, różnego rodzaju pałasze, tornistry i t. d. Wszystko to zgromadziwszy w jedno miejsce w polu i ułożywszy w stos zapaliliśmy i wysadzili w powietrze. Następnie pomaszerowaliśmy przez Santa Cruz ku Manzanares, gdzie zajęliśmy stare kwatery, część nowej Kastylii w której leży to miasto, nazywa się la Mancha, co oznacza miejsce i pod tem nazwiskiem ciągnie się od Consuegra do Sierra Morena. Jest to jedna z najpiękniejszych i najbogatszych a zarazem najprzyjemniejszych prowincyj w Hiszpanii, wyrabiają tu wyborne wino; starannie uprawiane zboże wydaje obfity plon. Stojąc tu przez trzy miesiące w dość znacznej liczbie

65

4000 do 5000 ludzi, wszystkiego mieliśmy podostatkiem. Żołnierze nasi korzystali z tej obfitości, wynagradzając sobie poprzednio poniesione trudy. W ala Solana i Membrilla o pół mili od nas stała francuska dywizja w okolicy obfitującej w wino Val de pennas. Następnie posunęliśmy się dalej. Ułani tuż za nami przybyli do tej okolicy. Sławny autor hiszpański Miguel de Cervantes Saavedra opisując przygody bohatera swego romansu, błędnego rycerza Don Kiszota (Don Quixote), wspomina niektóre miejscowości leżące w tej prowincyi: Villarta, Villa Tobosa, Puerta la Pice. Ostatnie to miejsce zwiedziliśmy podczas marszów późniejszych.

Zajęliśmy wielki klasztor i w krótkim czasie przebudowaliśmy go na cytadelę dla uniknienia napadu nieprzyjaciela — ale nie zupełnie. Jakkolwiek bowiem po stu ludzi z każdego pułku do tej czynności było użytych, dzieła tego nie doprowadziliśmy do skutku, gdyż partye brygantów coraz częściej napadały nas, a wzrastając w liczbę, poruszały i niepokoili nas ze wszystkich stron. Małe oddziały i forpocztę nasze i korespondencje guerillasy brali do niewoli lub wymordowali. Porucznik Czyński z naszego pułku wysłany został z trzydziestu sześciu ludźmi do miasteczka Herencia, o trzy mile hiszpańskie odległego, w celu przywrócenia komunikacji i korespondencji wojennej, częścią w celu zapobieżenia napadowi nieprzyjaciela z tej strony. Porucznik pozawiażywał znajomości i żyjąc w wielkiej przyjaźni z miejscowym proboszczem (Cura) i innymi księżmi, całe dnie spędzał w ich

66

towarzystwie, szczególnie zaś przesiadywał u Sennora Cura, z którym razem jedząc, grywał często w karty dla przepędzenia czasu. Przy tej rozrywce czas szybko im schodził, gdyż porucznik zwykle na noc wracał do swoich żołnierzy, którzy stali kwaterą za miastem w starej fabryce oleju, zabezpieczonej od napadu rowem i palisadą, zaopatrzeni w żywność na dni 14. Jednej nocy przybyło 800 brygantów na koniach, osłach i mułach lub też pieszo pod dowództwem kapucyna Francisqueti w klasztorze Comunios, który zebrawszy bandę guerillasów, przybył z takową o godzinie 12 w nocy na rynek, gdzie porucznik stawiał zwykle na noc sześciu żołnierzy na widęcie. Sztydłwach zawołał: „Qui vive?“ na co banda odpowiedziała: djabeł! i w jednej chwili rzuciwszy się na tych nieszczęśliwych, zamordowała ich. Na ten alarm zebrała się w olejarni cała kompanja gotowa do obrony. Porucznik tego wieczora nie powrócił, gdyż ksiądz wszelkimi sposobami, namową i prośbą starał się dłużej go u siebie zatrzymać. Natychmiast przeto wysłano podoficera, aby dowódcę o zaszłym wypadku zawiadomił. Ksiądz pomimo to starał się jeszcze zatrzymać porucznika, tłumacząc mu, że jest to rzecz małej wagi (rozumie się, że ksiądz był sprzymierzeńcem guerillasów). Porucznik udał się na służbę, podoficer radził mu, aby zawczasu ratować się na przyległą górę i tam się bronić póki pomoc z Manzanares nie pospieszy. Porucznik w pierwszej chwili nie chciał przystać na ten projekt, lecz ujrzawszy ze świtem, że bryganci gromadzą się i zbliżają całą siłą do obwarowanego

67

miejsca, pozrywawszy zaś z dachów przyległych domów dachówki, dają ognia a Mina olejarnię spalił, nie pozostawiało mu do czynienia nic, jak tylko zebrawszy kompanję, przerznąć się przez ulice na cmentarz, a ztamtąd na otwarte pole. Gdy już byli na cmentarzu, żołnierze ujrzeni księdza wyglądającego przez okienko z dzwonnicy, na co zwrócili uwagę porucznika, który zadał księdzu kilka pytań, ale nie otrzymał na nie odpowiedzi. Nagle żołnierze ujrzeni broń w ręku księdza i gdy porucznik powtórnie spojrział w górę, ugodzony kulą w szyję padł nieżywy na miejscu. Żołnierze strwożeni tym wypadkiem, nie wiedzieli co robić; bryganci stali na wszystkich rogach ulic i nieustannie dawali ognia. Polegli też wszyscy prawie, dwóch tylko zabrał do niewoli nieprzyjaciół, jeden zaś ukrywając się w gołębniku, siedział tam póty, póki nie nadbiegliśmy z pomocą. Bryganci przybyli za radą tego niegodziwego księdza, który poświęciwszy tyle ofiar, przypatrywał się z wieży przewidzianemu zwycięztwu tak przeważnej

siły. Ponieśliśmy wielką stratę i nie mogliśmy długo zapomnieć śmierci porucznika, był on bowiem dobrym oficerem, pocziwym i szlachetnym człowiekiem. Natychmiast wymaszerował do Herencia cały pułk piechoty i kilkuset ludzi kawalerii głównego sztabu, ale nie zastaliśmy tam żywej duszy, na rynku tylko siedział stary człowiek, szpieg prawdopodobnie. Nie darowali mu też rozjrzani do najwyższego stopnia nasi żołnierze, poczem zrabowali miasto i podpalili go z wielu stron. Wznoszące się w górę płomienie

68

zdawały się nasycać ich zemstę. Następnie pomaszerowaliśmy napowrót do Manzanares.

Tu żadnemu człowiekowi ufać nie można było, ani zatrzymywać się w marszu choćby o dwieście kroków w tyle. Często spotkaliśmy na głównych gościńcach trupy zabitych żołnierzy, u których powylupiane oczy i pourzynane nosy i uszy dostatecznie przekonywały o barbarzyńskim pastwieniu się nad temi nieszczęśliwymi ofiarami. Straszne się rzeczy działy! Przeróżający był widok tych rabusiów! Ksiądz kapucyn Francisqueti z długą brodą, z wiszącym u pasa krzyżem, obok którego zatknięte były dwa pistolety i sztylet, przy boku jego wisiał długi pałasz, tak uzbrojony ów wzór religii i moralności jechał na mule. Był on członkiem najwyższej inkwizycji i postrachem całej okolicy. Ale gwiazda jego niedługo zagasła. Wyznaczono 5000 franków nagrody za jego głowę; schwytany i przyprowadzony przez kawalerję francuską, niedługo powieszony został.

W Czerwcu opuściliśmy tę okolicę i przeszliśmy obok Vilharta rzekę Gwadjanę, bardzo błotnistą i zarośniętą trzciną i sitowiem, jak wszystkie prawie rzeki w Hiszpanji, które po większej części nie są spławne, ale za to znajduje się na nich wiele mostów. Pomaszerowaliśmy dalej przez Puerto la Pice do Consuegra, gdzie pozostawaliśmy przez trzy tygodnie. Miasteczko leży na górze, obok znajduje się starożytny maurytański zamek, obwarowany z powodu korzystnego położenia. Bryganci przeto zaopatrzeni w żywność dla pięciuset ludzi mogli przez czas jakiś

69

utrzymać się w zamku. Podobne zamki często w Hiszpanji napotkać można; świadczą one o ciężkich walkach i długoletnim panowaniu Maurów; większa część tych zamków zachowanych w dobrym stanie sterczy wysokimi wieżyczkami w okolicach. Consuegra także nie było wolne od napadu guerillasów, chwyтали nawet takie osoby, które nie brały udziału w walce. Będący w przejeździe szef sztabu króla Józefa generał neapolitański Franceschi został tu schwytany i osadzony w Grenadzie w cytadeli Alhambra, zkąd po półrocznym więzieniu uwolniony został przypadkowym sposobem.

Hiszpanie na nowo uformowali wielką armię i posunęli się z gór Sierra Moreny ku Elmorál, poczem nadszedł korpus armji francuskiej z Madrytu liczący 40,000 ludzi pod dowództwem króla Józefa Napoleona, z którym połączyliśmy się. Następnie przechodząc Puerto la Pice, Arenas i Daymiel, dotarliśmy do rzeki Gwadjana, znanej z opisów jeograficznych ze swej osobliwości; rzeka ta bowiem wpada pod ziemię i dopiero o 7 mil dalej daje się widzieć, czego byliśmy naocznymi świadkami. Następnie puściliśmy się szybkim marszem do Santa Cruz i Elmorál. W tym marszu nigdzie nie spotkaliśmy się z przeciwnikami, gdyż ci puciekali do swoich siedzib w górach Sierra Morena, skutkiem czego pomaszerowaliśmy napowrót do Consuegra. Z tamtąd korpus króla Józefa udał się do Aranjuez, nasza zaś dywizja do Toledo. W tymże czasie Anglicy w liczbie 40,000 ludzi pod dowództwem lorda Wellingtona połączywszy się z oddziałami

70

Hiszpanów i Portugalczyków, zajęli miejsce ufortyfikowane z drugiej strony Tagu pod Talavera la Reyna. Oddział generała Castanios z Sierra Moreny wyruszył do Elmorál w celu zwiedzenia, ponieważ wyczekiwali tylko na rezultat ekspedycji Anglików i zamiarem ich było ułatwienie przejścia swoim sprzymierzeńcom do Madrytu i Toledo, nam zaś stawiali wiele przeszkód w zyskaniu na czasie; ci też dążyli jaknajspieszej na własną zgubę. Zanim udaliśmy się w marsz odwrotny, nasyciliśmy się jeszcze dobrem winem, którego tu w Elmorál było do zbytku. Trudno było ztąd wyruszyć, gdyż wino to dobrze smakowało. Skoro uderzono

w bębny na znak wyruszania w pochód, ja sam zmuszony byłem odszukiwać żołnierzy po domach, piwnicach i innych kątach, aby ich wypędzić, do czego jeszcze przemocy użyć potrzeba było. ¹⁾ Nasze oddziały pomaszerowały natychmiast do Illiescas i Aranjuez, następnie najspieszej napowrót do Toledo. Król Józef zebrał również dwa korpusy swojej armji i udał się jak najprędzej przeciw Anglikom; niezważając na Castaniosa, a na most w Aranjuez zwróciło baczną uwagę nasze wojsko. Pozostały korpus armji

¹⁾ Przy poszukiwaniu tem po domach, dachach, piwnicach i innych kątach, znalazłem w kącie za kominem siedzących spokojnie dwoje dzieci, z których jedno mogło mieć lat dwa a drugie cztery. Dzieci te w bojaźni i popłochu pozostawione przez rodziców ujrawszy mnie, wytrzeszczyły swe iskrzące oczęta, w których przebiegał się przestach. Wziąłem je za ręce i odprowadziłem do Alcaldy, w domu którego generał głównodowodzący korpusem założył swoją kwaterę, i oddałem je alcałdowi.

71

600 ludzi z naszego pułku oraz 30 kawalerzystów z dwoma działami połowemi pod dowództwem naszego zacnego pułkownika Grotowskiego zaparło dwa mosty w Toledo. Wprawdzie z tak małą obsadą i nieznaczną liczbą artylerji trudno się było utrzymać w wielkiem mieście niczem nie obwarowanym, z wyjątkiem stromych skał od strony Tagu. Castanios z 12,000 ludzi podsunął się ku temu miastu i opasał takowe; silniejszą zaś armję wysłał przez Aranjuez aż do Ocanna z zamiarem przejścia rzeki Tagus, jeśli nie w jednym, to w drugim miejscu, ale mu się to nie udało. Małą naszą siłę mogliśmy użyć tylko do obrony stanowiska przez nas zajmowanego, ponieważ Hiszpanie znacznie byli od nas silniejsi. Postanowiliśmy więc bronić jednej tylko części miasta. Przedewszystkiem zwróciliśmy uwagę na most, którego bramy zewnętrzne założone zostały gnojem i workami z piaskiem. Mieszkańcy zostali uwiadomieni, ażeby się nie zbierali więcej niż trzech razem, nie pokazywali się na ulicach po 10ej wieczorem, domy rozkazano zamykać, a do sprzeciwiających się wymienionym rozkazom strzelać. Zabroniono także zbliżać się do naszych forpoczt. Skutkiem tego rozkazu wieczorem wszyscy zamykali się na klucz i siedzieli spokojnie, modląc się, aby sprawa ich w Talavera la Reyna szczęśliwem powodzeniem uwieńczoną została. Wszystko było w należytem porządku, patrole nieustannie dniem i nocą przechodziły przez miasto. Pocziwy nasz pułkownik z całą przytomnością umysłu i łagodnością obchodził się z mieszkańcami;

72

wchodząc w ich krytyczne położenie, nakłaniał do cierpliwego zniesienia wraz z nami nadchodzącej chwili walki, zapewniając im ze swój strony względne obejście się w razie zwycięstwa Francuzów.

Forpocztę naszą nie były luzowane, gdyż wszyscy musieliśmy stać na warcie od świtu do nocy przez całe trzy tygodnie, przytem mieliśmy ciągle ćwiczyć z palną bronią. Mnóstwo kul i granatów wpadało do domów i kościołów, ani jedna dusza nie pokazywała

się na ulicy, wszyscy siedzieli spokojnie po domach. Wojska hiszpańskie stały na skałach i górach, obserwując nas, z kądem zrzędały nam dużo szkody, a szczególnie ze skał sterczących naprzeciw mostu, od których nas tylko droga oddzielała. Wieża, na której stała nasza warta, była równej wysokości ze skałami obsadzonemi Hiszpanami, tak więc patrzyli na siebie Francuz ze strzelnicę na wieży i Hiszpan ukryty za skałą. Jak tylko który z naszych broni pokazał, odpowiadano mu paruset wystrzałami; często także przeklinali naszych żołnierzy, ci zaś, którzy wyuczyli się trochę po hiszpańsku, odpowiadali im w tymże języku; mieliśmy wiele żartów z tego powodu. Jednej nocy okręciwszy słomą koła armaty, aby turkotu słyhać nie było, Hiszpanie sądząc że nasi żołnierze pogrążeni są w twardym śnie, podprowadzili takową w zamiarze wysadzenia bramy. Lecz my zwracaliśmy baczną uwagę na wszystko co się działo. Gdy już armatę pod samą bramę podprowadzili i szykowali się do skutecznego swego zamiaru, pocziwy i baczny sierżant, pod dowództwem którego zostawała cała warta,

73

zakomenderował nagle ognia. Na ten głos warta dała wystrzał, kilku kanonierów padło, reszta pozostawiwszy armaty, uciekła. Warta nasza oka z nich nie spuściła i sprawiła im tęgą łaźnię. Podobne zdarzenia często miały miejsce, lecz pomijam takowe, dając tylko krótki rys naszych przejęć.

Generał Castanios przez cały ten czas stał na wysokiej górze i chociaż miał 12,000 ludzi, nie ośmielił się zrobić pierwszego kroku do bitwy, my zaś oczekiwaliśmy z całą cierpliwością i wytrwałością pomocy, która też wkrótce nadeszła. Dnia 28 Lipca zaatakowaliśmy Anglików przy Talavera la Reyna, gdzie po trzydniowej utarczce Anglicy widząc, że zwycięstwo przechodzi na naszą stronę, cofnęli się i przeszli w Sierpniu do Portugalji, — my zaś pomaszerowaliśmy do Toledo.

W nocy z dnia 7 na 8 Sierpnia usłyszeliśmy pomiędzy otaczającemi nas górami hasło nassauskich strzelców, ze świtem cały garnizon uderzył na bramę zapartego naprzeciwko gór mostu i przywitał Hiszpanów miłym pozdrowieniem na dzień dobry, czego się bynajmniej nie spodziewali, wielu z nich zabito, wielu do niewoli zabrano a jeszcze więcej puciekowało. Jeden kapitan hiszpański został ujęty wraz z kilkoma ludźmi przy młynie wodnym na rzece Tagus — miał on przy sobie pieniądze na żołd przeznaczone. Castanios miał zamiar tegoż samego rana uderzyć, lecz się spóźnił. Około południa powróciliśmy do miasta, wieczorem zaś pomaszerowaliśmy dalej. Francuzka i niemiecka dywizja połączyły się z naszą i 9go Sierpnia rozłożyliśmy

74

się obozem przy Bolonia w miejscu o 2 mile od Toledo odległym. W tymże czasie Castanios z 50,000 do 60,000 ludzi rozłożył się obozem w Almonacid, o małą milę od nas, gdzie niegdyś Hiszpanie za czasów Ferdynanda katolickiego stanowcze nad Maurami odniósłszy zwycięstwo, na zawsze ich z nowej Kastylji przepędzili. W tej pamiętnej miejscowości Castanios miał zamiar odnieść nowe zwycięstwo. Cała nasza armia składała się z trzech dywizyj: polskiej, francuskiej i niemieckiej, które nie liczyły więcej nad 25,000 ludzi, między którymi było 500 ułanów, jedna polska lekka baterja, dwie francuskie lekkie baterje, jedna badeńska i jedna konna hollenderska, oraz 20ty i 21 pułk francuzkich dragonów; siły przeto Hiszpanów były dwa razy większe. Korpus armji zostający pod dowództwem marszałka Victora, wymaszerował z Talavera la Reyna w celu połączenia się z nami a następnie uderzenia na nieprzyjaciela, który pewny swego zwycięstwa, następny plan sobie ułożył. Almonacid leży po lewej stronie głównego gościńca prowadzącego z Toledo do Andaluzji, przed Almonacid wznosi się niezmiernie wysoka góra, na której znajduje się zamek

maurytański zupełnie spustoszony. Almonacid leży u stóp tej góry, odległe na wystrzał armatni od gościńca, a po prawej stronie tegoż ciągnie się pasmo gór pół mili długie. Na tej wysokiej górze obok zamku Hiszpanie umieścili swe prawe skrzydło, niżej zaś rozstawili swoje forpocztę, artylerja ich zajęła gościniec i równinę; korzystne to dla nich stanowisko pozwalało mieć im wszystko przed oczami odkryte.

75

Na pasmie gór, to jest na lewym skrzydle stanęła piechota w znacznej liczbie, na równinie w niedalekim odstepie prostolinijnym stała kawalerja na zasadzce w liczbie 2000 ludzi. W gotowości do boju była cała armia hiszpańska składająca się z 60,000 zbrojnych

pod komendą, jenerała Castaniosa, gdyśmy dnia 11 Sierpnia 1809 roku natarli. Wyruszyliśmy bardzo rano z obozu w Bolonia i przyszedłszy do oliwnego lasu, co tchu przygotowaliśmy się do boju. Pułki 32, 58, 75 piechoty oraz 23 pułk lekkiej piechoty (Infanterie legère) zajęły lewe skrzydło i bojowym marszem ruszyły prosto na Almonacid i wysokie góry. Pułki 4, 7, 9 piechoty i reszta naszej polskiej dywizji sformowały środek po prawej stronie gościńca, z kądem ruszyliśmy marszem na wzgórze, atakując liczną nieprzyjacielską piechotę na bagnety. Niemiecka dywizja składająca się z Hollendrów, Westfalczyków i Nassauczyków i t. d., zajęła prawe skrzydło i jednocześnie natarła na bagnety nieprzyjacielską piechotę. Uderzywszy przyspieszonym krokiem do boju, zdołaliśmy zmusić nieprzyjacielską piechotę do opuszczenia zajmowanego przez nią na wzgórzu stanowiska, a odpędziwszy takowych, sami zajęliśmy to dogodne miejsce. Natenczas parę szwadronów kawalerji Mina uderzyło na nas, my zaś szybko sformowawszy czworoboki (carrées) stawili im opór. Gdy przypuścili szarżę do czworoboku, w którym i ja się znajdowałem, mając

zwykle powierzony sobie sztandar drugiego bataljonu, przywitaliśmy ich dobrze rotowym ogniem na 60 kroków przed czworobokiem, skutkiem czego zrobili

76

odwrot i jeszcze spieszniej puciekali jak przybyli. Hollenderska artylerja konna, wszystko piękni, młodzi i odważni ludzie, sygnęli jeszcze za uciekającymi z całej baterji dobrze kartaczami nabitej, to też mnóstwo poległo a inni nie pokazali się więcej. Następnie

Francuzi zajęli to miejsce a Hiszpanów popędzili na wysoką górę, aby z lewej strony obejść górę, gdzie już kawalerja nasza przeskoczyła, my zaś jednocześnie pociągnęliśmy na prawo, aby nieprzyjaciela będącego na górze otoczyć i zamknąć.

Zmiarkowawszy nasze zamiary, nie korzystali już z przestrzeni 500 kroków wynoszącej a przez nas niezajętej, lecz porzuciwszy broń, spuścili się z góry na dół i przeszedłszy strumień, udali się do lasu oliwnego w bliskości będącego, ponieważ ztamtąd z łatwością dostać się mogli do swoich siedzib w górach Sierra Morena. Gdyby takowe otoczenie na wysokiej górze wcześniej nastąpiło, połapałibyśmy Hiszpanów co do jednego. Bataljon nasz sformowany w czworobok wiele ucierpiał ze strony hiszpańskich baterji. Pod pułkownikiem księciem Sułkowskim padł koń kulą armatnią ugodzony, z naszego zaś pułku zabici zostali pułkownik Sielski szef I batalionu, kapitan Zaleski i porucznik Gurowski. Żołnierzy padło 200, oraz wielu było rannych. Z pułku 7go poległ pułkownik Sobolewski, podpułkownik Łuba i kilku innych oficerów oraz do 200 żołnierzy i wielu rannych. Przeszło 8000 Hiszpanów zabranych zostało do niewoli. Cała artylerja, sztandary, bagaże itp. wpadły w nasze ręce. Liczba poległych podana z obu stron

77

wynosiła do 3000. Upał dochodził do 32 stopni, omdlewaliśmy ze znużenia i pragnienia. Nasz bystry i przedsiębiorczy generał Sebastiani, który niedawno przybył do naszego korpusu, nie chciał oczekiwać tego dnia na marszałka Victora, sam bowiem tego dnia chciał być zwycięzca, co mu się też w zupełności udało, gdyż rzeczywiście odniósł zwycięstwo nad wielką i silną armją, zdobywszy przytem wiele łupów. Nastąpiło teraz ściganie nieprzyjaciela, skutkiem czego dzień i noc nie było odpoczynku. Reszta Hiszpanów udała się napowrót ku Sierra Morena do Andaluzji, aby tam opatrzyć i zagoić swe rany, zostawiając nas w spokoju na pewien czas; my zaś obserwowaliśmy ich z góry, czy się znowu nie ukażą. Prześladowanie takowe stało się dla nas ciężką wyrocznią. Pomiędzy Mora i Consuegra w małej miejscinie dopędziła nasza kawalerja Hiszpanów, którzy w pośpiechu poodrzynali

konie od armat, wozów z prochem, amunicją i bagażami, pozostawiając to wszystko, aby prędzej uciec z końmi. Jeden śmiałek z pomiędzy maruderów, których kilkuset podczas bitwy od nas się odłączyło, wystrzelił z karabina do wozu z prochem, który zapaliwszy się wysadził wszystko w powietrze. W skutek tej eksplozyi 200 naszych żołnierzy znajdujących się w pobliżu padło trupem, wielu było kontuzjowanych. Kiedyśmy napowrót tam tędy przechodzili, spustoszenie i tak liczna śmiertelność skutkiem jednego nierozważnego kroku smutny przedstawiał widok!

Dywizja nasza odebrała chlubne podziękowanie ze strony generała głównodowodzącego, który kazał

78

to całemu korpusowi oznajmić przez wydrukowanie w dzienniku codziennych czynności. Najwięcej miał udziału w odniesionem zwycięstwie pułkownik książę Sułkowski, który był znany ze swej nieustraszonej odwagi i zdolności. Ja wraz z 6 innemi kolegami mianowani byliśmy podporucznikami.

Z powodu ścigania nieprzyjaciela Sebastiani z pośpiechu zapomniał o małym oddziale wojska złożonym z części piechoty i nieco kawalerji a pozostawionym w Ermitage, klasztorze opuszczonym przez mnichów, położonym w lesie oliwnym paręset kroków od pola bitwy. Ranni całego korpusu 300 — 400 ludzi pod opieką 3 lekarzy francuzkich zostali tam umieszczeni. Skoro bryganci i chłopci w sąsiednich miejscowościach, głównie w Val de Orgas i Villa Jovenes zamieszkali, dowiedzieli się o tem, że ci biedacy pozostają bez żadnej prawie obrony, poduszczani przytem przez księży w liczbie 2000 ludzi poczęści konno, poczęści pieszo napadli na Ermitage, pomordowali rannych i lekarzy, a zrabowawszy im wszystko, pozostawili broczących we krwi i sami rozpiechli się. Tu także znalazł śmierć kapitan naszego pułku Stabilewski, który wieczorem w dniu bitwy dostał się do klasztoru, chcąc ukryć się, a znużony tak twardym snem usnął, że służący podczas zbliżania się brygantów nie mógł go obudzić. Schwyciwszy więc tylko złoty zegarek i dosiadłszy wierzchowca, szczęśliwie umknął drogą prowadzącą do Toledo, pozostawiając swego pana, który unikając z tchórzostwa kuli nieprzyjacielskiej, znalazł mierz haniebną, gdyż bryganci głowę mu odcięli.

79

Wielu z naszych, a mianowicie Francuzi sami odbierali sobie życie, aby nie być mordowanymi przez tych barbarzyńców. Za naszym powrotem zastaliśmy okropne skutki tej sceny. Nikt, kto nie był naocznym świadkiem tego widoku, nie może zrozumieć, jak bolesnych doświadczaaliśmy wrażeń. Następnego dnia po bitwie był wilgotny, kiedy wróciliśmy z pogoni za nieprzyjacielem. Natychmiast odkomenderowano jednego porucznika z 50 ludźmi do pozbierania broni, tornistrów i t. d. z pola bitwy. Podczas skwarne go upału leżeli polegli jeszcze nie pogrzebani. Okropnie zaraźliwe powietrze dochodziło przy zbliżaniu się. Następnie pozbierawszy mnóstwo broni i szczątków armatnich, zgromadziliśmy wszystko w Almonacid, zabrawszy zaś tam 20 furgonów i ambulans napełniony rannymi oficerami francuzkimi, zabraliśmy to pod eskortą do Toledo, dokąd po północy przybyliśmy.

Podobne wyjście i operacja wojenna spotkała Anglików na zachodzie jak Hiszpanów na południu, tembardziej więc z każdym dniem wzrastała ich wściekłość i żądza zemsty. W porównaniu z nimi byliśmy kamienni i odwaga nasza wcale nie słabła.

Zanim opuścimy te okolice, chciałbym jeszcze nadmienić o niektórych szczegółach dotyczących się naszego 1go pułku ułanów legji nadwiślańskiej. Pułk ten był rozdzielony: jedna część licząca 800 ludzi znajdowała się przy naszym korpusie, druga zaś część tak samo silna była w Arragonji przy korpusie Sucheta. Ci w naszym korpusie taką odznaczyli się śmiałością, że byli postrachem Hiszpanów, a szczególnie

80

ich kawalerji we wszystkich bitwach. Pierwsi rzucali się na nieprzyjaciela, nie zważając na ogień ścigali go krok w krok. Zabawą, dla nich było zdobyć baterję lub rozbić czworobok, w wielu bitwach piechota nie dała nawet wystrzału, gdyż oni wszystko roztrzęśli

i rozproszyli, co oszczędziło nam wiele trudu i straty ludzi. Hiszpanie zwykle uciekali, skoro tylko ułanów (los lanceros polacos) ujrzeni. Częstokroć aby złudzić Hiszpanów, kiedy się ukazali, chowali swoje lance między konie, ci więc myśleli, że są to strzelcy konni albo huzarzy — pomyłki tej nieraz żałowali, gdyż ułani mieli lekką połowę baterję podarowaną im przez Cesarza Napoleona i wszędzie prowadzili ją za sobą. Zapalem swym i odwagą zjednali dla siebie szacunek, byli też ulubieńcami generała głównodowodzącego; pełniąc służbę przy jego boku, używani byli do eskorty, podczas ataku razem z generałem znajdowali się we froncie. Pewnego razu pułk ten stał w Villa Jovenes, odległym od Toledo o 4 a od Mora o 2 mile, gdzie i my staliśmy w oddaleniu. Generał hiszpańskiej kawalerji Freire ułożył sobie plan zniesienia lub zabrania do niewoli całego pułku ułanów, przyczem wyraził się, że gdyby miał ten pułk w posiadaniu pod swoim dowództwem, wojna w Hiszpanji jużby dawno skończyła

się. W celu doprowadzenia do skutku powziętego zamiaru, udał się z 7ma pułkami kawalerii, pomiędzy którymi byli karabinierzy królewscy (Carrabineros reales), którzy ustawili się przy mieście Jovenas, łapali podczas ciemnej nocy ułanów naszych stojących na pikiecie. Zawiadomiono natychmiast

81

o tem pułkownika, który siedząc sobie spokojnie w gronie oficerów grał w karty, a na doniesienie to odpowiedział, że są to tylko bryganci, zostaną na swoich stanowiskach i bronić się. Dopiero gdy po raz drugi i trzeci raportowano, że Hiszpanie w znacznej liczbie gwałtem cisną się do miasta, natenczas pułkownik rozkazał trąbić na alarm, ale już było za późno, gdyż Hiszpanie przemocą wtargnęli do miasta i zajęli wszystkie ulice. Pułkownik nie zważając czy oficerowie i żołnierze w pełnych ubiorach i czy wszystko w pogotowiu, zebrawszy ilu miał ułanów, rzucił się ze srogością rozjątrzonego lwa na kawalerię hiszpańską kolumnami ustawiającą się w rynku; pierwsze skrzydło zwalczone, reszta rozpieczęła się, i pułkownik szczęśliwie ocalał wraz ze swym pułkiem, lecz kapitałowie Szulc i Stokowski ze 40 ludźmi zabrani zostali do niewoli. Dwa sztandary pułku haftowane własną ręką cesarzowej Józefiny, które znajdowały się w furgonach przed kwaterą pułkownika, wpadły w ręce hiszpańskie. Następnego dnia bardzo rano przybyli do nas w Mora ułani nasi, wielu bez czapek, pik i pałaszy. Rzecz to jednak była malej wagi, gdyż w niedługim czasie przedmioty te za staraniem generała głównodowodzącego były zwrócone. Wielki to był cud, że zdołali wydostać się z pomiędzy 7 napadających pułków. Całą winę porażki możnaby przypisać pułkownikowi, który za wiele ufając męztwu, zbyt opieszale działał z początku, nie wystąpiwszy skoro warta dała wiadomość o napadzie, a później pozostając w mieście, kiedy mógł się cofnąć. Pomimo tego chwilowego

82

niepowodzenia sława ułanów nie była zachwiana owszem wkrótce nowym zajaśniała blaskiem. Generał Freire widząc, że nie dostanie w ręce tego pułku, zaniechał swych zamiarów i miał rację, jak to następne wypadki pokażą.

Opuściliśmy wreszcie raz na zawsze Toledo i przez Boray pomaszerowaliśmy do Chincohn, gdzieśmy cały miesiąc zabawili, poczem udaliśmy się do Ciempozuelos, zkąd wraz z kapitanem kwatermistrzem (Quartier maitre) naszego pułku udałem się do Madrytu po pieniądze dla wojska. Trzy tygodnie musiałem pozostać w tem mieście i napowrót wróciłem do pułku. W Listopadzie pomaszerowaliśmy do Aranjuez nad Tagiem; miasteczko to leży po lewej stronie, zamek zaś królewski, pałace, park i ogrody po prawej stronie rzeki. Wszystkie ulice szerokie są i równe, domy po większej części dwupiętrowe, co nadaje miastu wiele uroku. Nad Tagiem wznosi się most, na prawej zaś stronie leży wielki park, poprzedzielany mnóstwem kanałów. W parku tym znajduje się zamek królewski zbudowany w najnowszym stylu z samego marmuru, obok niego na wysepkach wiele jest wspaniałych budynków, wszystko razem tworzy bardzo piękny widok. Groty, świątynie z marmuru, pustelnie najcudniej urządzone wznoszą się ponad wodą; dodaj do tego kanały, brzozy których połączone pięknymi mostami i wiszącymi w powietrzu fontanny oraz długie i szerokie ulice ozdobione także szeregami posągów treści mitologicznej. W gaikach i na wysepkach znajdują się zwierzyńce, których ściany wyłożone

83

drzewem wznoszą się bardzo wysoko; w nich to chowają się jelenie, sarny i t. p. Wszystkie te wspaniałości z przyczyny wojny i nieobecności rodziny królewskiej stały opuszczone i smutne.

Hiszpanie nie chcieli nas dłuższy czas pozostawić w spokoju. Ówczesny rząd (junta) mający swe siedzisko w Sewilli, zebrawszy wszystkie siły swojego kraju, sformował wielką armię celem wyparcia Francuzów od Tagu aż do granicy, ażeby zakończyć raz na zawsze sceny wojenne. Armia ta liczyła 80.000 ludzi; znajdowali się przy niej nowi prawodawcy członkowie junty z Sewilli i towarzystwo aktorów, którzy przy pierwszym zajęciu Madrytu bawić mieli publiczność widowiskami przedstawiającymi niepowodzenia Francuzów w komicznym świetle i zawczasu już przygotowywali się do swojej roli. Tak liczna armia hiszpańska podzieliwszy się na dwie części, posunęła się od Sierra Morena ku Tagowi. Mieszkańcy, u których staliśmy na kwaterach, zawczasu przepowiadali nam upadek, ciesząc się w duchu, lecz nie zważaliśmy na to. Opatrzność Boska czuwała nad naszym losem. Dywizja nasza w tym czasie otrzymała sukurs z Polski, po 200 ludzi do każdego pułku, którzy się bardzo przydali, gdyż siły nasze znacznie osłabły. Kiedy Hiszpanie Sierra Moreny przybliżali się ku nam, wyszliśmy do Ocanna o milę od Aranjuez. Nasz głównodowodzący chciał tym sposobem zmusić ich do posunięcia się naprzód i skoncentrowania. Zaledwie zdążyliśmy przemaszerować, kiedy oni już niezliczoną liczbę

84

forpoczt pochwytili, oddział nasz nie był w możności powstrzymać nieprzyjaciela mającego tak przeważne siły. Z szybkością błyskawicy zerwaliśmy się do odwrotu, napowrót do Aranjuez i przeszedłszy Tag, spaliliśmy wszystkie mosty za sobą. Generał dokonał przedsięwziętego zamiaru; nieprzyjaciele już triumfowali, że nas zastraszyli, przeszli nawet na drugą stronę rzeki, my zaś udaliśmy się do wsi Bajonne, o małą milę od Aranjuez odległej, gdzie dwa dni staliśmy obozem. Tymczasem zebrał się cały nasz korpus i przyłączyły się wojska korpusu marszałka Victora. Gdy napowrót nasze wojsko przybyło do mostu w Aranjuez, zastaliśmy już tam inne oddziały naszego korpusu. Nie czekając naprawy mostu, przeszliśmy w bród rzekę przy wsi Antigola pomiędzy Aranjuez i Ocanna, gdzie stanęliśmy obozem; inne części armji pozostawały za nami i rozłożyły się obozem w tejże pozycji o pół mili od stanowisk hiszpańskich. Przebyliśmy tu trzy dni z powodu nieustającego deszczu, jak również oczekując skoncentrowania się armji i przybycia króla Józefa Napoleona z Madrytu. Dnia 17 Listopada generał dywizji francuskiej Paris jadąc z eskortą, natrafił

podczas ciemnej nocy na oddział kawalerii nieprzyjacielskiej, przez którą do szczytu pobity został. Dnia 19 Listopada 1809 roku w dzień pogodny ruszyliśmy z obozu. Nieprzyjaciel wybrał pozycję wprost Ocanna i ustawił się przed głębokim wąwozem. Dwa skrzydła rozciągnął daleko w pole; mieli przytem kawalerję liczącą do 9000 koni i liczną

85

artylerję, którą, ustawili w dolnej pozycji. Pomiedzy piechotą były dwa pułki starych i wysłużonych Szwajcarów. Korpus zostający pod dowództwem królewskim, stanął na prawem skrzydle, nasz zaś na lewem. Wyszedszy z doliny Antigola na równiny Ocanna, tak silnie natarliśmy na bagnety w wytkniętych punktach, że Hiszpanie, a nawet owi Szwajcarowie chwiać się poczęli. ¹⁾ Straszny ogień ręczny i wystrzały armatnie nie ustawały z obu stron, nakoniec wojsko nieprzyjacielskie opuściło pozycję, ażeby z drugiej strony miasta zreformować się i na nowo uderzyć do walki. Nie tracąc ani chwili czasu, uderzyliśmy znowu na bagnety, kawalerja zaś przypuściła szarżę i przyprowadziła tem nieprzyjaciela do największego nieładu. W mgnieniu

oka rozpieczętowała się cała ta masa, pozostawiając mnóstwo poległych. Hiszpanie jak najspieszniej zaczęli uciekać, pomimo to 18,000 jeńców zabraliśmy po bitwie, oprócz tego 60 armat, mnóstwo chorągwi, przybory wojenne, bagaże, a nawet kasa wojskowa wpadły w nasze ręce. Ułani schwytali w ucieczce wspomniane wyżej towarzystwo teatralne; aktorzy ci musieli teraz grać inną rolę. Śmiesznie było patrzeć jak nasza kawalerja ścigała to niezwyciężone wojsko przez Los Barrios, La Guardia, Temblaque, Madrilejos i Manzanares, poczem konnica nasza pomaszerowała do Temblaque, gdzie i my niezadługo przemaszerowaliśmy. W miejscu tem odpoczywaliśmy przez dwa miesiące. Dokładnej i prawdziwej liczby

¹⁾ Ocanna 19go Listopada 1809 roku.

86

poległych oznaczyć nie mogę. Pułk nasz stracił tu znanego kapitana Rudnickiego i porucznika Rowińskiego oraz 33 żołnierzy, lecz straty te były znacznie mniejsze jak pod Almonacid. W batalji było z naszej strony do 50,000, przytem pozycja Hiszpanów o połowę nie była tak korzystną, jak pod Almonacid. Hiszpanie mający się za niezwyciężonych, drogo opłacili swe usiłowania, gdyż w przeciągu czterech godzin wszystko utracili. Marzyli oni o przepędzeniu nas za Madryt do Starej Kastylii, lecz zamiary te nie powiodły się. Generał hiszpański Aristiagos komenderujący pod Ocanna, siedział na wieży podczas bitwy, patrząc z wysokości jak zmykali jego waleczni wojownicy; kiedy zaś nasza kawalerja wtargnęła do miasta, zaledwie zdołał dosiąść konia i uciec. Były to ostatnie przedsięwzięcia Hiszpanów na wielką skalę; dążyli oni do tego, aby nas wyprzeć z pozycji, które zajmowaliśmy nad Tagiem. Talavera la Rejna, Almonacid, Ocanna pozostały pamiątkami w dziejach wypadków wojennych, krwią zapisane będą na kartach historii Hiszpanji. Mała nasza armja zajmowała główny punkt nad Tagiem, a pozycja ta była dla nas korzystną przeciw napaści Hiszpanów. Cała północna Hiszpanja oraz Madryt były osłonięte, a chociaż liczebnie siły nasze znacznie się zmniejszały, odwaga jednak jeszcze bardziej wzrastała, ożywiona będąc tylu odniesionymi zwycięstwami. Długi czas miejscowość ta była teatrem wojny i świadkiem scen okropnych, skutkiem czego wszystkie miejscowości po lewej stronie Tagu znajdujące się, jak miasta tak

87

i wsie, były zniszczone, spustoszone i zrabowane. Małe potyczki i bitwy z guerillasami często tu miały miejsce podczas naszego pobytu. Z pod Madrytu, Toledo i Segovii wysyłano oddziały brygantów, aby ci mordowali nas, napadając czy to w kwaterach, czy też w innych miejscach. W Temblaque odpoczęliśmy do końca Grudnia 1809 roku. Krwawy ten rok 1809 już się zakończył. Następnym zaś roku szukał nas i ujrzał na innem polu bitwy.

ROZDZIAŁ VIII.

Wojna w r. 1810.

Łańcuch gór Sierra Morena ciągnie się w poprzek Hiszpanji od wschodu na zachód na przestrzeni pięćdziesięciu mil (leguas); służył on Hiszpanom za główny punkt działań mających na celu zatamowanie lub utrudnienie nam przejścia do Andaluzji. Dwa wąwozy przecinają to pasmo gór: jeden z Toledo przez la Carolina, drugi z Madrytu i Aranjuez przez Villa nueva los Infantes, Villa Manrique, Ubeda i t. d. W tych wąwozach ustawili się wszyscy, aby nas otoczyć i na nowo wyzwać na otwarte pole. Hiszpanie niewiele już mieli wojska; mała ich garstka, która z pod Ocanna ująć zdołała, zgromadziła się, sądząc, że boki otoczone wysokimi i stromymi skałami dostatecznie bronić ich będą. O straszliwych wypadkach, które nastąpić miały, uwiadomili nas mieszkańcy, dodając: że w tych wąwozach Mina i Falguter ze swoją siłą mają na nas napaść, że wielkie zagraża nam niebezpieczeństwo w przejściu przez te góry, które ostatnią

89

kroplą, krwi okupić mamy. Takie były ich zdania i zamiary; śmiało się, słysząc chępliwe opowiadania mieszkańców, uważając te przechwałki za ich jedyną broń.

Na tej zasadzie król Józef Napoleon nie tracąc ani chwili czasu, postanowił przepędzić nieprzyjaciela z pozycji zajmowanej w górach Sierra Morena, w celu bezzwłocznego posunięcia się ku brzegom morza Śródziemnego, pozbawiając ich chęci i możliwości prowadzenia wojny i niedając im czasu sformowania się, aby położyć już raz koniec wojnie w Andaluzji i Starej Kastylii. W celu skutecznego tego zamiaru wystąpiły nasze pułki z Temblaque na początku Stycznia 1810 roku i pomaszerowały do Alkasaru de Sancta Juan. Z Temblaque wymaszerowałem już jako oficer z 30 dodanymi do eskorty ludźmi, aby chorych swego pułku do Aranjuez przewieźć. Wysłuchawszy zlecenia, jak tego służba wymagała, udałem się szybkim marszem dla wyszukania kwatery przez Ocanna, Villa Tobasca, Lillo, Quero, postępując za pułkiem, z którym się znowu połączyłem, odpoczywając do Alkasaru de Sancta Juan. Nasz korpus armji zebrał się na koniec i wyruszyliśmy przez Tamolosso, Alhambra do Los Infantes, najznaczniejszego miasta w Nowej Kastylii, leżącego u stóp Sierra Moreny. Inny nasz korpus armijski jednocześnie wyszedł z nami z Toledo przez Santa Cruz Almorál, el Viso, el Visili do Carolina przeciw Sierra Morena pod dowództwem króla Józefa Napoleona i marszałka Soult'a, księcia Dalmacyi. W Los Infantes zatrzymaliśmy się parę dni, dopóki nie

90

połączyły się korpusy; wyczekiwaliśmy tu także na korpus, który przez Carolina przejść miał owe góry. Poczem udaliśmy się w góry przeciw Hiszpanom, a rozbiegłszy się, pozostawiliśmy ich w niepewności i domysłach, z której strony nieprzyjaciela na nich uderzy. Pod Villa Manrique znaczne Hiszpanie ponieśli straty, gdyż generał Sebastiani dowiedziawszy się, że generał hiszpański Castejon znajduje się pomiędzy Montosoni Aquilos, tak silnie na nich natarł, że oprócz 10 armat i wielu furgonów wziął do niewoli

generała nieprzyjacielskiego i 3000 jeńców. O świcie następnego dnia uderzyliśmy na oczekującego nas nieprzyjaciela, otoczonego kamiennymi bateriami i wysokimi górami. Utrudniająca droga prowadziła do tej baterji, która zaraz przez naszą piechotę otoczoną została z lewej i prawej strony. Szczyty i góry zajęła nasza kawalerja, gdyż z przyczyny stromej drogi nie można było użyć do tego strzelców. Ustawiono tylko kilka sześciokonných armat, ponieważ zbyt duża odległość czyniła usiłowania

strzelców bezskuteczni. Trzy takie armaty prowadzono zwykle przy każdej dywizji, transportując je za pomocą mułów, z których jeden dźwigał koła, drugi lawety z wyciorami, trzeci dwa pudła z kartaczami, czwarty resztę składu armaty. Następnie jednego muła przywiązywano za ogon do drugiego i tak połączone zwierzęta te postępowały pod górę, przy każdym zaś mule szedł kanonjer. Tym tylko sposobem można było wdrapać się na szczyt tych wysokich gór, gdzie hiszpańska baterja górując tryumfowała. Wykomenderowano i mnie

91

tam z 50 ludźmi. Kanonjerzy wdrapawszy się na wysokie góry, nabili jak najspieszniej działa i puścili gęsty ogień kartaczami. Jednoczesne natarcie przez naszych ze wszystkich stron sprawiło, że Hiszpanie jak zwykle czempredziej obwarowane swe miejsca opuścili i w nogi co sił starczyło uciekli, pozostawiając zagwożdżone armaty. My zaś natychmiast udaliśmy się w pogoń, ścigając ich krok w krok. W ciągu godziny przetrwaliśmy owo ogromne niebezpieczeństwo w Sierra Morena. Mało przytem ofiar padło z obu stron, lecz czyż podobna było, aby Hiszpanie mogli się dłużej utrzymać ze swą baterją złożoną z miękkich i łupkich kamieni, oraz kawałków szyfru, którego bardzo dużo znajdowało się w tej miejscowości. Przytem owa baterja narażona na odcięciu i nieprzysypana ziemią, której tu być nie mogło, nie była w stanie opierać się nam dłużej. Wprawdzie miejsce, gdzie się ustawili, było bardzo sztucznie urządzone, opatrzone w strzelnice, które symetrycznie łączyły się w trójkąt, po za niemi umieszcila się piechota i artylerja z armatami, a przy każdej strzelnicy stała pikietta. Mieli oni i kawalerję, ale do niczego niezdatną. Skoro tylko nasze działa ukazały się, zajmawszy dobrą pozycję, po kilku wystrzałach naraz w około danych rozsypały ich baterje z łupku i rozniosły ją w góry. Większy przestach i podziwienie sprawiły Hiszpanom te świstania jak kule działowe. Nigdzie nie zdarzyło mi się słyszeć tak czystego i wyraźnego odgłosu echa jak w tej okolicy, do której przybyliśmy przez długą i szeroką dolinę, gdzie po prawej i lewej stronie od

92

nas ciągnęły się wysokie góry i skały, otaczające najcudowniejsze doliny: tym sposobem każdy wystrzał armatni rozlegając się pomiędzy górami i dolinami, odbijał się po tysiąc razy. Odgłos ten tylokrotnie dając się słyszeć, tak miłe na nas żołnierzach sprawiał

wrażenie, że korząc się przed Bogiem, doznawaliśmy podniesienia ducha przy myśli o jego cudach i tajemnicach natury.

Tegoż samego dnia zwycięsko zajęto fortyfikacye przy La Carolina. Były to już wypadki mające się ku końcowi, które Hiszpan przeciwstawiał nam; chociaż bowiem stawiali przeszkody wkroczeniu naszemu do Andaluzji, usiłowania ich jednak spełzły na niczem. Resztki armji hiszpańskiej ścigane po górach, wyżynach i przepaściach, uciekały przed nami, porzucając po drodze wszystko. Droga nad przepaściami była tak wązką, że ledwie jeden za drugim idąc mógł się przecisnąć; przytem okolica bardzo jest smutna i pusta. Tegoż dnia przeszliśmy jeszcze tak zwany Penno pero (Psi grzbiet), który tworzy główny łańcuch gór Sierra Morena, gdzie biwakowaliśmy w małej wioseczce składającej się z paru domów. Następnego dnia ścigając Hiszpanów aż do Las Naves, otoczyliśmy i zmusili do poddania całą ich armję w liczbie 6000 ludzi. Podczas strasznej ulewy biwakowaliśmy w lesie oliwnym, zkąd dnia następnego wymaszerowaliśmy dalej, przechodząc wyłomy łańcucha gór, wąwozy oraz wązkie ścieżki między górami. Wieczorem tego samego dnia spostrzegłem, że żołnierze nasi po lewej stronie drogi w odległości kilkuset kroków sformowali

93

wielkie koło, otaczając jakiś przedmiot. Powodowany ciekawością, co to być może, zbliżyłem się i ujrzałem, że przedmiotem zajęcia był ciężko ranny dragon hiszpański, który pozostawiony był przez swoich na pastwę nieprzyjaciół. Nieszczęśliwy ten człowiek leżał

na ziemi na wpół przytomny, mając obie ręce aż do łokci strzaskane kulą armatnią. Żołnierze nasi naradzali się, co z nim mają zrobić; jeden z nich radził, że najlepiej dobić go wystrzałem, gdyż i tak nic z niego nie będzie. Słyszając to ów nieszczęśliwy, począł błagać, aby mu nie odbierano życia. Żal mi ścisnął serce, patrząc na tego młodego i pięknego człowieka, którego powierzchowność wskazywała, że nie pochodził z gminu. Rozkazałem przeto żołnierzom powrócić do swej kompanji, a pozostawiając kilku, przy pomocy ich postawiłem go na nogi, lecz tenże mając pizczcele u obudwóch nóg zupełnie zgruchotane, skutkiem czego żadnej w nich władzy nie miał, z przyczyny ogromnego bólu iść nie mógł, chociaż nogi miał zdrowe. Potem z chustek zrobiliśmy mu bandażę i obandażowali mu ręce i przywiązali do korpusu, skutkiem czego mógł lepiej postępować. Poczem wziąłem go do kompanji, rozkazawszy mieć o nim staranie, a że całą noc musieliśmy maszerować, przeto z oka go nie spuściłem. On też pilnie się trzymał mojej warty i idąc tuż za mną ciągle się modlił. Mówił mi, że ma rodziców, którzy mają małe gospodarstwo w prowincyi Estramadurze, zkąd i on był rodem, miał lat 26 i nazywał się Ramon. Ranny zaś był podczas pierwszego ataku w górach. Siedząc na koniu wraz z kanonjerami mierzył ze

94

swego karabina, gdy wtem kula armatnia z naszej strony uderzyła go w obie ręce i zgruchotała mu takowe. W lewej ręce kość spiczasto sterczała, co było widocznem, u prawej zaś ręki miał kość równo przełamaną, i tak maszerował idąc ciągle za mną i stękając z bólu.

Doszliśmy tak do szczytu Sierra Moreny, aby parę godzin odpocząć. Z przyczyny stromej i przykłej drogi armaty nie mogły postępować za nami pod górę. Musiano 12 koni do jednego działa zaprzadź, ażeby takowe na górę podciągnąć; następnie odprząglwszy wracać po inne i tym sposobem po licznych trudnościach zdołano wszystkie działa sprowadzić. Spoczawszy i posiliwszy się i nakarmiwszy biednego Ramona ryżem i stokfiszem, wstąpiliśmy na najwyższy szczyt Sierra Moreny, pokryty śniegiem na łokieć głębokości, z czego się mocno nasi żołnierze uradowali, nie widząc przez tak długi czas śniegu. Pomimo zimna,

dla tego że było nam widno, marsz nocny szedł ochoczo i wesoło, przy rzucaniu na siebie piłek ze śniegu. O północy przybyliśmy do Ubeda; miasto to najwyżej położone w całej Andaluzji, gdyż wzniesione jest na 10,000 stóp nad poziom morza, i dla tego cały czas otoczone jest śniegiem, lecz pomimo tego jest to miejscowość zamożna. Nasz pułk rozkwaterowanym tu został w klasztorze, ja zaś dostałem kwatery w domu u jednego księdza, człowieka już starego i otyłego, gdzie umieściłem z sobą i biednego Ramona, który podczas utrudzającego marszu pomimo osłabienia nie opuszczał mnie; moi dwaj służący szli za mną.

Skoro wszedłem do starego księdza o godzinie pierwszej w nocy, przywitałem takowego zwyczajem Hiszpanów „Ave Maria purissima!” Ksiądz siedział na fotelu przy kominie, przy którym także siedziała jego stara gospodyni, grzejąc nos przy ogniu; widząc mnie i słysząc pozdrowienie, odpowiedział ozięble „Deo gratia!” nie poruszając się z miejsca i pozostając w przedkominkowej pozycji. Tymczasem służący moi wnieśli rzeczy do pokoju, a konia mego wprowadzili do stajni. Ponieważ byliśmy zgłodniali i spragnieni, co każdy sobie wyobrazić musi, a przytem troszcząc się o biednego Ramona, aby jemu głodem i pragnieniem nie powiększać i tak już wielkich cierpień, gdyż pięć już dni ręce jego nie były opatrywane a rękawy aż posztywniały od upływu krwi, prosiłem przeto księdza, aby nam dał co jeść i pić, lecz ten zwyczajem Hiszpanów odpowiedział, że nic nie ma, a gdy na trzykrotne zapytanie podobną otrzymałem odpowiedź, domyśliłem się, że tu potrzeba samemu rozgospodarować się; na czym znała się dobrze moja służba, gdyż w podobnych wypadkach nabraliśmy wprawy. Wyszli więc do sieni i otworzywszy drzwi do drugiego pokoju, znaleźli tam wino, wódkę, dobrze zakonserwowane a wiszące u sufitu winogrona, kielbasę, ryż, jaja, mąkę, tłuszcz, oliwę i t. d. Pocziwy stary ksiądz schował się wraz ze swoją starą matroną, pozostawiając nam gospodarstwo. Natychmiast też wzięto się do pieczenia, gotowania i t. p., a gdy do syta najedliśmy się i napili, pomyślano o zapasie na dzień następny, aby było co usmażyć i ugotować. O biednym Ramonie

nie zapomniano bynajmniej, gdyż orzeźwiono go i nakarmiono. Chciałem, aby przespał się parę godzin, a nie mając nic pod ręką, na czym wygodnie mógłby spocząć, wzięliśmy poduszki i materace jejmości i usłaliśmy wygodne łóże, którego Ramon dawno już nie miał, i my także położyliśmy się, aby parę godzin pozostałych do dnia przespać. Całą noc nie doznaliśmy przykrości od gospodarza domu. Ze świtem przybył feldfebel oznajmiając mi, że zaraz na apel uderzą i że jestem odkomenderowany wraz z 50 ludźmi kawalerii do forpoczt na wartę a miejsce nam wskaże adiutant pułku. Wstałem przeto a ubrawszy się jak najspieszniej, udałem się do klasztoru, gdzie nasz pułk stał kwaterą. Przechodząc koło sztyldwachu, spotkałem doktora Gustawa Kunowskiego, któremu opowiedziałem o biednym Ramonie, prosząc go, aby wstąpił na moment do mojej kwatery. Pomimo pocziwości tego zacnego doktora, mego szczerego przyjaciela otrzymałem odmowną odpowiedź; tłumaczył się, że całą noc zajęty był amputowaniem rąk i nóg, których pełen koszt nabierał, mimo to nie skończył jeszcze wszystkich operacji, proponował mi więc, abym przysłał do niego Ramona, gdyż chce go widzieć i poradzić mu. Adjutant zawiadomił mnie, iż mam się udać o milę i zająć stanowisko dopóki korpus armji nie wymaszeruje do Bacza w celu zapobieżenia zawczasu przejścia mostu na Gwadalkwiwirze, dodając mi jednego przewodnika, który miał wskazać miejsce a następnie uwiadomić, gdzie się mam udać za korpusem. Poczem udałem się do mojej kwatery z zamiarem zrobienia

przygotowań do mego wymarszu; lecz niestety powróciwszy do mojego pokoju zastałem biednego rannego siedzącego na swoim łóżu, jęczącego i łkającego boleśnie. Na moje zapytanie, co było przyczyną takiej jego boleści, nie umiał mi nic odpowiedzieć, ani opisać swoich cierpień, tylko wpadł w większe jeszcze odrętwienie, tak, że niczego dopytać się nie mogłem. Jeden z moich służących powiedział mi, że gdy udałem się na apel, natenczas zjawił się ksiądz i usiadłszy przy kominie, zwracać począł baczna uwagę na przechodzących służących, których się obawiał, ponieważ nie mógł im nic zrobić. Przysunął się potem do rannego i zaczął lżyć go hańbiącymi słowy, nazywając go zdrajcą, tchórzem, nikczemnikiem, podłym człowiekiem, pragnąc tym sposobem wyrzucić zemstę na swoim rodaku, a widząc go ciężko rannym i osłabionym, chciał mu jako prawy kapłan przynieść ulgę. Ów wzór pobażania i cnoty wynurzał mu w rozmowie, że nietylko nieprzyjaciół zabrał mu wszystko, lecz i on ziomek przyszedł go objadać. Wkrótce Ramon przyszedłszy do siebie, mówił że rana, która jest zaognioną, nie tyle mu sprawia boleści, ile przykre obojętności się księdza, który przy dotkliwych wymówkach chciał go z domu wyrzucić. Każdy dobrze myślący i litościwy człowiek może sobie wyobrazić, co się działo w mojej duszy; postąpienie takie dowodzi najwyższego stopnia niełudzkości. Napaść taka na człowieka bezbronnego, ubezwładnionego ciężkim bólem, bez pomocy na drodze znalezionej, którego ksiądz zamiast otoczyć jako swojego ziomeka opieką

ojcowską, troskliwością w udzieleniu nieszczęśliwemu pomocy swojej bezzwłocznie; nie tylko że odmówił wszelkiej ulgi, lecz nadto pogardliwie z nim się obchodził, — napaść taka, powtarzam, ze strony księdza, który sam tak przykładnie głosi kazania o obowiązkach względem bliźniego i ludzkości, do najwyższego stopnia mnie oburzyła. To też dałem mu taką wyrazistą naukę, że zaraz dom opuścił wraz ze swą gospodynią i całe życie pewnie pamiętać będzie polskiego oficera, który mu dał takie krótkie, lecz prawdziwe kazanie odnoszące się do ludzkości. Otrzymał to, na co zasłużył i zapewne nie wcześniej, aż po naszym wymaszerowaniu do domu powrócił. Rannego sam odprowadziłem do szpitala założonego w klasztorze i poleciłem doktorowi Kunowskiemu. Ciężko było biednemu Ramonowi rozstawać się ze mną, płakał też biedak gorzko. W parę dni zobaczywszy się w marszu z doktorem Kunowskim, spytałem go, co się z biednym Ramonem stało, na co mi odpowiedział, iż obie ręce po ramiona musiał mu amputować;

mocno go żałowałem, ale ponieważ miał rodziców dosyć zamożnych, udać się musiał do nich; więcej też nic już o nim nie słyszałem.

Cały korpus, za którym i ja podążyłem, zebrał się i wyszedł, aby Hiszpanom chwili czasu nie pozostawić. Podążyliśmy spieszenie do Bacza, gdzie przeszliśmy wspaniałą kamienny most na Gwadalkwiwirze. Przy La Manchuela de Jaen poddał się maurytański zamek Jaen z 4000 ludzi i 22 armatami bez wystrzału.

Następnie udano się przez Mortos. Miejsce to leży przy wysokiej, wzdłuż ciągnącej się ścianie skał, od miasta również ciągnie się tak długa i głęboka przepaść między skałami i ztąd dają się widzieć one na parę tysięcy stóp wysokości. Cała ta okolica przedstawia widok wspaniały i imponujący. Później szliśmy przez Alcantette, miejscowość biorącą swą nazwę od książąt Alba, z których jeden w 1580 r. tak ważną rolę grał w Niderlandach; założył on tu szkoły i korpus żołnierski, lecz żołnierze naówczas pouciekali. Dalej szliśmy przez Alcala la Real, gdzie położona w górach Maurytańska warownia poddała się. Następnie pomaszerowaliśmy przez Pinno el Puente Sancta Fee koło Grenady przez Loja, Antequera Casa Mermeja aż do murów Malagi i

pobrzeży morza Śródziemnego, dokąd przybyliśmy 8go lutego 1810 r. Jedna dywizja naszego korpusu wyszła z Antequera prosto do Grenady. Dotychczas nie mieliśmy żadnej przeszkody. Malaga nie chciała nas przyjąć w swoje mury i robiła usilne zabiegi w celu zbrojnego wystąpienia. Korpus nasz, który przy La Carolina przeszedł Sierra Morena, pomaszerował przez Cordovę Seville szybkim marszem aż do Kadyksu, po drodze zabrano do niewoli 6000 ludzi i zdobyto 25 armat, resztki armii hiszpańskiej w tych stronach. Rozłożyliśmy obóz o pół mili od Malagi w cytrynowym i pomarańczowym lesie, należącego do bogatego granda zamieszkałego w Maladze. Zarządzał zaś tym majątkiem podpułkownik hiszpański, oraz kapucyn tamecznego klasztoru. Warowni tu nie było, tylko z drugiej strony

100

stał w dobrym jeszcze stanie utrzymany zamek maurytański, a w porcie stało kilka baterij wymierzonych przeciw nieprzyjacielskim flotom. W mieście nie było prawie wcale broni, a garnizon składał się z różnorodnej mieszaniny ludzi rozmaicie uzbrojonych, między którymi było kilkuset inwalidów ozdobionych na piersiach krzyżami z czerwonego i niebieskiego sukna. Cała ta zbieranina zgromadziła się przed miastem i ustawiła się w pozycji z 11 armatami. Generał Sebastjani wysłał jednego oficera w towarzystwie trębacza i dwóch ułanów jako parlamentarza do plackomendanta wzywającego do kapitulacji, lecz otrzymał zuchwałą i ironiczną odpowiedź, ponieważ księża znowu postronnie zaczęli burzyć lud prosty, także rozpierzchnęły resztki armii hiszpańskiej mogły nas ścigać, a nareszcie w końcu byliśmy zmuszeni zająć flotę i ratować się ucieczką na morze. Na wspomnioną wyżej odpowiedź komendanta, oficer nic nie odrzekł, dosiadł tylko konia, aby jaknajspieszniej powrócić z doniesieniem, gdy nagle za powracającymi dały się słyszeć wystrzały, jeden z naszych ułanów ugodzony kulą padł na miejscu, reszta spiąwszy konie ostrogami, przybyła z odpowiedzią do obozu. Hiszpanie strzelając do powracającego parlamentarza, który wysłany przez władze, spełniał tylko polecenie takowej, pokazali tym sposobem swoją dziwną znajomość praw wojennych, oraz lekceważenie takowych; to też rozjątrzony tem nasz generał, rozkazał bezwzględnie uderzyć na miasto. Ułani udali się natychmiast, idąc po prawej stronie wzdłuż wybrzeża morskiego, piechota

101

zaś poszła na armaty. Sprawa ta poszła tak szybko, że Hiszpanie zaledwie zdążyli dać jeden wystrzał z armaty. Ułani lotem ptaka uderzyli na lewe skrzydło i przecięli im odwrót do miasta, my zaś korzystając z armaty, którą z pospiechu nie zdążyli Hiszpanie zagwoździć, daliśmy jeszcze do nich ognia. Starych weteranów prawie wszystkich wykłuto pikami i bagnietami, a my w całości wtargnąwszy do miasta, zajęliśmy prawie wszystkie ulice. Uzbrojeni mieszkańcy walczyli na ulicach, a z okien domów rzucano na nas kamieniami lub palącemi się głowniami, ale byliśmy nieustraszeni i nic w świecie niezdolnym było powstrzymać naszego zapału i rozjątrzenia. Tymczasem utarczka na rynku skończyła się i rozproszeni Hiszpanie w ucieczce szukali ocalenia, dążąc do portu i starając się dostać na okręta. Piechota nasza strzelała do okrętów napelnionych mężczyznami, kobietami i dziećmi, a ułani nacierali i kłuli pikami uciekających w łodziach, rzucając się za nimi przy porcie w morze, o ile konie ich zgruntować takowe mogły. Kogo tylko spotkaliśmy na ulicy, czy to starca, młodzieńca, kobietę lub dziecko — wszystko padało trupem. Takim sposobem zginęło przeszło 600 mieszkańców z przyczyny nierozsądnego plackomendanta i owego kapucyna. Mnóstwo ludności rozbiegło się w przyległe góry, pozostawiając miasto na pastwę rabunku, który trwał przez dni 3. Z naszej strony poległo zaledwie 33 ludzi. Ciała zabitych Hiszpanów przez 6 dni leżały na ulicach, wystawione na widok publiczny dla przykładu mieszkańców innych miast. Komendanta zaś

102

i kapucyna, którzy tę okropną, scenę wywołali, dnia następnego, pierwszego w mundurze, drugiego zaś w zakonnym brązowym habicie z krzyżem przy boku powieszono na balkonie w rynku, gdzie ciała wystawione były na widok dla przykładu. Dzień 8 Lutego

1810 r. pamiętnym będzie na zawsze dla miasta Malagi ¹⁾. Podczas naszej bytności trwającej dwa miesiące, reszta mieszkańców zachowywała się bardzo spokojnie, a nawet w ciągu tego czasu okazywali nam wiele życzliwości i przyjaźni, nie tyle może z przekonania, co z obawy, widząc nas odważniejszymi i silniejszymi pod względem sztuki wojennej. Nie wchodząc w to i nie badając przyczyn okazywania nam tej życzliwości, przyjmowaliśmy ją za dobrą monetę. Reszta pułków naszej dywizji wyszła do Antequera Grenady i Velez Malaga, aby tymczasem zająć kwatery. Malaga leży w osobliwie pięknej, żyznej i obfitującej w owoce równinie, to jest właściwie na pobrzeżu morskiem otoczonem wysokimi górami. Malaga mieszkańców ma do 40,000, jest przytem najzamożniejszym miastem niższej Andaluzji, skutkiem rozległego handlu morskiego znanem jest całemu światu i zwiedzane przez okręta różnych narodów. Dla tego też mieszkańcy tameczni mając styczność z ludźmi rozmaitych narodowości ucywilizowanych, sami mają inny pogląd na świat; strony te więcej są ożywione, niżeli inne okolice Hiszpanji, które przechodziliśmy. Napotkać tu można w znacznej ilości

¹⁾ Malaga szturmem wzięta d. 8 Lutego 1810 r.

103

bardzo dobre wino, znajdują się także wszystkie owoce południowe, najprzedniejsze ryby morskie, oraz towary kolonialne. Żołnierz nigdzie w całej Hiszpanji nie znalazł tak dobrej kwatery jak tutaj; przedewszystkiem oficerowie mieli jaknajdogodniejsze kwatery w najzamożniejszych domach; pułk nasz rozkwatrowany został w klasztorze pokarmelickim. Użył tu żołnierz pod dostatkiem wiele rzeczy, których jeszcze nie widział, gdyż próbował nawet orzechów kokosowych; dla tych powodów wspominał nawet w późniejszym czasie Malagę w innych okolicach. Z powodu obcowania z narodami ucywilizowanymi mieszkańcy Malagi więcej są oświeceni od Hiszpanów innych miast. Wielu Niemców, Francuzów, Holendrów, a nawet Polaków utrzymujących handel win, osiedliło się w tem mieście.

Prędzej niżeli mogliśmy się spodziewać, zostaliśmy przeniesieni z nad Tagu na brzegi morza Śródziemnego. Formowanie się wojsk hiszpańskich w tej okolicy zupełnie ustało, chociaż wojna nie była jeszcze ukończoną. Niedługo jednak dano nam odpoczywać po trudach i znojach wojennych na wygodnych kwaterach, gdyż Hiszpanie usiłowali zebrać znaczną liczbę guerillasów w celu dalszego prowadzenia wojny. Były tu wysokie góry na pobrzeżu morza, oprócz tego Anglicy znając zamożność mieszkańców, starali się liczbę guerillasów powiększyć dostarczaniem całkowicie uzbrojonych pułków na okrętach wraz z zapasami dla takowych, co im wielkiego nie zrobiło trudu z powodu bliskości miejsca. Gdyby

104

podobne partje przy bywały Hiszpanom na pomoc w czasie tyłu potyczek, wtedy ponieśliśmy daleko większe straty; ale w obecnej chwili nie obawialiśmy się tego, gdyż ilekroć ujrzieli nas, natychmiast rozpiechali się na wszystkie strony, co łatwym było do przewidzenia w pułkach składających się z rozmaitej zbieraniny. Owe te pułki przez Anglików wysyłane, częściowo przybijały do brzegu (lądu) i napadały na nas z tyłu, następnie poczęli się coraz liczniej zbierać, uzbrojeni w długie angielskie strzelby nabite siekającami. Ponieważ Valencia, Carthagera i Kadyks wraz z innymi nadmorskimi miastami były jeszcze w ich ręku, przeto mając te fortece, mogli używać przeciwko nam silniejszych środków. Okoliczność ta była dla Hiszpanów bardzo korzystną, często też zdarzało się, że Gibraltarczycy ofiarowali im swą pomoc. Przyległy mu Kadyks natychmiast od strony lądu został przez naszych opasany, tak, że z tamąd nie było się czego obawiać. Wkrótce znowu powstało wiele band guerillasów liczebnie różniących się jedna od drugiej i mających rozmaitych dowódców, którzy włócząc się nieustannie w pobliskich górach, zuchwale niepokoiли nasze posterunki. Nie oszczędzaliśmy ich bynajmniej, wieszając codziennie 7 lub 8 na balkonach w Maladze lub innych miastach. Bez względu kto on był, każdy schwytany z bronią w ręku, natychmiast został powieszonym na balkonie bez sądu. Nie było dnia, aby nie odbywały się w Maladze podobnego rodzaju egzekucje wśród wesołych okrzyków i muzyce, lecz i to nie odstraszało bandytów.

105

Nasz korpus armii i dywizja nie stały nigdy razem, gdyż pułki, bataljony i kompanje rozłożone były po innych miastach i okolicach prowincyi. Wszędzie staczano potyczki, skutkiem czego były nieustanne wymarsze z miejsca na miejsce, to dla ścigania nieprzyjaciela, to dla obrania dogodnego stanowiska; niepokojono nas też ciągle skutkiem podszeptów mieszkańców. Kosztowało to nie mało ludzi, zwłaszcza w miejscowości, gdzie stał nasz garnizon. Byli oni wszędzie widzialnymi, lecz natychmiast uciekali w góry skoro tylko zaczynaliśmy ich ścigać. Większe bitwy jak w Kastylji nie miały już tu miejsca, lecz za to starali się nam wyrządzać dużo szkód w małych potyczkach. Dwa miesiące przepędzone w Maladze w spokojności zeszyły nam prędko wśród zabaw z mieszkańcami tegoż miasta, mając wszystkiego podostatkiem, czego ziemia tamtejsza dostarczyć mogła. Tu rozstał się z nami nasz zacny i od wszystkich kochany komenderujący pułkiem książę Ordynat Antoni Sułkowski, który został gubernatorem miasta Malagi podczas naszej bytności. Kiedy został generałem, powołanym był do ojczystego kraju, przykro mu bardzo było rozstawać się ze swymi towarzyszami broni. Po tylu trudach i znojach, walcząc z bandami guerillasów, zebrawszy laury po Pirynejach, skałach, wąwozach, szczęśliwie powrócił do swojej ziemi, ażeby w darze złożyć laur na łono swojej ojczyzny i aby położonemi zasługi wzniecić ducha waleczności i męstwa w przyszłych towarzyszach broni czynem tak wielkiej sławy. Po takowym został główno-komenderującym tym pułkiem

106

pułkownik Grotowski. Ponieważ w okolicy Ronda, a szczególnie w Sierra de Rondo główny był punkt zbierania się brygantów, wyruszyliśmy przeto z Malagi, maszerując przez Antequera de Campilla, gdzie francuzcy huzarzy (tak zwani Chamborins) stali, którzy wyszedłszy z Rondo o pół mili naprzeciw Hiszpanów, pobili takowych i resztę do ucieczki zmusili. Mieszkańcy tamedzni nieroztropni zniósłszy się z guerillasami, dali ognia do huzarów, lecz ci zwróciwszy się na nich, sprawili im krwawą kąpiel swojemi ostrymi pałaszami; do 200 poległo — owych śmiałych chłopów dostatecznie przekonywało o ogromnej siekaniu ostrych pałaszów huzarów francuzkich. Przykry nader był widok, patrząc na tych poległych, którzy mając rozpiętą głowę, poucinane ręce i nogi, w jedną masę byli połączeni. Nic podobnego w życiu mojem nie zdarzyło mi się widzieć — był to widok okropny! Patrząc na te ofiary leżące na polu, aż nadto przekonano się o wielkiem rozjątreniu się huzarów i działaniu nadzwyczaj ostrych ich pałaszów.

Następnie pomaszerowaliśmy przez la Marche do Ronda, gdzie nie zastaliśmy ani jednego nieprzyjaciela, gdyż wszyscy pouciekali i pochowali się na wysokich górach Sierra de Ronda. Pozostawiliśmy tam przez dni trzy, poczem powróciliśmy tą samą drogą do Malagi. Przy samym de Ronda znajduje się długa i wązka otchłań do 300 stóp głębokości mająca, nad którą znajduje się most kamienny w kształcie łuku, tak misternie zbudowany, iż zdaje się, jak gdyby w powietrzu był zawieszony, z którego patrząc na dół, doznaje się

107

zawrotu głowy. Przybyliśmy do Malagi jeszcze tego samego dnia, musieliśmy czempredzej wyruszyć przeciw nowo uformowanej partyi guerillasów, idąc przez Mijas Marbeilla. i Estpeona wzdłuż pobrzeży morza o 4 mile od Gibraltaru położonych. Tam zdawała

się panować zupełna spokojność, gdyż nie spotkaliśmy ani jednego nieprzyjaciela. Postępowaliśmy dalszym marszem przez Monda i Coin, gdzie rozciągały się niezmiernie wysokie góry, z kądem udaliśmy się napowrót do Malagi. W parę dni później opuściliśmy już raz na zawsze Malagę z zamiarem maszerowania przez Antequera, gdzie pozostawiliśmy aż do końca kwietnia. Z Walencyi, Alicante i Murcia wdarły się znowu silne bandy guerillasów aż w okolice Grenady, o czem dowiedziawszy się, ruszyliśmy bezzwłocznie przez Loja Santo Fee Isnallos do Kadiksu, gdzie znowu zebrały się nasze dywizje i na nowo zaczęły się ścigania Hiszpanów przez Bosa Cuillard, Velez Rubio aż do Lorca, lecz nie doścignawszy takowych, trzy dni pozostawiliśmy tu dla odpoczynku, tylko wołyżerya naszej dywizyi udała się, aby ich śledzić. Zostawiwszy tornistry w Lorca, puścili się o 7 mil klusem w celu ścigania nieprzyjaciela aż do Murcia, lecz po przybyciu na miejsce już żadnej bandy nie zastali, gdyż takowe przed przybyciem naszych pouciekali. Wypoczęliśmy więc kilka godzin, poczem powróciliśmy bezskutecznie do Lorca. I tak musieliśmy ścigać ciągle szybkim marszem bandy guerillasów o trzydzieści mil od zachodniej Andaluzyi aż do Murcia. Wtedy

108

niepotrzebnie utraciliśmy wielu ludzi i po bezskutecznych zamiarach powróciliśmy napowrót na miejsce z kądem przybyliśmy. Nakoniec opuściwszy Lorca i odwrotnym pochodem idąc przez Huercal i Vera Lucenena, przybyliśmy do Almeria na pobrzeżu morza Śródziemnego. Ten marsz wiele nas utrudził, gdyż nie przechodziliśmy gościńcami, lecz samemi ścieżkami, których osiemnaście mil przebyć musieliśmy, to z góry na dół lub też z dołu pod górę. Ścieżki te wydeptane są na wysokich górach przez osłów i mułów prowadzonych przez handlarzy zboża (Arieros). Corocznie zwierzęta te wielkimi ciężarami obciążone pędzą przez góry po kilkaset jedno za drugim z przyczyny nader wązkich ścieżek; pierwszy z nich ma uwiązany głośny dzwonek u szyi, który służy za drogową innym, oraz całemu ich transportowi. Przewodnika tego Arieros nazywa Capitano, jednakże ten dostaje ogromne smarowanie, jeżeli cokolwiek zboczy z drogi. Ludzie ci wyuczyli zwierzęta te postępować równym porządkiem,

gdyż ścieżki ciągną się na prawo i na lewo obok najnieprzystępniejszych stromych ścian gór, nader niebezpiecznych z przyczyny będących po bokach głębokich przepaści i skalistych urwisk.

Nasza kawalerja, artylerja wraz z bagażami nie mogli z tej przyczyny za nami podążyć, zmuszeni przeto byli innemi krążyć drogami, ażeby tylko przybyć do Almeria. W zachwycającej okolicy Almeria pozostawialiśmy przez trzy miesiące. Pułkownik nasz Grotowski został gubernatorem tegoż

109

miasta. Miasta ponadmorskie tych okolic inny nam zupełnie przedstawiały obraz i bardzo wiele ciekawych rzeczy; wszyskie tu domy mają płaskie dachy (alteran), z pomiędzy których wieże kościołów i klasztorów wystają sterczące w górę i nadają temu miastu osobliwie odmienny tak zewnętrzny jako też i wewnętrzny widok, do którego cudzoziemiec nie prędko przyzwyczaić się może. Pomimo tego dachy te płaskie są bardzo praktyczne, wyłożone płytami flisowemi, cokolwiek tylko wypukłe dla ścieku wody w czasie deszczu w rynny, które po wszystkich bokach są urządzone; woda ta odpływając w podwórzu do urządzonych cystern, służy mieszkańcom do gotowania, picia i do wszelkich innych potrzeb. Naokoło takiego dachu znajduje się mur od 5 do 6 stóp wzniesiony, na rogach którego urządzone są sztaby żelazne, do których przymocowane płótno pokrywa cały dach. Tym więc sposobem mieszkańcy starają się zabezpieczyć chłód podczas skwarnych dni; na tych to dachach chłodzą się w nocy, polewając takowe wodą dla większego chłodu i wilgoci. Skutkiem wielkiego upału robią tu z dnia noc i z nocy dzień, o 11ej godzinie w dzień już mało kogo na ulicy napotkać można, gdyż o tej godzinie wszyscy spać się już kładą, wszystkie domy i sklepy pozamykane, zupełna wszędzie panuje jakoby śmiertelna cisza; dopiero około godziny 6 wieczorem ruch się zaczyna, domy i sklepy otwierają, jedni dążą do pracy, drudzy na zabawy, wchodzą na płaskie dachy, jedzą, piją, tańczą i grają, chłodząc się całą noc. Pogoda

110

trwa tu do późnej jesieni, deszcze są bardzo rzadko, a czasami i przez całe lato wcale nie padają.

Następnie pułk nasz został rozdzielony na większą i mniejszą partyę, które jednocześnie wykomenderowano w różne strony; o trzy mile od Almeria do wsi Rioja zostały wysłane trzy kompanje, w których się właśnie i ja znajdowałem. Tu staliśmy przez sześć tygodni, w którym to czasie nie doznaliśmy żadnej przeszkody ze strony guerillasów, jednakże przez ten przeciąg czasu nie byliśmy wolnymi od zajęć wojennych. Dnia jednego przysłano nam od gubernatora z Almeria pięciu aresztantów, pomiędzy którymi znajdowali się: oficer hiszpański, majtek, inwalid, chłop i jeden szlachcic, ze srogiem poleceniem, ażeby takowych po zachodzie słońca porozstrzelano i ciała ich dla przykładu innych porozstawiono na drodze; ta egzekucja natychmiast dopełnioną została, o czem złożono raport i odesłano takowy gubernatorowi. Kompanja znowu, w której się znajdowałem, wykomenderowaną została do Gergal, gdzie stał francuzki bataljon 25go pułku lekkiej kawalerji pod komendą pułkownika Louis. Połączywszy się z takowym, udano się powtórnie za brygantami w pogoń przez Tavernas, Ulela del Campo, Lubrin aż do Vera do pobrzeża morza, lecz nie napotkawszy nigdy nieprzyjaciela, powróciliśmy napowrót tąż samą drogą. Nigdzie nie zdarzyło się nam widzieć tak wielu niewidomych i na oczy cierpiących ludzi jak w Vera. Mieszkańcy tej miejscowości

111

utrzymują, iż to pochodzi ztąd, iż z jednej strony miasta na małych górach jest mnóstwo warzelni saletry, powtórę, iż tu przez całe lato deszcz nie pada, skutkiem czego ziemia jest prawie wcale nieurodzajna, a zaś kurz połączony z saletrą pozbawia ich wzroku; ci biedni ludzie cierpią po kilka lat na ból oczu, nakoniec niewidomymi zostają. Gospodarz, u którego stałem na kwaterze, był także niewidomy, chociaż miał dopiero lat 50. Mówił mi, że w tych latach tutaj najwięcej tracą wzrok, lub też chorują na oczy aż do samej śmierci.

Skorośmy tylko przemaszerowali w tę stronę, guerillasy zagrozili nam, że z powrotem inaczej przywitani będziemy; to powiedziawszy, pozostawili nas w spokojności. Miasteczko Lubrin wygląda jakoby w kotle zbudowanym było, naokoło otoczone wysokimi i skalistemi górami, a do którego jedna tylko prowadzi droga, przez którą się wchodzi i wychodzi. Pod tem właśnie miasteczkiem rozłożyliśmy obóz z przyczyny wielkiego upału, ażeby nieco odpocząć; gdy wtem spostrzegliśmy za wierzchołkiem sterczącej skały postać człowieka, który raz po raz wysuwał głowę swoją, kryjąc ją poza skałami. Był to umyślnie wysłany szpieg, który robiąc ciągle swe spostrzeżenia; śledził w które się strony udamy, nareszcie zszedłszy z góry, a przerznawszy pola, źródła, wyłomy, tędy chciał zemknąć, ale źle trafił, gdyż tam właśnie stały nasze posterunki. Zaraz konno puściło się za nim kilku dragonów i oficerów, którego

112

wyprzedziwszy w pędzie, schwytano natychmiast i most cały wojskiem naszym osadzono. Schwytany był to młody i mężny chłop brygant, który rzucił się w strumień, aby przepłynąwszy takowy na drugą stronę, mógł się ucieczką ratować. Lecz warta nasza przy moście będąca wyciągnęła go ze strumienia i zaprowadziła do pułkownika naszego, który natenczas właśnie siedział na bębnie. Dostawiony, na wszystkie zadawane przez pułkownika pytania potwierdzająco odpowiadał, poczem wyznał, że jest dobrym człowiekiem i że o niczem nie wie, tylko miał jedyny zamiar udania się do pobliskiej wioski. Lecz tu pułkownik zapytał go znowu: „Czemu nie szedłeś prostą drogą, którą wszyscy uczciwi ludzie chodzą? cożeś na szczycie skał tak długo robił i ciągle na nas spoglądał?” To mówiąc, zawołał na wachmistrza dragonów po francuzku, czego schwytany zrozumieć nie mógł („Donnez lui un coup dans les reins“). Wachmistrz stanąwszy tuż za chłopem ze swoim karabinem, a przyłożywszy go blisko do grzbietu Hiszpana, chciał w niego wystrzelić, lecz kapiszon spalony na panewce nie dał żadnego wystrzału. Chłop gdy to nagle za sobą usłyszał i gdy proch poczuł, skoczył czem prędzej w susach na bok jak zając, a miotając sobą na wszystkie strony, uciekał co miał sił, a biegnąc do wioski, do której dążył, zrzucił z siebie płaszcz i resztę odzieży pozostawił za sobą, aby mu tylko swobodniej było uciekać, lecz dragoni puściwszy się na koniach za nim pędem, schwytali takowego, a oficer przypadłszy, trupem na miejscu położył.

113

Ztąd ruszyliśmy się zaraz do Lubrin ¹⁾ w wesołym marszu, ale chcąc się do tego miasta dostać, potrzeba nam było przebyć głębokie wąwozy (defilée), które bryganci z obu stron na wysokich górach silnie obsadzili. Mnie wykomenderowano z pięćdziesięciu

ludźmi na lewo, jednocześnie także oficera drugiego z tą samą liczbą ludzi na prawo, w celu rozpędzenia nieprzyjaciół w górach. Hiszpanie skoro zobaczyli nas zbliżających się do gór, dali na nas tak silnego ognia, iż kilku naszych z kawalerii zostało rannych, jednakże zwycięstwo przechyliło się na naszą stronę, gdyż Hiszpanie na obie strony rozpędzeni zostali, my zaś precyzyjnie się parowem do samego miasta, z którego mieszkańcy puciekali, rozłożyliśmy potem obóz na rynku. Nie ulega wątpliwości, iż mieszkańcy byli w zмовie z brygantami, obawiając się przeto złych następstw, woleli z miasta uciekać. Kilku w niewolę wziętych chłopów uzbrojonych nożami, przyprowadziliśmy ze sobą, których bez pardonu natychmiast rozstrzelano, poczem miasto zrabowaliśmy zupełnie a następnie płomieniem puścili. Taki powiększej części był nieszczęśliwy los małych miast, których mieszkańcy byli w zмовie z brygantami, jednakże pomimo kilkokrotnych złych następstw nie tych złych ludzi nie ustraszyciło od przewidzianej zguby. Co się tyczy miasteczka Lubrin, to ono zasłużoną odniosło karę, ponieważ mieszkańcy takowego przed

¹⁾ Pod Lubrin była mała potyczka.

114

naszem przybyciem i po wyjściu wspólnie z brygantami robili bezustanne napady i zamachy na naszych, skutkiem czego jednego razu mnóstwo nam ludzi stracili, i gdyby nie szczęśliwe zrządzenie Opatrzności Boskiej, iż to było w nocy, w takim razie byłibyśmy wszyscy dostali się do niewoli.

O północy napowrót wyruszyliśmy do Tavernas. Pułkownik wyruszył ze swoją kompanią do Gergal, a zaś nasza kompania udała się przez Rioja do Almeria i tu pozostawaliśmy czas jakiś. Podczas tego trzy kompanie z naszego bataljonu wykomenderowane zostały przez Rioja do Nacimiento ¹⁾ przeciw wielkiej i silnej bandzie guerillasów, lecz nie mogąc się tamtędy dostać z przyczyny zajęcia przez przeciwnika korzystnej, pozycyi pomiędzy górami i wąwozami, zmuszeni byliśmy pozostawić za sobą poległych i rannych, i następnie powrócić do Almeria,

W Andaluzyi powstawały znowu nowe bandy guerillasów w dość znacznej liczbie, od Murcia zaś zbliżał się wielki korpus wojsk, który już tylko o parę mil hiszpańskich znajdował się od Grenady. Hiszpański generał Blake (w wydaniu książkowym: *Blake*) z 20,000 wojska podszedł pod mury miasta Basa, a zająwszy około tego z drugiej strony w pięknej równinie kompletnie dobrą pozycję, tak rozstawili się wygodnie, iż z tyłu zupełnie zasłonięci byli górami. Nasz generał Sebastiani pospieszył czemprędzej z Grenady i sam stanął na

¹⁾ Pod Nacimiento była bitwa.

115

czele naszych ułanów i kilku pułków kawalerii francuzkie j oraz o sześciu kompanij wołyżerów naszej dywizyi, nie czekając na resztę piechoty, która przyspieszonym marszem z Almeria przez Finana, Guadix tego samego rana pospieszyła do Basa. ¹⁾ Nie tracąc jednej chwili, natarł tak śmiało i mężnie na nieprzyjaciela swoim silnym kawalerskim atakiem, iż w mgnieniu oka wszystkich Hiszpanów rozproszył i w wielki nieład wprowadził, czem tak byli zrażeni, że zaledwie zdążyli tylko dać jeden bezskuteczny wystrzał. Przez tak silne natarcie i rozjątrzenie kawalerii kilkuset nieprzyjaciół zostało zabitych, dużo do niewoli wziętych, wielka także liczba została rannych, reszta zaś zdołała się uchronić spieszną ucieczką pomiędzy poblizkie góry. Generał Blake ²⁾ zaledwie zdołał uratować się ucieczką, zaś cała artylerja składająca się z 8000 ludzi wpadła w ręce zwycięzcy. Dzieło tak wielkie w przeciągu pół godziny roztrzygniętem zostało; resztę uciekających ścigaliśmy jeszcze przez Cuillard, Velez Rubio do Lorca, gdzie doścignawszy takowych do niewoli zabrano.

Odpoczęliśmy w Lorca trzy dni i następnie tą samą drogą powróciliśmy do Guadix, z kąd niezadługo pomaszzerowaliśmy do Grenady. Wojska nasze były dumne z zaszczytu odniesionego lauru zwycięstwa na ziemi hiszpańskiej, gdyż zwycięstwo to odniesione pod

¹⁾ Pod Basa była bitwa.

²⁾ Generał Blake później pod Valencia do niewoli był wzięty z 20,000 wojska przez marszałka Suchet.

116

Basa dziękować i zawdzięczać wypadało odwadze, waleczności i mężstwu naszych silnych ułanów; piechota nasza także stała w bliskości na pogotowiu, jako widzowie tej okropnej walki.

W Grenadzie odpoczywaliśmy spokojnie po tak silnej walce. Kwatery nasze od północy były dobrze strzeżone, a zatem nie mieliśmy potrzeby obawiać się nieprzyjaciela, lecz za to od strony południowej byliśmy znowu niepokojeni, o czem niżej nadmienię.

Jednocześnie zebrało się 1500 Anglików, którzy przyżeglowawszy do przylądka Fiungirola ¹⁾ niedaleko Malagi, pod dowództwem angielskiego generała brygady tam się obwarowali; skutkiem tego jedna część czwartego pułku polskiej piechoty naszej dywizyi wyruszyła pod dowództwem zacnego naszego kapitana Młokosiewicza, który zniszczył obwarowanie i z mężną swoją odwagą położył takowych wielu trupem a generała angielskiego który został ugodzony bagnetem w udo i 500 żołnierzy z pięciu oficerami, zabrał do niewoli. Z reszty pozostałych Anglików wielu ratowało się ucieczką w czółnach, wielu zaś rzuciło się wpław do wody, aby jaknajprędzej dostać się mogli do okrętów u brzegu morza stojących, pozostawiając na lądzie armaty, które przez nas zabrane zostały. Zamiary Hiszpanów, będących w zмовie jak zwykle z Anglikami i mieszkańcami, aby nas w Grenadzie napaść w celu wypędzenia z Andaluzyi, speliły na niczem.

¹⁾ Pod Fiungirola była potyczka z Anglikami.

117

Po przybyciu do Grenady wykomenderowano 3 kompanię naszego batalionu do fortecy Alhambra, w celu dopełnienia służby, ażeby Hiszpanów z pod Basa i Anglików z pod Fiungirola w niewolę wziętych mieć pod ścisłą strażą.

Ponieważ miejsce to zasługuje na uwagę, chcę przeto moim czytelnikom skreślić obszerniejszy rys tej miejscowości, gdyż należąc do załogi tej warowni zajmowałem kwaterę w jednym z salonów tego starożytnego zamku, w którym niegdyś mocarze i królowie maurytańscy mieli wspaniałe swoje rezydencje.

Forteca Alhambra leżąca na wysokiej górze, ma przeszło 800 stóp wysokości; góra zaś, na której znajduje się pomieniona forteca, ciągnie się aż do środka miasta, mając do 2000 stóp długości i 1000 szerokości; na szczycie jej rozciąga się płaszczyna tejże rozległości. Do tej fortecy prowadzi tylko jedna droga z miasta, inne zaś drogi przeprowadzone być nie mogą, gdyż wszystkie ściany gór i stromych skał są zupełnie nieprzystępne. Symetrii nie ma wcale na wysterczających zaułkach tej góry, lecz stoją tam jeszcze starożytne kwadratowe wieże, za czasów Maurów zbudowane, oraz dla przestępców znajdują dosyć obszerne więzienia. Prawie na tej płaszczyźnie gór wystawiony jest ów maurytański zamek dobrze jeszcze zakonserwowany, w którym wielcy mocarze maurytańscy mieli swoją rezydencję. Zabudowania wszystkie są tu prawie jednopiętrowe, składające się z zamku połączonego z wielu innymi budynkami, pomiędzy którymi znajduje

118

się mnóstwo dziedzińców, bram, ganków, oraz wspaniałych marmurowych wschodów; chodniki także wykładane były czarnym i czerwono-żyłkowanym marmurem, oraz wysadzone najpiękniejszymi cytrynowymi, pomarańczowymi, palmowymi, figowymi, granatnymi i laurowymi drzewami, które w nocy wydawały nadzwyczaj przyjemną woń, zaś we dnie wśród największych upałów rozłożystymi swymi konary miłym obdarzają cieniem siedzących pod nimi i wypoczywających z wielkiego znużenia, słowem jest to prawdziwa rozkosz niczem nie wyrównana. Sam nawet zamek wraz z budynkami do niego należącymi jest tak dobrze utrzymany, iż żadna część jego nie była dotąd uszkodzoną; braku cegły ani gwoźdźcia nigdzie dostrzedz nie można, nawet w oknach starożytne firanki aż dotąd pozostały w nim jeszcze zachowane.¹⁾ Wnętrze zamku tego godnym jest widzenia, nie tylko z przyczyny mnóstwa większych i mniejszych pokoi, lecz szczególnym urządzeniem takowych. Tu znajdują się cztery sale sypialne dla królów i królowych maurytańskich; wielka sala z wysokim sufitem w sklepieniu na krzyż urządzona, przeznaczona na pokój kąpielowy, a w każdym rogu tegoż wmurowaną jest w dziurze rurka ołowiana cienka jak trzcina, która przechodzi od rogu do rogu do wszystkich wspomnianych

¹⁾ Przyznać należy władzy hiszpańskiej oraz mieszkańcom tę zaletę, że z wielkim staraniem zachowują zabytki starożytności w swym kraju i z wielką czcią obchodzą pamiątki starożytne.

119

pokoi otworów; są tu dalej tuby czyli odbicia się echa służące do mówienia, gdyż mówiąc w tych pokojach chociażby nawet półgłosem lub też najciszej, a przyłożywszy ucho do owych dziur, daje się słyszeć ze wszystkich tych otworów najwyraźniejsza mowa głośna. Nadzwyczaj pięknie urządzone są z marmuru wielkie kąpielowe wanny, ścieki wody od kąpeli i t. p. porządku. Godną uwagi jest także sala audencyonalna nader majestatycznie urządzona w przyległym budynku w kwadratowej wysokiej wieży. Sala ta jest tak wysoka jak wieża, ściany są w niej od samej góry wykładane w rozmaite mozaiki, dach jest prawie cały ze szkła. W pośrodku tej wieży urządzony jest wielki basen z białego marmuru, w którym urządzoną jest fontanna ozdobiona w rozmaite posągi; z tej to fontanny wytryska wysoko w górę jak kryształ przezroczysta woda i napowrót w basen wpada i uchodzi w podziemne urządzenia. Obok wejścia tego salonu na przeciwległej stronie stoi tron z białego marmuru, po obu stronach którego z tegoż samego marmuru stoi dwanaście foteli, po każdej stronie sześć. Sala ta jest nadzwyczaj wielka, bardzo jasna i wydaje donośne echo; posadzka w niej wykładana taflami z czarnego i białego marmuru. Po lewej stronie przy wyjściu z tej wieży w długich alejach ogrodu jest tysiące małych fontann, które są tak sztucznie urządzone, że za jednym naciśnięciem sztucznej maszyneryi pod ziemią będącej, wszystkie rurki znajdujące się nisko, wyżej, a nawet najwyżej w górze, odrazu wytryskują; fontanny te wytryskując niżej i wyżej do rozmaitej wysokości

120

formują, najpiękniejsze festony, a zarazem tworząc cudowne wytryski, podczas skwaru ochładzają cały ogród. Patrząc na tyle fontann jednocześnie bijących, oczom naszym przedstawia się jakoby czarujący widok; wszystko to jeszcze dotąd utrzymane jest w jak najlepszym stanie. Na jednym sterczącym cyplu skał idąc ku stronie miasta, stoi mały przybudowany budynek połączony z zamkiem, w którym znajduje się duży kwadratowy pokój z dużym i owalnym oknem, którego ściany są malowane w najcudowniejsze arabeski, posadzka wyłożona popielatym marmurem; taflę tę idąc na krzyż w punktach przecinającej się linii, mają urządzone dziury na cał głębokie i szerokie. Pokój ten przeznaczony był wyłącznie dla królowej maurytańskiej, która będąc w pełnym stroju, wchodziła do tego salonu wyglądać z rozkoszą oknem na całe miasto, przyległe okolice tegoż, oraz na lud swój cały; podczas czego przynoszono najwonnejsze zioła i zapalano na urządzonym umyślnie pod podłogą trzonie; dym tych ziół wznosząc się w górę przez owe dziury w podłodze będące, otaczał królową od stóp do głów najwonnejszym aromatem. Na jednym z przyległych ganków w dziedzińcu w murowaną jest żelazna klatka, długości piętnaście a szerokości cztery łokcie mająca, w której niegdyś Fatima la Zarajda, małżonka króla Mulej Hassan za przeniewierzenie się mężowi czternaście lat siedzieć miała. Król ten syna swego Boabdila wiele lat także trzymał w więzieniu w tej samej klatce. Obok tego zamku znajduje się drugi, który zaczęto budować;

121

zamek ten jest ogromnego rozmiaru, założycielem jego był Karol I, król Hiszpański, czyli cesarz niemiecki Karol V; do pierwszego tylko piętra wykonanym będąc, stoi aż dotąd zupełnie opuszczony; tuż znajdują się płaskorzeźby z czarnego marmuru wyobrażające sceny z czasów wojen z Maurami. Szkoda, że mistrzowskie to dzieło do skutku doprowadzonym nie zostało, z czego można wnosić, że panu, który to stawiał, pieniędzy brakować musiało, lubo też wypadki wojenne dzieła tego skutecznie nie pozwoliły. Od wschodniej strony Alhambry ciągną się stopniowo jedna za drugą góry niezmiernej wysokości; z pomiędzy nich najwyższą jest Silla Mora, na wierzchołku której znajdowały się najwyższej instancji sądy Maurów. W tem to miejscu Francuzi baterię swoją składającą się z 20 armat rozłożyli i silną strażą obsadzili, którą i ja często zaciągałem, przyczem miałem sposobność po całych dniach napawać się pięknym i czarującym widokiem miasta Grenady, oraz wszystkich okolic do niego przylegających. Grenada założoną była jeszcze przez Fenicyan, w 711 roku miasto to uległo zawojowaniu przez Arabów, którzy dopiero w dziesiątym stuleciu ujarzmili odpowiednio Hiszpanów; poczem Alfons VI, król Kastylii, 1103 roku wzniósł tu znaczne budynki. Ferdynand św. ztąd udał się do Andaluzji, gdzie się sam król Maurów Mahomet Abo Albomar samowolnie poddał. Ferdynand zmarł w Sewilli 1254 roku, Mahomet zaś nieza długo po nim w Alhambrze pochowanym został.

Ostatnim królem Maurów był Boabdila, który podczas bitwy pod Santa Fée (święta wiara) ¹⁾ dnia 4 Stycznia 1491 roku resztę swojego państwa Ferdynandowi i Izabelli oddał. Filip II w roku 1566 wydał rozkaz, ażeby wszyscy maury w przeciągu dwóch lat Hiszpanię opuścili; do kwietnia 1568 roku naznaczonym był ostatni termin. Don Juan d'Austria 1609 roku maurów wyniszczył zupełnie; kardynał zaś Ximenes rozkazał spalić 60,000 egzemplarzy książek po Maurach pozostałych, zatrzymawszy tylko 300 mudyanitów, które jeszcze w Escorial w bibliotece zachowane zostały,

W Grenadzie panuje ciągle nieustanna wiosna jakoby w raju, o czym z własnego przekonania wypowiedzieć mogę. Nigdzie nie zdarzyło mi się widzieć tak bujnej wegetacji jak tutaj, róże i inne rozmaite kwiaty są do podziwienia cudnego kształtu, koloru, gatunku i woni; cytryny, pomarańcze, granaty, figi, winogrona, melony, arbuzy i t. p. owoce, rosną na polu bez żadnej pielęgnacji ręki ludzkiej. Urodzajną tę równinę nazywają „la Vega de Grenada“, ona dochodzi do samych nizin Grenady i rozciąga się na 12 mil hiszpańskich wzdłuż i 3 wszerz, z obu zaś stron zamknięta jest wysokimi górami i w całej swej długości przetrzynięta jest dwiema rzekami Genil i Darro, które płynące obok siebie w jednym kierunku, łączą się w mieście Grenada.

¹⁾ Santa Fée jest piękne miasteczko o 2 mile drogi odległe od Grenady.

W tem mieście domy tak są jedne przy drugich zbudowane, że rzeka ta tam prawie wcale nie jest widzialną, dopiero przy połączeniu się, z kąd bierze nazwę Genil, na szerokiej ulicy el Paseo widzieć się daje. W nizinach tych jest 11 miast oprócz Grenady,

mnóstwo wsi, willi, ogrodów, winnic, pomarańczami, lasów palmowych, oliwnych i wiele jeszcze rozmaitych gatunków najwyborniejszych owoców. Klimat tu w ogóle bardzo miły z powodu wschodniego powiewu wiatru od Sierra Nevada, który zmniejsza nader umiarkowanie codzienne upały. Góry Sierra Nevada (góry śnieżne) inaczej także nazywają się Sierra de Alpuias, mają długości 15 a szerokości 5 mil hiszpańskich, wznoszą się zaś na 9000 stóp wysokości nad poziom morza. Najwyższy szczyt tych gór dochodzi nawet do 12,000 stóp wysokości, a zatem wyższym jest od najwyższego szczytu Pirenejów, których najwyższy szczyt Sierra Mahatam Pichake de Valeta o 350 stóp jest niższy od pierwszego; szczyt zaś Goza Domaja pomimo tego, że położonym jest na samem pobrzeżu morza Śródziemnego, przytem w klimacie tak ciepłym, nawet wśród najskwarniejszego lata pokryty jest wiecznym śniegiem. Tu uroczy przedstawiał się nam widok, którym podczas pięknej pogody napawaliśmy się aż do sytu; niekiedy w nocy przeciąga z tych gór dosyć zimny wiatr wschodni, co sprawia natenczas przejmujące zimno dla mieszkańców Grenady, którzy nie mają żadnych pieców w mieszkaniach i nie znają wcale użycia futer.

W tej to cudownie uroczej i romantycznej

okolicy rozciąga się miasto Grenada, o 2300 stóp nad poziom morza wzniesione; pod względem rozległości jest ono większe od Madrytu, ma bardzo wiele regularnie zabudowanych długich i szerokich ulic, oprócz tego mieści w sobie mnóstwo placów i ogrodów do spaceru zachwycająco urządzonych. Jedna część tego miasta, tak zwana Alvacen, zamieszkałą jest przez cyganów (jitanos), pozostałych jeszcze z czasów Maurów, którzy będąc wygnani z kraju, przyjęli natenczas religię katolicką; ci odszczepieńcy po Maurach odróżniają się bardzo znacznie od Hiszpanów cerą twarzy, mową, ubiorem i czynnościami swojemi: dobrzy są także muzykantami, tancerzami, sławni kieszonkowcami rzeźmieszkami, a co najważniejszą ich jest zaletą; iż są najzdolniejszymi kuglarzami; za jakąkolwiek daninę tańczą przed drzwiami i po ulicach miasta; na stole nawet, na którym położone są jaja, kobieta (cyganka) tańczy z zawiązanymi oczyma, nie dotykając ich ani jedną nogą. Grenada liczy do 100,000 mieszkańców, mieści w sobie także bardzo wiele pięknych kościołów i klasztorów oraz wspaniale wybudowany teatr i plac znacznej obszerności,

przeznaczony jedynie tylko na walkę byków (placa de los torros). Pułk nasz bardzo długi czas pozostawał na kwaterze w klasztorze księży Kapucynów, z którego mnichy przed naszym przybyciem pouciekali czempredzej. W jednym z tych pobocznych główniejszych budynków Alhambry był uwięzionym generał dywizyi, adjutant króla Józefa Napoleona Franceschi, który był schwytanym przez bandę

guerillasów pod Consuegra, gdyż jak sam słyszałem w półtora roku potem, silną strażą, w ciemnym pokoju nader surowo był strzeżony; ponieważ generał ten był znakomitym rysownikiem, z nudów przeto ozdobił wszystkie cztery ściany pięknymi rysunkami wyobrażającemi bandę guerillasów; generał ten później losując o wolność, wypuszczonym został. Za naszych jeszcze czasów siedział w tym pokoju hiszpański generał i partyzant Chef Val de Vio jako jeniec schwytany i bardzo ściśle strzeżony, tak, iż do niego nie wolno było wchodzić nikomu, oprócz jednej służącej jego, która codziennie pożywienie mu przynosiła i to działało się w obecności oficera straży, dopóki więzień nie zjadł. Ten bogaty generał mający wielkie majątki w prowincyi Murcia, dwa lata siedział w tem więzieniu. Podczas swojej bytności w więzieniu generał ten zjednał sobie obietnicami i namową dwóch żołnierzy naszego batalionu, którzy wartę przy drzwiach jego pełnili; ci więc zrobiwszy dziury bagnetami we drzwiach obok zawiasów, zdołali ułatwić otwarcie takowych. Generał z tymi żołnierzami doszedłszy do muru, za pomocą przygotowanej już liny miał zamiar zsunąć się po tej na dół; w tym więc celu zsunęli się najpierw owi dwaj żołnierze powróz nie odmówił im swojej przysługi, lecz skoro kolej przyszła na generała i ten był już do połowy w drodze, lina nagle pękła u góry, skutkiem czego generał padłszy na ziemię, wywichnął nogę i z miejsca ruszyć się nie mógł. Jeden z żołnierzy pozostał przy nim, drugi zaś udał się do wsi Isnallosa milę odległej do alkalda (burmistrza)

a dobijając się w nocy do mieszkania jego i wygrażając mu bronią, którą wziął z sobą, żądał aby mu natychmiast dostarczył osiodłanego muła lub osła; ponieważ wojska nasze nieustannie przechodziły tędy, alkald przeto znał dobrze wojskową francuską służbę, rozkazał więc żołnierza tego przytrzymać, związać i natychmiast do gubernatora Grenady odstawić. Wkrótce, gdyż w pół godziny zadecydowano, aby ten niebaczny żołnierz, który uszedł ze służby, ułatwiając ucieczkę tak ważnemu więźniowi i sam usiłując dezertować, jaknajprędzej, bo zaledwie w przeciągu jednej godziny na śmierć był osądzony i natychmiast na publicznym placu rozstrzelany został; drugi zaś żołnierz wraz z generałem zdołali uciec przy pomocy chłopów mieszkających w tej okolicy.

ROZDZIAŁ IX.

Wojna w roku 1811 do czasu mojej niewoli.

Przy końcu stycznia wykomenderowany zostałem z Grenady z oddziałem 50 ludzi przez Isnallos Guada Ortuna do Belmes de la Moraloda w celu dostawienia żywności, gdyż miałem polecone przez szefa intendentury korpusu, aby takową do Grenady przeskortować. Marsz ten w drodze był nam nietylko utrudzający, lecz więcej jeszcze niebezpieczny z przyczyny wysokich gór i wąwozów, przez które przechodzić musieliśmy w odległości piętnastu mil od naszej głównej kwatery; nadto jeszcze musieliśmy przechodzić te okolice, gdzie się przechowywała największa liczba guerillasów, także niebyliśmy pewni jak długo w drodze zabawimy, gdyż miejsce to było dość odległe, gdzie zamieszkiwał alkald, do którego właśnie tę żywność dostawić mieliśmy; żywności było dosyć; ztamtąd cały transport do Alhambra dostawić miałem. W drodze obawiałem się tylko, aby guerillasy, przewożonej znacznej ilości transportów pożywnych nam nie odbili i nie odebrali; jednak szczęśliwie powróciliśmy do Belmes de Moraleda. Miasto to będąc

128

bardzo wysoko na górach położone, składa się tylko z 12 domów i jednego kościoła; tu zmuszony byłem pozostać dni dwanaście i na jednym odosobnionym szczycie wysokich skał zająłem najlepszą pozycję; tu biwakowaliśmy dzień cały i noc pod otwartym niebem, z nabitą bronią w rękę, otoczeni wartą podwójną.

Ludzie nasi dwa razy mieli dziennie ciepłe pożywienie, dobry chleb i wino, które mieszkańcy tej miejscowości dostarczyć musieli. Ani jeden z nas na krok oddalić się nie mógł przez cały ciąg dni dwunastu; ksiądz zaś miejscowy z którym się uprzejmie obchodziłem, musiał co noc za pokutę być ze mną na biwaku, od czego się wcale nie wymawiał i chętnie tego dopełniał. Ksiądz ten jowialny i wesoły, człowiek lat około 30 mieć mogący, nazywał się Don Ramon; był on niezmiernie szerokości w ramionach i tak olbrzymiej siły, iż jedną ręką postawił mnie na stół i zdjął napowrót. Po całych dniach siedział u nas i przepędzał czas na rozmaitych figlach i żartach, i tak razu jednego przyniósł do nas sztabę żelaza 60 funtów ważącą i pokazywał nam, o ile dalej od każdego z nas i wszystkich innych mieszkańców takową rzucić może; zabawa tego rodzaju sprawiła nam największą przyjemność. Jednego dnia chcąc nas dobrze ufetować, wyprawił ucztę, na której sam nas zabawiał, grał na gitarze, śpiewał i tańczył kaczucę i pokazywał nam, jak mieszkańcy tutejszych gór tańczą, szczególnie zaś kobiety; po stole na który m położone było dwanaście jaj tak zręcznie tańczył, mając zawiązane oczy, iż żadnego ani dotknął, ani też ze stołu nie zrzucił; nadto

129

jeszcze wiele innych przedstawiał nam tańców jako to: fandango Volera i la tana, czyli taniec cygański, do którego bez różnicy wieku starzy i młodzi należeć mogą; do tańca tego zwykle muzykus przygrywał na gitarze śpiewając coplicas a zarazem tańcząc, co nam sprawiało bardzo wiele rozrywki, śmiechu i żartów przy naszych nudach. Ksiądz ten zapraszał nas na nabożeństwo do kościoła, lecz prośbie jego zadość nie uczyniliśmy, tłumacząc się, iż w obecnym naszym położeniu, świątynią naszą jest odkryte niebo. Po doznanych rozmaitych zawodach i podstępach, nie można było ufać nawet księżom, gdyż oni sami nam złe wyrządzali; przytem lud fałszywy mógł jaką zasadzkę na nas uczynić. Na biwaku mnich ten wziął od nas broń w rękę i pełnił straż, od żołnierzy naszych wyuczył się bardzo zręcznie robić bronią i nauczył się dobrze wołać qui vive; był to ksiądz bardzo światły, przeklinał inkwizycję mnichów, tych licznych próżniaków klasztornych i wznosił szczerze modły za króla Józefa Napoleona, że takowych zupełnie skasował. Mieszkańcy tej miejscowości i całej okolicy, bardzo kochali i lubili tego księdza. Co się zaś tycze brygantów tak nam powiedział: Gdyby nawet tysiące tu ich pod górą stanęło, lecz ja gdybym im tylko jednym palcem pogroził, z pewnością żaden nie odważyłby się przystąpić, napadać na was, albo krokiem się zbliżyć. Widoczną więc okazuje się rzeczą, że ci mieszkańcy i chłopci przez zaślepienie fanatyzmem poduszczani byli przez księży, a tak byli do nich przywiązani i tak im

130

ślepo wierzyli, iż bez żadnego celu za broń chwytając biegli na ślepo, bez uwagi że setkami ginęli.

Naladowawszy żywnością z rozmaitych miejsc tej okolicy pościąganej, 300 mułów i osłów, udałem się zaraz ze swoim oddziałem w podróż. Dobry ksiądz Ramon siadłszy na osła, towarzyszył nam szczerze przeszło dwie mile w podróży, a rozstając się z nami serdecznie żegnał: dodając *baian austedes con Dios*, co znaczy: idźcie z Bogiem. Szczęśliwie bez żadnego wypadku powróciliśmy do Grenady, dokąd przybywszy nasz batalion napowrót został wykomenderowany do Alhambry. W miesiącu maju cała nasza dywizya opuściła Grenadę i pomaszerowała przez Dierma do Kadiksu; nasz batalion razem z francuzką, artylerią i kawalerią, zajął obóz pomiędzy wsią Diezma i Goor po stronie miasta Kadyksu przy brzegu morza o milę odległego, gdzie znajduje się wąwóz wysokimi górami i stromemi skałami otoczony, zkąd tylko jedna droga prowadziła do Kadiksu, którą także można było dostać się i do Grenady. Wiele wycierpieliśmy w tym obozie podczas nieznosnego upału, który tu panował ciągle; nie było tu zgoła ani domu, ani drzewa, pod którego cieniem swobodnie odetchnąć i wypocząć by można, a co najgorsza, brak wody przyprowadzał nas do największej rozpacz. Codziennie po południu powstawały ogromne grzmoty i błyskawice, jakto bywa zwykle w gorących klimatach; razu jednego piorun dragonom pięciu silnych koni zabił na miejscu. My oficerowie chcąc się uchronić od deszczu urządziliśmy baraki ze ściągniętych skór bydlęcych, za pale zaś

131

posłużyły nam cztery bronie bagnetami w ziemię wetknięte. Skóra która nam do ochrony służyła od deszczu, za kilka dni popsuła się skutkiem wielkiego gorąca, robaki się w niej zapieniły i na głowy nam ciągle spadały; przytem rozszerzyło się zaraźliwe powietrze, gdyż codziennie za obozem zabijano bardzo wiele bydła, z których wnętrzności i wszelkie inne rzeczy pozostawały na polu, wystawione na działaniu ognistego słońca, z których zaraźliwe wyziewy dochodziły do nas i truiły najokropniej powietrze, tembardziej jeżeli wiatr powiewał z tej strony. Wielkimi gromadami zlatywało się tu ptastwo drapieżne, jako to: orły, sępy i inne, lecz tak były one ostrożne, iż w żaden sposób z bronią, podejść ich nie było można.

Hiszpanie zajęli pozycję z drugiej strony wąwozu, tak zwanej Venta de Pahul (1) i tam się obwarowali. Generał Sebastiani postanowił, ażeby Hiszpanów wyprzeć z tej pozycji; w tym więc celu dnia pewnego zrobiono kilka zaczepek, które żadnego skutku nie odniosły, utraciliśmy tylko kilku ludzi i napowrót musieliśmy powrócić do swojego smutnego obozu; tu staliśmy wobec hiszpanów do końca czerwca, następnie pomaszerowaliśmy przez Grenadę do Santa Fé, gdzie pozostawszy dni 8, powróciliśmy napowrót do Grenady. Pułkownik nasz z 2-ma kompaniami grenadierów i z 3-ma kompaniami wołyżerów z pułku z Isnallos jednocześnie z nami także przybył do Grenady.

(1) Pod Venta de Pahul było kilka małych potyczek.

132

W tym jeszcze miesiącu wybuchła, bitwa pod Albuera (1). Anglicy pod dowództwem lorda Wellingtona wkroczyli z Portugalii do Estramadury i Andaluzji, aby otwartym bojem sprawę rozstrzygnąć przeciw miastu Kadiks, powtórnie aby Andaluzję od nacisku naszego wojska oswobodzić; w skutek czego marszałek Soult wystąpił z niewielką liczbą wojska. W Albuera zaczęła się krwawa i zacięta bitwa, lecz stanowczego rezultatu nie odniosła, chociaż tak z jednej jak i z drugiej strony wielu poległo. Anglicy po tej bezskutecznej bitwie, odsunęli się nazad ku granicy portugalskiej, po nich wojska nasze tu i w Andaluzji zajęły najlepsze stanowiska; tu zarazem ściągnęliśmy obozy z Kadiksu. Ułani nasi w tej bitwie zdobyli do 200 koni, wszystkie były angliczowane i wyuczone w angielskich wyścigach, do wszelkiej jazdy konnej. Batalion nasz pierwszy wykomenderowany został do Sewilli w celu wzmocnienia siły garnizonu; tam krótki czas zatrzymawszy się, powrócił do Moro (2); w drodze w ciasnym i głębokim wąwozie niespodzianie napadnięty został przez kilka tysięcy guerillasów: nasi niespodziewając się tak raptownej zasadki, i będąc zewsząd otoczeni żadnego oporu nieprzyjacielowi stawić nie mogli, cała przeto kompania wraz z kapitanem, składająca także awangardę, do niewoli zabrana została.

(1) Pod Albuera była krwawa i zacięta bitwa.

(2) Pod Moro była bitwa.

133

Podpułkownik Jasiński komenderujący batalionem, nie tracąc przytomności umysłu, lecz natychmiast, uformowawszy swój batalion odważnie całą siłą napadł na Hiszpanów, lecz szczęście i odwaga nie posłużyły bohaterowi, gdyż ugodzony siedmiu kulami padł zaraz na miejscu w oczach wszystkich, wielu oficerów i prostych żołnierzy ten sam los przykry spotkał. Batalion ten zmniejszony o jedną trzecią część, pozbawiony zacnego i dzielnego dowódcy, powrócił do Grenady.

Po tej bitwie wykomenderowano zaraz wielki oddział z naszego korpusu, składający się z 1500 piechoty i 200 kawalerii; w tym oddziale byłem i ja z kapitanem naszego pułku, aby Anglików wziętych w niewolę pod Fiungirola i Hiszpanów z pod Basa, z Grenady do z Manzanares tamtej strony Sierra Moreny leżącego eskortować. Srogo wypełniliśmy polecony nam rozkaz, lecz pomimo tego zbiegło nam 28 hiszpańskich oficerów i 200 żołnierzy. Powracając odpoczywaliśmy w Andujar, tu komenderujący konnicą francuską generał kawalerii Blondeau czterech brigantów w swojej obecności powiesić rozkazał; oni musieli sami słup do szubienicy wkopać i jeden drugiego wieszać; ostatni z nich był kulawy; i mniej zawinił niż jego towarzysze, przeto ulaskawionym został; co usłyszawszy pomimo tego że był kulawy, zmykał aż się kurzyło; może uczucie strachu jakiego doznał będąc świadkiem nieszczęśliwego losu swych kolegów, kazało mu zapottnieć w tej chwili o kalectwie.

134

Wymaszerowaliśmy napowrót do Grenady. Bandy guerillasów coraz bardziej powiększały się i liczba ich dochodziła już do tysiąca; ze wszystkich czterech stron niepokoili oni główną kwaterę w Grenadzie, i odważyli się nawet posunąć o dwie mile od Grenady. Generał szef z czterech stron w dwu milowej odległości od głównej kwatery, rozkazał ustawić wojsko gotowe do boju, aby guerillasów mieć na baczności, ścigać i niszczyć takowych, a tym sposobem główna kwatera sztabu w spokojności zachowaną być mogła. Kolumna na południu będąca składała się z jednej kompanii wołyżerów i jednej kompanii strzelców naszego batalionu; ja zaś znajdowałem się w wołyżerach. Pomaszerowaliśmy do miasteczka Alendin leżącego o dwie mile od Grenady, gdzie pułkownik 12-o francuskiego pułku dragonów Merlé w liczbie 100 koni na nas oczekiwał i objął kolumnę. Otwarcie i szczerze powiedziawszy z niechęcią opuściłem Grenadę, gdyż na nieszczęście przeznaczony byłem do frontu. Z tej przyczyny udałem się do pułkownika prosząc, aby mię do innej przeniósł kompanii; tym bardziej, iż nieustannie tu byłem wykomenderowywany, lecz pułkownik odmowną mi dał odpowiedź dodając: iż to właśnie jest dla mnie zaszczytem i chlubą, że pozyskałem zaufanie do wypełnienia ważniejszych poruczeń i że życzeniu memu zadosyć uczynić nie może, ponieważ mając już w tej komendzie czterech innych oficerów, którzy po francuzku nie mówią, porozumieć się przeto z nimi nie może, polecił mi więc pozostać w tejże kolumnie na froncie, ażeby w każdym razie

135

mógł się ze mną po francuzku rozmówić. Z miasteczka Alendin wychodziliśmy często nad brzegi morza Śródziemnego o 11 mil odległości, najczęściej zaś ku stronie południowej w celu zapobieżenia, lub też powstrzymania, wkroczenia i napadu brygantów na miasto Grenadę. Prawie dwa razy w tydzień udając się do el Fahul de Lanjaron uderzaliśmy śmiało na nieprzyjaciela, który w końcu ratował się ucieczką, w odwrocie jeszcze przyjmowali nas ogniem, skutkiem czego traciliśmy wielu ludzi zabitych i rannych; tak dalece iż trudno nam było gonić ich dalej, gdyż uciekając prędko i coraz w inną stronę utrudniali nam ściganie, a kryjąc się po za górą i strzelając z za takowych wielkie nam wyrządzali straty.

W bliskości Lanjaron (1) w jednym wąwozie przez który nam iść wypadało, napotkaliśmy 24 funtową armatę, do której po zbliżeniu się spostrzegliśmy, iż była zupełnie zagwożdżoną; w jakim oni celu w tym wąwozie armatę ukryli i na co im by się przydać mogła, to było dla nas zagadką, albowiem bez lawety i kół, na kamieniu otworem leżała nieco wzniesiona; zaś amunicja i ładunki naprzód już zostały spalone. Armatę tę pozostawiliśmy w pierwotnej pozycji i pomaszerowaliśmy dalej do Lanjaron by ścigać nieprzyjaciela. Tu rozłożyliśmy się obozem aby nieco wypocząć, dnia następnego powróciliśmy do Alendin

(1) Pod Lanjaron nieprzyjacieli nas ścigał ogniem.

136

Za naszym powrotem po górach wszędzie rozstawili się bryganci w liczbie kilku tysięcy, którzy gdyśmy przechodzili, gradem kul na nas sypali i tak towarzyszyli nam aż do zachodu słońca, do miejsca o pół mili od Alendin. Rozmaite były manewry Hiszpanów,

porozstawiali oni swych ludzi pojedynczo po górach i skałach chcąc tym sposobem większe dać wyobrażenie o dużej liczbie swych sił. Pomiędzy tymi ludźmi najwięcej było chłopów na osłach i mułach, którzy z gór aż do podnóża tychże schodzili, lecz skoro tylko kilku dragonów do nich się zbliżyło, natychmiast uciekali na góry, gdzie kawalerzysta nie był już w stanie ich dogonić; wdrapawszy

się na góry przeklinali nas tylko i dawali ognia, ale wszystko napróżno. Skorośmy przemaszerowali do Alendin, Hiszpanie znacznie wzmocnili swe siły od strony wschodniej na wybrzeżu morza i codziennie powiększali takowe, głównie na wysokich górach Sierra de Alpujares, z kąd z wielką śmiałością bliżai się ku głównej naszej kwaterze. Ludzie ci nie biorąc nigdy udziału w wojnie i nie mając pojęcia o wielkiej sile wojsk naszych, podsunęli się prawie pod samo miasteczko Alendin, tuż pod nasze forpocztę. Wojsko to składało się z 8,000 ludzi rozmaitej zbieraniny, a najwięcej z chłopów. Ci z których to uformowany był pułk piechoty de Cuenea, wszyscy byli dobrze umundurowani i opatrzeni w hełmy, pod dowództwem hrabiego Granda hiszpańskiego Conde de Montijo i alcalda z Ontivar. (Burmistrz

137

z Ontiwar miał 900 ludzi uzbrojonych w noże i pałasze).

Pułkownik Merlé postanowił wystąpić przeciw tym siłom nieprzyjacielskim, aby główną kwaterę w Grenadzie ustrzedz od napadu nieprzyjaciela. Dnia 19 Sierpnia 1311 roku wyszła cała nasza kolumna licząca do 230 ludzi piechoty i 100 kawalerii. Maszerowaliśmy przez el Pabul Turcal, el Puente de Tableta do Lanjaron, a nie spotkawszy po drodze nieprzyjaciela w Lanjaron przenocowaliśmy spokojnie, będąc bardzo uprzejmie przez tutejszych mieszkańców przyjęci. Były to tylko manewra Hiszpanów, którzy nie pokazując się, chcieli tylko mniemaniem skoncentrowanej swojej wielkiej siły, wojska nasze odstraszyć, co wkrótce okazało się jasno, że ich potęga była nader małą bo wszyscy pochowali się w góry. Wieczorem oficerowie schodzili się do pułkownika, gdzie mając przyzwoity stół rozmawialiśmy o rozmaitych rzeczach. Siedząc tak przy stole około godziny 12-tej w nocy, nagle usłyszeliśmy wystrzały w bliskości forpocztę oraz na niektórych ulicach. Natychmiast zebraliśmy się w rynku miasta i wyruszyliśmy czemprędzej generalnym marszem na nieprzyjaciela. Bryganci będący w górach pochowani w wielkiej liczbie, śmiało przybliżyli się pod same nasze forpocztę, a dobrą objawszy pozycję opierali się nam dzielnie. Wzmocniwszy swoją wartość, biwakowaliśmy na rynku i nacisk Hiszpan wytrzymaliśmy długo. Mieszkańcy zachowali się spokojnie, dawniej często znosili się z brygantami, prawda iż po niektórych ulicach całą noc dawano

138

ognia. Briganci strzelali tylko na ślepo, aby nas tym sposobem w bojażń i trwogę wprowadzić, a ze świtem dnia pochowali się zaraz w góry. Dobrze wyćwiczeni będąc przez nieprzyjaciela, nie byliśmy zdecydowani, czy mamy iść naprzód, czyli też ku wybrzeżom

morza o 9 mil oddalonego. O ile uważaliśmy najlepiej byłoby powrócić do Alendin, lecz pułkownik ściśle trzymał się rozkazu generała naczelnego, aby kolumna nasza do Motril, a ztamtąd nad brzegi morza wyruszyła, gdzie generał Godinot z Almeria z ponad brzegiem morza miał się przyłączyć do nas z wojskiem, w zamiarze schwywania i poskromienia nieprzyjaciela. W tym więc celu wyruszyliśmy marszem nad brzegi morza, marsz ten skutecznialiśmy szybkim pochodem przez wysokie góry, nieprzystępne skały i przepaście przez dzień cały wśród największego upału. W marszu tym z Lanjaron (1), zostaliśmy na drodze częstowani kulami od brygantów w górach po prawej i lewej stronie będących. Ich liczba coraz więcej się powiększała; ci wytykając ciągle swe głowy z poza skał, razili nas coraz więcej ogniem, następnie wyprzedzając nas uciekali czemprędzej, aby nieco dalej ustawivszy się znowu na czatach, na nowo nas ogniem witać mogli. Tym więc sposobem towarzyszyli nam przez całą drogę. Ze strony naszej było kilku zabitych a więcej jeszcze rannych, którzy padli ofiarą z rąk tych niegodziwych barbarzyńców. Z przyczyny przykrej i utrudzającej

(1) Pod Lanjaron była druga mała potyczka.

139

drogi po wysokich górach i skałach, ci biedni ranni nie mogli być zabrani przez nas, gdyż każdy z naszych miał ze sobą dosyć do czynienia, aby się czemprędzej wydostać na wygodne stanowisko przed nieprzyjacielem, pozostawiono ich przeto na pastwę swojego losu. Przeszedłszy małą rzeczkę przy Pinos el Bahie, a następnie wysoki łańcuch gór, który się rozciągał aż do samego miasteczka Motril, wieczorem dopiero przybyliśmy tamże. Towarzysze broni zajmwszy swą pozycję na szczycie gór około miasta leżących, dopiero aż tu przed miasteczkiem w równinie raczyli nas opuścić.

Motril jestto znaczne miasteczko od 7 do 8000 mieszkańców mieć mogące, o ćwierć mili drogi od morza oddalone, wcale nie warowne. Przed miastem na gościńcu od Grenady w pośród urodzajnej równiny która to miasto otacza, wznosił się dosyć piękny kościół bez żadnych innych budynków. Z tej miejscowości wywożą wielką ilość ryżu, bawełny, szafranu, cytryn, pomarańcz, rodzyneków, daktyli, melonów, arbuźów i kukurydzy. Właśnie chcieliśmy rozkwaterować żołnierzy w koszarach, gdzie w zeszłym roku stał nasz 7-my pułk polski więcej jak 6 miesięcy i już zażądaliśmy od mieszkańców tutejszych żywności dla wojska, w tem nagle tysiące brygantów wieczorem powylazivszy ze swych ukrytych kryjówek, zaczęło się zbliżać pod same miasto. Pułkownik nasz natychmiast zebrałszy połowę kawalerię, kompanię wołyżerów i kompanię strzelców, zaś resztę kawalerii pozostawivszy w rynku pod

140

bronią, udał się przecie nieprzyjacielowi drogą ku Grenadzie, tą samą którąśmy niedawno przybyli. Pomimo ciemnej nocy oraz przeważnej liczby Hiszpanów, potrafił takowych na wodzy przez czas długi na gościńcu miasta powstrzymać. Mieszkańcy miasta przestraszywszy się w nocy tak silnego ruchu wojska, poczęli się wybierać na mułach, osłach i koniach w góry, a nawet i pieszo ratowali się ucieczką, o czem skutkiem ciemnej nocy, kawaleria nasza nie wiedząc ściagała takowych, sądząc że to są bryganci. Tym sposobem wielu mieszkańców pozabijali, między którymi padł także ofiarą syn alcalda z Motril, któremu odebrano 4,000 hiszpańskich franków (Picoltas). Tu przyznać należy, że niechwalebnie postąpił jeden z naszych dragonów francuzkich, zabijając człowieka bezbronnego, który li tylko swą własność chciał uratować; ależ także i przyznać należy, iż zapewne przyczyną tej pomyłki była ciemność nocy, która nie pozwalała rozpoznać uciekającego. My też oficerowie tę sprawę własną prawie krwią okupić musieliśmy, o czem czytelnik w dalszym ciągu tego pisma, przekona się.

Późno w nocy pułkownik wyruszył się ku miastu, lecz już nie wrócił napowrót na rynek ze swoim oddziałem wojska, lecz przysłał tylko wachmistrza z rozkazem do kapitana, aby tenże po otrzymaniu tego zawiadomienia, najdalej po upływie godziny w ślad za nim wyruszył, gdyż generał Godinot jak wyżej nadmieniono, ze swoim wojskiem z Almeria już

141

wymaszerował, w celu połączenia się z nami, aby insurgentów pod dowództwem Conte de Montijo nad brzegiem morza otoczyć i takowych poskromić.

W tym więc zamiarze pułkownik wymaszerował ze swoim oddziałem wojska gościńcem do Almeria, wzdłuż wybrzeża morza, nie czekając na nas, o milę za miastem miał zająć pozycję na odosobnionej górze, gdzie mieliśmy się razem połączyć. Opuściliśmy

miasto w przeciągu godziny, postępując za pułkownikiem. O dobrą milę od miasta w lesie natrafiliśmy na dwie drogi, z których jedna na prawo, druga na lewo prowadziła. Na nieszczęście nie wzięliśmy z sobą przewodnika, któryby nam dokładnie wskazywał drogę. Deszcz oraz ciemność nocy stały nam na przeszkodzie, tym więc sposobem zboczyliśmy z drogi. Noc była tak ciemna, iż nie można było dostrzedz nawet śladu, którędy się nasz pułkownik udał. Żołnierze wprawdzie dostrzegli ślad kopyt końskich na piasku, lecz ślady te mogły być również i Hiszpanów; tu więc dobra rada była dla nas nie ocenioną. Nadstawialiśmy ucha do ziemi, czyli się nie odezwie jakiegokolwiek echo od naszych, lecz próżne były nadzieje nasze, gdyż usłyszeliśmy tylko wołanie Hiszpanów. Po długim namyśle postanowiliśmy iść drogą na prawo; zdaliśmy się zupełnie na wolę Boga i pomaszerowaliśmy śmiało takową, a idąc w największej ciemności i ciszy, nie napotkaliśmy żywej duszy. O dobrą milę drogi, po lewej stronie wypatrzyliśmy niskie płaskowzgórza, na jedno z tych dosyć wysokie, na sam wierzchołek wdrapawszy

142

się z trudnością, rozstawiliśmy tam nasze forpocztę u stóp i całą noc biwakowaliśmy wyczekując z niecierpliwością świtu. Żołnierze nasi najokropniej byli zmęczeni i utrudzeni, częścią nieustannym marszem w którym pozbawieni byli snu i spokojności przez dni trzy, po części zaś dokuczliwym we dnie upałem do 35 stopni dochodzącym, oraz brakiem pokarmów, gdyż od dwóch dni nic zupełnie nie jedli. Po ciemku więc schodzili z góry, a zrywając niedojrzałe winogrona, które z trudnością znaleźć mogli, sok z takowych wysysali, aby tym sposobem ugasić nieco pragnienie; snu także pragnęli bardzo, jednym słowem byli bezwładni. Gdzie się podzielała ich rzeźwość, waleczność i odwaga?

Klimat tu jest tak zmienny, że we dnie panuje upał wielki, w nocy zaś takie zimno, że żołnierze nasi pod płaszcami ledwie wytrzymać mogli, a to z powodu skał, które względem nas na wschodzie leżały, oraz bliskości morza. O ogniu niepodobna tu było

ani wspomnieć, najpierw z przyczyny braku drzewa, powtórę z obawy aby Hiszpanie nas nie spostrzegli, coby spowodowało w obecnem położeniu wielkie dla nas niebezpieczeństwo. Wspomnienie było dla nas okropnem, że nie wiedzieliśmy gdzie się nasz pułkownik z połową kolumny znajduje; czy jest przed nami, z boku, czyli też za nami pozostał, najwięcej nas to niepokoiło. Nareszcie tak upragniony dzień dla nas zaświtał, mnóstwo gór ze wszech stron się nam ukazało i całe wybrzeże morskie. Tu najsamprzód zaczęliśmy szukać pułkownika, i w tym więc celu wysłaliśmy na wszystkie

143

strony zwiady, a ci przeszło dwie godziny błakali się pomiędzy górami, aż wreszcie napotkali patrole dragonów wysłanych także przez pułkownika, żeby nas odszukać. Obydwa patrole z radością pośpieszyły do nas oznajmując, iż pułkownik wysłał ich w tym celu, ponieważ połowa naszej kolumny natychmiast powróciła do Motril, dla przepędzenia nieprzyjaciół z miasta, oraz z innych pozycji przez takowych zajętych. Usłyszawszy ten rozkaz pułkownika, wyruszyliśmy natychmiast tą samą drogą na wskazane nam

miejsce. Za naszym zbliżeniem się wszyscy z miasta pouciekali na wysokie góry, a zająwszy tam pozycję, witali nas wrzaskiem, krzykiem i przekleństwem. Ja byłem zaraz z 50 ludźmi wykomenderowany po prawej i lewej stronie drogi ku Grenadzie, aby nieprzyjaciela tam będącego wypędzić. Przy kaplicy czyli kościółku, o którym już dawniej nadmieniłem, jako stojącym przy drodze, zająłem moją pozycję; tu dosyć długo broniłem się ogniem przed napadem nieprzyjaciela. Niezadługo przybiegł zdyszany wachmistrz z rozkazem od kapitana, abyśmy się cofnęli i natychmiast do jego kolumny przyłączyli; takie postanowienie pułkownika było wielkiem dla nas zadaniem. Gdyby był przybył do nas w tej chwili, kiedy gościniec do Grenady był jeszcze dla nas otwarty i zanim się wojska hiszpańskie zebrały w wielkiej ilości, moglibyśmy natenczas chociaż bagnętami przebić się przez załogę takowych, lecz pułkownik natenczas powołał nas na powrót, gdzie całą noc przeszło musieliśmy biwakować. Hiszpanie mając dosyć czasu, mogliby w tym punkcie

144

wściekle swoje siły wyrzucić, mogliby zgromadzić wszystkie swoje wojska i cały gościniec obsadzić; wtenczas pozostalibyśmy odcięci od naszych wojsk w Grenadzie będących. Pułkownik liczył na pomoc, wyczekując kolumny ruchomej, która z Almeria przybyć miała, lecz znecierpliwiony długiem wyczekiwaniem, wyruszył na jej spotkanie. My otrzymawszy rozkaz, aby się bezwzględnie do takowej przyłączyć, jak najspieszniej udaliśmy się w marsz. Przechodziliśmy obok góry, na której biwakowaliśmy przeszłej nocy. Pozostawiając pułkownika z resztą kolumny o dwie mile od Motril na wysokiej górze, który już się ścierał z Hiszpanami i był już w największym ogniu tyralierskim z drugiej strony tejże wysokiej góry. Wojsko Hiszpanów, które się tu ukazało, było regularne. Natychmiast wykomenderowany zostałem z 30 ludźmi, ażeby lewe skrzydło naszej kolumny w zupełności zakryć. Wołyżery byli nieco dalej na lewo, ścierając się w największym ogniu z Hiszpanami. My przeszliśmy głęboki wąwóz, zaś wołyżery nasi wstrzymali stanowczo nadciągających Hiszpanów, w czym dopomogli także tyraliery. W tej bitwie mieliśmy kilku zabitych i kilkunastu rannych. Pułkownik nasz powątpiewał zupełnie, iż się spotkamy z kolumną ruchomą mającą przybyć z Almeria. Nie ociągając się dłużej, pomaszerowaliśmy do wsi Gualaho. Tu przed wsią na obszernej równinie spostrzegliśmy wielką kolumnę wojsk, która, jak nam się zdawało, wypoczywała spokojnie; lecz ci skoro nas tylko ujrzeli, zerwali się natychmiast, a chwyciwszy

za broń ustawili się czempredzej w kolumny. Wojsko to ponieważ po formie jednakowo było umundurowane, opatrzone w tornistry z białej skóry i w znacznie wystające hełmy, przeto sądziliśmy mylnie, iż to jest nasza kolumna ruchoma, która z Almeria przybyć miała ¹⁾. Pułkownik więc posłał jednego oficera z 25 dragonami, aby ten się przekonał i tegoż zaraz zawiadomił, lecz zaledwie ci wyruszyli ze swego stanowiska, aż tu nieprzyjacielska kolumna sypnęła zaraz ognia do dragonów. Koń ranny ogniem padł pod oficerem; oficer i wszyscy zaś jego ludzie wrócili się natychmiast. Teraz dopiero pułkownik spostrzegł, że ze wszystkich stron otoczeni jesteśmy przez nieprzyjaciela w nader przeważającej sile; z jednej tylko strony w bliskości mieliśmy morze. Zmieszany tem pułkownik naradzał się z nami co w tym razie dalej począć wypada. Jednogłośnie więc zdecydowano się na powrót do Motril i aby wysadziwszy nieprzyjaciela z pozycji którą objął na górach, tamując gościniec do Grenady, pomaszerować do Alendin. Nie namyślając się dłużej, pomaszerowaliśmy krętą drogą pomiędzy górami, która tak była przykrą a zarazem wąską, że zaledwie 2 lub 3 ludzi obok siebie iść mogło. Wiele wojska i uzbrojonych chłopów z Motril postępowali za nami zawsze z daleka, lecz gdy ujrzeli, że się napowrót wracamy, zaczęli nas ścigać. Za nieprzyjacielską kolumną z Gualaho po drugiej stronie były

¹⁾ Był to pułk *Cuena*.

regularne wojska, przed i obok nas guerillassy, musieliśmy przeto w nieustannym ogniu wśród gradu kul rejterować. Tu nie mieliśmy nawet tyle czasu aby naszych tyralierów w porządku rozstawić, gdyż nieprzyjaciel z całą swoją siłą już będący blisko, cisnął się nam na karki. Front naszej kolumny czempredzej pomaszerował naprzód pomimo ich silnego nacisku i nader przeważnej liczby, odważni nasi ochotnicy tyraliery trzymali się bardzo dzielnie. My zaś maszerowaliśmy w największym milczeniu, zabitych i rannych pozostawiając za sobą na drodze, gdyż ratując się ucieczką sami, nie mogliśmy im dać żadnej pomocy. Wąwóz przez który nam znowu przechodzić wypadało, cały zapchany był chłopami, to też przejście przez takowy opłaciliśmy krwią naszych współbraci; gdyż wielu było zabitych i rannych. Rozdzierało się nam serce, gdyśmy spojrzeli na tylu umierających, którzy jęcząc, błagali ostatniej pomocy swoich towarzyszy, ci im podać takowej nie mogli, nawet w ostatniej godzinie śmierci, gdyż tu każdy sam musiał się ratować, wiedząc, iż go tenże los oczekuje. Skorośmy tylko dosięgli równiny Motril, wtenczas dopiero prześladowający towarzysze opuścili nas nieco, kryjąc się po za górami, śledząc i przypatrując się nam zdaleka. Hiszpanie wogóle nie pokazywali się na równiny, przechadzając się tylko po górach, skałach, kniejach i urwiskach, kryli się w swoich kryjówkach, to też kawaleria nasza dobrze ich tutaj pędziła. I tak przybyliśmy do miejsca o pół mili oddalonego od Motril. Tu był nader smutny nasz stan, kolumna nader znacznie się zmniejszyła,

a połowa żyjących jeszcze była zupełnie bez nabojów. Żołnierze zgłodnieli, spragnieni, znużeni bezsennością, oraz okropnym upałem, pragnęli spoczynku; ja sam wtenczas 3 dni nic nie jadłem, oprócz suchej skórki chleba rozmoczonej w wodzie; najwięcej zaś byliśmy pozbawieni snu, którego jeszcze więcej pragnęliśmy niżeli pożywienia, gdyż nadzwyczajny upał pozbawiał nas apetytu, a natomiast dokuczało nam nieźnośnie pragnienie. W tem dowiedzieliśmy się, że Conde de Montijo z 4000 ludzi regularnego wojska i alkald z Ontivar w liczbie 900 ludzi, oraz bandy guerillasów, przybywszy, stanęli do bitwy po prawej stronie mostu, w poprzek wielkiego gościńca idącego z Grenady; ta znaczna liczba uzbrojonych chłopów, ci synowie ojczyzny (los ijos verdaderos de la patria) rozstawili się na wszystkie strony w ogrodach, w lesie oliwnym i na polach. Nasz mały korpus zajął pozycję w następujący sposób: za lasem oliwnym stanęła w linii nasza piechota w poprzek drogi ku Motril, przed nami zaś stała kawalerja, lecz liczba jej była bardzo małą; z tyłu za sobą mieliśmy wybrzeże morza o 300 kroków od nas oddalone, przy którym angielsko-hiszpański korsarz z 12 armatami spoczywał na kotwicy, z lewej zaś strony rozciągało się miasto Motril. Cała główna siła Hiszpanów wynosząca do 6000 ludzi, stała naprzeciw nas; gościniec Motril został zupełnie zajęty i obsadzony przez nich. W tak smutnej pozycji, nic nam nie pozostawało jak przed wieczorem dnia 21 Sierpnia 1811 r. ¹⁾,

¹⁾ Dnia 11 Sierpnia 1811 r. pod *Motril* była wielka bitwa.

ostatnie poświęcić wysilenie i rzucić się z całą srogością na wroga; umyśliliśmy pójść na bagnety w zamiarze przedarcia się przez zastępy nieprzyjacielskie, na co i pułkownik zgodził się z nami. Najpierw wykomenderowano jednego oficera woltyżerów z 30 ludźmi, ja zaś z drugimi 30 ludźmi tyralierów również naprzód wykomenderowany zostałem; pierwszy z nas lewe, drugi prawe skrzydło kolumny zasłoniło mieliśmy i polecono nam równą zawsze odległość od takowych utrzymywać. Tak więc zaczął się marsz kolumny. Skoro tylko bystrą przebrnąłem rzekę z memi tyralierami; Adjutant Major pułku dragonów jak najspieszniej przyleciał do mnie z rozkazem od pułkownika, abym natychmiast udał się na kolumnę nieprzyjacielską, gdyż kawalerja ma przypuścić szarżę, i gdy nieprzyjaciel zostanie odsunięty, natenczas gościniec do Grenady idący, mam zagarnąć, aby z pułkownikiem przy kaplicy stojącym na drodze się połączyć. Podczas gdy byłem z moim oddziałem tyralierów w utarczce, znaczna liczba ludzi w niej poległa; kolumna jednak nasza tak się broniła mężnie i tak walecznie nacierała na nieprzyjaciela, iż skutki tego męstwa mogły być dla nas korzystne. Pułkownik nie tracąc ani chwili czasu, ustawił swą szczupłą kawalerję w szyku bojowym, i przypuścił tak śmiałą i odważną szarżę przeciw nieprzyjacielskiej kawalerji, że takowa zupełnie odcięta została. Utarczka ręczną bronią szła tu nader dzielnie i ochoczo, tak iż w krótkim czasie wszystkich przed sobą na głowę pobito. Pułkownik zaś lotem błyskawicy popędził pomiędzy nieprzyjacielską

kawalerję i piechotę, która na niego zabójczym ogniem sypnęła; jednakże szczęśliwie bronił się i gościniec do Grenady ocalił, i ztąd tak spieszenie wymaszerował, że Hiszpanie nie byli w stanie go ścigać, również przebiwszy się przez Hiszpanów na wzgórzu będących, chociaż jeszcze wielu ludzi utracił, szczególnie przy wąwozie, — jednak szczęśliwie i z 50 już tylko koni dostał się do Grenady. Nie mało nas to strwożyło, kiedy pułkownik podczas szarży wszystkich na kupę porzucił, i gdyby nie to, że piechota nieprzyjacielska stała za nami, może bylibyśmy się rozpiechli, albowiem z przyczyny ogromnego tumanu kurzu, który mu ciągle towarzyszył, mogliśmy sądzić, że nas opuścił a sam ku Grenadzie podążył. Tak będąc porzuceni i nie zasłonięci przez kawalerję, staliśmy na równinie naprzeciw nieprzyjacielskiej sile, szczęściem Hiszpanie za sobą nie prowadzili armat. Tu do naszej małej już kolumny przyłączyli się tyraliery, ztąd pociągnęliśmy napowrót na wzgórze po lewej stronie leżące.

Hiszpanie gdy ujrzeli, że nas taka mała pozostała już garstka, i że mają już nas w swych siódlach, poczęli się gwałtem cisnąć, i ze wszystkich stron ścigać. Nam przeto nic więcej nie wypadało, jak tylko cofnąć się ku wybrzeżom morza, gdzie stał w pobliżu obszerny budynek, aby tam w tych zamkowych ruinach schronić się i obwarować; lecz znaczna przestrzeń oddzielała nas od tego miejsca, do którego dążyć mieliśmy, droga zaś była zarośniętą ryżem i kukurydzą, oprócz tego wszystkie pola przez nieprzyjaciół zalane były wodą za pomocą sztucznych spustów; więc gdy

150

tamtędy przechodzić nam wypadało, bruzdy te rozmiększy, utworzyły szlam, przez który po kolana brnąc i potykając a mało nie topiąc się, przechodzić musieliśmy; przyczem mnóstwo chłopów ukrytych w tureckiej pszenicy, za zbliżeniem się naszym dawali ognia. Nieszczęśliwi obstrzelani jak dzikie kaczki, zbliżyliśmy się do brzegów morza, gdzie korzystając ze sposobności stojący na kotwicy korsarz, ujrzawszy nas przesłał nam jeszcze w lewe skrzydło ładunek kartaczowy. Niedaleko starego zamku przytrzymała nas znowu kawaleria nieprzyjacielska i w mgnieniu oka otoczyło nas do 1000 chłopów i t. p. Tu dopiero mordowanie i rabowanie zaczęło się, w najokropniejszy sposób, do tego stopnia, że na łaskę i niełaskę musieliśmy bez żadnego oporu poddać się tym barbarzyńcom. Kto miał jeszcze broń w ręku, tego bez pardonu zamordowali zaraz na miejscu te prawdziwe dzieci ojczyzny — rabowali nas do ostatniej koszuli; mnie zabrali buty, frak z epoletami i wszystko co tylko przy sobie miałem.

W tej okropnej dobie byliśmy dla nich pastwą i ofiarą wszelkich okrucieństw, gdyż bijąc i popychając nas na wszystkie strony w rozmaity sposób, nie szczędzili bynajmniej obelg i wszelkich zniewag.

Wierzchowiec mój znikł w mgnieniu oka wraz z mantelzakiem i ja bym pewnie nie ocalał, gdyby nie wczesne z Opatrzności Boskiej przybycie oficera Adjutanta Conde de Montijo, który goły pałasz do góry podniósłszy, donośnym głosem powstrzymał tych rozjątrzonych barbarzyńców, a ci zaraz na bok odstąpili.

151

Pierwsze zapytanie, jakie nam oficer zadał było po francuzku, „Etes vous français ou polonais“ na jakie ja najbliższy będąc odpowiedziałem: Non monsieur nous sommes des polonais, — poczem znowu zapytał: „Qui parle allemand de vous,“ — na co ja odpowiedziałem po niemiecku. Był to rodem Szwajcar w hiszpańskiej służbie będący; rozmawiał najuprzejmiej ze mną po niemiecku; rozkazał nam oficerom i żołnierzom zebrać się, rozpędził precz rozjątrzonych rabusiów i zaprowadził nas w tryumfie jako wojenny zwycięzca przed Conde de Montijo, który siedząc na koniu przed swą kolumną, przyjął nas z prawdziwie majestatyczną postawą i dumą, jaką hiszpańscy grandy odznaczają się zwykle; pół po francuzku i pół po hiszpańsku odezwał się w następujący sposób: „Moi panowie oficerowie, chociaż jesteście jeńcami z regularnego wojska i których tak uważać należy; lecz jeżeli żołnierz samowolnie przekroczy prawa wojenne dopuszczając się okrucieństw, wtenczas to jest winą oficerów komenderujących nimi; oni wczoraj jeszcze wieczorem rozkazali zabić wielu niewinnych mieszkańców z Motril, a między nimi nawet syna alkałda, chociaż młody ten człowiek był bezbronny, przeciw wam wcale nie występował i poległ jedynie tylko z waszego rozkazu i popędliwości męskiej, ja więc wam również moi panowie odpłace; wy wszyscy zasłużyliście na śmierć.“

Podobna wyrocznia nie miłe nam sprawiła wrażenie, to też czując się w obowiązku wytłumaczenia się zaraz odpowiedzieliśmy, że najniestuszniej

152

byłoby zabijać bezbronnych, że przyczyny tego była noc ciemna, podczas której kawaleria nasza ścigając uciekających mieszkańców, omyłkę tę popełniła; my zaś jesteśmy z piechoty i podczas tego nieszczęścia staliśmy w rynku, o pół mili oddaleni od miejsca tego wypadku. Conde więc przyjął nasze usprawiedliwienie, sam przyznając winę wypadku tego kawalerii, i życzył sobie, aby mógł chociaż jednego z tych dostać żywego w swoje ręce, a ten z pewnością odpokutować by musiał za wszystkich, lecz na nieszczęście wszyscy pouciekali, inaczej zaś byłiby życiem przeplacili. Następnie wiele jeszcze różnych zadawał nam pytań, kończąc temi słowy: „przybyliście do Hiszpanii po to, aby takową rabować i niszczyć i t. d.“

Poczem sformuławszy dwa długie szeregi swojego wojska frontem do siebie, w odległości o 10 kroków stojące, rozkazał nam pomiędzy tymi szeregami po dwóch oficerów w rzędzie przemaszerować, z założonemi na głowę rękami, (Los manos sobre la Cabeza), przyczem bębniiono; jednocześnie Conde kazał wielokrotnie wołać wiwat!! (Viva! el Rey Fernando), co znaczy niech żyje król Ferdynand! (Viva! la Patria, viva! la religion), — niech żyje ojczyzna, niech żyje religia!! przyczem zarazem rzucano czapki w górę. Ceremonia ta jest jeszcze zwyczajem zachowywanym przez Hiszpanów aż dotąd; zwyczaj ten sięga jeszcze czasów Rzymian, gdzie jeńcy zwyciężeni, w ten sposób pod szubienicę lub do niewoli postępować musieli. Poczem żołnierzy razem z podoficerami w liczbie 132 zaprowadzono do miasta, gdzie ich do

153

klasztoru wysokim murem oteczonego i obok cmentarza będącego, popędzono na noc jak bydło, wejścia ściśle pozamykano i sztyldwachami obstawiono. Nas pięciu oficerów, między którymi było 2-ch kapitanów i 3 poruczników ¹⁾, rozkwaterowano w koszarach; na korytarzu sztyldwach stał przy wejściu, drugi — w dziedzińcu na dole, oraz zewnątrz na około była straż silnie rozstawiona. Głód nam tu dokuczał okropnie, gdyż najmniejszego pożywienia, nawet kawałka chleba wcale nie przyniesiono, lecz tylko na silne prośby zaledwie nam dostarczono wody. Utraciliśmy wszystko, bo nawet odzież którą na sobie mieliśmy, nam nie pozostawiono, a nawet buty i mundur odebrano. Ciepłego posiłku od czterech dni wcale nie mieliśmy, a jeżeli który z nas miał jeszcze przy sobie kilka groszy, nic za nie kupić nie mógł, a nawet wyjawic nie śmiał tego, bo gdyby się dowiedzieli Hiszpanie, że który z nas ma pieniądze, wtedyby wszystkich powtórnie poczęli rewidować. Sierżant straży życząc nam dobrej nocy i przyjemnego spoczynku, zamknął drzwi i oddalił się w swoją drogę. Byliśmy tak strudzeni ciągłym tam i napowrót marszem i nieznosnym upałem, oraz znużeni bezsennością z rzędu trzech nocy, że pokładłszy się w korytarzu na gołych ceglach w tak miłym, orzeźwiającym i słodkim pogrążyliśmy się śnie, jakiego niejeden może na najwygodniejszych piernatach i materacach nie doświadczyć; tak spaliśmy

¹⁾ Przy końcu 1810 r. awansowałem na porucznika.

154

do godziny 7-ej rano. Głód i pragnienie są, to nadzwyczaj przykre plagi i klęski, w których można jeszcze przetrwać czas jakiś, pokonywając takowe, lecz skoro senność opanuje znużonego i bezsenne go człowieka, — wtedy trudno pokonać to silne prawo

natury. Sierżant rano drzwi nasze otworzył, i dał znać, abyśmy szli za nim. Wyprowadził nas na duży dziedziniec, z kądem pod eskortą 8 ludzi, odprowadzono nas za miasto, do obozu, gdzie stało całe wojsko hiszpańskie. Tu zostaliśmy jeszcze raz przedstawieni Conde de Montijo ¹⁾, który obecnie przyjął nas uprzejmie, mówiąc nam: „dzień dobry;“ następnie zadawał nam wiele pytań, a mianowicie: „Gdzie się znajduje feldmarszałek Soult i nasza armia? dalej kazał każdemu z nas podać po kieliszku wódki, życząc nam dobrej i szczęśliwej podróży, lecz dokąd sam tego nie wiedział, ponieważ plany jego, aby ciągnąć dnia tego ku Grenadzie, były zawikłane. Późem zaprowadzono nas na cmentarz, gdzie żołnierze nasi stojąc, noc całą przepędzili. Pierwszy raz dopiero zdarzyło się nam widzieć obóz hiszpański; uzbrojenie tu wojska składało się z rozmaitego rodzaju broni, oraz byli oni w rozmaity sposób poubierani, niektórzy mieli mundury francuzkich

¹⁾ Gdyśmy stali przed Conde de Montijo, usłyszeliśmy wiele wystrzałów w tej stronie, gdzie dnia poprzedniego była potyczka. Hiszpanie po każdym wystrzale powtarzali: mniej jedna polska lub francuzka dusza. Conde rozkazał wszystkich naszych pozostałych rannych rozstrzelać, pomiędzy którymi znajdował się wachmistrz, który zabił syna alcada z Motril. Czy jemu pieniądze odebrano o tem nie mogliśmy się dowiedzieć.

155

dragonów, saperów, lub też polskiej piechoty; broń zaś ich była bez ładu i porządku ustawiona. Pułk piechoty Cuena był także dobrze ubrany, wszyscy mieli trzewiki ze szpagatu, (apargates); kawalerią zaś mieli mieszaną, więcej jej było w trzewikach niż w butach, ostrogi mieli poprzybijane gwoździami do przyszczepek skórzanых.

Właściwy korpus guerillasów, którym komenderował alkald de Ontivar, składał się z chłopów ochotników i różnego rodzaju zbieraniny i hałastry; będąc w długie strzelby uzbrojeni, mieli oni ładownice w poprzek pasa do brzucha rzemieniem na sprzączkę spiętą, oraz długie noże zatknięte za pasem; trzewiki nosili także ze szpagatu, przebrane w różnokolorowe wstążki, które będąc rozmaicie poprzeplatane, zasłaniały obnażone nogi aż do łydek; ubrani byli w krótkie płócienné szarawary, do połowy tychże sięgające; na wierzchu brązowy kaftan, na którym jeszcze nosili płaszcze z czarnego sukna podwójnie zszyte; otwór zaś który przez głowę kładli, lamowany był czerwonym sukmem; te płaszcze nie miały żadnych rękawów, nakształt ornatu księżęgo; na głowie nosili czapki szpiczaste, z czarnego sukna, przebrane w narodowe czerwone kokardy. Wielu tych żołnierzy gromadnie siedziało około ognia, paląc papierosy, jedząc ryż ze stokfiszem, (który to stokfisz hiszpańskim żołnierzom zastępował mięso) i przygrywając na gitarze, tańczyli wesoło i ochoczo fandango, w owych trzewikach ze szpagatu; gdyśmy zaś przechodzili koło nich przeklinali nas swoim zwyczajem.

156

To główne wojsko, (los Valientes de la patria) ci waleczni synowie ojszyny, składali się z 6000 silnych ludzi; uszykowawszy się, wykonali jak najspieszniej odwrót wraz z kawalerią, poczem postępowała piechota z nędznym bębniem i przeraźliwemi piszczałkami, co składało wojenną ich muzykę. To wojsko pociągnęło gościńcem naprzód ku Grenadzie, aby nowo przybyłym francuzom wyprawić śniadanie. Pozostawiając w tym przedsięwziętym marszu dowódcę hiszpańskiego le Conde de Montijo, wracam się z opisem do dalszego naszego losu.

Otóż skoro nas zaprowadzono na cmentarz, gdzie zostawali nasi towarzysze broni, musieliśmy wspólnie z nimi dzielić wszystkie przykre i smutne następstwa losu nas prześladowającego w niewoli, byli oni pozbawieni mundurów i innych ubrań do tego stopnia, że niektórzy byli jedynie tylko w koszuli, największa zaś część ich miała na sobie chłopskie, podarte, brązowe kaftany i krótkie szarawary, w którym to ubraniu bardziej podobni byli na rabusiów niżeli na żołnierzy regularnego wojska jakimi byli przed kilkoma dniami. W nocy byli oni ostro strzeżeni, nie podano im tu nawet kawałka chleba, a przy ciągłych przekleństwach, wyrazach pogardy i nienawiści, mieszkańcy rzucali na nich z po za murów zdechłe koty i kamienie. Po przybyciu na cmentarz, spędzono nas wszystkich w jedną gromadę, gdzie tak stojąc pozostawaliśmy ze dwie godziny, podczas czego schodzili się gromadami mieszkańcy, przypatrywali się nam z blizka, jakoby ludziom dzikim i lżąc nam, plując na nas, wyrażając się,

157

mówili, że generał nie słusznie postąpił, pozostawiając nas przy życiu, że lepiej by był postąpił, gdyby rozkazał pomordować wszystkich, tym albowiem sposobem unikliby dalszych z nami trudów i biednemu diabłu dostałaby się nie zła gratka, wyrządzając i nam dobrodziejstwo, gdyż i tak nam jest wszystko jedno, ponieważ swojej ojczyzny już nigdy nie ujrzymy. I nie skończyłoby się tu pewno na samych przekleństwach i groźbach, gdyż będąc rozjątrzeni do najwyższego stopnia rzuciliby się pewno na nas, gdyby nie był się ukazał kapitan z pułku Cuena, który nas z 80 ludźmi miał eskortować; inaczej nie pozostalibyśmy przy życiu, jakowego losu nie jeden już nasz oddział doznał w Hiszpanii, lecz kapitan chcąc położyć koniec naigrzawaniu się, otoczył nas dokoła żołnierzami i udał się wielkim gościńcem ku Grenadzie aby podążyć za Conde de Montijo; ruszyliśmy przeto znów za nim w marsz.

Dnia 22 Sierpnia upał dochodził do 35 stopni, kurz jak popiół rozchodził się po gościńcu na wszystkie strony, tam ując nam oddech. Zaledwie uszliśmy milę drogi, kiedy pod wsią Vellesilio w odległości może pół mili, słyszeć się nam dały wystrzały armatnie i z ręcznej broni. Kapitan struchlał i rzekł: „Oto są wasi bracia, którzy zawsze niespokojność wyrządzają! co my z wami pocniemy? Mamy was przez najwyższe góry w poprzek Andaluzji Murcio aż do Alicante transportować, gdzie w drodze będziecie musieli wiele trudu, głodu i pragnienia przenosić, tej biedy nie wytrzymacie i będziecie musieli umierać; lepiej byłoby gdyby

158

generał pozwolił was rozstrzelać, a z zimną krwią wyrządziłbym wam to dobrodziejstwo, aby już raz koniec położyć waszemu nieszczęśliwemu losowi.“ My skupieni siedząc na skale przy drodze, słuchaliśmy rozwartemi uszy pełnych ludzkości słów i przedstawień kapitana, lecz jeszcze z większem zamięłowaniem nadstawialiśmy uszy na ogień dawany przez naszych spółbraci, ależ niestety! jak na jedno tak na drugie nic odpowiedzieć nie mogliśmy, wyczekując z niecierpliwością zapadłego wyroku. Wystrzały coraz bliżej słyszeć się dawały; wkrótce nadbiegł kawalerzysta hiszpański od Conde de Montijo do kapitana z rozkazem, aby tenże natychmiast jeńców wojennych, napowrót do Motril eskortował i zamtąd spoczywającym na kotwicy korsarzem nas wyprowadził. Ruszyliśmy przeto napowrót drogą do Motril, ale już teraz nie marszem w porządku, lecz kompletnie

lecieliśmy, będąc nagleni biciem kolb i popychani w rozmaity sposób przez żołnierzy. Chętnie bylibyśmy ten marsz ociągali, gdyż nasi będąc w większej liczbie pobili Hiszpanów i rozproszyli, którzy uciekając na prawo i na lewo, chronili się w góry jak zwykle, tak że ani jednego z nich nie widzieliśmy powracającego. Eskorta dążyła spiesźnie, aby Francuzom w ręce nie wpaść. Lecąc tak przez Motril, chcieliśmy napić się wody, aby nieco zagasić dokuczliwe pragnienie, lecz nie pozwolono nam zatrzymać się tu ani chwili. W Motril znowu wiele doznaliśmy trudności. Pewien starzec wyszedłszy ze strzelbą w rękę, prosił kapitana eskorty, aby tenże pozwolił mu jednego z naszych kapitanów zastrzelić,

159

i już był takową, przyłożył, lecz kapitan eskorty odpędził go zaraz, za co mieszkańcy rzucając na nas kamieniami, wymyślali i lżyli ostatnimi słowy; tak pędzono nas jak najprędzej, niby bydło, do pobrzeża morza.

Nasz dobry i pełen ludzkości kapitan (rodem katalończyk) chciał jeszcze na pożegnanie dwóm naszym kapitanom odebrać gwałtem epolety, jakie aż dotąd zachowali. My oficerowie spiesźnie wstąpiliśmy do łódki, w której kilku marynarzy siedziało, ci natychmiast z nami od łądu odbili, kapitan już nie mógł za nami postąpić, aby nam wyrządzić co złego, skutkiem czego jego chciwość zawstydzoną została. Biedni nasi żołnierze pożeglować mieli w wielkich rybackich czółnach z pokryciem i masztem, na które pędzono ich popychaniem i biciem; tu jednocześnie wsiadło mnóstwo Hiszpanów z kawalerii, aby także pożeglować, lecz skutkiem przeładowania jak również płytkości wody, statek jednym końcem utknął tak silnie w piasku, iż na żaden sposób nie byli w stanie ruszyć się z miejsca, wszyscy więc musieli wysiąść, aby zepchnąwszy czółno w głębszą wodę, tym sposobem ułatwić sobie żeglugę. Wzięto się natychmiast do usunięcia tej przeszkody, ażeby naszych jak najszybciej wyprowadzić. Żołnierze nasi musieli brnąć po pas w wodzie, aby się dostać do czółna; biedacy jak mogli zwlekali dostanie się do takowego, udając, że im wodą trudno dojść do statku, gdyż spodziewali się nadejścia naszych, bo kawaleria nasza francuzka, stoczywszy niedaleko potyczkę, była tuż blisko. Na raz

160

ukazała się kawaleria francuzka, a zatrąbiwszy assemblé odkryła dążącą szybkim marszem z góry piechotę, która schodząc zajęła gościniec do Grenady i okryta została tumanem kurzu. Na to ukazanie się naszych wojsk zeskoczyli czemprowadz z czółna marynarze

i żołnierze hiszpańscy i poczęli nożami i gołymi pałaszami kłuć naszych żołnierzy, nagłąc ich tym sposobem do spiesniejszego wsiadania w łódzie, skutkiem czego 12tu zakłuto w naszych oczach; oni tam nurzając się z wielkiej boleści w piasku, pozostali bez pomocy; drudzy to widząc, nie czekali już nadejścia naszych, lecz posłuszni rozkazowi, powchodzili do czółna. Nasi rzeczywiście ociągali się, aby się doczekać nadejścia braci, lecz podobne postępowanie przez Hiszpanów znagliło ich do posłuszeństwa.

Kapitan zdawszy wszystką broń i ładownice na ręce hiszpańskiego podoficera, w czółnie siedzącego, kazał swoim hiszpańskim żołnierzom jaknajspieszniej udać się na wysokie góry Alpujares, aby tam połączyli się z dywizją, poczem znikł na drodze do Almonaicar. Jak prowadzono wojnę w Hiszpanii, byliśmy naocznymi świadkami. Konie dragonów hiszpańskich, które z nami na statek wprowadzono, oddano chłopom w polu, nakazując takowym, aby je dobrze utrzymali, a gdy Francuzi nadbiegli, konie te chłopci do wozów już zaprzęgali, udając że to są ich własne.

Skoro już łódka, w której nas pięciu oficerów siedziało, dosyć daleko od łądu odpłynęła, wtedy przybliżyła się do nas druga łódka z sześcioma marynarzami, a ci trzymając w swetn rękę duże i ostre noże,

161

przeszli do naszej łódki. Każdy z nich wziął jednego z nas przed siebie, a uklękawszy przed swoją zdobyczą i trzymając wielki nóż w rękach, oddzielnie rewidował swojego. Prawda, że mało co już mieliśmy, lecz i to nam zabrali ci niegodziwi zbrodniarze: epolety, pieniądze, buty, słowem wszystko co tylko sami żądali. Ja tym razem najlepiej wyszedłem, gdyż epolety i buty dawno już mi odebrane były. Jeden kapitan opierał się oddaniu epoletów marynarzowi, mówiąc: „Nieprzyjaciół, który mnie ujął, nie odebrał mi ich, mając większe prawo od ciebie, a ty mi będziesz odbierał takowe?” Na co rozjątrzony majtek przyłożywszy mu nóż do piersi, odpowiedział: „Jeżeli jedno jeszcze wyrzekniesz słowo, to ci ten wielki nóż natychmiast w piersi utopię i grób swój znajdziesz

w bałwanach tego morza.“ i z ramion takowego gwałtem zerwał epolety. Żołnierze nasi podobnie tego wieczora do szczętu zrabowani zostali.

Gdy już znaczną część drogi odbiliśmy od łądu, barka nasza płynęła po prawej stronie, a żołnierze nasi w łodziach rybackich płynęli po lewej stronie łądu; zaś w środku za nami płynął korsarz, postępując wciąż w jednym kierunku. Na morzu wtedy panowała zupełna cisza; wtem kawaleria francuzka w znacznej liczbie w jednej chwili szybkim nadbiegła galopem z 4ma polowemi działami, w to samo miejsce, gdzie staliśmy zaledwie przed pół godziną, a ustawivszy się w linię i natychmiast wysadziwszy cztery działa, dawali bezustannie ognia na korsarza, wzywając nas

162

donośnym głosem i wołając temi słowy: „Allons Polonais, braves camerades, sauvez-vous! sauvez vous! venez a nous!” — a pozatykawszy swe bermycy na końce pałaszy, kiwali na nas, chcąc nas ratować, ależ niestety! — już zapóźno i nadaremnie. Korsarz

mający 8 armat i 60 ludzi załogi, również dał silnego ognia ze wszystkich dział do Francuzów. Ta kanonada trwała tak pewno dobrą godzinę. Korsarz postradał wschodni maszt, który przestrzelony został do większej połowy; gdy zmrok zapadać zaczął, dopiero rozwinął żagle i popłynął na głębokie morze. Francuzi sypnęli jeszcze parę kul za nim, my zaś płynęliśmy w swojej łódce, trzymając się boku korsarza, i z każdą chwilą coraz więcej traciliśmy z oczu swych kolegów Francuzów; wkrótce ustały głosy i już nic nie było słychać, gdyż noc swem odwiecznym prawem wszystko uciszyła, kładąc koniec wszystkiemu, i nigdy już więcej ujrzeć nie mieliśmy naszych towarzyszy broni. Gdyby nasi o pół godziny wcześniej przybyli, z pewnością bylibyśmy oswobodzeni lub też przez Hiszpanów zamordowani, gdyż losu tego niejedyn już oddział doznał, kiedy go naród ten w swe ręce dostał i do niewoli zabrał.

Wieczorem dopiero kapitan okrętu przybył do naszej łodzi i rozkazał poprzehodzić nam do swojej a następnie na pokład korsarza, gdzie podano nam niektóre potrawy i wino, co nas bardzo orzeźwiło i wielkim było posiłkiem. Żołnierze nasi pozostawszy w czólnie rybackiem, płynęli za nami.

163

Podczas cichej i ciemnej nocy żeglowaliśmy wciąż po morzu, i przez cały ten czas widzieliśmy biwakowe ognie francuzkie. Jednakże byliśmy spokojniejsi, wydostawszy się z rąk barbarzyńców i zajadłych brygantów, gdyż spokojność, którąśmy po owej rewizji doznali na łódce, była bardzo dla nas pożądaną, a stan obecny był znośniejszy niżeli transportowanie łądem; na którym kto wie jakiby los nas napotkał; lecz tu znów byliśmy od naszych kolegów i od ziemi hiszpańskiej oddaleni, żegnając raz na zawsze swoich towarzyszy i pozbawieni wszystkiego, co tylko było naszą własnością. Gdzie się z nami udać miano, nikomu nie było wiadomo, sam nawet kapitan okrętu nie wiedział, gdzie z nami żegluję? Jaka przyszłość, jaka nadzieja snuły się w naszej myśli, może sobie każdy z czytelników wyobrazić, oraz jak był wtedy smutny stan naszego losu, gdyż wszystko tu dla nas zdawało się być snem a niczem więcej.

Smutny jest los biednego żołnierza co dostał się w ręce nieprzyjaciół, ale daleko smutniejszy jest stan jego, jeżeli wpadł w ręce takich barbarzyńców, którzy przemocy używali i gwałtu, jakowi brygantci nieznający praw wojennych zupełnie, ani poczucia ludzkości, dla których niczem są nawet męczarnie. Łudzenia, poduszczenia i podstępny księży i mnichów zaślepiły ich zupełnie owym głupim fanatyzmem, jakim ten naród obecnie szczególnie się odznacza.

ROZDZIAŁ X.

Moja niewola w roku 1811. — Podróż na morzu i moje oswobodzenie w r. 1814.

Nasz kapitan okrętu, a raczej (jak Hiszpanie zowią właściciela statku przeznaczonego do morskiej podróży) el Patron, rodem był Katalończyk, załoga zaś jego w liczbie 60 ludzi po większej części składała się z Genuńczyków i Katalończyków, którzy jak sam pan Katalończyk byli silnymi i dobrze zbudowanymi majtkami.

Statek żeglował pod opieką bandery angielskiej i hiszpańskiej, świeżo był wykończony, nazwany „San Antonio“ a służył swojemu narodowi w tej wojnie jako okręt korsarski do napadu na okręta francuzkie. Właśnie znajdował się na wyprawie przeciw jednemu z korsarzy francuzkich¹⁾, a ponieważ ten umknął do

¹⁾ Francuzi także mieli ze swej strony do 200 podobnie uzbrojonych statków korsarskich, których główna stacya była w Barcelonie i które również napadały na angielskie i hiszpańskie okręty. Sławny żeglarz Balasteros miał nad wszystkiemi dowództwo.

165

Malagi, gdzie znajdowały się nasze wojska, zapuścił przeto kotwicę pod Motril, a za to, że nas wziął na swój pokład, rząd hiszpański odpowiednio mu zapłacił. On sam nie wiedział, gdzie nas ma zawieść, gdyż wszędzie na pobrzeżach morza byli nasi; postanowił więc popłynąć z nami do Gibraltaru. Wiatr wschodni stale nam sprzyjał, tylko w samej już cieśninie Gibraltarskiej zatrzymały nas przez pół dnia raptowne wichry, wiejące od strony oceanu Atlantyckiego. Wieczorem dopiero dnia następnego przybyliśmy do Gibraltaru, przenocowawszy już porcie. Krótki ten czas dał mi sposobność dostatecznego przypatrzenia się Gibraltarowi od strony lądu i morza.

Nasz el patron nazajutrz udał się do władz angielskich, którym to władzom chciał nas oddać, lecz Anglicy odpowiedzieli mu krótko i wężłowato: „My tylko trzymamy tych jeńców, których sami ujmiemy, a wy zaś, kiedyście ich do niewoli zabrali, to ich teraz żywcie i trzymajcie.“ Właściciel przeto statku musiał z nami napowrót na drugi dzień odpłynąć, a ponieważ już tylko Cartagena i Alicante w hiszpańskich rękach się znajdowały, postanowił więc wysadzić nas w Alicante.

Z Gibraltaru płynęliśmy ciągle wzdłuż afrykańskiego pobrzeża i trzeciego dopiero dnia stanęliśmy przed Algierem, lecz tu nam wysiąść na ląd zabronionem było, dla tego też z daleka tylko przyglądaliśmy się temu dawnemu miastu Barbarosów i mnóstwu ich okrętom przychodzącym do portu, lub też wypływającym z takowego.

166

Nazajutrz około południa kazał nasz el patron podnieść kotwicę, wiatr ciągle mieliśmy z boku, który pędził nas wprost do Hiszpanii. Żołnierze nasi nie mieli odwagi, aby się puścić na pełne morze w rybackich małych czólnach, trzymali się więc tu przy rzeczonych pobrzeżach hiszpańskich i wylądowanie nasze w Alicante o dwa dni uprzedzili. Niedaleko od brzegów Hiszpanii w nocy około godziny 12ej napadła nas straszliwa burza. Dnia tego nadzwyczaj wielki był upał, chmury zebrawszy się razem, pociągnęły za sobą gwałtowne pioruny i błyskawice. Silny wicher miotał naszym statkiem na wszystkie strony, jakby nas chciał zanurzyć w głębokości morskiej; poczem nastąpił ulewny deszcz połączony z gradem i w jednej chwili powstała najokropniejsza i gwałtowna burza; wielkie na morzu powznosiły się fale a bałwany morskie uderzając z największą srogością o ściany naszego okrętu, zdawało się że go zgruchoczą zupełnie, gdyż ten, to wznosząc się do góry, to znów pograżając się w wodzie, śmierć nam nieuchronną przepowiadał, a zarazem koniec naszym tak srogim cierpieniom. Niezadługo znów rozjątrzone fale w jednej chwili wyniosły go na ogromną wysokość, następnie zepchnęły go w nadzwyczajną otchłań. Wspaniały i uroczy był to widok tak wielkiego żywiołu, lecz zarazem straszny i przedstawiający najniebezpieczniejsze skutki; gdyż widocznem tu było, jakoby ten okrutny żywioł chciał nas koniecznie pograć w swem łonie. Zwinięto wszystkie żagle i zapędzono nas pod pokład, aby tam nie dosięgły nas bałwany morskie. Tu otoczeni ciemnością,

167

duszacem i zepsutem powietrzem, zaledwie mogliśmy oddychać. Maszty trzeszczały, jak gdyby okręt jednej chwili miał się roztrzaskać. Paki z bawełną, rozmaite skrzynie, Bóg wie z czem, spadały nam na głowy skutkiem gwałtownego kołysania się okrętu; do tego mieszały się krzyki el patrona i majtków, którzy poprzywiązywali się linami do pomostu, aby ich rozwścieczone bałwany nie pochłonęły w swoich przepaściach; przy tem kilka uderzeń piorunu przestraszyło nas mocno, które po części tylko w

morze wpadły; można powiedzieć, iż był to cud prawdziwy, że żaden z nich nie uderzył w okręt. My, którzy dotąd nie mieliśmy żadnego pojęcia o burzy, poznaliśmy dopiero teraz jej moc nadzwyczajną, i o mało tego nie przypłaciłszy życiem. Łatwo sobie wyobrazić każdy może, co się w nas działo wtenczas, i wątpię, czyby ktokolwiek inny w naszym będąc położeniu, powątpiewałby jeszcze o śmierci, która w każdej chwili zdawała się zaglądać nam w oczy. Niektórzy nawet moi towarzysze, pod pokładem okrętu będący, z przestachu pochorowali się, doznawszy strasznych mdłości.

Po upływie może godziny, kiedy już dzień zaczynało, około 7ej, ucichła nieco burza, która nas popędziła pod same wybrzeża Hiszpanii; nie ulegało przeto wątpliwości, iż tu rozbójnicy morscy do niewoli nas zapędzić mogą, ponieważ spotkaliśmy dwa ich okręty, które temu samemu losowi burzy uległy, jakiego i nasz okręt doznał. Przed południem około godziny 11 wszystko się tu zupełnie uspokoiło;

168

słońce ukazało swe dobroczynne oblicze i my dopiero przy pomyślnym zachodnim wietrze popłynęliśmy znowu ku północno-wschodnim wybrzeżom Hiszpanii, przebywając na godzinę 11 mil morskich czyli angielskich.

Zaraz po-obiedzie nasz Sennor Patron dostrzegł przez perspektywę w oddaleniu okręt, który jaknajspieszniej za nami żeglował; prawda, że dosyć szybko i nasz okręt się posuwał, jednakże nie trwało trzech godzin, kiedy ów okręt tuż za nami żeglujący już nas dogonił, po prawej stronie naszego statku płynąc, i był tylko od nas oddalony o dobry wystrzał armatni. Nasz patron stosując się do przyjętego zwyczaju, iż słabszy zwykle salutuje pierwszy, witając silniejszego od siebie na morzu, oczekiwał hasła od ścigającego nas okrętu — lecz ten zachował się w zupełnem milczeniu. Wtedy patron nasz przyłożywszy tubę do ust, zapytywał ścigających, kto oni są? — lecz nie usłyszał żadnej odpow. iedzi, ponieważ wiatr od tamtej strony powiewał, wątpliwem przeto było, czyli zapytanie doszło ich uszu, lub też wcale nie. Nareszcie dano sygnał z ręcznej broni, lecz i ten został bezskutecznym, gdyż nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi. Patron nasz nie namyślając się wcale, rozkazał wreszcie wystawić banderę na znak przyjacielski, lecz i to pozostało bez skutku. Podczas tego okręt ich popłynąwszy nieco prędzej, nie dał się jeszcze poznać, skutkiem czego patron nasz nie przypuszczał, aby to mógł być okręt nieprzyjacielski, — ale przekonał się

169

o tem wkrótce, ponieważ przeciwnicy w jednej chwili zaciągnęli banderę francuską i naraz z czterech silnie nabitych armat dali ognia do naszego okrętu. Patron i jego majtkowie przejęci zostali trwogą i przestachem: wszyscy natychmiast rzucili się do armat, ażeby jaknajprędzej takowe od lin i haków odczepić, któremi do pokładu przymocowane były i żeby je jaknajspieszniej ponabijać, lecz sznury i liny tak od deszczu rozmiękły i napęczniały, że bardzo sobie wiele trudu zadać musieli, zanim takowe przygotowali i do porządku bojowego przyprowadzić zdołali. Korsarz zaś francuzki korzystając z owego czasu, sypnął po raz drugi podobną porcyę ognia do naszego okrętu; kule zaś ich świszcząc ponad naszymi głowami, zmusiły nas do schronienia się pod pokład takowego. Następnie Francuz rozpiąwszy wszystkie swoje żagle, czemprędzej odpływał i uciekł przed naszym korsarzem, daleko szybciej pędząc od naszego okrętu. Patron Sennor ścigał go ciągle czas jakiś, przeklinając bezustannie swojego nieprzyjaciela, a nie mogąc go zapomnieć, przypisywał winę jedynie tylko swej własnej dobrodusznosci, mówiąc: że nic podobnego jeszcze nie przytrafiło się jemu, ażeby tak doświadczonemu żeglarza jak on nieprzyjaciele mogli podejść.

Dnia następnego żeglując tuż przy Cap de las Carbonera, Cartagena i Cap de las Palos, przedstawiły się znowu oczom naszym pobrzeża hiszpańskie. Pierwsza to była nasza podróż morska, połączona po większej części z bojażnią i niewiadomością, gdyż

170

nie wiedzieliśmy wcale, jaki jest cel tej podróży i gdzie nas wiozą, ci niegodziwi ludzie. Przykre było nasze położenie, o! i bardzo smutne, chociaż patron Sennor obchodził się z nami, o ile się zdawało z pozoru, dosyć względnie. Co do żywności, to dawano nam codziennie stokfisz i ryż razem z grochem gotowany, do tego twarde rybackie suchary; potrawy te raz na dzień wydawano; wina było tu pod dostatkiem, lecz o mięsie ani pomyśleć można było, gdyż Hiszpanie na prywatnych okrętach zupełnie mięsa nie znają. Na śniadanie dostawaliśmy kawał surowego stokfisu (bacelon) z cebulą i do tego jak kamień twardy suchar i wino; trzeba było mieć dobre zęby, ażeby te specyały pogryźć i ze smakiem skonsumować. Patron trzymał do usługi czarnego, młodego niewolnika, który na okręcie, co tylko mu rozkazano, wszystko wypełnić i o wszystkim pamiętać musiał; on gotował także i dla nas; każdego z nas do jedzenia oddzielnie zawołać musiał, zaś w razie nieposłuszeństwa dostawał dobre smarowanie, bo był bardzo ostro przez kapitana trzymany. Ten czarny człowiek myślał najwięcej o sobie i siebie więcej cenił aniżeli nas oficerów. I tak, skoro wszyscy majtkowie dobrze podjedli, wtedy dopiero negr smacznie po nich zajadał resztki, a gdy się już nasycił do woli, wtenczas wyskrobawszy ostatki jedzenia z kotła i garnków, złożył je z resztą swojej niedojedzonej stawy na wielkiej blaszanej misce, na której położył także pięć rogowych łyżek, a wysunąwszy nam takową na połowę pokładu (gdzie zwykle razem siedzieliśmy przy wschodnim maszcie koło armat),

171

mówił: como ustas peros (jedźcie, wy psy!). Komplement ten nieprzyjemny powtarzał nam zawsze kiedy tylko ową misę z pokarmem dla nas podawał. Z obawy aby ten czarny negr nie mścił się na nas, nie chcieliśmy skarżyć się przed patronem, za coby niewątpliwie otrzymał bolesne napomnienie. Starszy jeden pomiędzy nami kapitan nic jeść nie chciał, ubolewał nad swoim losem i bezustannie płakał. Pocieszałem go jak mogłem i perswadowałem, że z głodu nie pomrzemy, że im gorzej nam będzie, im więcej będziemy napotykali przykrości i trudu w naszej podróży, tem więcej będziemy mieli co do opowiadania, powróciwszy na naszą ziemię, chociaż sam nie byłem pewny w duszy, czy ją kiedy ujrzemy. Wszelako tą moją radą i żartami zdołałem zawsze uspokoić starego pocziwca, który nareszcie po długim namyśle zjadał z nami te smaczne potrawy, których zgłodniały, wyglądaliśmy z upragnieniem. Każdy z czytelników wyobrazić sobie może, jak wielki był obraz naszych cierpień, gdyż tu najmędrszy nawet człowiek straciłby rozum i nie umiałby sobie radzić.

Dnia 30 Sierpnia nad wieczorem przypłynęliśmy do portu Alicante, gdzie przy brzegu zostaliśmy zaraz przyjęci przez mieszkańców, rozmaitego rodzaju ludzi, obelgami, wygrażaniami i najokropniejszymi przekleństwami. Straż przyjęła nas pod swoją opiekę, broniąc nas i rozpędzając publiczność, albowiem tu musieliśmy przechodzić przez sam środek miasta, na końcu którego w oddaleniu znajdował się trzechpiętrowy szpital, w którym pozostali chorzy i który zarazem miał służyć

172

dla nas za koszary; tu więc oddano nas oficerowi pełniącemu służbę w szpitalu. W tem miejscu zastaliśmy do 60 oficerów naszych, wojennych jeńców, pomiędzy którymi byli Polacy, Włosi, Francuzi, Neapolitańczycy, Szwajcarzy, Sasi, Hollendrzy, Badeńczycy i t. d., którzy tu już oddawna jako jeńcy wojenni osadzeni zostali. Nie potrzeba było długiego czasu do zaznajomienia się z nimi; opowiadali nam zaraz, gdzie i w jaki sposób zostali wzięci. My również opowiadaliśmy im o naszych przygodach, opisaliśmy całą, naszą niedolę i wszystkie okoliczności, które nam przygotowały ten smutny stan naszego losu. Na widok naszych ziomków, których w tymże szpitalu napotkaliśmy, oraz kolegów i ludzi z lepszym wychowaniem, radość zawitała do naszego serca, żeśmy się znajdowali w większym kółku naszych braci i mogli sobie czas lepiej uprzyjemnić.

Biedni nasi żołnierze, którzy w łodziach za nami podążali, osadzeni zostali tu w ciemnym więzieniu wraz z żołnierzami, jacy już od pewnego czasu cierpieli ciężką swoją niedolę, a przez głód zmuszono ich przyjąć służbę w legionach angielskich, które naówczas formowali Anglicy. Adjutantem placu był tu polski oficer ułanów nadwiślańskiej legii, który wypędzony został z naszego wojska skutkiem złego prowadzenia się. Ten to nędznik morzył głodem, karał naszych biednych żołnierzy, tym sposobem zmuszając ich do wstąpienia w służbę; nic więc dziwnego, że ci biedni ludzie, będąc w jego mocy, ulegli takowej. Był to człowiek bez honoru, okryty nikczemnością złych postępów; nazwiska tu jego nie wymieniam, bo niechcę

173

plamić tegoż rodziny. Skoro tylko legia sformowaną została i umundurowaną, wyprawiono ją natychmiast statkiem do Lizbony i tam na ląd takową wysadzono, gdzie pod dowództwem Wellingtona bić się musiała pod Salamanca, Ciudad Rodrigo i Victoria; lecz ci następnie do naszych przeszli, co miało także miejsce przy wylądowaniu Anglików w Vliesingen w Flandryi, gdzie bardzo wielu podobnie zrobiło, i w roku 1814 do Polski nasi powracali.

Anglicy starali się okupioną hańbą, przymusem, kosztem cudzej krwi zbierać laury zwycięstw dla swojego narodu. Wojna ta sprzyjała im po części. Jeszcze mam wiele, kochani czytelnicy, opisać okrucieństw i nieludzkości, jakich się Anglicy i Hiszpanie dopuszczali na wyspie Cabrera względem naszych rodaków.

Tymczasem wracam się jeszcze do nas, oficerów, uwięzionych w szpitalu. Szpital ten zajmował dość duży gmach, o trzech piętrach zbudowany, w którym okna były do połowy zamurowane, drugie zaś połowy okien były opatrzone żelaznymi kratami, a tak byliśmy szczelnie zamknięci i obstawieni naokoło silną strażą. Każdy z nas bez żadnego wyjątku, czy pułkownik, major, kapitan lub porucznik otrzymywał dziennie 6 reals czyli 1½ franka (po hiszpańsku Picottas) t. j. dwa złote polskie, za które to pieniądze musiał utrzymać się zupełnie. Dla każdego 12tu oficerów przeznaczony został jeden tylko żołnierz do usługi, który był podobnie jeńcem; tapczan oddzielny wraz z siennikiem służył nam za łóżce, na którym znajdowała

174

się także i wełniana kołdra. Miejsca te zajęliśmy po słabych wyszłych ze szpitala, lub też zmarłych na świerzbę, bo gdyśmy kołdry trzepali, znaleźliśmy w niej jeszcze kawałki siarki, którą to zwykle tę chorobę leczą. Świerzba (la sarna) jest to wrodzona Hiszpanom

choroba, której wszyscy bez żadnej różnicy stanów podlegają. Kwaterując raz u jednej ze znaczniejszych rodzin, Sennora Patrona, gospodyni domu, spostrzegłem, że ta wraz z córkami (las sennoritas) miała na rękach świerzbę, co sprawiło mi tak wielkie wrażenie,

iż wcale nie jeść nie mogłem. We frontowej części szpitalu, w której właśnie osadzeni byliśmy, stała straż składająca się z jednego oficera i 30 żołnierzy. Nie mając co do roboty, z nudów często wyglądałem oknem, to dało mi sposobność przypatrzeniu się niejednej scenie zwyczajów hiszpańskich, mianowicie, kiedy biskup z Alicante wyszedł w towarzystwie całej świty duchownej na spacer, a idąc zbliżał się ku stojącej warcie, wtedy wszyscy natychmiast do broni wezwani byli. Oficer rozkazał zaraz prezentować broń, poczem żołnierze pozdejmowawszy z głowy kaski i trzymając je w ręku, padali na kolana. Oficer podchodził z opuszczonym pałaszem do biskupa, z gołą głową przyklękając przed nim na jednym kolanie, poczem Jego Ekscelencya przybliżał się do warty i udzielał takowej pastersko-apostolskie błogosławieństwo, za co oficer dziękując całował go w rękę; następnie biskup z całą majestatyczną powagą udawał się w dalszą przechadzkę.

175

Miasto Alicante liczy do 20,000 mieszkańców; tu wznosi się zaraz za miastem na wybrzeżach morza, stary zamek silnie obwarowany; port ten jest bardzo wygodny i bezpieczny dla okrętów podczas burzy. Zakładają tu najpiękniejsze winnice i wino z tychże bywa dosyć mocne i jest koloru ciemno-czerwonego, przytem nader tanie; kwarta (czyli hiszpański poron) kosztuje (ochabos) 15 groszy polskich. Miasto Alicante jest dobrze obwarowane, ale nie silne, żeby mogło wytrzymać wielkie oblężenie; mieści się tu główna rezydencya biskupa, która wspaniale góruje nad innymi budynkami w całej okolicy Alicante.

Dnia 19 Listopada 1811 r. przed świtem jeszcze, czego nie spodziewaliśmy się wcale, wsadzono nas na statek i jaknajprędzej wytransportowano na małą wyspę Tabarca (czyli do Sanct Pablo) o 2 mile od Alicante, a o dobre pół mili od kontynentu oddaloną, a to dla tego, że Polacy i Francuzi pod dowództwem marszałka Suchet zajęli Walencję, a ich przednie straże w Orihuela ukazały się już o dwie mile od Alicante. Mała ta wyspa Tabarca, inaczej Sanct Pablo podług nowego jeograficznego nazwania, na którą nas przywieziono, znajduje się w granicach Hiszpanii; rozległość jej wynosi do 500 stóp długości a 200 szerokości. Ziemia tu powiększej części skalista i do uprawy nie zdatna; co się zaś tyczy budynków, to wznoszą się tu tylko dwie okrągłe wieże, mały kościółek i cztery domy rybackie dobrze zabudowane; nad portem rozciąga się mały bulwark, w stronie zaś północnej na skalistym miejscu przybudowano zaraz kazamatę, która

176

nam oficerom na mieszkanie przeznaczony była. W kazamacie było tak mało miejsca, iż zaledwie mogliśmy się w niej pomieścić; wilgoć na ścianach najokropniejsza, a podłoga zwyczajnymi kamieniami wysadzona służyła nam za łóżko, skutkiem czego pochorowaliśmy się wszyscy. Ciemność będąca w tej kazamacie, odebrała nam chęć zupełną, ażeby na czemkolwiek uprzykrzony czas przepędzić lub uprzyjemnić go sobie. Gdyśmy w niej siedzieli czas długi, a potem wyszli na słońce, to zdawało się nam, jakobyśmy zupełnie wzroku pozbawieni byli. Kazamata stała wzdłuż od strony morza, przeto bałwany bezustannie odbijały się o takową, zaś w nocy podczas wezbrania się morza słyszeliśmy huk i straszny szum rozhukanych bałwanów. To jeszcze byłoby niczem, lecz skoro się rozegrało szalone morze i wielka powstała burza, natenczas było dla nas grobem to ciemne mieszkanie; wtedy dopiero uragan straszny uderzał przeraźliwie o nasze ściany, a wielkie bałwany wznosząc się do góry z rozhukaną siłą

ponad naszą kazamatą, rozpryskiwały się na wszystkie strony, tak, że zalewały otwór w górze będący do wpuszczania światła; gdy burza już zupełnie ustała, musieliśmy wodę na pół łokcia wewnątrz stojącą wynosić, reszta zaś wsiąkała w ziemię pomiędzy kamieniami. Mieszkańcy tej wyspy składali się z samych rybaków, pomiędzy którymi był jeden z żoną z Darmsztadtu; ludzie ci starali się nam dogodzić o ile mogli, zaopatrywali nas w bieliznę i wiele innych robili przysług. Jedyne tylko szczęściem było dla nas, że po całej wyspie dozwolno nam chodzić,

177

możliśmy przeto kąpać się dowoli i łowić ryby, Mnóstwo się tu zbierało ludzi, którzy zajmując się jedynie tylko połowem, pragnęli, jak się zdawało, wyłowić wszystkie ryby; inni znów wydobywali muszle i małe muszelki (morpios) z przepaści, które usmarzywszy w oliwie, z apetytem zjadali na kolację.

My oficerowie zebrawszy się razem, napisaliśmy prośbę i takową przesłaliśmy generał-kapitanowi w Alicante, w której przedstawiliśmy nasze położenie i biedę, jaką tu cierpieliśmy. Chociaż codziennie dochodziło nas 6 reals, lecz na wyspie życie o wiele droższe, szczególnie zaś chleb, niż na kontynencie, którego podczas burzy nawet za pieniądze nie można było dostać. Na naszą prośbę oprócz 6 reals dostawaliśmy jeszcze 1½ funta chleba, z czego byliśmy bardzo zadowoleni, gdyż takowy przybył nam w porę.

Z położenia tej wyspy można wnosić, że niegdyś służyć musiała za przedmieście portu miasta Alicante, dla zabezpieczenia tegoż od napadu rozbójników morskich; w tych murach znajdował się jeszcze proch artyleryjski i rozmaite okrętowe zapasy. Mieszkańcy tej wyspy mieli być bardzo zamożni, lecz za czasów wojny Hiszpanów z Afrykanami zostali zupełnie zrabowani, gdyż rozbójnicy morscy przypływając tu często, zabierali ostatnie ich mienie, uprowadzając ich samych do niewoli; z tej więc przyczyny wyspa ta tak zupełnie zniszczoną została.

Wyspa Tabarca w 1574 r. była widownią najokropniejszej sceny wielkiego morderstwa. Podczas kiedy Uchala z Tunisu, sławny rozbójnik morski, wyspę

178

Małtę zrabował i zupełnie takową zniszczył, natenczas Don Juan d'Austria, syn naturalny Karola Vgo a brat Filipa IIgo, został mianowany komendantem wyspy Cypru, zgromadził tam flotę i sformował wyborną armię. Hiszpanie i Fenicyjanie zabrawszy miasto Tunisu, odebrali także i warownię Galata, lecz następnie komendant hiszpański Don Juan Andre de Osovio musiał zdać tę warownię i sam się w ręce Arabów oddał, aby tym sposobem wolność odzyskać, lecz ogromnego doznał zawodu, gdyż ci przywiozłszy go w jego maurytańskim ubraniu na wyspę Tabarca i tam odciąwszy mu głowę, takową posłali przez renegata z Neapolu do Uchala Fanta, starszego admirała floty tureckiej, który, że mu Hiszpana nie dostawiono żywego, tak się okropnie rozgniewał, iż o mało nie rozkazał powiesić posłanników.¹⁾

Później tę wyspę po Hiszpanach w posiadaniu mieli Genuęńczycy, którzy tu z rybołówstwa oraz połowu pereł i koralu osiągnęli wielkie korzyści. Podczas naszej bytności na wyspie Tabarca kupiecki okręt angielski o parę mil od tej wyspy rozbity został; wszystko poszło do dna, jeden tylko majtek będąc dwa dni rzucany przez bałwany morskie, zaledwie zdołał uratować się na desce, na której bałwany w końcu przypędziły go do naszego brzegu. Wzięliśmy do siebie tego biednego, zgłodniałego, na

¹⁾ § 146, cap. 39 Miguel de Carvantes Savedro, część I, bieg roku 1605.

179

wpół już umarłego człowieka i dołożyliśmy wszelkich starać, aby takowego do sił przywrócić. Stało się zadość naszym życzeniom, bo tenże przyszedłszy do siebie, dziękował nam za opiekę i troskliwość, jakiej od nas doznał, — następnie statkiem angielskim udał się do Alicante.

Spokojność i swoboda, jakiejśmy doznawali na tej wyspie, niespodzianie naraz zakłóconą, została. Dnia 12 Stycznia 1812 r. wsadzono nas na okręta, któremi pożeglowaliśmy do znanego nam portu w Alicante i tu przez dni 6 wyczekiwaliśmy dalszego przeznaczenia. W mieście panowała wielka wrzawa, zdziwieni mieszkańcy gapiąc się na nas, wyrażali nam najokropniej, a majtkowie na kotwicy stojący zdradzali, że Francuzi już blisko miasta.

Dnia 17 Stycznia 1812 r. połowa naszych oficerów na okręcie Chebeque Sto Antonias wytransportowaną została, drugą zaś połowę wysłano na statku zwanym Capota. Ztąd pożeglowaliśmy pod eskortą okrętu korsarskiego, na pokładzie którego znajdowało się 8 armat i który wciąż płynął przy naszym boku. Pod tą eskortą opuściliśmy port Alicante i pożeglowaliśmy dalej, a że wiatr nam sprzyjał pomyślnie, przeto niezadługo przypłynęliśmy do brzegów Sanct Juan, Muchamiel, zkąd dosięgliśmy portu w Benidron, małym pagórkiem zabezpieczonego od napadu rozbójników morskich, oraz silnym zamkiem. Zanim przyszło nam ztąd wyruszyć, dwa dni spoczywaliśmy na kotwicy, gdzie mała próba zemsty hiszpańskiej, już dobrze nam znana, dała się uczuć.

180

Na Chebeque, zwanej Santa Antonios, na którym i ja się znajdowałem, był sternik imieniem Antonio, człowiek nadzwyczaj wesoły i przyjemny, który nie tylko podczas podróży, lecz nawet na kotwicy w porcie, zabawiał nas rozmaitemi dowcipami i żartami, pobudzając nas ciągle do śmiechu; dobrze umiał robić bronią, w porcie zaś pod Benidrom wciąż strzelał do przelatujących około okrętu morskich jaskółek, i bardzo wiele ich nazabijał. Razu jednego przyszedł mu koncept do głowy, ażeby trafić kulą w kawał korkowego drzewa, które przymocowane było w kształcie małej owalnej beczulki służącej sternikom w czasie podróży jako perpendykuł. Wiadomo, że korkowe drzewo zawsze pływa, przeto żeglarzom morskim potrzebne do przywiązania kotwicy, którą zapuszczają w morze; drzewo to służy za wskazujący znak, gdzie się takowa znajduje. Jeżeli morze jest spokojne, natenczas beczulka ta pływa na powierzchni tegoż, lecz podczas naszej żeglugi właśnie całe się morze wzruszyło, co sprawiło, iż ów korkowy znak falami wody na wszystkie strony był miotany, i w tym to właśnie czasie sternik chciał zręczność swoją okazać: wystrzelił i rzeczywiście trafił w korkowe drzewo, lecz kula odbiwszy się od takowego, tak silnie uderzyła w trzy maszty naprzeciw statku naszego równolegle stojące, że o mało nie położyła na miejscu trupem majtkę na jednym z tych okrętów będącego. Widząc to kapitan okrętu, którego majtek raniony kulą został, zażądał czem prędzej dwa czółna, w które wsiadłszy z 20stu

majtkami uzbrojonymi w fuzye, pałasze i długie noże, niezdługo przybyli do naszego okrętu, a spostrzegłszy, że jesteśmy cudzoziemcami i do tego jeńcami wojennymi, pałali tem większą żądzą zemsty, chcąc na nas raptem uderzyć. Jeden z naszych oficerów starał się z zimną krwią tę sprawę zaspokoić, tłumaczył, że niespodziewanym wypadkiem kula się odbiła, dodając przy tem, że jeżeli to uważają za występki godny kary, to takową winien ponieść ten, kto wystrzelił, my zaś jesteśmy tylko jeńcami wojennymi i nie mamy broni. Zapalczywość zemsty tych ludzi morskich była tak wielka, że wszelkie perswazyje i usprawiedliwiania się zostały bezskuteczne i już mieli ze sobą zabrać za karę trzech oficerów, lecz jeden z przybyłych nareszcie przyznał, że sprawcę czynu należy ukarać. Winowajca nasz korzystając z tej wrzawy i hałasu, ze strachu skrył się na statku pomiędzy kufry i pakunki, lecz to mało mu pomogło; bo wkrótce odnaleziony został. Drżący i lękliwy, stanął przed swoim mścicielem, lecz kapitan bez żadnego tłumaczenia rozkazał go majtkom do czółna zabrać i do okrętu sąsiedniego dostawić. Po upływie dwóch godzin dopiero wrócił do nas nasz poczciwy Antonio, zostawiwszy tam swój dobry humor, jaki miał zawsze, gdyż za karę, jak nam mówił, kapitanowi okrętu złożyć musiał znaczną sumę pieniędzy, bo inaczej nie chcieli go wypuścić. Długo jeszcze przeklinał, nie mogąc zapomnieć poniesionej straty, którąby rad chciał choć w części odzyskać, lecz to już było daremne.

182

Dnia 20 Stycznia przedsięwzięliśmy dalszą naszą podróż, gdzie wyruszywszy razem z 19 kupieckimi statkami, dnia 25 tegoż miesiąca ujrzeliśmy przed sobą wyspę Majorka, lecz straszliwy wichur, który przed wieczorem się zerwał, nie dozwolił nam wpłynąć do portu, pędząc nas od Palma ku zachodniej stronie, skutkiem czego po ciągłych usiłowaniach i trudach zaledwie dosięgliśmy Majorki od strony zachodniej, w porcie Landreche, lecz i tu nie byliśmy pewni, gdyż jedna kotwica naszego okrętu oderwaną została i dla tej przyczyny nasz Santa Antonios przywiązany został grubemi linami do drzew nad brzegiem morza stojących. Następnego dnia ustała ta straszliwa burza, poczem ani jeden z 19 okrętów, które razem z naszym wypłynęły, nie dał się widzieć, ponieważ te będąc popędzone przez burzę na głębiny oceanu, rozpieczęły się na różne strony.

Wyżeglłowaliśmy ztąd dalej i dopiero dnia 27 Stycznia zdołaliśmy się dostać do portu przed Palma położonego. Tu przybywszy; radość wstąpiła w nas, albowiem wiele doznaliśmy bojaźni i dużo musieliśmy wycierpieć podczas tej morskiej podróży na statkach Santa Antonios i Capota. Nędzne te statki więcej uważane być mogły za czółna rybackie, niż za okręty, którymi w czasie burzy potrzeba było płynąć. Wnętrze tego statku nie zawierało więcej jak 20 łokci długości i 10 szerokości, a pod pokładem było okrągłe sklepienie „Bordage“ na pół łokcia wysokie. Mały statek podczas burzy bywa więcej unoszony i szybciej płynie niżeli duży, przeto nasz z powodu swej lekkości

183

tak się kołysał bezustannie, że wcale na nogach ustać nie można było, na czworakach więc tylko czołgaliśmy się, chcąc się dostać z jednego miejsca na drugie. Nieustanne to kołysanie sprawiło nam wielką nieprzyjemność, tak dalece że pochorowaliśmy się prawie wszyscy w tym czasie.

Przybywszy do portu w Palma, zatrzymaliśmy się tam na kotwicy dnia 29 Stycznia. Generał kapitan wysp Balearskich nie chciał nas przyjąć, mówiąc, że nie ma dla nas żywności, ani też funduszu na utrzymanie, i że kto nas ujął, ten powinien nas i żywić. Radziliśmy mu, że najsluszniej by zrobił, gdyby nas odesłał do Tarragoni lub Barcelony, do naszych, gdzieby nam dano żywność i całkowite utrzymanie — lecz rada ta żadnego skutku nie odniosła; popłynęliśmy więc dalej. Pocieszono nas, że zawiezieni będziemy na wyspy Kanaryjskie, gdzie wszystko w obfitości mieć będziemy. Jeszcze więc tego samego dnia wyskortowano nas na statek angielski zwany Triton i pod sam wieczór pożeglłowaliśmy dalej.

Okręt ten był nadzwyczajnej wielkości, zawierał w sobie ogromną przestrzeń, był opatrzonej trzema wielkimi masztami, 4ma armatami i 13 ludźmi składających załogę. On służył jedynie tylko dla dostawy flotom żywności, wojska, koni, amunicji i t. d., i należał do floty, która stała na kotwicy w porcie Mahore (*powinno być chyba Mahon*).

Kapitan tegoż okrętu, lat około 40 mieć mogący, był to człowiek zacny, pełen ludzkości, który zdawał się mieć wiele współczucia dla nas, litując się nad

184

naszym nieszczęśliwym losem, obchodził się z nami bardzo grzecznie i uprzyjemniał nam czas. Przy pomocy małego wiatru wciąż płynęliśmy na wschód, obok wyspy Cabrera, o której dalej nieco obszerniej napiszę.

Dnia następnego popołudniu, gdyśmy już połowę drogi od Majorka ku Minorki przebyli, w części więc mogliśmy obliczyć z przebytej przestrzeni i czasu, że przy tak niepomyślnym wietrze jeszcze noc następną i cały dzień potrzeba płynąć, aby drugą połowę przebyć. Któryż to człowiek nie dąży do swobody? — i kto się nie stara o użycie możebnych środków, aby takową uzyskać i dopiąć swojego celu a tym sposobem zdobyć wolność na zawsze? I my też właśnie pragnęliśmy odzyskać ją, a nastroczając się sposobność potem, ułożyliśmy plan następujący: Liczba naszych wraz z żołnierzami dla nas do usługi przeznaczonych, wynosiła 90 ludzi. Na statku zaś był tylko kapitan i 13 ludzi osady okrętowej, co razem wynosiło 14 osób, przeto siła ich była od naszej znacznie mniejszą. Ufni więc w dobroć i ludzkość kapitana, który do tej pory okazywał nam wiele życzliwości, zamierzaliśmy go przeto wzruszyć prośbami, aby zawiózłszy nas do pierwszego lepszego portu; na ląd wysadził i następnie udał się w swoją drogę; mógłby się tenże bardzo łatwo usprawiedliwić tłumaczeniem, że do tego przeważną siłą i gwałtem był zagniony i że okręt pozostawiono mu tylko ze szczególnym względem i wyjątkową oględnością. Plan ten przy pierwszym wyładowaniu chcieliśmy na piśmie mu podać, lecz przy bliższem zastanowieniu się i większej rozwadze, przysłaliśmy do

185

przekonania, że kapitan tego dobrowolnie uczynić nie może i że do tego kroku najlepiej będzie go zmusić, nie wyrządzając mu nic złego, a w razie gdyby się opierał naszemu żądaniu, natenczas mieliśmy zamiar kapitana wraz z jego osadą zaprowadzić pod pokład okrętu i tamże postawić naszych żołnierzy na wartę, aby całą załogę uwięzić. Co do dalszej żeglugi, to byliśmy zupełnie spokojni, nie mając najmniejszej obawy pod tym względem, gdyż pomiędzy nami znajdowało się dwóch wprawnych francuzkich oficerów marynarki, oraz jeden jeńiec kapitan okrętu z Raguzy w Dalmacyi; perspektywa była także pod ręką, jak również żywność i t. d. Nic nam przeto więcej nie pozostawało, jak tylko wypełniwszy przedsięwzięty zamiar, jaknajspieszniej wyładować w porcie, w którym się znajdowali nasi, a wydostawszy się tym sposobem na wolność, poczciwego kapitana wraz z jego osadą i

okrętem zostawić w zupełnej swobodzie, żegnając tegoż w prawdziwej przyjaźni, w słowach życzliwych i pełnych wdzięczności. Plan nasz był doskonały i zdawał się nie robić żadnych przeszkód, ponieważ wszyscy oficerowie, jako też i inni ludzie rozmaitej narodowości, zachowując bacznie tajemnicę, chętnie się na to zgodzili.

Około godziny 12 w nocy podług zegaru wiszącego nad kompasem a znajdującego się wogóle na każdym angielskim wojennym statku, mieliśmy nasz plan przyprowadzić do skutku. Lecz wystawcie sobie, kochani czytelnicy, jak wielkie było zdziwienie i przerażenie nasze, skoro o godzinie 10ej

186

wieczór, gdyśmy się już spać pokładli, zostaliśmy przebudzeni przez majtków uzbrojonych w nabite bronie i pałasze (zwykle o tej godzinie wielu już spało, to na pokładzie, to w innym jakimkolwiek miejscu, jednym słowem gdzie kto mógł); ci zapędziwszy nas pod pokład okrętu, zamknęli mocno drzwi i obstawili je silną strażą z nabitą bronią. Zdrada, ten nikczemny potwór czynności ludzkich, który nurtując w społeczeństwie pojedyncze jednostki, często staje się przyczyną upadku całych narodów; ta właśnie zdrada i do nas się zakradła: zostaliśmy zdradzeni, a to w sposób następujący.

Pomiędzy oficerami do niewoli wziętymi był także jeden oficer Nassauczyk z Wilburga, podporucznik strzelców S..... Ten będąc w Bremie kupczykiem miał sposobność wyuczenia się dobrze języka angielskiego, a zatem przybywszy na Triton, zaznajomił

się zaraz z majtkami, a niezdługo i z samym kapitanem, udawał tłumacza, gdzie tego potrzeba wymagała w języku angielskim, prześiadując najczęściej w kajucie razem z kapitanem, od którego za swoje fałszywe pochlebstwa dostawał lepsze od nas utrzymanie. My powierzyliśmy jemu jako przyjacielowi całą umówioną tajemnicę, nie przewidując że ten nas zdradzi. Nikczemny pochlebca i sam by uzyskał wolność skutkiem tej tajemnicy sposobem daleko szlachetniejszym i nie wtrąciłby tylu ludzi do ciężkiego więzienia, w którym odtąd podczas całej żeglugi byliśmy silnie strzeżeni i dręczeni za nasze uprojektowane pomysły. Zasmuceni najokropniej, że

187

plany nasze mające odnieść tak pomyślny skutek spełzły na niczem i to jeszcze z przyczyny koleżeńskiej zdrady, popadliśmy w okropną rozpacz. Dnia następnego t. j. 2 Lutego, przybyliśmy już nad wieczorem do portu Mahon. Nazajutrz *pocziwy* nasz porucznik Nassauczyk znikł raz na zawsze od nas z okrętu Triton; pewno ten ptaszek za swoje haniebne rzemiosło otrzymał dobre wynagrodzenie a zarazem odzyskał i wolność. Kapitan naszego Tritona musiał zdać raport admirałowi angielskiej floty, stale tu stojącemu w porcie, gdyż w tej chwili dla zabezpieczenia się przesadzono nas na inny liniowy okręt mający nazwę „Orlando“, uzbrojony 94 armatami. Tu nas wygodniej pomieścili; to było nieprzewidziane szczęście, wydostawszy się z rąk tych barbarzyńskich

Hiszpanów, i od tego czasu będąc pomiędzy Anglikami na ich okręcie, traktowano nas w inny sposób i zupełnie się inaczej z nami obchodzono; tu poznaliśmy przecie, że jesteśmy pomiędzy ludźmi więcej wychowanymi i znającymi prawa wojenne. Regularnie codziennie rano i w południe dostawaliśmy żywność, składającą się z dobrych potraw — jednym słowem mówiąc, woleliśmy pozostać w niewoli u Anglików, niżeli u Hiszpanów.

Sprawa nasza w Mahon nie prędko została rozstrzygniętą, przeto staliśmy trzy dni na kotwicy w porcie. Port Mahon tak przez żeglarzy zwany, wraz z miastem 1738 r. za czasów Filipa V króla hiszpańskiego oraz Gibraltarem pokojem zawartym w Utrechcie Anglikom odstąpiony został, którego Ferdynand VI

188

nie mógł napowrót odzyskać, dopiero Karolowi III przy zawarciu pokoju wersalskiego wraz z wyspą Minorką przyznany został, lecz Anglicy nie wydali takowych. Miasto i port ten w roku 1782 znowu przez Francuzów wspólnie z Hiszpanami zdobyte zostały.

Przestrzeń powierzchni zawiera od 9 do 12 mil kwadratowych, zaś największa wysokość na niej gór nad poziom morza wynosi do 2000 stóp: Miasto to liczy 45,000 ludności, tu znajduje się 21 kościołów i tyleż prawie klasztorów, między którymi jest kościół katedralny, przy którym mieści się wspaniały pałac biskupa. Port Mahon godny jest także widzenia, gdyż pewno najmocniejszy i najbezpieczniejszy na całym morzu Śródziemnem. Przestrzeń przy wejściu do niego tak jest wąska, że stojąc na brzegach jeden do drugiego z ręcznej broni wystrzelić może. Z tej więc przyczyny okręta tylko przy dobrym wietrze przypłynąć do niego mogą, zaś jeśli jest wiatr niepomyślny, natenczas bardzo trudno do portu tego zawinąć. Zatoka ta na pół mili wzdłuż się ciągnąca, coraz się więcej ku miastu rozszerza i tak jest głęboką, że największe okręta liniowe stoją tu na kotwicy przy porcie. Na środku portu znajduje się mała wyspa i budynki przeznaczone na kwarantannę. Przy samem wejściu do portu rozstawione są z obu stron silne fortyfikacje, ciągnące się do samego miasta. Baterie po większej części powystawiane są z kwadratowych kamieni na 2 i 3 piętra wysokie, jedne na drugich ustawione. Silny i dobrze obwarowany port, za czasów Richelieu podczas wojen morskich przeciw Hiszpanii w roku 1722 i 1723 przez

189

Francuzów bardzo zniszczony został. Mahon jest głównym punktem stacyi floty angielskiej i najwięcej przez nich zajęty, z kąd najdogodniejszy ten punkt połączony dla żeglugi morzem Śródziemnem, stanowił dla Anglików wielką korzyść, gdyż wysłać mogli na morze Śródziemne swoje okręta. Całe miasto i wszystkie warownie napełnione były Anglikami. Trzy dni stojąc w tym porcie, mieliśmy sposobność przypatrzenia się wielkiej liczbie okrętów angielskich, na kotwicy stojących i będących własnością tegoż narodu; wielkich okrętów wojennych było 36 i mnóstwo pomniejszych statków, Rozciągały się tak daleko, iż zaledwie dosięgnąć okiem ich można było, a pomiędzy niemi był jeden okręt główny, starszego admirała, obwarowany 100 armatami, stał w samym środku na kotwicy. Człowiek odchodził od zmysłów, patrząc na tak wielkie mnóstwo okrętów uwijających się w rozmaite strony, z których wysiadało wielu oficerów floty różnych rang wraz z żołnierzami na ląd i codziennie odbywali musztrę; ta wielka masa statków płynących z portu i do niego wpływających napełnioną była ludźmi rozmaitej narodowości. Patrząc na to wszystko a wieczorem słuchając hucznej muzyki wojennej, na okrętach grającej, która najwięcej nas rozweselała, uprzyjemniając smutną naszą niedolę, — tak byliśmy zajęci, iż na chwilę zapominaliśmy gdzie jesteśmy.

Po upływie trzech dni dopiero oznajmiono nam, że gubernator angielski również nas przyjąć nie chce, skutkiem czego dnia 6 lutego 1812 r. podniósłszy kotwicę statku Orlando, opuściliśmy port Mahon i napowrót

190

do Majorki pożeglowali. Okręt ten był jeszcze zupełnie nowy i bardzo porządnie zbudowany. Oficerowie i inni Anglicy na okręcie będący uprzejmie się z nami obchodzili. Kapitan okrętu (wymieniam tu całe jego nazwisko, gdyż na to zasłużył) George Claevel, człowiek dumny i zarozumiały egoista, Anglik, kiedy spostrzegł żeśmy z podwładnymi jego rozmawiali, surowo zabraniał im wdawać się z nami w gawędkę; sam mówił po francuzku. Człowiek ten niegodziwy ani raz nie raczył nas obdarzyć swoim łaskawym spojrzeniem. Co się zaś tyczy utrzymania, to można powiedzieć, że było nam tu lepiej niż na innych statkach. Rano na śniadanie dostawaliśmy zupę z kakao i do tego suchary żeglarskie, twarde jak kamień, na obiad 8 do 12 łutów w morskiej wodzie gotowanej wieprzowiny, parę łyżek słonego rosółu i grochu, a czasami tylko na wielkie wety angielski buding z mąki, łojem lub jakimkolwiek tłuszczem okraszony, do tego także suchary jak rano i szklaneczkę czystego rumu (jamaika). Wszystko to było tak słone, że aby tylko zaspokoić głód, z wielkim przymusem jedliśmy. Pragnienie po takim obiedzie trudno było zaspokoić nawet najśodsza wodą sprowadzaną na okręt, która będąc na wpół zgniłą, wydzielona nam była miarkami; kto zaś wiele pił po tych słonych potrawach, dostawał najokropniejszych mdłości, od czego bardzo wielu naszych mocno zachorowało. Co wieczór spędzano nas jak owce do jednej gromady, pomiędzy armaty, do oddalonego piętra baterii, poczem opasano nas naokoło liną jak bydłęta i silną strażą obstawiono. Tu mieliśmy tak mało miejsca,

191

iż nie można się było położyć; najwyżej jeden lub paru więcej osłabionych mogli znaleźć pomieszczenia, inni zaś to stojąc, to oparłszy się o swojego towarzysza lub w inny sposób najniewygodniej noce przepędzali. Nakoniec tułaliśmy się tak przez czas długi po morzu, bez żadnego celu, wygody i życia, a nawet jakiego takiego spoczynku, do którego i nędzarcz oddycha, bo i to nam odmówiono; a głównie do tego przyczynił się ten dumny i bez serca Anglik, — o! była to boleść dla nas nie do opisanania!

Podczas dwudniowej naszej żeglugi największa na morzu panowała cisza, tak, iż zaledwie z miejsca wyruszyć byliśmy w stanie; w tym czasie odbywano na okręcie musztrę, oraz próby z palnej broni i armat, strzelając wciąż na ślepo; a ze strzelnic na statku będących dawano odrazu ze wszystkich armat ognia ku jednej stronie. Wszystko, cośmy widzieli na tych statkach, było dla nas nowością, najwięcej zaś rozrywki sprawiała nam ich musztra, a będąc teje tylko niemymi świadkami, zaspakajaliśmy swą ciekawość i to nas z ciężkiego strapienia jako tako do życia rozbudzało.

Dnia 9 Lutego 1812 r. po obiedzie statek nasz zatrzymał się w porcie Palma. Kapitan okrętu ubrany w pełnej formie, udał się do hiszpańskiego generał-kapitana de Coupigni w zamiarze aby przyjął nas na wyspę Majorka, lecz generał ten dał odmowną jak i poprzednio odpowiedź. Rozgniewany tem nasz Anglik, powróciwszy zaraz na pokład swojego okrętu, rozkazał natychmiast wszystkie łódki od okrętu odczepić

192

i na nich nas pomieścić, dodając do każdej łodzi silną eskortę, składającą się z dobrze uzbrojonych żołnierzy morskiej floty, którzy wypełniając rozkaz złośliwego Anglika, pożeglowali z nami jaknajspieszej do kwarantanny. Jednocześnie też na małym czółnie w pośrodku nas płynął kapitan, czując się jeszcze dumniejszym, że pod silną eskortą i tak znaczną ekspedycją transportować nas może. Zbliżając się do brzegu ku kwarantannie i kiedy już byliśmy od warty na brzegu stojącej o dobry wystrzał oddaleni, oficer hiszpański tamże na warcie będący, gdy spostrzegł, że w czterech wielkich czółnach zbrojno zbliżamy się wprost ku ich straży do lądu, posunął się z swym oddziałem nad sam brzeg morza i krzyczał z całej siły: „Nie zbliżajcie się, bo inaczej dam ognia!” Lecz nasz Anglik nie zważając na to, wrzasnął jeszcze bardziej: „God dem spains!” żeglując ciągle naprzód i nabijając broń. Widząc to Hiszpanie na brzegu stojący, toż samo robili, i nareszcie znecierpliwieni wymierzali już broń gotową do wystrzału, co też i nasi Anglicy jednocześnie uczynić zamierzali — lecz powstrzymawszy się, żaden, tak z naszej jak z ich strony nie wystrzelił, a gdyśmy się już zbliżali do brzegu, będąc najdalej od warty o sześć lub ośm kroków oddaleni, natenczas powstał z obu stron komenderujących krzyk i największy hałas. Była to prawdziwa scena sięgająca czasów barbarzyństwa. Niegodziwy Anglik krzyczał na żołnierzy swoich, aby nas jaknajprędzej z czółen wypędzali, Hiszpanie wywierając swą złość, odpychali nas od brzegu bagnetami zastępowali

193

drogę wydostania się na ląd, — a ponieważ do brzegu przybić nie pozwolili, przeto Anglicy z czółen gwałtem pospychali nas do wody, skutkiem czego musieliśmy brnąć w wodzie po kolana do brzegu; wtenczas byliśmy prawdziwą pastwą tych nielitościwych ludzi. Po długim naigrywaniu pozwolono nam jednak wydostać się na ląd; tu oficer hiszpański zaraz sformował szereg swojej straży, krzycząc: — „Ani kroku dalej!” i otoczył nas takową przy brzegu. Tymczasem uszczęśliwiony Anglik, że tak łatwo pozbył się swojego towaru, przeklinając, wygrażał pięścią Hiszpanom i krzyczał: „God dem bleks!” — o mało co że nie przyszło do bokowania, w którym delikatny Hiszpan byłby niezawodnie Anglika do brzegu przyciągnął. Anglicy wróciwszy do swego okrętu, podnieśli kotwicę, a rozpuściwszy żagle puścili się na otwarte morze i niezadługo zupełnie znikli nam z oczu. Hiszpański oficer otrzymał surowe polecenie od generał-kapitana, ażeby na ląd nas wcale nie przyjmował; przeto spodziewając się nagany, przeklinał Anglika za jego napaść i oszustwo.

Osądźcież więc, szanowni czytelnicy, czyliż nie byliśmy pastwą losu, który igrał z nami, rzucając nas jak piłkę w tę i ową stronę. Z przyjęciem nas każdy się wymawiał i uchylał, a puścić żaden nie chciał; Anglik narzucając nas Hiszpanowi, a Hiszpan napowrót Anglikom, i tak robili sobie z nas zupełną igraszkę, a my nieszczęśliwi cierpieć musieliśmy. Będąc na jednych i drugich statkach, mieliśmy

194

sposobność i czas zauważyć, że pomiędzy Anglikiem i Hiszpanem panował jakiś antypatyczny wstręt i odraza; może to skutkiem zupełnie różnego sposobu życia i zaspakajania swych potrzeb, do których każdy Anglik czuje odrazę, lub też różnicy religii. Lecz podobno jedno z drugim w połączeniu jest tego przyczyną. Anglik zaś gardził Hiszpanem, że obok niego położyć się nie chciał z powodu robactwa i świerzby, w jakie ten naród obfituje; Hiszpan znów twierdził o Angliku: „El tento, este burachon non teene alguna religion” (że jest fantastyk, opity i że nie ma religii).

Przy porcie tym będąc obstawieni silną strażą przez sześć godzin oczekiwaliśmy z niecierpliwością jakiego skutku, t. j. gdzie odesłani będziemy. Nareszcie przyszedł rozkaz przez generał-kapitana wydany, aby nas zawieźli do zamku Belweder, niedaleko od miasta Palma oddalonego, po Maurach na wysokiej górze będącym.

Ucieszeni, że się już raz skończy 34-dniowa podróż po morzu, a z nią ponoszone boleści i przykre trudy, nie przewidywaliśmy, że tu biedzie naszej jeszcze nie koniec, i że takowa z każdym dniem coraz więcej wzmacniać się będzie. Nędzna

nasza odzież spadała z nas zupełnie, gdyż nie zdejmując jej wcale, spaliśmy tak w ubraniu zwykle na gołej podłodze, a zatem trudno było utrzymać ją w naturalnym porządku. Z najwyższej łaski generał-kapitana otrzymaliśmy przeznaczony żołd, od którego odciągano każdemu dziennie 2 reals, tak, że od daty

195

tej dostawaliśmy tylko 4 reale dziennie. Wystąpiliśmy przeto z prośbą do generał kapitana, przedstawiając mu swoje smutne położenie, oraz nadmieniliśmy, że oficerowie hiszpańscy będąc jeńcami we Francji lepiej są płatni, a zatem należałoby i nam powiększyć dzienny żołd, abyśmy się mogli chociaż jakkolwiek utrzymać. I cóż na to odpowiedziała nam ta hiszpańska moralność i filozofia? Oto, że jako oficerom dobrze wiadomem być powinno, iż pomiędzy nami znajdują się majorzy i pułkownicy, którzy zarówno ze swymi podwładnymi są uważani, a oni na rangi jeńców zupełnie nie uważają, że w więzieniu komenderować już nie mogą. Taką więc odpowiedzią musieliśmy się kontentować, pobierając dziennie tylko cztery reale, bez względu, że życie tu na wyspie daleko było droższe aniżeli w innej stronie.

Przybywszy do zamku Belweder, zastaliśmy kilku z naszych oficerów jako jeńców, których przytransportowano tu z Walencji; a podczas naszej bytności przybyło jeszcze 9 oficerów z Kartageny, liczba przeto naszych zwiększyła się do 120 osób. Zamek Belweder oddalony jest tylko od miasta Palma o dobry wystrzał armatni, leży na wysokiej górze maurytańskim stylem zbudowany z kwadratowych kamieni; okna znajdują się tylko wewnątrz zamku w pośród okrągłego dziedzińca, który bardzo pięknie wyłożony jest popielatymi flizami. W dziedzińcu znajduje się cysterna do łapania wody deszczowej, która do picia i gotowania jest tu bardzo przydatna. Wodę tę, zanim mogła być użyta, trzeba było koniecznie wpierw przygotować,

196

gdyż pływały w niej małe czerwone robaczki, prócz tego stojąc długo w cysternie, wydzielała nader nieprzyjemną woń, a podczas napływu świeżego deszczu rozchodziło się z niej zgniłe, cuchnące powietrze, które nie pozwalało używać jej w naturalnym stanie. Ściany Belwederu zbudowane są z samych kwadratowych kamieni w okrąg do samego wierzchu, na których wznosi się dach płaski, gdzie prowadzą obszerne wygodne schody kamienne. Wolno nam było wchodzić na dach i używać świeżego powietrza, co przy naszej biedzie i niedostatku przynajmniej to uprzyjemniało nam czas, albowiem patrząc z tej wysokości na miasto Palma, kościoły i niebotyczne wieże, oraz na całe okolice do niego przylegające, zachwycaliśmy się tak pysznym i czarującym widokiem; prócz tego widać ztąd było tysiące okrętów, porozrzucanych tu i owdzie na wielkim obszarze morza, ciągnących się tak daleko, iż okiem ludzkim trudno było dosięgnąć ich końca; jedne znajdowały się w porcie, inne znów żeglowały w rozmaitych kierunkach ku południowi i na północ, odznaczając się tylko różnej narodowości powiewającymi banderami. Jeszcze ładniejszy przedstawiają tu widok odbijające się góry, które piętrząc się jedne ponad drugimi, tworzą jakby najpiękniejsze tarasy. Puig de Bon Ain zarośnięte są samą zielonością, wzniesione na 5000 stóp nad powierzchnią morza, tworząc z natury stopniowo najcudniejsze ubarwione groty tak malownicze, że nic nie wyrówna ich piękności. Czyste i pogodne niebo jeszcze więcej nadawało powabu całej naturze odbijając się ponad morzem,

197

które zdawało się stykać z najwyższymi wierzchołkami tych gór. Patrząc z największym złudzeniem przez całe dnie, trudno się było nasycić wspaniałym i uroczym widokiem tak czarującej natury, — ależ niestety! w żołądku mieliśmy pusto i głodno, innego nam przeto posiłku potrzeba było, aby duch poezyi i fantazyi wzmocniony fizycznymi siłami, mógł wyrzec: „Oto niczego mi tu nie potrzeba.“

Wyspa Majorka jest największa z wysp Balearskich, rozległość jej wynosi 63 mil kwadratowych; mieszkańców liczy 150,000, ziemia wogóle jest tu bardzo urodzajną pomimo wielkich i niezdolnych upałów; w stronie północnej jest nieco górzysta; klimat z przyczyny wiatrów od strony morza wiejących jest dosyć przyjemny, nocie zaś są tak zimne, że śpiąc trudno było wytrzymać nawet pod kołdrami zimowemi.

Miasto Palma liczy do 4000 mieszkańców, tu wznosi się pałac dawniejszych królów, 3 kastele, jeden nowy pałac i rezydencya biskupa. Warownię zamku składają cztery bastiony z tyłuż wysokimi wieżami, które postawione są pod cyrkiel, zaś cały zamek otoczony jest wysokimi murowanymi groblami, do którego prowadzi jedno tylko wejście przez wiszący most. Mając w sąsiedztwie niedaleko wyspę Cabrera, zamierzam przeto i o niej nieco nadmienić, na której Hiszpanie 6 lub 7 lat główną rolę postępowania barbarzyńskiego odgrywali, odznaczając się nieludzkością, wystawiając tylu ludzi na ofiarę swoich niegodziwych zabaw. Okrucieństwa i straszne ich sceny dały mi powód do skreślenia tak niegodnego postępowania

198

i przekonany jestem, że wielu z czytelników podzieli słuszne moje zdanie iż żaden naród europejski tak srogo nie pastwił się nad jeńcami, jak ci niegodziwi Hiszpanie.

Wyspa Cabrera należy do wysp Balearskich, jest czwartą, z pomiędzy większych, przedstawiającą płaszczyznę na 4 mile kwadratowe rozległą. Nazwa tej wyspy pochodzi od nazwiska pewnego rodzaju kóz dziko niegdyś po górach i skałach żyjących; kozy te z powodu zupełnie odmiennego gatunku nazwane zostały przez Hiszpanów Cabrera, od czego wyspa ta otrzymała nazwę „la Isla de Cabrera“ co znaczy wyspa kóz. Po większej części poprzerynana jest górami, skałami i przepaściami, a przeto prawie niezamieszkałą, gdyż tylko przy małej zatoce ku północnej stronie wznosi się stara wieża bez żadnej osady; wyspa ta nie posiada także dobrego wylądowania.

Ponieważ na wyspie Majorka nie mogli być wszyscy pomieszczeni, z obawy aby mieszkańcy Majorki nie zarazili się prawdziwą ich ludzkością, — jak Majorkinie się wyrażali, — przeto generał-kapitan wysp Balearskich urządził depôt i wszystkich naszych jeńców, żołnierzy, oficerów i podporuczników wyprawił na tę dziką i bezludną pustynię. Jeńcy rozmaitych nacyi od początku wojny byli tu transportowani, na łód porzuceni i oddani swemu losowi. Liczba ich raz się powiększała, to znów zmniejszała, gdyż biedacy musieli tu z głodu umierać, lub też w najgorszym razie poddawać się haniebnym werbunkom Anglików, którzy umyślnie w tym celu okrętem tu dojeżdżali i odwozili na swoje osady tych

199

nieszczęśliwych. Chociaż werbunki i śmiertelność bardzo wielu niszczyły, jednakże znaczna jeszcze była ich liczba, od 4 do 5000 ludzi dochodziła i gdyby nie to, z pewnością, wyspa ta byłaby przeludnioną temi nieszczęśliwymi jeńcami. Jakkolwiek ze strony hiszpańskiego rządu ci biedni mieli żołd przeznaczony, nie otrzymywali żadnego, prócz tylko nędznego pożywienia składającego się z obrzydliwego stokfisu, bobu i racyi chleba, a co trzy dni pędzono ich jak bydłęta do wody, aby okropne pragnienie

zaspokoić na chwilę. Zkąd ci biedni ludzie mogli dostać naczyń, aby sobie co ugotować, gdyż na tej spustoszonej wyspie nawet kupić nic nie można było, a jeżeli na morzu przez kilka dni panowała burza, to i tej nędznej żywności wcale im nie dostarczano z wyspy Majorki; przeto ci nieszczęśliwi wystawieni byli na wielki głód, największą męczarnię i rozpacz. Albowiem głód sprawia dokuczliwą boleść i zupełne ubezwładnienie ciała, po którym następuje niedługo śmiertelność, nic więc dziwnego, że te biedaki ratując się przed głodową śmiercią, sprzedawali marynarzom, którzy tu przywozili żywność z Majorki, ostatnie swoje ubranie, jakie mieli na sobie, lub też zamieniali takowe wprost na żywność, którą marynarze z łaski swojej raczyli im udzielać. Przemądrzali majtkowie transportowali tu różne wiktuały, wino, tytoń, wódkę i inne produkty, a to wszystko dla swojego zysku i korzyści. Nieszczęśliwi jeńcy pozbywszy się odzieży, chodzili nago! prawie wszyscy nago! Z ostateczności uganieli się po skałach i przepaściach za dzikim pastwem, które zaledwie obsmoliwszy na

200

węgłu i popiele z wielką chciwością połykali; łapali także po jaskiniach dzikie króliki i zabijając takowe przyrządzali zupełnie surowe potrawy. A ponieważ bardzo wielu strzelców polowało na te króliki, skutkiem czego wszystkie wyniszczone zostały, powstały ztąd sprzeczki, następnie wydzierania zdobyczy przez mocniejszego słabszemu, a w najciaśniejszych i bezludnych stronach tej wyspy, głód, ów nieprzyjaciel ciała, doprowadzał nawet do morderstwa, a nikt się nie zapytał, gdzie się podziewają tu ludzie. W tych czasach panowała na wyspie Cabrera prawdziwa anarchia, gorsza aniżeli u dzikich ludzi, a przecież władza hiszpańska dobrze o tem wiedziała, lecz nie mogąc zapobiedz temu, a nie mając innego miejsca, aby tak znaczną liczbę jeńców pomieścić mogła, stała się zupełnie neutralną, albowiem wtenczas cała prawie Hiszpania była już w rękach Francuzów, powtórnie byli także egoiści, którzy patrzyli obojętnym okiem, jak się Francuzi sami zabijali.

Porucznik francuzkich dragonów Vial, jeniec, przyjął na siebie czynności komendanta wyspy Cabrera, on dla wszystkich jeńców przyjmował żywność i każdemu dostatecznie ją wydzielał; ten człowiek wiele się poświęcał, aby nieszczęśliwych swoich współbraci do porządku i subordynacji doprowadzić, bardzo wiele sobie zadawał trudu i pracy i w najmoralniejszy sposób postępował z nimi, skłaniając ich namową i perswazyą ażeby cierpliwie w religii i z poddaniem się woli Boga swą smutną niedolę znosili, z mężstwem i stałym charakterem do końca oczekiwali swego przeznaczenia,

201

lecz daremne były wszystkie jego usiłowania i zabiegi; nareszcie i jemu samemu sprzykrzyły się te okrucieństwa. Widząc, że jego dobre chęci i zamiary do niczego lepszego nie doprowadzą, a tylko jemu samemu jeszcze szkodę przynieść mogą, odniósł się przeto do naszego gubernatora, aby mu pozwolił przenieść się do nas na Belweder, na co się gubernator zgodził. Boże! jakże ten nieszczęśliwy jeniec wyglądał!... Nie było na nim widać najmniejszego podobieństwa do oficera, żółty, wygłodzony, ze zgryzot i kłopotów tak opadł z sił i z ciała, iż zaledwie tylko kości pociągnięte były na wpół obnażoną skórę. Tak samo wyglądał porucznik Pfister, Szwajcar, który 3 lata przepędził na wyspie Cabrera, na koniec dostawszy pomieszczenia zmysłów, przybył do nas; mieliśmy z nim bardzo wiele trudów, gdyż ciągłe paroksyzmy raz zmniejszały się, to znów się powiększały. Porucznik Vial opuścił swych towarzyszy jęczących w niewoli pod jarzmem Hiszpanów na Cabrera; po jego oddaleniu się dopiero w pełnym rozmiarze wybuchło okrucieństwo anarchii na tej wyspie.

Razu jednego ci nieszczęśliwi jeńcy napadli na okręt, który przybył z żywnością i o mało co zupełnie go nie zburzyli. Wielka ich liczba popłynęła łódką do okrętu, mając zamiar gwałtem na niego napaść, majtków pozabijać i sami na nim do Francji uciekać lecz majtkowie spostrzegłszy ich zdaleka, dali ognia, niektórzy przeto zostali w wodzie zabici, inni zaś zdołali się uratować ucieczką napowrót na wyspę.

202

Drugi zaś oddział składający się z 12 żołnierzy z gwardyi marynarki, wystarał się o sprzęty rzemieślnicze na ten cel służące i w odleglejszej stronie Cabrery, gdzie nikt nie zwiedzał tej części okolicy, pomiędzy przepaściami i rozpadlinami blisko pobrzeża zbudowali łódkę z roztrzaskanych części okrętów, które woda na brzeg powyrzucała, oraz z dzikiego bukszpanu, którego tu mnóstwo w wielkich pniach wyrasta.

Statek ten budowali pół roku, a zrobiwszy z cząstek swych ubiorów żagle i rozpuściwszy takowe, śmiało puścili się na otwarte morze, a te ich szczęśliwie do Tarragony zaniosły; tam bardzo dobrze przyjęci zostali przez francuzkiego komendanta i sownie za swój pomysł wynagrodzeni byli, a czołno ich zostało wystawione na pamiątkę w rynku na widok publiczny. — Krótko mówiąc, jeńcy rozmaitych się środków i sposobów chwyтали, aby tylko jakimkolwiek cudem uwolnić się z tej męczącej niedoli, jaką była wyspa Cabrera.

Jeden ułan z legii nadwiślańskiej, któremu to życie dręczące zupełnie się już sprzykrzyło, będąc trawiony głodem, w odległej przeto urwistej stronie zabił Francuza, który wyszedł za zdobyczą, mając przy sobie kawałek chleba, co było właśnie przyczyną tej wielkiej zbrodni. Po dokonaniu morderstwa wyrzucił mu kawałek ciała na brzuchu, a wyjąwszy z niego wątrobę, resztę ciała zagrzebał w ziemię, i tak powrócił z tą zdobyczą do swoich towarzyszy, nic nie mówiąc, usmarzył mięso na węglach i wspólnie z kapralem zjadł takowe, a gdy się już dobrze nakarmił,

203

dopiero wyznał przed swym kolegą, zbrodnię, jaką popełnił, dodając, że chociaż raz przed śmiercią nasycił się mięsem do woli.

Występek ten tak okropne zrobił wrażenie na innych podoficerach francuzkich, że związali go natychmiast i odesłali do hiszpańskiej władzy w Majorka na Belweder, przed którą śmiało i otwarcie wyznał, iż życie doczesne stało mu się nieznośnem i że raz jeszcze przed śmiercią postanowił najeść się mięsa do sytości. Zbrodniarz ten, ponieważ po hiszpańsku dobrze nie mówił, zawezwano przeto trzech oficerów z jego pułku, którzy za tłumaczyłów służyli, spisano protokół i po podpisaniu przez takowych ów żołnierz natychmiast rozstrzelanym został.

Zdaje się niepodobnem do uwierzenia, do jakiego stopnia dochodziły tu występkami nieludzkości: dzikość narodu i największa zbrodnia, — a jednak rzeczywiście tak było; lecz całą winę przypisać tu należy rządowi hiszpańskiemu, który mając jeńców wojennych, trapił ich nędzą na pustyniach i morzył głodem, a więcej jeszcze Francuzom, którzy palając nienawiścią ku Anglikom, przyjmować u nich służby nie chcieli.

Niewolnicy pozostając na tej wyspie czas jakiś, utworzyli z niej miasto, powystawiali domy, pomiędzy którymi urządzone były ulice, place i t. d., nadając takowym nazwę od ważniejszych ulic i pałaców w Paryżu będących, zaś samemu miastu dali nazwę Napoleonville. Rzecz naturalna, że były tam domy jak baraki, z kamieni tylko i z gliny zlepane, pokryte

słomą, z których tak samo niejedne nosiły nazwę domów w Paryżu będących.

W 1812 r. pomiędzy tymi nieszczęśliwymi ludźmi powstała zaraza, tak wielka, iż do stu ich dziennie bez żadnej pomocy umierało i ciała ich tak leżały nieopogrzebane. Jeżeli którego z nich przywieźli do szpitala w Palma, to wszystkie wnętrzości jego i cały organizm już tak był zbolaty i wycieńczony, że stanu choroby trudno było rozpoznać, aby go do zdrowia przywrócić. W moich oczach razu jednego podawano takiemuż choremu trochę wina, ażeby wzmocnił swe siły i kawałek biszkopiku, ależ niestety! tenże zaraz umarł, mając same tylko kości skórą spieczoną od słońca pokryte, długą zarośniętą brodę i słaby głos do człowieczego już nie podobny. Posługacz w szpitalu przy chorych będący, przynosił wielki kosz z sobą, gdyż często z wyspy Cabrera chorych przywożono, do którego po dwóch skurczonych, zwiniętych w kłębek wsadzał i spieszными krokami takowych jak zwierzęta na plecach do sali, gdzie byli chorzy, zanosił, lecz ci wszyscy będąc bardzo słabi, a w tej chwili tak nielitościwie męczeni, wkrótce poumierali.

Wszelkie te następstwa pochodziły z zażartości generał-kapitana na wyspach Balearskich, z dzikiego życia i surowych pokarmów, w których ci ludzie tyle lat przetrwać musieli. Cały ich posiłek dzienny składał się z kawałka stoktisu w popiele upieczonego, z czego skorbut, żółta febra i wiele innych zaraźliwych wywiązywało się chorób. Serce się krajało z litości, patrząc na tak straszliwe męczarnie i słysząc

jęczenie tak znacznej liczby nieszczęśliwych współbraci.

Tu mistrz w całym znaczeniu okazał swą sztukę w okrucieństwie zbrodni tyranizowania ludzi. Czyliż ci ludzie nie mogli być użytecznymi w inny sposób, jak jeńcy wojenni w innych krajach, jak n. p. we Francji, którzy chociaż za małe wynagrodzenie wyznaczeni bywają do robót publicznych, fortec, po gościach, co jest zaszczytnem dla rządu, wygodą dla społeczeństwa i dobrem dla nich samych; albo inaczej czyliż nie można było zająć ich przemysłem? ponieważ wielu z nich znało dobrze takowe, ale nie męczyć ich tak głodową śmiercią. Wielu z pozostałych jeńców zaledwie przypomnieć sobie mogło, że byli kiedyś ludźmi. Wyobraźcież sobie, do jakiego stopnia doszli zdziczali i zezwierzęceni ci nieszczęśliwi.

Wspomnienie to dla Hiszpanii po wszystkie czasy pozostanie pamiętnem, okryte niezatartą hańbą, podłością a więcej okropnem obchodzeniem się z jeńcami. Wyspa ta jako punkt tych zbrodni i występków nieludzkości, wiecznie pamiętną będzie dla historii, gdyż tu popełnione były największe morderstwa zdziczałych niewolników, którzy będąc zagrzebani na wieki na tej nędznej ziemi, oczekują pomsty i sprawiedliwości Boga. Całą winę tu przypisać należy generał-kapitanowi, na którym najwięcej polegało. My byliśmy świadkami naoczными wszelkich okrucieństw; aż d reszcie przejmują na ich wspomnienie, — lecz Bóg, najpotężniejszy Sędzia, Ten jeden widział wszystko; i On wypłaci każdemu podług zasłużonej kary.

Wspomnienie to, które skreśliłem, sprawia smutne na mnie wrażenie, lecz krzywda wyrządzona ludzkości nie pozostanie nigdy bez rezultatu, zachowując słuszne oburzenie i wzdargę dla Hiszpanii, która tak wielkich nadużyć dopuszczała się względem moich towarzyszy broni.

Dotychczas żadne jeszcze pismo nie objawiło tych okrucieństw, jakich się dopuszczali Hiszpanie na wyspie Cabrera. Hiszpanie wprawdzie najdokładniejsze pod tym względem mogliby zdać sprawozdanie, lecz dla swojej własnej hańby czyżby się odważyli to uczynić? Tem więcej poczuwałem się do obowiązku skreślenia w mych pamiętnikach, ażeby wszystkim wiadomo było, jak się Hiszpanie ze swymi jeńcami obchodzili, a może pismo moje dojdzie do rąk niejednej familii, która powrotu męża, brata lub syna z niecierpliwością oczekiwała, a ten już wcale nie powrócił. — Wracam teraz do dalszej mojej historii.

Wciąż siedząc zamknięty w starym zamku Belweder aż do połowy Lipca 1812 roku, zebrałem znajomość z kilku oficerami angielskimi, którzy za pozwoleniem gubernatora odwiedzali nas często; tu dozwolono było 6 oficerom francuzkim wychodzić za mur zamku. Oficerowie ci dnia następnego zaproszeni zostali przez oficerów angielskich do hotelu na obiad, więc pod eskortą dwóch (milicianos) inwalidów do miasta odprowadzeni zostali. Anglicy przyjmowali wszystkim czem tylko mogli, aby swych gości jak najlepiej ufetować. Po skończonej uczcie wysłali jednego inwalidę do miasta

za kupnem jakiejś rzeczy, a gdy się ten oddalił, wtedy wysłali znów drugiego i chętnie to polecenie wypełnili, za co przez Anglików bywa straż hojnie nagrodzoną i uczęstowaną. Tymczasem owi oficerowie francuzcy, którzy udali się z Anglikami na obiad, wysunęli się bocznymi drzwiami hotelu wraz z Anglikami, a pospieszwszy się czempredziej do brzegu morza, wsiedli na statek z rozwiniętymi już stojący żaglami, który był na pogotowiu umyślnie w tym celu trzymany, i popłynęli czempredziej do Peniuscucla niedaleko Tarragony, zawdzięczając oswobodzenie swoje tymże ludzkim angielskim oficerom, którzy dawszy im na drogę pieniędzy, wysadzili i puścili ich na wolność. Za uwolnienie tych sześciu oficerów my za to szczerze odpokutować musieliśmy, gdyż gubernator dowiedziawszy się o tem, rozkazał nas pod zamknięciem i pod silniejszą strażą bacznie pilnować i na wyspę Ivica wytransportować. Wskutek tego zostaliśmy wysłani na statku korsarskim, umyślnie dla nas przez gubernatora wynajętym (el Angel de la Guardia) t. j. stróż Anioł nazywanym.

Dnia 29 Lipca 1812 r. pożeglowaliśmy na tym okręcie Aniele Stróżu, który był dla nas prawdziwym piekłem: na pokładzie miał on 4 armaty, lecz był bardzo mały dla pomieszczenia 160 oficerów i żołnierzy wraz z eskortą składającą się z 50 ludzi żołnierzy hiszpańskich oraz 20 majtków. My zebrani jeńcy wszyscy pomieszczeni byliśmy wewnątrz pod pokładem okrętu, gdzie wiele skrzyń znajdujących się w tak małej przestrzeni zabierały bardzo dużo

miejsca. To też siedzieliśmy jak śledzie jeden na drugim ściśnieni, a żadnemu z nas nie wolno było wyjść na pokład, tylko za szczególną potrzebą natury wyprowadzali nas po jednym. Straż i majtkowie wciąż byli z bronią przy wejściu na dalszy pokład, mający najwięcej dwa łokcie kwadratowe przestrzeni. Sześciu żołnierzy ciągle stojących na warcie z nabita bronią i z pikami w rękę, wołało bezustannie. „Siedzieć spokojnie! niech się tylko który z was ruszy, to zabiję na miejscu jak psa.“

Dnia tego był straszliwy upał, gdyż termometr morski 35° ciepła okazywał, morze było zupełnie spokojne, cisza panowała jak nigdy, nie było nawet najmniejszego wiatru, a zaś w naszej ciasnocie napełnionej tylu ludźmi, upał dochodził prawie do 45, powietrze było cuchnące i duszne. Będąc tak ściśnieni i nie mając naturalnego do oddychania powietrza, bardzo wielu rozchorowało się na dobre, tak że mdleli bezustannie, szczególnie będący w podeszłych już latach. My widząc ich w tak smutnem położeniu, żadnej pomocy im podać nie byliśmy w stanie. Ja sam chociaż byłem w sile wieku, oraz mając czerstwe zdrowie, jednakże skutkiem tak dusznego upału zostałem prawie bezsilny, wprawiony będąc w pewien rodzaj odurzenia i zupełnego omdlenia; ratowałem się jak tylko mogłem, trzymając wciąż otwarte usta do góry, ku otworowi, aby uchwycić nieco świeżego powietrza. Nie pomagały tu żadne prośby, abyśmy się nie podusili, wszelkie błagania tych nieszczęśliwych ludzi były daremne

209

i bezskuteczne. Bóg dobrotliwy dopomógł nam, że przecież w nocy doczekaliśmy się wiatru, jakkolwiek podróż ta była przykrą i utrudzającą, i gdyby jeszcze 24 godzin tak dłużej potrwała, natenczas wszyscy najniezawodniej przypłacilibyśmy życiem.

Jednak szczęśliwie przybyliśmy do portu Iwica ¹⁾ dnia 1 Sierpnia, gdzie nas na ląd wysadzono i następnie w cytadelli umieszczono; tu, uważali się mieć nas bezpieczniejszymi niżeli w innym miejscu. Liniowa ta fortyfikacja leży na szczycie wysokiej góry, gdzie nas do pustego miejsca wsadzono i zamknięto. Wyspa Iwica oraz miasto tegoż samego nazwiska było ostatniem miejscem naszej niewoli, gdzie od 1go Sierpnia 1812 r. aż do 2 maja 1814 r. stale już pozostaliśmy. Na wyspie tej mieliśmy gorzej, aniżeli w innych miejscowościach wysp Balearskich, gdyż wciąż byliśmy pod ścisłą strażą i ciągle zamknięci. Stary pułkownik i zarazem komendant (un teniente coronel), był to człowiek nadzwyczaj nieprzystępny, a podania i prośby dotyczące się litości lub łaski byłyby daremne, nawet myśleć o tem nie można było. Mieszkał on również na górze w cytadelli i spoglądał na nas z góry wzgardliwym i imponującym wzrokiem Argusa; to też i powierzchowność jego nadawała mu cechę zdradzającą urząd jaki piastował. Byliśmy mu bardzo na sercu, życzeniem jego było, abyśmy mieli wszystkiego pod dostatkiem, ale wszelkie obietnice na niczem zawsze

¹⁾ Hiszpanie piszą Iwica, a wymawiają Iwisa.

210

spełzły, ubolewając niby nad naszym przykrem położeniem, swoje szczerze chęci objawiał nam najczęściej temi słowy: „Idźcie z Bogiem, idźcie z Bogiem!” (Ave Maria purissima) i z tem wychodził od nas jak zwykle. Cóż więc od niego mogliśmy żądać, chyba trochę świeżego powietrza, lecz i to było wzbudzone. Zawsze tylko te słowa od niego zadawolniające słyszeliśmy, nic dobrego nam nie okazał, wyjść nawet na świeże powietrze nie pozwalał, wyjrzeć oknem i to srogo zabraniał. Ubiór zwykle nosił wojskowy; trzewiki z wielkimi srebrnymi sprzączkami, długie jedwabne pończochy, krótkie czarne szarawary, także ze sprzączkami przy boku, frak niebieski spadający niżej kolan z wielkimi metalowymi guzikami, długą czerwoną kamizelę obszytą złotem i frendlami, na ramionach stare złote wytarte epolety, stara peruka pełna tłuszczu z długimi lokami z obu stron twarzy spadającymi, sztywno wypomadowanymi i wielki harcab; oraz siatka jedwabna na głowie, która utrzymywała każdy włos w swoim porządku, tak, jak on nas utrzymywał; dalej, stary trójkątny kapelusz en bataille, pałasz przy boku i w ręku długa hiszpańska trzcina; przytem jego krępa, mała figura wybornie pasowała do tego komicznego kostiumu. W tym stroju odwiedzał nas kilka razy na tydzień w więzieniu.

Pomiędzy naszymi oficerami znajdowali się niektórzy uzdolnieni w malarstwie i rysunkach; ci przeto przypatrując się zblizka dokładnie pułkownikowi, jak najakuratniej jego portret w tym oryginalnym kostiumie odrobili, tak dobrze, że na pierwszy rzut oka od

211

razu można były poznać naszego starego komendanta. Piękny ten obraz (Contrefe), mający dwie stopy wysokości, w koszarach w sali przez nas zajmowanej zawieszonym został na ścianie. Gdy do uszu starego komendanta doszło o naszej pracy, odtąd już nigdy do nas nie zajął i nie pozdrawiał swojemi słowy „Ave Maria purissima”, lecz postanowił od tej pory trzymać nas ściślej w zamknięciu, utrzymując i powtarzając często, że wielu złych ludzi znajduje się pomiędzy mieszkańcami, głównie zaś pomiędzy rybakami i majtkami, że chcąc zabezpieczyć nas tym sposobem od nienawiści i złych zamiarów tych ludzi, musi konieczne trzymać nas tak w zamknięciu i ojcowską opiekę rozciągać, abyśmy w razie niebezpieczeństwa pewni być mogli; że zadowoleni być powinniśmy, siedząc spokojnie zamknięci a on będzie czuwał nad nami. Po części prawda, miał rację, gdyż nieraz już miało miejsce, że mieszkańcy rzucali się na jeńców z przekleństwami i najgorszymi obrażającymi słowy, oraz wygrażali się najwięcej, wówczas gdy się dowiedzieli, że nasi w Kontynent zwyciężają. Przysłowie mówi, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło; to też władza hiszpańska dobrze znając nienawiść mieszkańców ku nam, może i lepiej zrobiła, trzymając nas w ścisłym zamknięciu, lecz w każdym razie był to los bardzo smutny i nieszczęśliwy, albowiem będąc odłączeni od świata i ludzi, sami sobie wystarczyć musieliśmy, aby jakimkolwiek bądź sposobem uprzyjemniać chwile nudów i tęsknoty. Nic mnie tak nie dręczyło i nie powiększało cierpień jak nuda, nad którą podobno nie ma nic nieznowniejszego.

212

Żywność tu daleko była droższa niż na wyspach Balearskich. Żołnierze nasi, którzy byli nam dani do usługi, załatwiali codziennie kupno żywności w mieście, wychodzili pod eskortą inwalidów hiszpańskich; nie dosyć że ci nas często oszukiwali, lecz jeszcze inwalidom trzeba było dobrze wynagradzać. Podzieliwszy się na małe partye po 12, w każdej z tych jeden bogatszy oficer utrzymywał rachunki tygodniowo. Dostawialiśmy dziennie 4 reale (40 polskich groszy) i bułkę chleba trzy funty wagi, która kosztowała jeden real. O mięsie wołowem ani pomyśleć tu można było, gdyż mieszkańcy tutejsi nawet smaku takowego nie znają, jedzą tylko mięso mułów, osłów i kozie. Funt takiego mięsa płacą po 3 reale. Podczas wielkich świąt, jakto Bożego Narodzenia, Wielkanocy i t. d., dokładaliśmy po parę sous więcej, któreśmy z dni innych zaoszczędzili. Nakupiwszy głów baranich i kości, gdyż na mięso nie wystarczało nam pieniędzy, przyrządzaliśmy lepsze potrawy w te dnie; codziennie zaś życie nasze było nędzniejsze, ponieważ składało się z bobu, jarmużu, z makaronem, ryżu, a niekiedy stokfisu, świeżych ryb, fig, winogron, oraz innych owoców południowych, Potrawy te jednak ludziom północnej sfery nie dodawały sił, ani dobrego posiłku, chociaż

przyprawiane były małą ilością oliwy, bo masła wcale tu nie znają. Wino było tanie, lecz po tak nędznych potrawach, mając prawie puste żołądki, nie mogliśmy pić tak mocnego wina, rozbieraliśmy przeto je na pół z wodą. Czas ten przeżyliśmy prawie bez chleba. Zaledwie wstawszy od stołu,

213

już byliśmy głodnymi, wyczekując z upragnieniem kolacyi, po której również nienasyceń wstawszy, pokładaliśmy się spać prawie z pustymi żołądkami z myślą, że nazajutrz wstanimy łaknąc jeszcze więcej pokarmu, i tak zawodząc się, zawsze głodni byliśmy. Ubranie z nas już spadało, potrzeba więc było koniecznie parę groszy oszczędzić, ażeby kupić chociaż koszulę i inne podtrzymać odzież, żeby robactwo nas nie gnębiło. Całe nasze ubranie składało się z koszuli nankinowej, oraz takichże pantalionów i pary trzewików które nam służyły na lato i na zimę. Bez żadnej różnicy, czy latem, czy zimą, spaliśmy na gołej podłodze. Jeżeli powietrze było łagodne, wtenczas chodziliśmy całymi dniami w koszulach, a surdut spoczywał na gwoździu. Bieliznę każdy sobie prać musiał; jeżeli który zajmował się tą konieczną pracą, to musiał na pół rozebrany skutecznie takową, poczem wieszał ją na oknie, suszył na poczekaniu na słońcu, następnie wymaglowawszy ją w rękę, wkładał zaraz na siebie; co ośm dni odbywała się ta czynność, radząc sobie sami jak mogliśmy. Brody nam porosły jak kapucynom, gdyż ktoby tam golił nie mając czem; cyrulików zaś wcale nie było, to też Hiszpanie nazywali nas „*ilos oficiales capucinos*“. Francuzi byli najdomyślniejsi, wpadłszy na koncept, iż pracą można co zarobić, skutkiem czego chcieli sobie krytyczne położenie polepszyć i męczące nudy pokonać; wyrabiali więc najdoskonalej pierścionki z włosów, różnego koloru z napisami, branzolety, obwódki do włosów, sznurki; inni robili guziki, drudzy znów obrabiali je jedwabiem rozmaitego gatunku, lub też wyrabiali z rogów noże,

214

widelce, łyżki i inne t. p. przedmioty. Inni widząc, że Francuzi cośkolwiek zarabiają swą pracą, i że tym sposobem lepiej żyć i ubierać się mogą, za ich przykładem poszli także, ażeby i oni coś zarobić mogli.

Wielu pomiędzy nami znajdowało się ludzi z talentem i zręcznością, wszyscy przeto rzucili się do pracy i 2 sale więzienia naszego na 2gim piętrze będące, naraz zamieniły się w wielką rękodzielnię; na dolnem zaś piętrze mieli kwaterę nasi żołnierze. Wyrabiano najpiękniejsze pudełka wyklejane, misterne klatki; poczem powstała tokarnia, wynalazcą której był autor niniejszego pisma, na której oprócz wielu małych rzeczy, toczono tysiące foremek do guzików z oliwnego drzewa, z kości, z rogu i z perłowej macicy; przyjmowano także do reparacyi stare skrzypce, gitary; nawet zegar z drzewa był zupełnie wykończony. Majster później przyjął za czeladnika czyli pomocnika oficera, któremu od 8 do 10 sous płać dziennie; niektórzy znosili drzewo, rogi, i tym sposobem każdy znalazł jakiegokolwiek zajęcie. Ruch ten i pospiech często wywołały nader śmieszne sceny pomiędzy mieszkańcami, albowiem jeżeli kto nie chciał zapłacić tyle ile żądano za reperacye, w takim razie roboty wcaleśmy nie oddawali. Ponieważ wydawanie wszelkich robót skuteczniało się przez krótko, gdyż do nas nie wolno było wchodzić nikomu, przeto więc z obu stron powstawały kłótnie i sprzeczki. Dla przepędzenia czasu Francuz udzielał lekcyi Niemcowi, a Niemiec Francuzowi; jeden od drugiego słów, czytania i pisanie uczył się z wielką pilnością. Niektórzy brali lekcyę

215

na flecie, inni znów malowali obrazki i wizerunki świętych, lecz towar ten nie miał żadnego odbytu, albowiem Hiszpanie nie uważali tych za swoich świętych, przeto malarze ci musieli zbankrutować; ze złości więc wykleili wszystkie ściany swojej kazermy temi obrazami. Najwięcej mógł tu zarobić krawiec, gdyż skoro tylko kto miał co do zrobienia, dawał mu, płacąc zaraz po skończonej robocie; słowem niektórzy dosyć dobrze zarabiali niespodziewając się tego siedząc w więzieniu.

W tym czasie Anglicy formowali nową legię składającą się z 6000 silnych ludzi, których musieli zacząwszy od czapki aż do obuwia w całej formie wyekwipować, roboty przeto te po większej części oddane były naszym, gdyż pomiędzy nami najwięcej było krawców. Główny krawiec hiszpański w mieście mieszkający wziął te roboty w entreprzyę, a nie mogąc sam takowych na oznaczony termin wykończyć, oddał je przeto naszemu pułkownikowi, który był właśnie przedtem w tej robocie wydoskonalił się dobrze z potrzeby; ten więc przykrawał zaraz po paręset każdego garnituru, a wzięwszy wszystkich oficerów, którzy szyć umieli, utrzymywał kontrolę i po wykończeniu roboty zaraz wypłacał naszym. Każdy wziął sztukę do roboty podług zdolności i upodobania, i tak od razu można było ujrzeć od 30 do 40 krawców szyjących, między którymi byli: podporucznicy, porucznicy, majorzy, kapitanowie, pułkownicy, ozdobieni na piersiach dwoma lub trzema orderami różnej narodowości; trzeba było widzieć tych obrońców kraju, siedzących na podłodze i czempredziej z największym pospiechem

216

szyjących. Często przy tej pracy wesoło śpiewali pieśni wojenne, do których akompaniowali na gitarze ci, co niezdolni byli do pracy. Włosi byli najlepszymi śpiewakami, których też w tej grupie najwięcej się znajdowało. Dwóch z naszych oficerów występowało już przedtem w teatrze medyjołańskim w operze, bo rzeczywiście cudnie śpiewali, słuchaliśmy ich z prawdziwą przyjemnością i zadowoleniem, — serce ożyło i kazało zapomnieć o wszelkich doznanych cierpieniach. Tyle więc dni i tygodni beczynnym w nudach przebytych, jedna tylko teraz praca nam je wynagrodziła.

Zajęcie takie sprawiło, że nie tylko mogliśmy zarobić pieniądze, które podtrzymywały nasz znośniejszy byt, ale nadto jeszcze nie jeden żart i scena ubarwiała takowe; skutkiem czego nieraz doznawaliśmy nie tylko wesołego humoru, ale nadto zapomnieliśmy o przykrem naszym położeniu; co widocznem jest, że człowiek przy pracy lub jakimkolwiek zajęciu zawsze będzie wesołym i rześwym, nie tylko sam siebie, lecz i drugich rozerwać i zabawić może. Przytaczam tu jedno zdarzenie, które nas najwięcej zabawiło.

Pomiędzy nami był kapitan H., który z Kontyngentu nadreńskiej konfederacyi z swym oddziałem składającym się z 50 dragonów, wziętym został do niewoli przez sławnego wodza guerillasów Mina. Kapitan ten prawdziwy szwab, nic sobie z tego nie robiąc, był nadzwyczaj jowialny i wesoły człowiek; ze śmiechem przyjmował wszelkie żarty, czyniąc toż samo ze swej strony, nie obrażając nikogo; był przy tem szczególnym

217

zwolennikiem dobrego jedzenia i picia, przez co wyrabiał w sobie zawsze czerstwy i wesoły humor, lecz pijąc umiarkowanie nie okazywał nigdy po sobie śladów nietrzeźwości, chociaż czuł się najszczęśliwszym w świecie człowiekiem, mając przed sobą postawiony kieliszek. Dnia jednego założył się z kapitanem F. z wojska badeńskiego, że zje na raz 60 jaj sadzonych; zrobiono

więc zakład o 6 butelek wina. Przyniesiono rądel, oliwę i jaja, kapitan F. sam przyprawił te potrawę, a my wszyscy oficerowie otoczywszy go do koła, byliśmy widzami tej prawdziwej sceny. Wbił jaja w smażącą się oliwę na rądel, tyle ile się ich zmieścić mogło, a gdy już gotowe były, wtedy kapitan H. uzbrojony drewnianą łyżką, rozpoczął szturm do tych niewinnych stworzeń, zaś kapitan F. uważając pilnie, głośno liczył takowe, a my będąc świadkami wyczekiwaliśmy z niecierpliwością na którą stronę przeważy się zwycięstwo. Pierwsze 20 jaj zjadł prędko i z apetytem, drugą połowę już wolniej po 40-tu do 50-ciu jeszcze wolniej, nareszcie od pięćdziesięciu zaczął się krztusić; na co z pomiędzy nas jeden kapitan francuzki odezwał się do niego: „Oh, il ne les mangera pas!” Tak, tak, odpowiedział kapitan H., mów ty sobie po francuzku, a ja dla tego zjem wszystko, i rzeczywiście od jednego razu skonsumował całą kopę jaj. Szczycąc się tem zwycięstwem, że wygrał sześć butelek wina, ten dzień najweselej przepędził, lecz dnia następnego nie był już w tak dobrem usposobieniu, jednakże zawsze przy swym zdrowym i wesołym humorze. Pewnego razu odwiedziło nas sześciu oficerów

218

floty angielskiej, którzy otrzymawszy pozwolenie od naszego komendanta, zwiedzili wszystkie nasze warsztaty; ci patrzyli na nas pilnie pracujących, lecz osobliwie zwrócili uwagę na kujących wielkim młotem kowalskim, z litością przeto w milczeniu spoglądali jeden na drugiego, poczem pożegnawszy nas najuprzejmiej, opuścili nasze koszary. Wychodząc z koszar jeszcze raz poszli do komendanta z podziękowaniem, że pozwolił nas odwiedzić, prosząc go zarazem, aby dał nam więcej swobody i wolności, lecz tenże tego nie uczynił.

Nazajutrz ze wspaniałomyślności i ludzkości tychże oficerów, otrzymaliśmy z okrętu angielskiego wiele rozmaitych podarunków, jako to: dwa oksefty czerwonego wina, dwie beczki pekelflejszu i słoniny, 24 worki sucharów morskich, fasę oliwy, sążęń drzewa, siekierę i wiele innych t. p. rzeczy. Wszystko to rozdzielone było pomiędzy nas przez naszego starego pułkownika, podług proporcji. Po dokonanej repartycji jeszcze każdy z nas otrzymał 24 kwarty wina, 8 funtów mięsa i słoniny, 36 sucharów, jedną kwartę oliwy; prócz tego ci poczciwi i szlachetni Anglicy zostawili znaczną sumę pieniędzy, którą pułkownik zatrzymał na czas naszego wyjścia z niewoli. Te dary dobroczynne ofiarowane przez nich, wystarczały nam na długi czas; i do dziś jeszcze dziękuję tym pełnym ludzkości oficerom angielskim. Staremu komendantowi nie podobała się ta wyrządzona łaska, gdyż okazując nieukontentowanie mawiał, że „kot nie opuści kota.”

Od tego czasu mając pod dostatkiem pożywienia,

219

przepędzaliśmy dnie bardzo wesoło w więzieniu; a co więcej wyborne czerwone wino w dobry nas humor wprawiało, że nieraz nawet długie wieczory zimowe przyjemnie i w wesołości nam przechodziły, gdyż włoscy oficerowie urządzili tu z marionetek piękne widowisko. Entré kosztowało jedno sous. Ponieważ włosi mają utalentowaną zręczność, przeto przedstawiali tu śmieszne i komiczne sceny. Sam nawet komendant bywał na przedstawieniach w kostiumie swoim z dwoma hiszpańskimi oficerami; trzymając się jak zwykle swych uwag i napomnień, lecz w końcu będąc zabawiony figlami przedstawianymi przez włochów, śmiał się do rozpuku.

Pomimo jednak tych wszystkich zabaw i dostatków żywności, nie czuliśmy się jeszcze zupełnie szczęśliwymi, gdyż brakowało nam rzeczy najważniejszej, — swobody, do której oddychaliśmy ciągle; bo któż nie pragnąłby wolności! wszak każde żyjące stworzenie nawet najmniejsze, oddycha do swobody, do tego prawa wolności. Cóż dopiero człowiek, istota najwyższa z pomiędzy wszystkich istot żyjących, który oddycha do wolnej pracy, aby owocami tejże mógł się podzielić z bliźniemi, oraz być ulgą swoim towarzyszom, współbraciom, i słyszeć to wszystko, czego potrzeba jego wiedzy wymaga; albowiem to jest celem życia naszego. Wprawdzie, że i tu pracowaliśmy, lecz bez celu: żaden z nas nie widział, matki, ojca, żony ani brata, gdyż ci daleko od nas oddaleni byli, nie miał więc z kim podzielić swojej prawdziwej pracy.

Trzech naszych oficerów, to jest, francuzki porucznik grenadierów Grenier, francuzki liniowy

220

porucznik Larent z innego pułku i porucznik polski, z legii nadwiślańskiej, pierwszego pułku nazwiskiem Narwojn, będąc silni i odważni ludzie, chcieli się ratować ucieczką, lecz te przedsięwzięte plany nie udały się im wcale. W małym dziedzińcu zaraz przy koszarach, gdzie nam wolno było wychodzić, i gdzie się znajdowała nasza kuchnia, w przyległym budynku w kształcie paterny znajdowała się w murze fałszywa brama, której była mała furtka zawsze zamkniętą przez szpary co teje dojrzeć można było na dół prowadzące schody.

Ci trzej oficerowie powzięli jakąś wiadomość, że z tych schodów idzie się do podziemnej dróżki, która prowadzi pod parapet z góry na dół, a następnie przez rów do drogi głównej, Chemin Couvert, gdzie wznosił się dosyć gruby i wysoki mur. Umyślili więc ucieczkę przez paternę i zachowali w największej tajemnicy swój zamiar wydostania się na wolność. Dnia jednego zaopatrzywszy się w dwa bochenki chleba oraz skręciwszy z prześcieradeł długą linę, starannie ukryli się na górze przy kuchni na dziedzińcu będącej, gdzie wszyscy bawiliśmy się aż do zmierzchu, następnie na noc zaprowadzeni byliśmy pod silną strażą do koszar. Podoficer, który nas zwykle wprowadzał do więzienia, liczył każdego pojednemu z osobna, i następnie zamykał nas na klucz. Tym razem także nie zaniedbał tego uczynić, lecz sądząc że się może omylił, przez prędkość nie uważał na to, że trzech oficerów brakuje. Liczba ta zdawała mu się być zupełną,

221

poczem zamknąwszy jak zwykle drzwi na klucz, udał się spać do swego mieszkania.

Ci trzej ukryci zeszli w nocy szczęśliwie z góry, a otworzywszy furtkę paterny w podwórzu, zeszli ze schodów i drogą podziemną udało się im przejść pod parapet przez rów na Chemin Couvert, gdzie znalazłszy się na wysokim murze, za pomocą przyszykowanych lin, spuścili się jeden po drugim, a przeszedłszy szczęśliwie inne jeszcze fortyfikacje, wydostali się na wolność. Udał się nad sam brzeg morza, a nie będąc widziani przez nikogo, wsiedli w czółno rybackie, z pokryciem, masztem i żeglami stojące i popłynęli trzymając się wciąż brzegu ku Valencyi, gdzie właśnie znajdowali się francuzi. Podróż, którą odbyć mieli wynosiła mil 20, nie sprzyjała im wcale, gdyż morze zupełnie było ciche, lecz oni jak mogli tak żeglowali, chociaż z wielkim trudem i niespokojnością. Gdyby mieli kompas, natenczas mogliby łatwiej trafić do zamierzonego miejsca; a tak żeglując noc jedną, dzień następny, dalej noc drugą i dzień drugi, nareszcie znów noc i dzień trzeci, kierowali się tylko podług słońca, które tylko we dnie służyło im za wskazówkę; w nocy zaś utraciwszy kierunek żegluga, zamiast posuwać się na przód, cofali się na powrót; dla tego też

wszystkich sił użyć musieli, ażeby czółno w dobry kierunek i w prędkim biegu naprzód wprawić mogli. Chleb, który wzięli z sobą wybierając się w drogę, wszystek zjedli, wodę zaś musieli pić morską słoną. A żeby im lżej było robić wiosłami, pozdejmowali z siebie ubranie, skutkiem czego obnażone części ich ciała, jako to:

222

szyja, piersi i plecy wystawione były na największy upał słoneczny, przez co wyglądali jak oparzeni. Ostatnie wydobyli siły, ażeby wolność przedsięwziętą, odzyskać. Dnia czwartego nad wieczorem, ujrzeni bliski ląd, uszczęśliwieni tem widokiem, jeszcze więcej

przykładali starania wydobywając ostatnie wycieńczone siły, ażeby mogli jak najprędzej dobić do tegoż lądu. Nareszcie dosięgli pobrażę; wystawcież sobie kochani czytelnicy, co za niewypowiedziana radość opanowała ich wtedy, kiedy ujrzeni się być wolnymi, kiedy wysiedli na ląd, sądzili, że już są u swoich współbraci, oraz że już pozbyli się tak utrudzającej i niepewnej żeglugi.

Dwie godziny błądzili nad brzegami morza, nic spotkawszy żywej duszy, nareszcie weszli na wysoką górę, a ujrawszy małą wioseczkę w bliskości tejże leżącej, wprost się do niej udali, lecz mieszkańcy tej wioski pracujący na polu ujrawszy ich z daleka, sądzili, że to są Afrykanie, rozbójnicy morscy, przeto natychmiast uzbrojeni w pałasze, noże, i broń palną, wystąpili naprzeciw tych nieszczęśliwych oficerów, którym nic więcej nie wypadało jak tylko poddać się dobrowolnie. Przyznali się więc, że są oficerowie francuzcy, jeńcy przez hiszpanów zabrani, i że z wyspy Iwica uciekli na czółnie, które tamże u brzegu stało, że wsiadłszy w takowe aż tu przyżeglowali, gdzie się pewno znajdują w bliskości Valencyi; poczem prosili tych ludzi aby im do miejsca, do którego dążą, w podróży towarzyszyli, za co sowiec będą wynagrodzeni, ależ niestety! jakże okropne było ich

223

zdziwienie, kiedy mieszkańcy ucieszeni ich mową, że się sami wydali, oznajmili im, że to nie jest Hiszpanija, lecz wyspa Iwica, i że są tylko o małą milę drogi oddaleni od miasta Iwica; na tejże wyspie będącego; poczem zrewidowawszy czy pieniędzy przy sobie nie mają, związali im powrozami ręce i poprowadzili napowrót do cytadeli, do naszego starego komendanta. Ten ujrawszy ich, kazał natychmiast odprowadzić do podziemnego ciemnego więzienia, osadzić każdego oddzielnie; i trzymał tych nieszczęśliwych w zupełnie ciemnym lochu, aż przez trzy miesiące. Biedni oficerowie przedstawiali widok rażący, najokropniejszy; byli wygłodniali, skóra na nich od słońca była tak spieczoną, iż pokryta będąc pęcherzami odstawała od ciała. Cztery dni błądzili po morzu kręcąc się wciąż w około wyspy Iwica, do której powróciwszy, cięższą jeszcze niewolę przenosić musieli, a wpadłszy w chorobę skutkiem tak ciężkiego więzienia natenczas, dopiero do nas powróceni zostali.

Fałszywa brama paterna, została zupełnie zamurowaną i strażą obstawioną; my podobnież odtąd byliśmy baczniej i srożej strzeżeni, gdyż nawet do kościoła prowadzono nas pod eskortą; komendant także od tego czasu był na nas bardzo obrażony.

Ponieważ w tym czasie odbywały się losowania na wolność przez oficerów hiszpańskich ciągnione, przeto kilku z naszych uwolnienie odzyskało; lecz na ten raz szczęście naszemu pułkowi nie sprzyjało, albowiem z naszego pułku zaledwie tylko jeden był szczęśliwy, kapitan Walenty Szmigielski, który natenczas z więzienia

224

wylosowanym został. Tracąc z naszego grona tak pocziwego człowieka, żalowaliśmy serdecznie swojego kolegi i towarzysza, jednakże winszując mu z duszy i serca, życzyliśmy szczęśliwego powrotu do ojczystej ziemi, gdzie powróciwszy miał ujrzeć swoją rodzinę, rodaków i przyjaciół. Mając taką sposobność, oddaliśmy jemu wiele listów i rozmaitych zleceń do naszych krewnych i znajomych w Polsce mieszkających; poczem on szczerze i akuratnie zadosyć nam uczynił i prośby nasze wypełnił.

Hiszpanie palając ku nam ciągłą nienawiścią przy najmniejszej sposobności, która się im nadarzyć mogła, starali się koniecznie chęć swojej zemsty w czyn jakikolwiek zamienić; najwięcej zaś zawzięci byli mieszkańcy wyspy Iwica, którzy rodzinnego swojego miejsca nie opuszczają nigdy, przy czem nie posiadają żadnego wychowania, oświaty i cywilizacji jak mieszkańcy kontynentu; głównie zaś w kobietach panowała pycha i nienawiść ku nam, szczególnież w stanach wyższych. Często bardzo słyszeliśmy jak piękne hiszpanki tak wyższego jako i niższego stanu, nie tylko po domach na wyspie Iwica, lecz i w innych miejscach gdzieśmy stali poprzednio, odzywały się w te słowa: „piękni mężczyźni, tylko szkoda, że są przeklętymi polakami lub francuzami”. Jeżeliśmy byli zaproszeni przez Hiszpanów, natenczas z wielką obawą i nieśmiałością wstępowaliśmy w ich progi.

W ich domach zawsze można było zastać księdza lub patra; wtenczas trzeba było mieć się na baczności, aby się zanadto do kobiety nie zbliżać, lubo też nie

225

rzucić miłego spojrzenia na piękną, i urodziwą hiszpankę, gdyż w takim razie możnaby ściągnąć na siebie największy gniew i obrazę nadobnej dziewczycy, albo też jej anioła stróża, który będąc codziennym jej gościem, zaszczeptał ciągłą nienawiść i wzgardę względem nas nieszczęśliwych niewolników, szepcząc jej wciąż do ucha. W mieście Iwica miało miejsce pewne zdarzenie, które wszystkie piękności oraz mieszkańców w podziwienie wprawiło, z czego najlepiej można wnosić że nie zawsze podszepty księży po domach bywały dobre i odnosiły pożądany skutek. Najwyższa siła, która obala wszelkie wyroki, postanowienia i wszystko do siebie zbliża, jest miłość, która w podobnych wypadkach najczęściej odnosi zwycięstwo.

Chcę tu przytoczyć prawdziwy i ciekawy fakt, moim czytelnikom, który miał miejsce podczas naszej bytności w niewoli.

Za miejsce mojego spoczynku czyli spania, obrałem sobie kącik z jednym kolegą na korytarzu, z którego prowadziły schody na wyższe piętro; kącik ten miał zaledwie sześć łokci długości i cztery szerokości; z jednej strony od dołu wylepiłem go papierem i urządziłem pokój z niego, w tymże trzy ściany były drewniane, zaś okno dużą taflą z piaskowego kamienia na sześć cali grube, będąc zupełnie zamurowane, — z tej więc przyczyny było całkiem ciemno w naszym pokoiku, a ponieważ miałem świderkę i dłutko, których wciąż do pracy używałem, przeto wywierciłem w piaskowej tafli okienko 4 cale kwadratowe mające i dopiero przez ten otwór mieliśmy widok, chociaż nie

226

zupełny. Patrząc przez to małe okienko, przedstawiał się dla oczu naszych wspaniały i czarujący widok; widzieć tu można było całą fortyfikację, dalej morze, miasto, port w którym stało mnóstwo okrętów, niedaleko odległą wyspę Formentera ozdobioną

kościółem i rozmaitemi budynkami. Do otworu tego cisnęło się wielu amatorów, z przyczyny tak pięknego i rozkosznego widoku, to znów dla tego aby odetchnąć świeżym powietrzem i ujrzeć co się dzieje na świecie. Głównem amatorem tego widoku był porucznik naszego pułku, Pawłowski. Z natury stworzony na prawdziwego kupidyna, ten młody i przystojny mężczyzna, wzdychając, wyglądał ciągle na ową wielką przestrzeń czarującego świata, aby co ujrzeć dla smutnego i spragnionego serca, oraz pokonać w więzieniu swe niezdolne i dręczące nudy, które go ciągle kępowały; człowiek ten posiadał tak bystre oko, iż najdalej oddalone przedmioty od razu rozeznawał i takowe jak najlepiej widział, aż nareszcie wypatrzył przedmiot swych pożądanych marzeń. Za fortyfikacją w jednym domu na pierwszym piętrze, siedziała w oknie piękna signoritta, która szcieniem ciągle zajęta była. Od tej pory rozmarzone jego serce, gwałtownie bić poczęło, zdawało się jakoby chciał wyskoczyć i przecisnąć się przez to małe okienko, aby lotem ptaka mógł się przybliżyć do niej ale, niestety! otwór był za mały. Ponieważ wszelkie przeszkody w życiu dla miłości są niczem; prawdziwa przeto miłość wszystko z drogi usunie, i wszystko pokona; dla tego też i nasz porucznik potrafił sobie poradzić. Podczas mej nieobecności brał żelazny instrument

227

z mojego warsztatu i co raz większy wybijał nim otwór, i wkrótce już zrobił tak wielki, iż głowę, którą miał dosyć dużą, mógł swobodnie przez takowy wysuwać wraz z myślami pełnymi nadziei i miłości.

Podoficer w koszarach na straży będący, napominał mnie często mówiąc: „Pozostaw pan tę dziurę jak jest, gdyż jeżeli, większą będzie, to takową każą zaraz zamurować”. Przez ten właśnie otwór nasz rozkochany kupidyn rozpoczął swoje romansowe sceny.

Najpierw zaczęło się na spojrzeniach miłosnych, pantominy były ciągle aż do znudzenia przesyłane, następnie zasyłali sobie całusy w powietrzu, nareszcie zaczęła się korespondencja; słodkie bileciki dochodziły przez naszych służących, którzy do miasta po żywność — chodzili; ci idąc tą samą drogą do miasta, oddawali takowe i napowrót również odpowiedź przynosili; i tak trwała czas jakiś ta miłostna korespondencja. Piękna signoritta zdawała się być skłonną do miłości i nie odmawiać wzajemnych uczuć swojego serca, zaś nasz kupidyn wszelkich używał środków, aby anioła tego mógł ujrzeć z bliska i osobiście z nią pomówić, i tu właśnie wymyślił środek najstosowniejszy. W tym więc jedynie celu poszedłszy do pułkownika swojego pułku, prosił go rzeczami słowami, iżby ten pozwolił mu pójść do kościoła, gdyż potrzebuje wyznać przed kapłanem swoje zadawnione grzechy, skutkiem czego pierwsze rendez vous miał umówione natenczas na świętym miejscu, w Domu Bożym, i tam dwa razy szczęśliwie odbył swoją spowiedź; jedne przed księdzem

228

podług prawa i obowiązków religii, drugą przed ulubioną (Querida) od serca.

Piękna signoritta była córką inspektora salin, bardzo bogatego i zamożnego człowieka, lecz zarazem naszego śmiertelnego wroga i najgorszego nieprzyjaciela. Miała lat około 25, imię jej było Józefa (Pepika), gęste krucze jej włosy spadały po obu stronach twarzy, czarne i wielkie melancholijne oczy otoczone dużymi rzęsami, co jest właściwą urodą wszystkich hiszpanek tu na południu będących, te więc piękne i łzawe oczy nadawały jej najwięcej powabu i nadobności; zresztą była kobietą jak wszystkie inne! które chcąc ująć i zjednać je sobie, dosyć jest wspomnieć o ożenieniu aby zmiękczyć i złagodzić ich serce, a wtenczas nie zważają już na nic, niech sobie kto chce będzie, gotowe ci są rzucić się zaraz na ramiona. Jakkolwiek oboje już byli po latach miłości, nie pytała się jednak czy się zowie Piotr czy Tomasz, Polak czy rodak jakiej innej ziemi, czy z północnej strony wyspy Iwica, to dla niej było wszystko jedno, aby tylko mogła dostać męża. Miłość prawdziwa w ich sercach wzrastała coraz większa i coraz ściślejsza, a ponieważ stary inspektor solnej zupy, wiele miał zajęć przy brzegu morskim, gdzie często wydalał się z domu na kilka dni w celu ekspedjowania soli, wtenczas ów rycerz miłości wpadł na myśl złożenia wizyty swojej najmilszej Pepice w jej własnym domu, (nazywam go rycerzem, gdyż ten palając gorącą miłością ku swojej ulubionej, na nic wtedy nie zważał i na skrzydłach amorka chciałby pofrunąć do niej).

229

Dnia więc pewnego upatrzywszy o ile się mu zdawało najdogodniejszy czas po obiedzie, poszedł do swej pięknej Signoritty, ależ niestety! nie długo mogli się z sobą tak cieszyć, rozmawiając o prawdziwych uczuciach swojego serca, gdyż w tem niespodzianie przyszedł ojciec. Strwożona i zmieszana Pepika czempredzej schowała swojego adonisa do alkowy za firanką będącej, który zaledwie zdążył się ukryć, wtem nagle drzwi otworzyły się, i wszedł ojciec Pepiki. Tenże obejrawszy się po pokoju, —pierwszem zapytaniem jego było: „czyja to czapka“? „z kąd się ona tu wzięła?“ Zapłoniona córka w tej chwili zamilkła, i nic nie odpowiedziała. Często człowiek nawet najmędrszy, jeżeli go spotka wielkie nieszczęście lub szczęście, nadzwyczajny przestrach, lubo też największa radość i ukontentowanie, tem bardziej gdy zakochany — natenczas roztargniony przepłaca życiem, albo też traci najczęściej na umyśle. Toż samo i kochanek Pepiki przestraszony wejściem ojca, w roztargnieniu pozostawił czapkę na stole leżącą. Stary inspektor, musiał już z kąd powziąć, wiadomość o miłości córki z naszym współwynajmcą; przebiegły Hiszpan zważał pismo nosem. Nie odebrawszy od córki żadnej odpowiedzi na swoje zapytanie, poszedł prosto do alkowy, a uchyliwszy firankę, ujrzał tam stojącego i ze strachu skamieniałego kochanka, Sennora don Tomas. Stary Hiszpan tak się tem oburzył w tej chwili, iż porwawszy czem prędzej pistolet ze ściany, wymierzył do piersi adonisa, chcąc go położyć trupem na miejscu, lecz oboje kochankowie natychmiast upadłszy ojcu do nóg, prosili o przebaczenie

230

i łaskę, iżby nie wymierzał tak srogiej kary na niewinnego człowieka; wyznając wzajemną miłość dla siebie, a Pepika oświadczyła zarazem, że już raz na zawsze swą rękę temu kochankowi oddała, że gdyby nawet nie tylko był Polak, ale rodak jakiegokolwiek ziemi, chociażby pochodził nawet z końca świata, nie zmieni swego postanowienia. Stary jednak o niczem wiedzieć nie chciał i najokropniej rozjątrzony wyszedł z pokoju, po czem owi kochankowie widząc tak rozgniewanego i zawziętego ojca, ułożyli plan dalszego postępowania. Miłość jednakże i tu pokonać wszystko musiała.

Rodzina Pepiki, jak również zamężna jej siostra, szwagier i inni, w tym właśnie celu udali się do duchowieństwa przy biskupie będącego; aby ci duchowni wstawili się za nimi do zakochanych ojca, który dopiero w końcu różnemi pochlebstwami i namowami przez samego biskupa dał się nareszcie złagodzić i udobruchać. Gdy już stary był zdecydowany wydać za Polaka swą córkę, napominał iżby ta przez niego kiedykolwiek nie została nieszczęśliwą, gdyż widzi, że biedna Pepika zachorowała ze zmartwienia

i rozpaczy, oraz, że bez niego żyć widać nie może; przeto nie chce ich rozłączać, gdyż przewidywał, że córka wieleby na tem ucierpieć musiała; być może, że jedynie tylko zapatrując się z tej strony, dał się nakłonić namowami księży.

Ojciec jej i sam biskup napominali jeszcze po kilka razy don Tomasa, aby ten zachował się w życiu ze swą małżonką podług praw i przepisów kościoła.

231

Księża znów ze swej strony starali się, ażeby jak najlepiej staremu wytłomaczyć, perswadując mu, że córka wyszedłszy za mąż za cudzoziemca, może być również całe życie szczęśliwą, że to jest wola i przeznaczenie Boga, gdyż wiele innych kobiet, które wyjdą za rodaków tejże samej ziemi, wszelako często najsmutniejszy i opłakany los ich napotyka. Słowami temi najłagodniej zaspokoili ojca, (księża ci mieli taką władzę, że nawet największego i skamieniałego człowieka potrafili nakłonić i takowego namowami wzruszyć i zmiękczyć) który już poddał się z największą rezygnacją na tę chwilę, że się wkrótce rozłączy z córką. Don Tomas musiał złożyć dowody, że jest rzymsko-katolickiego wyznania, chodzić do kościoła, uczęszczać do spowiedzi i często komunikować. My wszyscy oficerowie tegoż pułku byliśmy wezwani do biskupa, dla zeznania i podpisania aktu, że Sennor don Tomas, Pawłowski, nie ma żony w Polsce, i że nie jest zaręczony z żadną inną kobietą, jako również, że jest rzymsko-katolickiego wyznania i gorliwie wypełnia obowiązki religijne; że donna Pepika należeć będzie do części jego majątku, gdyby się takowy okazał, że ze strony tegoż rodziny nie będzie żadnej przyczyny do rozłączenia się, oraz, że żadna podług spisanego protokołu, czyli rodzaju intercyzy przyczyna, nie może mieć miejsca po powrocie do ojczyzny, któraby spowodować mogła opuszczenie przez męża donny Pepiki. Po podpisaniu aktu nastąpił ślub, na który wszyscy oficerowie naszego pułku zaproszeni zostali. Następnie przyjęcie w domu odbyło się u ojca na sposób

232

hiszpański. Zaczęło się częstowanie od filiżanki czekolady, a skończyło się na szklance świeżej wody. Pan młody otrzymał w posagu od ojca 1000 piastrow (9,000 złp).

Pepika nie wiele namyślając się, zdecydowaną była udać się ze swym mężem do Polski, a ponieważ z nami na okręt wsiadła i razem popłynęliśmy — przeto opisać pragnę czytelnikom o odejściu jej, pożegnaniu z rodziną i ojczystym miejscem, oraz o ceremonii, jaka się natenczas odbyła, gdy przecie wszyscy tę ziemię, cierpień i niedoli już opuścić mieliśmy.

Kiedy nasi koledzy uzyskawszy wolność, powracali już do ojczystej ziemi rozstając się z nami, my wtedy z upragnieniem i boleścią serca, wyczekiwaliśmy także z niecierpliwością chwili, któraby i nas tem największym szczęściem obdarzyć mogła. O Boże! Kiedyż ta kolej i na nas nadejdzie? ze zbołałem i udręczonem sercem powtarzał jeden do drugiego — może wiele lat jeszcze upłynie — może jeszcze nie jeden miotany rozpaczą, utęskniony do rodziny, do swej ojczyzny, — zakończy kres swoich cierpień na tej nędznej ziemi, zanim zabłyszczą dla nas złote dni swobody, których tak dawno już wyczekujemy. Lecz los, ten wielki pan, ta potęga wszelkiego szczęścia i nieszczęścia, inaczej nam i rządziła, gdyż cierpiąc tak długie lata, będąc wystawieni na pastwę i największą wzdargę przez nieprzyjaciela, — jednakże Opatrznością i wolą Najwyższego Stwórcy, byliśmy bliskimi kresu naszych udręczeń, gdyż chwila wolności, ta pożądana dla każdej istoty żyjącej swoboda, — już się i dla nas zbliżyć miała, po

233

której każdy miał ujrzeć to, co mu najdroższem w życiu pozostało.

Gdy nagle skutkiem wojny na północy, postęp oręża inny wziął obrót, a nasi byli już za Renem, wtedy dopiero niepewne dochodziły nas pogłoski o uwolnieniu naszym, to z przyczyny odległej komunikacji; gdy naraz niespodzianie oświadczono nam, że jesteśmy wolni i w dzień 14 Lutego 1814 roku, rzeczywiście zaraz wypuszczeni byliśmy z cytatelli, z tego miejsca ciężkiej męki, z ciemnego więzienia; lecz nie zupełnie byliśmy wolnymi, gdyż następnie mieliśmy przeznaczone na mieszkanie dwa domy w mieście Iwica, do czasu dalszego rozporządzenia. Tu już przynajmniej mogliśmy chodzić, gdzie się komu podobało, nie byliśmy już pod tak silną strażą, mogliśmy kupować żywność, o ile można było staraliśmy się żyć z mieszkańcami w najlepszej przyjaźni. Ucierpieliśmy tu wiele z przyczyny nie przewidzianego zimna, które dnia 18 i 19 Lutego 1814 r. natenczas na całej wyspie Iwica było nader przejmujące, chociaż było tylko 8 Remiura. Najstarsi ludzie od lat 50, niepamiętali tak ostrej zimy; gdyż śnieg, który spadł wtedy aż na pół łokcia, leżał przez cztery dni nie topniejąc wcale. Z nudów, które mnie ciągle dręczyły, przedsięwziąłem zamiar zwiedzić całą wyspę, oraz dokładniej poznać mieszkańców tejże, a ponieważ żadna jeszcze wiadomość z kontynentu o naszym odpłynięciu nie nadeszła, postanowiłem przeto z trzema moimi kolegami zwiedzić wnętrze tej wyspy. Zaopatrzywszy się w małą

234

kwotę pieniężną, w tym więc celu udaliśmy się w podróż.

Wyspa Iwica jest największą z pomiędzy wysp balearskich, oraz obszerniejszą od pituzyjskich do których należy i Formentera; przestrzeń jej wynosi do 8½ mil kwadratowych, mieszkańców liczy do 15,000; samo miasta ma 3,000 ludności. Wyspa ta poprzężywaną jest górami, i skałami, pobrażę zaś całe najeżone jest wysokimi i stromymi skałami i dla tego też bardzo mało widzieć się dają miejsca poziome i nie skaliste. Mieszkańcy tutejsi odróżniają się zwyczajami, usposobieniem, potrzebami i ubiorem od mieszkańców innych wysp Balearskich. Mieszkańcy zaś wyspy Majorka ubierają się bardzo dziwnie; mężczyźni noszą szerokie szarawary, kurtkę i okrągły kapelusz; kobiety zaś mają czarny ubiór, białe wóalki, mnóstwo pereł i rozmaite paciorki na szyi. Kobiety z Majorki stosują się więcej ubiorem do mody francuskiej i angielskiej, naśladując mieszkanki wyspy Iwica. Na każdej z tych wysp innym mówią językiem; i tak: mieszkańcy wyspy Majorka mówią językiem katalońskim, mieszkańcy Iwica mówią także językiem katalońskim, lecz ten więcej pomieszany jest z maurytańskim i zupełnie posiada odrębny dyalekt; na wyspie zaś Minorka w porcie Mahon najczęściej mówią językiem francuskim, angielskim i włoskim, gdyż tu zawija na okrętach bardzo wiele ludzi tych narodów.

Podróż naszą po wyspie Iwica odbywaliśmy pieszo, prawda, że ponieśliśmy wiele trudu i przykrości

235

drapiąc się po skalach, ale z nudów poświęciliśmy się na wszystkie niewygody i dla tego też mieliśmy sposobność dokładnego poznania mieszkańców. Z prawa natury nie są oni wysokiego wzrostu, lecz nawet więcej osiadli, najczęściej to nas dziwiło, że

prawie wszyscy mają blond włosy długie, równo obcięte, z tyłu na ramiona spadające. Zaletą i całą ozdobą mężczyzny jest to, aby włos swój, który z natury i tak jest jasny, utrzymać go jeszcze w jaśniejszym kolorze. W tym więc celu kobiety swym mężom posypują na noc głowy popiołem i następnie obwiązują takowe chustką. Na drugi dzień po odwiązaniu chustki, mąż kładzie głowę na krawędzi kloca lub ławki, wtenczas kobieta bierze trzepaczkę i wąską stroną od końca do góry raz po raz bije takową po włosach, dopóki popiół zupełnie nie wyleci. Rzecz naturalna, że włos będąc przez noc całą z popiołem ściśnięty, paruje, przez co więc ostrość

ta popiołu przyczynia się wtedy do większego wybielenia włosów, poczem dobrze grzebieniem wyczesawszy, kładą na głowę wysoką wełnianą, czerwoną czapkę, — szarawary noszą płócienne fałdzyste, trzewiki plecione z sitowia (espartos) i następnie kurtkę; to więc stanowi zupełny ubiór mieszkańców Iwica. Kobiety również jak i mężczyźni mają długie jasno-blond włosy, co także stanowi ich największą ozdobę, które w ten sam sposób jak i mężowie ich, starają się nadać takowym jak najbielszy kolor, podwiązując swe długie warkocze pod spodem białą wstążką, tak, że tylko sam warkocz widzieć się daje, który sięgać musi aż poniżej

236

kolan. Każda kobieta nosi takiż warkocz, gdyż jeżeli nie posiada swych własnych włosów, natenczas przypina fałszywy na 1½ łokcia długi; za nakrycie głowy służy im czepek obcisły, do samej twarzy ubrany różnemi kwiatami, na który kładzie filcowy kapelus, to więc stanowi kompletny strój kobiety; do tego noszą czarne sznurówki, na szyi rozmaite szklane paciorki; czarne spódnice w setne fałdy od góry do dołu układane i trzewiki z sitowia. Ubiór ten wydawał się nam bardzo dziwaczny, szczególnie długie warkocze, które nosić jest nader nie wygodnie, zwłaszcza w tak gorącym klimacie. Podróżując wciąż po tej wyspie musieliśmy często nocować u mieszkańców, którzy przyjmowali nas bardzo uprzejmie, rozmawialiśmy z nimi o ile ich można było zrozumieć, a jeżeli którzy po hiszpańsku z nas pojmował, wtenczas weselsza i więcej ożywiona toczyła się rozmowa. Co się zaś tyczy gościnności, to ludzie ci, nawet wyobrażenia o niej nie mają, chociaż gdy wszedłszy zastaliśmy ich przy jedzeniu siedzących, zapraszali nas, jednakże za pieniądze tylko mogliśmy żądać, co nam w takim razie chętnie podawano, nie w celu niby zarobkowania lub chciwości, lecz aby nam dogodzić. Mieszkańcy ci są również bez najmniejszego wychowania i trudno by ich było odwieść od tych spaczonych i zadawnionych zwyczajów, gdyż te są już od wieków wrodzone i zakorzenione. Między innemi zachowują jeden najdziwniejszy zwyczaj, iż przechodząc obok siebie witają się tylko we dnie, zaś wieczorem lub w nocy, jeżeli kto kogo przywita, nie znając jeszcze tego zwyczaju, takiego uważają za

237

nieprzyjaciela i poczytują, to za najgorszą niewłaściwość, gdyż sami w tej przechodząc porze, zachowują się cicho i milcząco.

Zabawy ich podobnież zasługują na uwagę, ponieważ są szczególnie oryginalnego zwyczaju: Muzykant ma zawieszony na szyi mały dziecinny bębenek, trzymając w prawej ręce pałeczkę, w lewej zaś piszczałkę przy ustach. Piszczanie to i bębnienie ma zupełne podobieństwo do oprowadzających u nas niedźwiedzi, którym w podobny sposób przygrywiają do tańca; mając taką muzykę owi ludzie, wesoło tańczą i skaczą. Tancerz trzyma w ręku dwa wielkie kastanietty, które niby przyklaskuje do taktu tej pięknej muzyce; jeżeli zaś chce do tańca zaangażować damę, natenczas nie mówiąc ani słowa, przystępuje wprost do niej, klaszcząc owemi kostanietkami blisko twarzy, dopóki ta nie wstanie, — co robi nader nieprzyjemne dla cudzoziemca wrażenie, — następnie tańcząc, skacząc wciąż w górę, co niema żadnego podobieństwa z tańcem hiszpańskim, zwanym fantago; podczas tego inni mężczyźni kręcą się ciągle z bronią, prochem i pakułami nabitą, lufą ku ziemi wymierzoną, a strzelając w ziemię jednocześnie krzyczą vivat! skutkiem czego ziemia wraz ze żwirem rozsypując się i rozbryzgując na wszystkie strony, często kaleczy nogi, a nawet i twarz tancerkom, lecz one na to najzupełniej nie uważają i nie ustępują wcale z owego tańca, gdyż ta, która jest skaleczoną, poczytuje to sobie za honor i uważaną jest wtedy za najlepszą tancerkę. Taniec taki składający się z wystrzałów, dzikich i straszliwych krzyków,

238

przy tej muzyce, trwa często aż do późnej nocy, którego krzyk i hałas o kilka wiostr słyszeć się daje. Za napój służy im tylko zwyczajna świeża woda. Każdy obcy człowiek z zadziwieniem przypatruje się tej scenie pełnej dzikości i wstrętu. Śpiew ich nie ma żadnej harmonii ani melodyi i podobny jest zupełnie do dzikiego głosu.

Co się zaś tyczy płodów, to można powiedzieć, że wyspa ta jest bardzo bogata, gdyż podczas naszej wycieczki pieszo, na drodze bardzo wiele napotykaliliśmy szafranu, ryżu, bawełny, cebuli, melonów, arbuzów, ogórków, hiszpańskiego pieprzu i wiele innych t. p. roślin; oraz znajdują się tu lasy w których rośnie mnóstwo drzew rozmaitego gatunku, jako to: pomarańczowych, cytrynowych, morelowych, chleb świętojański (algarasos), różnego gatunku figi i drzewa laurowe, oprócz tego znajduje się bardzo wiele drzew granatowych. Rogatego bydła nie ma tu wcale, za to mają piękne kozy, które służą do dojenia mleka, wielką ilość osłów, których używają do uprawy ziemi, oraz transportowania do najbliższych pobrażczy morza.

Ponieważ straszne i urwiste skały na wszystkie strony przerzynają tę wyspę, dla tego też wewnątrz jest zupełnie nie użyteczną, bezludną, nadzwyczaj pustą i smutną.

Gdy już chęć i ciekawość nasza pod względem zwiedzenia tej wyspy zaspokojoną została, powróciliśmy do miasta Iwica, które leży przy górze; poniżej zaś pobrażczy morza znajduje się miasto portowe tak zwane la Marina, w pół okrągłym rozmiarze będące;

239

dalej położone jest właściwe miasto „la villa“ także w pół okrąg zabudowane i naokoło obwarowane; wszystkie ulice ma ciasne i krzywe, nad którym i góruje cyradella, owe pamiętne miejsce naszych tak długich cierpień. Mieszkańcy są tu w ogóle nie zamożni, jedni trudnią się rolnictwem, inni zaś handlem produktów wywożonych na kontynent.

Wyspa Formentera, 1½ mili kwadratowych rozległości mająca, oddaloną jest o pół mili od Iwica, jest zupełnie bezludną na której wznoszą się tylko stare mury opuszczonego klasztoru Franciszkanów, oraz inne stare budynki dotąd jeszcze widzieć się dają.

Wyspa ta niegdyś będąc napadaną przez afrykańskich rozbójników, została zupełnie zrabowaną, a mieszkańcy jej nie będąc niczem zabezpieczeni, jedni do niewoli zostali uprowadzeni, inni znów przenieśli swe siedziby opuszczając tę wyspę, skutkiem więc tego stała się zupełnie pustą i bezludną.

Nareszcie doszła nas przecie ta upragniona i pożądana chwila, w której dowiedzieliśmy się, że ztąd wypuszczeni będziemy na wolność i wyżeglujemy na kontynent. Jakkolwiek chwila ta radości stała się dla nas pożądaną, jednakże było nam smutno rozstawać się z kolegami różnej narodowości, z którym i po tak ciężkich i trudnych przejściach, tyle przenieśliśmy przykrych i smutnych wrażeń, w kolei naszego losu; lat cztery jęcząc z rozpaczą w tak męczącym więzieniu, z którym i kochaliśmy się jak bracia i zawsze w najlepszej żyliśmy zgodzie, tak na polu bitwy jako również i w ciemnym więzieniu. Zachowując pamięć dla mych

240

towarzyszy, którzy dzielali razem ze mną wszelkie męczarnie i niedole, skreślałam przeto na końcu mego pisma imienną, listę tych oficerów, dając dowód, że powróciwszy do swego kraju po tylu ubiegłych latach, zawsze mile o nich wspominać pragnąłem.

Może pismo to wpadnie do rąk, któremu z moich towarzyszy i kolegów, tych drogich mi braci, lub dojdzie rąk ich potomków, niechże ci wiedzą, jak się ich ojcowie bić potrafili i jak cierpieć umieli. Życzę, by wspomnienie o mnie nie zacierało się w pamięci potomków zacnych mych kolegów i żeby oni choć w części podzielili mą życzliwość i wspomnieli przygody swych walecznych ojców!

ROZDZIAŁ XI.

Wymienienie oficerów sztabu

oraz innych wojsk różnej narodowości, którzy wraz ze mną, od dnia 30 Sierpnia 1811 r. do dn. 1 Czerwca 1814 roku w niewoli hiszpańskiej siedzieli i różnych byli Depôt:

I. *Polacy.*

1.	Narwojn porucznik	Adam	ci trzej z 1go pułku.
2.	Burzyński porucznik		
3.	Strażyński porucznik		
4.	Białobrzewski kapitan		ci trzej z 2go pułku.
5.	Drzewiecki porucznik		
6.	Bieliński porucznik		
7.	Wasilewski kapitan		ci trzej z 3go pułku.
8.	Żurawski porucznik		
9.	Hoffmann porucznik		
10.	Ubysz porucznik 4go		pułku Wielkiego Księstwa Warszawskiego
11.	Irański porucznik 7go		
12.	Rozmysłowski kapitan 9go		

242

13.	Szmigielski kapitan	9go pułku Wielkiego Księstwa Warszawskiego
14.	Gutowski porucznik	
15.	Broekere Stan. porucznik	
16.	Pawłowski porucznik	

II. *Sasko-Wajmarskie strzelcy.*

17. Bojneburg kapitan.
18. Schauroth porucznik.
19. Sejbach porucznik.

III. *Strzelcy Nassau-Wajlburskie.*

20. Kathreiner porucznik.
21. Schmidt porucznik.
22. Muchlbach porucznik.
23. Collette Porte Drapeau.

IV. *Hohenlohe-Siegmaringen dragony.*

24. Hopfensberger kapitan.

V. *Lippe-Schaumburg piechota.*

25. Korf porucznik.

VI. *Badeńska piechota.*

26. Froben kapitan.

27. Holtzinger porucznik.

VII. *Szwajcarska piechota.*

28. Mueller kapitan.

29. Heidegger kapitan.

243

30. Blaser porucznik.

31. Pfister porucznik.

32. Fiszer, polowych poczt urzędnik.

VII. *Hollenderska piechota.*

33. van der Ippenburg porucznik.

IX. *Neapolitańska kawalerya.*

34. Brandini kapitan.

X. *Piechota królestwa Włoskiego.*

35. Marin pułkownik.

36. Rei podpułkownik.

37. Molinari kapitan.

38. Benedettini kapitan.

39. Sanche porucznik.

40. Ruberti porucznik.

41. Justiniani porucznik.

42. Toffoletti porucznik,

43. Mazi porucznik.

44. Caimi doktor.

45. Heni kapitan z konnej artylerii.

XI. *Francuska piechotna kawalerya artyleryjska.*

46. Stadié, dyrektor poczt polowych w Katalonii i Aragonii

47. Gros kapitan artylerii konnej jazdy.

48. L'anglais kapitan liniowy.

49. Laurent porucznik piechoty.

244

50. Colomer porucznik dragonów.

51. Berthé kapitan dragonów.

52. Mathieu porucznik dragonów.

53. Commens kapitan żandarmerii.

54. Fanssier kapitan z Genie-Corps.

55. Titen porucznik piechoty.

56. Larent porucznik piechoty.

57. Truffier porucznik wołyżerów.

58. Grenjer porucznik grenadyerów.

59. Latour d'Auvergne porucznik piechoty.

60. La grange porucznik piechoty.

61. Roi kapitan piechoty.

62. La Porte porucznik piechoty.

63. Archias porucznik piechoty.

64. Vial porucznik dragonów.

65. Bollinger porucznik dragonów.

66. Faultrier urzędnik lazaretu.

67. Noel kapitan piechoty.

68. David porucznik piechoty.

69. Bergègère porucznik piechoty.

70. Husson porucznik marynarki.
71. Chatler kapitan piechoty.
72. Augé kapitan piechoty!
73. la Fond porucznik piechoty.
74. Morand porucznik piechoty.
75. Ribé nadwachmistrz żandarmeryi.

XII. Z Dalmacyi.

76. Petronowicz, kapitan z francuzkiego statku korsarskiego z Raguzu.

245

77. Giuseppe, nadzorca lazaretu (infermier major), lat 73 mający; ten starzec z armji w Katalonji dopiero wraz z nami wolność odzyskał.

Wszystkich nas było 150 oficerów, a ponieważ nazwiska nie wszystkich, będąc w więzieniu, zanotowałem, dla tego więc takowych na liście imiennej zamieścić nie mogłem, przeto wielu jeszcze do liczby tej brakuje, gdyż i tak widzieć można z tej listy, iloma językami w naszej niewoli mówiono.

ROZDZIAŁ XII.

Powrót do Polski przez Włochy, Tyrol, Bajonnę i t. d.

Dnia 1 Czerwca 1814 roku mieliśmy wszyscy oficerowie polscy wypłynąć na angielskim (Longer) polowym statkiem, noszącym nazwę „Thistle“. — Wszyscy z nas wybierając się w podróż, szykowali swe manatki i dźwigali je pod pachą, wyczekując każdy z niecierpliwością, aby jaknajprędzej mógł się wydostać z tej pełnej cierpień i niedoli nieprzyjaznej nam ziemi.

Rano więc, skoro nadeszła godzina naszego pożegnania, młoda Hiszpanka, Sennora Duenna Pepika, małżonka naszego Sennora Toma, rozstając się ze swą rodziną, sprawiła wielki smutek staremu ojcu; jej samej trudno było rozstać się ze wszystkimi krewnymi, oraz z matką, z swą ojczystą ziemią. My także rozstaliśmy się z naszymi kolegami, których stosunki naszej przyjaźni były zawsze szczere i serdeczne. Rzewny był to

247

widok w tej chwili, patrząc na te czułe pożegnania na zawsze może, ludzi wiekiem starszych, tych braci, których jedność łączyła w przyjaźni na polu bitwy, w ciężkiem więzieniu, gdzie wszyscy razem jęcząc w największej niedoli, doczekali się przecie tej pożądanej chwili wolności; jednakże była to zarazem chwila smutku i przykrości, zrywając te prawdziwe węzły naszego przywiązania może już na wieki. Rozdawaliśmy sobie na drogę rozmaite pamiątki, a ściskając się i żegnając bezustannie, pozdrawialiśmy jeden drugiego szczeremi słowy: Bądź zdrow, bracie! bądźcie wszyscy zdrowi! może się jeszcze kiedy zobaczymy!

Podczas tego Donna Pepika ze swym małżonkiem oraz całą swoją familią, otoczona gronem przyjaciół i znajomych, udała się do katedry na nabożeństwo, które będąc już przedtem zamówione, odprawiło się na intencję szczęśliwej podróży młodej pary, aby pocieszyć smutne i zbolące jej serce i nadać więcej odwagi, iżby ta zgadzając się z wolą Boga, łatwiej z rodziną swoją rozstać się mogła. Po skończonem nabożeństwie było kazanie o Opatrzności Boskiej, na którem biskup był obecnym, gdyż sam celebrował mszę św. na intencję młodych nowożeńców, który następnie wzięwszy oboje młodych małżonków pod baldachim, a śpiewając wraz z całym orszakiem duchownym, udał się prosto do portu. Ceremonii tej towarzyszyło bardzo wiele ludu. Zasmucona Pepika nie mogąc się wstrzymać od ciężkich łez i łkania, mdlejąc po kilka razy, rozpaczliwie

248

swojej rodziny i ojczystej ziemi żałować nie przestawała.

My zaś tymczasem udaliśmy się do angielskiego statku, gdzie czekający na nas Anglicy na okręcie „Thistle“ do wskazanego miejsca odprawić nas mieli.

Teraz dopiero nastąpiła najsmutniejsza chwila rozstania się i pożegnania naszego. Pepika padała po kilkanaście razy do nóg ojcu, biskupowi i całej rodzinie, rozpaczając o swoim tak dalekim odjeździe, że nieszczęśliwa wszystkich opuścić musi, udając się w strony obce i wcale jej jeszcze nieznane, i kiedy weszła już w czołno, napowrót z niego wyskoczyła, aby jeszcze poraz ostatni uścisnąć wszystkich pozostałych jej drogich, i tak rozczulając się rzewnie z nadmiaru wielkiego uczucia, mdlała po kilka razy, a przyszedłszy do siebie, znów po kilkakrotnie z czołna wyskakiwała.

Zniecierpliwieni Anglicy tą długą ceremonią żegnania się, odbili czempredziej od brzegu i przy płynęli z nami do okrętu, którego żagle były już rozpięte. Szumiące bałwany morskie odłączyły nas od wszystkich naszych przyjaciół, drogich współbraci i raz na zawsze od wyspy Iwica, tego miejsca największych cierpień i mąk, jakie na niej doświadczyliśmy. Największą boleść serca poniosła Pepika, widząc się oderwaną na zawsze od rodziców, krewnych, przyjaciół i ojczyzny.

I tak przy pomyślnym wietrze szczęśliwie wypłynęliśmy na otwarte morze; zaraz dnia następnego

249

żeglowaliśmy około wyspy Majorka i Cabrera, gdzie nieszczęśliwi nasi na gołych skałach jeszcze siedzący, spostrzegłszy nas, spoglądali okiem zazdrości a zarazem gestami żegnającemi.

Dnia 4 Czerwca wpłynęliśmy do portu Mahon, gdzie 1½ dnia nasz okręt zatrzymał się na kotwicy. Tu już odetchnęliśmy naturalną swobodą wolności, tu już nie byliśmy jeńcami wojennymi; otrzymawszy pozwolenie, wolno nam było chodzić po całym

mieście; nie tracąc więc czasu, postanowiłem razem z memi kolegami zwiedzić całą okolicę miasta i portu Mahon, gdzie mnóstwo okrętów z rozmaitemi banderami różnej narodowości stało na kotwicy.

Miasto Mahon leży w nader zachwycającej i pięknej okolicy nad samym portem w kształcie półkola położone; ponieważ prowadzi wielki handel na morzu, przeto więc mnóstwo okrętów całego handlowego świata, prowadząc produkta przez morze Śródziemne, zatrzymuje się w tym porcie. Dla tego też mieszkańcy Mahon są najzamożniejsi ze wszystkich mieszkańców wysp Balearskich. Tu słyszeć można mówiących rozmaitemi językami, jako to: francuskim, angielskim, włoskim, greckim, hiszpańskim, niemieckim i wielu jeszcze innymi, a zaś pomiędzy mieszkańcami widzieć można naśladujących wykształcenie i zwyczaje europejskie.

Anglicy mając tu w bliskości Francję, Włochy i Sycylię, port ten obrali sobie za główną stację marynarki swych okrętów, przez to wiele przyczyniają się do ucywilizowania tutejszych mieszkańców. W mieście

250

Mahon znajduje się dosyć długie i szerokie ulice, oraz wiele pięknych i wspaniałych pałaców i willi na sposób angielski i włoski zbudowanych, w których niegdyś wielki książę Orleanu (Louis Filip) zamieszkiwał; jest tu wielki teatr, rozmaite fabryki, warsztaty okrętowe, oraz bardzo wielu kupców handlujących towarami portowymi.

Z przyczyny znacznej liczby zaludnienia, wszelkie artykuły żywności są tu bez porównania droższe, jak na innych wyspach Balearskich; całe miasto od strony lądu mało jest obwarowane i z obu stron portu pod tym względem znajduje się w bardzo nędznym stanie.

Kapitan okrętu oznajmił nam, iż poleconem mu zostało, aby nas odwiózł do miasta Neapolu i że ztamtąd jeszcze może będzie musiał jechać do Genui, przeto nie tracąc wiele czasu, udaliśmy się na okręt.

Przed wieczorem dnia tego, t. j. 5 Czerwca podniesiono kotwicę statku Thistle i przy pomyślnym wietrze, który nam sprzyjał noc całą jaknajlepiej, żeglowaliśmy bardzo szybko; gdyż w przeciągu jednej godziny przebywaliśmy koło 11 mil angielskich; ta więc ostatnia nasza podróż była najprzyjemniejszą. Kapitan okrętu nazywał się Bates, porucznik jego Digen, zaś doktor na tymże okręcie będący John Lesard; wszyscy ci ludzie byli dobrze wykształceni i nadzwyczaj uprzejmi, obchodzili się z nami nader delikatnie i grzecznie, dozwalając nam wszystkich wygód, jakie na morzu mieć można, opowiadając po

251

francuzku (gdyż wszyscy dobrze tym językiem władali) rozmaite zdarzenia i wypadki w podróży w różnych częściach świata, jakie ich kiedy napotkać mogły.

Tymczasem Donna Pepika skutkiem żalu, w jakim się z rodzicami rozstała, oraz będąc utrudzona podróżą morską, uczuła się być zupełnie osłabioną i niezdrową; widząc to angielscy oficerowie statku, w jednej chwili rozkazali uprzątnąć swoją kajutę i takową z przyjemnością młodym małżonkom odstąpili, ułatwiając im wszelkie wygody, o ile im tylko dostarczyć mogli; zaś przywiązany mąż jej Sennor Tomas dzień i noc czuwał ciągle nad swoją Donną Pepiką, która będąc zniecierpliwiona tak przykrą i utrudniającą podróżą, przeklinała często, a on nieszczęśliwy wszystko cierpliwie znosić musiał. O! jakże natenczas byliśmy szczęśliwi, że ożenienie się i wszelkie uczucia miłosne wcale nas się nie tyczyły, że byliśmy zimni na wszystko, a tylko dla Polski zachowując miłość, obecnie nie potrzebowaliśmy podzielać losu naszego bohatera i rycerza hymenu.

Dnia 8go czerwca przybywszy do wyspy Sardynii, wpłynęliśmy do portu Cagliari, gdzie statek nasz przez dzień cały na kotwicy zatrzymany został. Dnia następnego popłynęliśmy do Neapolu, gdzie dopiero dnia 12 Czerwca pod wieczór szczęśliwie na miejsce

przybyliśmy. Tu znów, ponieważ okręt nasz przez trzy dni pozostawał w porcie, dla tego też mieliśmy sposobność zwiedzić całe miasto Neapol i wulkan Wezuwiusz, który natenczas wyziewał nieustannie

252

ogień i nader nieprzyjemnym, duszącym dymem nas uczęstował.

Kapitan naszego okrętu oznajmił nam, że władza angielska nie raczywszy nas przyjąć, postanowiła oddać starszemu admirałowi angielskiemu lord Bentink, aby ten mając polecenie, stosownie podług tego rozporządził się z nami; a ponieważ ten admirał aż w Genui zamieszkiwał, przeto kapitan naszego okrętu aż tamże nas dostawić musiał. I tak więc dnia 15 Czerwca opuściliśmy port w Neapolu, płynąc przy pomyślnym wietrze dokoła brzegu Włoch, zostawiając wyspę Elbę po prawej stronie, a zaś Korsykę po lewej, szczęśliwie przybyliśmy dnia 18 Czerwca do Genui. Wsiadłszy z okrętu, złożyliśmy najszczęstsze pożegnania naszemu kapitanowi Bates za doznane względy, tak ze strony jego, jako również podczas podróży ze strony osady, żegnając zarazem wszystkich panów Anglików, którzy nas z prawdziwą uprzejmością odprowadzali do lądu. Tu zaraz przedstawiono nas admirałowi Hallovel, który rozkazał aby nam wydano kwatery, gdzie oczekiwać musieliśmy lorda Bentink, który niezadługo miał przybyć do Genui z Palermo; byliśmy przytem zapewnieni przez lorda, że na zasadzie przepisów, wypłacone nam będzie trzecziesięczne utrzymanie na dalsze koszty podróży. Kozkwaterowano nas w hotelu zwanym „Hotel el Cruce de Malta“ aż na 7ym piętrze. Znajdując się w tak uroczym kraju jakim są Włochy, a napawając się jego pięknym widokiem, dziękowaliśmy Bogu, że już przecież raz skończyła się nasza podróż morską, a z nią zarazem wszelkie męki

253

i cierpienia, jakie ponosić musieliśmy; wtedy zdawało się nam, jakobyśmy już byli najszczęśliwszymi na świecie, będąc oddaleni od tych dzikich wysp Balearskich. Z przyczyny wielkiej liczby wojsk angielskich, sycylijskich i sardyńskich w Genui natenczas stojących, walcząc z biedą, tu także ucierpieliśmy wiele w tem wielkiem mieście. Admirał Hallovel pomimo prośb, któreśmy codziennie zanosili, nie chciał nam wydać paszportów do Polski, dopóki nie przyjedzie sam lord Bentink, i tak więc niecierpliwie oczekiwać go musieliśmy. Codziennie wydawano nam tylko 1 ½ racyi chleba, pół funta mięsa i pół kwarty wina (co dla wygłodniałych żołądków naszych przy wolności i ruchu było nader niewystarczającym), na którą to prowizję musieliśmy odległą przestrzeń po assynację czyli bons chodząc do komisaryatu przez rozległe tarassy, a otrzymawszy takową, musieliśmy chodząc zupełnie w inną stronę o pół mili odległą po chleb, w inną zupełnie po mięso lub rybę i zupełnie w przeciwną stronę po wino. Odbywać codziennie tak wielkie kursa drogi, było dla nas nader utrudniającem, tem bardziej, iż pierwszy raz nie znając tutejszych miejscowości, potrzeba było nająć przewodnika, któremu po przyniesieniu wyżej wymienionych produktów, ostatni grosz

zapłacić musieliśmy. Nie mając naczyń, w które raby mięso rozgotować można, udałem się przeto w tym celu do Signora Patrona, właścicielki hotelu, która siedząc natenczas w kącie jadalnej sali, robiła pończochę; nad nią wisiał wielki obraz Madonny, przed którym dzień i noc paliły

254

się dwie kolorowe lampy. Ten święty wizerunek wyobraźni widać nie zaszczerpił w naszej gospodyni prawdziwego poczucia ludzkości, oraz obowiązków bliźniego, gdyż prosiłem ją, iżby pożyczyła jakiegokolwiek naczyń, szczyptę soli i pozwoliła ugotować kawałek mięsa w swej kuchni, lecz chciwa świętoszka ogromnymi oczami obejrzawszy się dokoła, o niczem wiedzieć nie chciała. Jeden z moich towarzyszy podróży, nasz ziomek, który kilka lat zamieszkiwał we Włoszech, mówił mi, że brak gościnności w połączeniu z chciwością daleko większą jak u żydów w Polsce, znamionuje charakter tego narodu; więc od tej pory już o nic więcej nie prosiłem gospodyni naszego hotelu. Cóż więc mogliśmy począć wtedy, nie mając ani wiele co, ani też w czym przygotować, sprzedaliśmy nasze bons i żyliśmy o ile można było najoszczędniej z tych kilku zdobytych groszy. Przenocowawszy w hotelu, z chęcią opuszczaliśmy takowy z przyczyny wysokich wschodów, spacerując po całych dniach po mieście i około portu, a głód zawsze był nieodstępnym naszym towarzyszem.

Już trzeci tydzień się kończył, a lorda Bentink nie było widać; opieszałość zaś Anglików posunięta do najwyższego stopnia była nieprzepartą i nieuprzykrzoną, iż na żaden sposób nie raczyli nam wydać paszportów do Polski, obiecując, że lord chwila przyjedzie. Głód i największa nędza znów dały się nam uczuć we znaki, obdarci jak nędzarze bez grosza, pie mieliśmy już więcej

255

cierpliwości czekać tak dłużej, — nic nas, nawet romantyczność Włoch swemi czarującymi cudami natury, naszej niecierpliwości, nędzy i głodu zaspokoić nie mogła.

Zaryzykowałem i udałem się jeszcze po raz ostatni do admirała Hallovel, przedstawiając mu naszą tak dokuczliwą biedę i zupełnie krytyczne położenie; nadmieniał, że już nie żądamy trzechmiesięcznej wypłaty, lecz prosimy tylko o wydanie paszportów, któreby nam w podróż posłużyć mogły do naszej ukochanej ojczyzny. Ten dopiero rozważywszy smutne nasze położenie, zdecydował się przecie i rozkazały powydawać nam żądane paszporta na drogę, a te były na wpół po angielsku, na wpół po

francuzku napisane, bez żadnego wskazania drogi, którądy udać się mamy, jednakże otrzymawszy takowe, byliśmy bardzo uszczęśliwieni. O, radości! — paszporta do naszej drogiej ziemi! — Myśl ta napawała nas jakąś błogą, niewypowiedzianą radością

i największym szczęściem, tak, że zapomniawszy już o biedzie, nieznośnym głodzie, nie tracąc ani jednej chwili czasu, każdy w swoją stronę, jak najspieszniej udaliśmy się w drogę. Niektórzy z naszych oficerów udali się przez Turyn do Paryża, — my zaś trzej koledzy udaliśmy się najbliższą drogą do swojej ojczyzny. Don Tomas z przyczyny złego stanu zdrowia swej żony Pepiki pozostał jeszcze w Genui.

Zanim przystąpię do opisu powrotu z Genui, chcę jeszcze, mając świeżo w pamięci, opisać nieco Hiszpanię, oraz nadmienić o niektórych zwyczajach

256

i potrzebach narodu hiszpańskiego. Życzeniem mojem jest, abym Hiszpanię jak najtreściwiej opisał, którą pragnę raz na zawsze w pamięci swojej zatrzeć i takową zupełnie zapomnieć. Następnie zaś przystąpię do przyjemniejszych wspomnień, t. j. do opisu, kiedyśmy już powracali ostatecznie do Polski.

ROZDZIAŁ XIII.

Niektóre szczegóły o Hiszpanii, mieszkańcach, zwyczajach i potrzebach, o wojskowym i duchownym stanie, co spostrzedz mogłem podczas wojny i pobytu mego.

Hiszpania podług geograficznego pomiaru i statystyki 1822 r. ściągniętej, zawiera 8777 mil kwadratowych rozległości (1), na której znajduje się 11,248,000 ludności, co zapewne czytelnikom aż nad to jest wiadomem, dla tego też nie mam zamiaru w tej treści rozpisywać się dłużej; lecz mając sposobność przez czas długiego pobytu mego tamże naród ten dobrze poznać, przeto dążnością moją jest, aby opisać niektóre sceny i zwyczaje, jakie mi najbliżej wpadły w oko, a które rzeczywiście zasługują na uwagę, jako odróżniające się od innych ucywilizowanych narodów Europy.

Hiszpanie (los Espagnoles) są zwykle wzrostu średniego, choć ich twarze ciemno-brunatna, koloru

(1) Największa rozległość Hiszpanii wzdłuż od wschodu do zachodu wynosi 140 mil geogr., szerokość zaś, licząc od północy do południa, wynosi 120 mil geogr.

258

więcej oliwkowego, mają, czarne włosy i tegoż koloru piękne, bystre i duże oczy, a które kobietom przy ich szczupłych twarzach nadają najwięcej powabu i piękności; rzadko tu widzieć można mężczyznę korpulenta, wysokiego wzrostu, ponieważ to pociąga za sobą klimat i umiarkowane życie. Jestto naród bardzo ożywiony, do pracy ciężkiej niezdolny, lecz niezmęczony i wszystko przenieść może; kobiety wyższego stanu odznaczają się powolną i majestatyczną powagą. Hiszpanie w ogóle bardzo są dumni i zarozumiali, czują się być wyższymi pochodzeniem starożytnej religii; charakter ich jest nader gwałtowny i mściwy, głównie gdy jest drażniony, lub gdy czuje się być obrażonym, Hiszpan natenczas wychodzi z granic swego uniesienia, pałając największą zemstą, którą z całą gwałtownością wywiera. Każdy mężczyzna nosi przy sobie wielki nóż za pasem; ażeby w razie ubliżenia, mógł się zaraz zetrzeć ze swoim przeciwnikiem. Pojedynki na takie noże jest daleko gwałtowniejszy i niebezpieczniejszy aniżeli broń palna; doprawdy aż strach bierze, patrząc na podobnego rodzaju utarczki, które ten ciemny naród stacza pomiędzy sobą. Przed dokonaniem pojedynku, Hiszpan zdejmuje z siebie kurtkę lub surdut, w którym jest ubrany, i okręca nim lewą rękę od dłoni

aż do ramienia i tą ręką zasłania się w utarczce jak tarczą, w prawej zaś trzyma nóż; lewą nogę, na której przykłęka, ma zupełnie zgietą, zaś prawą w tył wysadzoną. W takiej stojąc pozycji, uderzają na siebie zawzięci przeciwnicy, występują blisko siebie a wystawiając brzuch i pierś naprzód, godzą, zasłonięci lewą

259

ręką, to w ramię, to wyżej lub niżej, cofają, się i znów przystępują do siebie; te dziwne odsadzania się trwają tak długo dopóki jeden z nich nie padnie trupem, lub też ciężko rannym nie zostanie. Jeżeli który z nich jest zabitym, natenczas drugi podług starożytnego zwyczaju szuka schronienia w klasztorze, księża zadają mu pokutę, po wypełnieniu której uwolnionym zostaje. Pojedyńki na pałasze, pistolety i szpady odbywają się także, lecz tylko w klasie wyższej, zaś na noże pojedynkuje się zwykle klasa niższa, która takowe już na pogotowiu nosi za pasem.

Młodzież hiszpańska dojrzewa tu bardzo wczesnie skutkiem gorącego klimatu. Dziwnie się wydaje, widząc małżeństwo, którego mąż ma 18 lub 19, a żona jego 13 lub 14 lat, a niekiedy nawet 12; wczesnie się też starzeją, szczególnie kobiety, które doszedłszy do 30 lat wieku, uważane są już za stare, przyczem rzadko kiedy bywają matkami.

Hiszpanom wiele na tem zależy, aby mieć potomstwo z przyczyny panującego majoratu, i dla tego też jeżeli któremu Bóg da syna, w takim razie jest najzupełniej zadowolony i nie posiada się z radości, nie pytając o resztę. Rzadko się zdarza, aby familia u nich była tak liczną jak w krajach północnych, gdzie mają po 10 lub 15ro dziatwy; Hiszpanki wychowują swe dzieci pieściotliwie, pozwalając im na wszystko, co naturalnie nie przynosi dobrych owoców w przyszłości. W mieszkaniach swych Hiszpanie utrzymują dobry porządek. Domy są powiększej części w kwadratach zabudowane, trwałe, lecz prawie bez pięter,

260

niekiedy tylko widzieć można dom o jednym lub najwyżej dwóch piętrach, przed którymi znajdują się fontanny albo cysterny kamienne bardzo pięknie urządzone; prócz tego u bogatszych Hiszpanów przy fontannie urządzone są jeszcze basseiny kamienne, w których pływają złote i srebrne rybki. Całe dziedzińce zabrukowane są kamieniami, naokoło domów nad trotuarem wznoszą się kryte ganki czyli arkady, których filary są nader pięknie wyrobione z kamieni. Jeżeli dom jest piętrowy, natenczas wyżej urządzone jest drugi ganek; ganki te będąc połączone z sobą, w czasie niepogody i deszczu służą do przejścia z jednego do drugiego domu; takież gankami zaopatrzone są wszystkie ściany domów jeszcze w inny sposób stosownie do pory roku. Na wiosnę można widzieć całe rodziny starych i młodych Hiszpanów od wschodu na tych gankach siedzących, używających świeżego wiosennego powietrza

i słońca, na którem podczas dnia jedzą (para tomar el sol), poczem poziewają najedzeni; często zaś drapiąc się w głowę, z nudów polują na robactwo, i tak zasypiają. W czasie znów lata, kiedy panują dokuczliwe upały, a mianowicie w Czerwcu, Lipcu, Sierpniu i Wrześniu, natenczas z całą swoją familią przenoszą się ku stronie północnej tej galeryi, aby znów użyć chłodu (para tomar el fresco). Pokoje Hiszpanów nigdy nie są malowane żadnymi kolorowymi farbami, lecz tylko pociągane są na białło, jak w wielu miejscach u nas w niższej klasie będących; na ścianach nie zawieszają nigdy portretów, luster, ani też żadnych pamiątek familijnych i historycznych, ponieważ najpewniej

261

im księża tego zabraniają. Będąc w wielu najzamożniejszych domach, nigdy nie zdarzyło mi się widzieć podobnych obrazów, jak tylko obrazy Świętych i to w małej liczbie porozwieszanych. Podłogi z desek także tu wcale nie znają, u biednych są zwykłe wykładane cegłą, u zamożniejszych zaś wyplatane maty z cienkiej słomki z sitowia (esparto zwanej), która tylko w Hiszpanii rośnie pomiędzy górami i urwistami skałami; gdy ta dojrzeje, natenczas ją zrzynają i moczą w wodzie, poczem wyjmują i takową na słońcu suszą, następnie kładą na kłocze lub kamienie i tłuką dopóty dopóki ta wzdłuż nie porozdzieli się zupełnie, potem dopiero splatają z tego szerokie warkocze do 5 cali mające i te następnie zszywają szpagatem i takimi matami w bogatszych domach posadzkę wykładają. Prócz tego z sitowia wyrabiają rozmaite inne przedmioty, jako to: koszyki, siodła, trzewiki i wiele innych t. p. rzeczy; także powrozy, liny do okrętów i kotwic które naspodziewanie są bardzo trwałe.

Umeblowanie u Hiszpanów w pokojach jest bardzo skromne, składa się ono tylko z łóżka, na którem znajduje się materac, poduszki i welniana kołdra i to jeszcze tylko u osób zamożniejszej klasy, biedniejsi nawet i tego nie mają, a śpią tylko na matach z sitowia plecionych, rozłożonych na ziemi, zaś reszta mebli składa się ze stołu, ławki i paru krzeseł z trzciny wyrabianych. Co się zaś tyczy luster, kwiatów i innych t. p. ozdób i upiększeń salonowych, tego wcale nie znają, również nie mają żadnego zamiłowania trzymać w domach ptaków, psów lub kotów. Nie mają

262

także żadnych piecy, co jest oznaką, następstw gorącego klimatu: zaś w porze zimowej panują tu często przejmujące mrozy, zwłaszcza w okolicach górzystych, w tym więc czasie chcąc się uchronić od zimna, stawiają wielką miedzianą misę z żarzącymi się kamiennymi węglami, lub z drzewa oliwnego, w naczynie drewniane ½ stopy wysokie i takowe dopiero wnoszą do pokoju, naokoło którego siada cała familia (naczynie to Hiszpanie nazywają el brassero). Młodzi i starzy, w ogóle wszyscy siedzą od rana do wieczora około owego el brassero, i tylko odchodzą wtedy, kiedy już zmuszeni są koniecznością; kokiety tak są drażliwe na zimno, iż obawiając się, aby nie zmarzły, grzeją się nieodstępnie nad brassero, powtarzając: „Jezus, que frio!“ (Jezus, jak zimno!)

Przy takim brassero Hiszpanie przepędzają całą zimę, a zaś z nudów dla zajęcia czasu, jedni palą papierosy, drudzy opowiadają cokolwiek, inni znów grają na gitarze i śpiewają.

Podczas całej mej bytności w Hiszpanii, zimno nie dało mi się wcale uczuć nawet podczas zimowych miesięcy, gdyż powiększej części padały tylko deszcze; najwięcej nam tylko dokuczył ostry, mroźny wiatr wschodni, albo północny, który często po kilka dni

z rzędu wiał bezustannie. Jednakże dla Hiszpana powietrze takie było już nader zimne i przejmujące, otuliwszy się w swój długi płaszcz po uszy, pokazywał zaledwie nos i oczy swojej delikatnej twarzy.

My cudzoziemcy nie mogliśmy znieść tego brassero, szczególnie zaś z kamiennymi węglami, albowiem

263

skutkiem tych doznawaliśmy silnego bólu głowy. Nasi podczas chłodnej nocy, chcąc się ogrzać nieco, wstawili do naszego pokoju brassero, poczem dnia następnego doznaliśmy najokropniejszego bólu głowy, a niektórzy mniej zdrowi tak cierpieli, że nawet z miejsca podnieść się nie mogli. Doznawszy takiej przykrości, woleliśmy w zimnym pozostawać pokoju, niżeli znaleźć w

taki sposób niespodziewaną śmierć w Hiszpanii, tem więcej, iż będąc w naszym klimacie przyzwyczajeni do zimna, obchodziliśmy się zupełnie bez podobnego sposobu ogrzewania. Co się zaś tyczy światła, to Hiszpanie nie znają świec, lecz tylko używają czteroknotowe lampy, które zastępują najjaśniejsze świece.

Hiszpanie prowadzą bardzo akuratne i umiarkowane życie. Będąc tak długo w Hiszpanii, nigdy nie zdarzyło mi się widzieć pijanego Hiszpana, bo tu takim człowiekiem wszyscy gardzą i tenże nie ma już dla siebie żadnego poważania u społeczeństwa. Hiszpan powiada: że milszy mu jest złodziej niż pijany, że przed złodziejem może się ustrzedz, zamknąwszy na klucz swoją chudobę, a pijany czy to przyjaciel, brat, obcy lub krewny, będąc po pijanemu, zawsze stara się zelżyć, znieważyć, lub inną jakąkolwiek krzywdę bliżniemu swemu wyrządzić. Głównie mieszkańcy tych okolic, gdzie się znajduje najwięcej wina, nie są na nie chciwi, ponieważ mają go pod dostatkiem, a nawet w stronach, gdzie go jest mniej, jako to: we Francji, Włoszech, bardzo rzadko można zobaczyć pijanego, gdyż i w tych krajach takiego uważają za wyrzutka ludzkości. Hiszpanie podają wino na stół tylko

264

w czasie uczt i jakich wielkich uroczystości, lecz to na wół rozebrane z wodą, zaś samego wina bardzo rzadko, a nawet prawie nigdy takowego nie używają. Mieszkańcy tutejsi po większej części zajmują się uprawą wina, można tu wszędzie napotkać piękne plantacje winnic, które co rok obcinając, bez żadnych podpierających tyk i szpalerów, same pięknie rosną. Wino wyrabiają zupełnie w inny sposób, gatunków tego jest bardzo dużo i wszystkie są wyborne, i tak n. p. jest wino zupełnie czarno-czerwone (vino tinto) z Katalonii i Alicante, pół czerwone (vino puro) z Valdepennas, białe czyli żółte (vino blanco) z okolic Toledo i la Mancha, słodkie w całej Hiszpanii z Malagi (vino dulce), cierpkie (vino seco) wyrabiają w okolicy Antequera. Jednakże z pomiędzy wszystkich gatunków najdroższe i najwyborniejsze jest to, które wyrabiają w Xeres. Ponieważ wszystkie wina są bardzo mocne i nadzwyczaj rozpalające, dla tego też delikatni Hiszpanie w miarę i na pół rozebrane z wodą piją tylko niekiedy, zaś większą połowę takowego podczas lat urodzajnych wywożą do pobrzeży morza, używając do tego transportu przez góry i skały mułów i osłów, i wino to następnie składają na okręt i wielki handel niem prowadzą. Ponieważ Hiszpanie wcale beczek nie znają z przyczyny braku łupkowego drzewa, zlewają wino w worki ze skóry bawolej umyślnie w tym celu urządzone, w których to zachowują najlepsze gatunki wina, zwane „la peleja del vino“.

265

Przy tej sposobności zamierzam nieco nadmienić o tych workach la peleja del vino.

Skoro tylko zabitym zostanie wielki bawół lub koza, natenczas przeryniają, skórę naokoło karku i kiedy krew zupełnie już zcieknie, wtedy dopiero gardło mocno sznurem związują, następnie zaś robią mały otwór w jednym z tylnych kolan i za pomocą mieszka nadymają całe bydło, poczem rzeźnik zawiązawszy otwór ten sznurkiem, bije je przez długi czas kijami na wszystkie strony, dopóki skóra od mięsa dobrze nie odstanie, a którą później obrzyna naokoło kolan, i tym sposobem od razu całą skórę od dołu do góry ściąga. Przyprawiwszy ją ługiem, wciągają ją na deskę i na słońcu suszą, z wierzchu nożycami strzygą szerść na $\frac{1}{4}$ cala długą, następnie wyczesawszy szczotką, smarują gorącym pakiem i tak długo trą i gładzą, dopóki pozostały strzyżony włos na niej zupełnie się nie wygładzi, i tym sposobem owa skóra wygląda jak lakierowana, otwory u nóg i w innych miejscach szczególnie zawiązują i dobrze zaszywają, a nakoniec zalewają pakiem, poczem zostawiwszy jeden tylko otwór od szyi, tym to wlewają i wylewają wino. Worki te Hiszpanie inaczej jeszcze nazywają „bota del vino“, są ciągle używane i niezbędnie potrzebne do transportowania wina, które uskuteczniają za pomocą osłów i mułów; muł naraz dźwiga trzy takie worki wina, zaś na osła jako mniejszego kładą dwa tylko; każdy worek mieści w sobie nie więcej jak 80 kwart. Wszędzie po szynkach w Hiszpanii są używane takie

266

beczki skórzane, a ponieważ otwór w górze będący od szyi jest za szeroki, przeto więc aby wino nie zwietrzało, wsadzają rurę jedną stopę długości mającą w tenże otwór i zatykają go czopem. Dziwnie wydają się te worki napelnione winem, w kącie po szynkowniach stojące, tak, że przednie nogi do góry sterczą, a przymocowana rura u szyi spada nadół jak Don Quixote de la Mancha do walki występujący. Szynkarka sprzedając wino, musi za każdym razem przewracać ów worek le peleja del vino na bok, kłęk na nim i za pomocą rury, która zwolna podniósłszy się po wyciągnięciu czopa, zaczyna najstrasliwiej trąbić, poczem dopiero wino wycieka, i tego szynkarka żadaną miarkę nalewa. W Madrycie, Seville, Grenadzie i wielu innych miastach są wielkie fabryki, w których wyłącznie tylko worki te la peleja del vino wyrabiają, otwory których osadzają małą rogową rurką, albo też drewnianą na kształt trąbki urządzoną, a otwór zatknięty jest czopkiem; używają je także do octu, oliwy, w takim razie wyprawiają je wapnem i do tego wyłącznie służą, gdyż w przeciwnym razie podpadałyby zepsuciu. Opisałszy mniej więcej la peleja del vino, czyli owe worki ze skór bawołów, mułów lub kóz, nie mogę pominąć nadmienienia jeszcze o innych naczyniach, garnkach czyli wielkich kufach, które służą także do przechowania wina w sklepach winnych oraz po domach. Ponieważ w całej Hiszpanii nie ma drzewa łupkiego, zdatnego do wyrobu beczek, przeto Hiszpanie zdobyli się na sposób wynalezienia

267

i wydoskonalenia wina w wielkich garnkach, które bardzo korzystnie posłużyły im do tego użytku. Będąc dwa lata w Hiszpanii, codziennie przypatrywałem się tym ogromnym kufom czyli garnkom, jednakże nie przyszło mi na myśl, jak oni te nadzwyczaj wielkie naczynia wyrabiają. Nieraz myślałem sobie: Co to za ogromny piec i otwór w nim być musi, w którym Hiszpanie tak wielki

kolos wypalają, aż nareszcie gdy staliśmy trzy tygodnie we wsi Ciempozuelas niedaleko Aranjues, ciekawość moja zaspokojoną została.

Te wielkie naczynia czyli kufy (zwane Tinajas) wyrabiają na otwartem polu w następujący sposób: Najpierw robią szkielec z pałków ryżu, z dołu nieco węższy, w środku wypukły i do góry znowu zwężony, na kształt naszych urn, lecz u góry o tyle węższy

otwór, aby tęgi mężczyzna mógł się zmieścić przez takowy. Naokoło zaś otworu robią mocny brzeg z gliny, zaciągają pałaki i wiążą jeden za drugim. Kiedy już szkielec taki wykończony zostanie, wtenczas dopiero biorą się do wyrobienia dna; w tym celu stawiają go w żelazną formę, ubijając dno z gliny pomieszczonej z kamieniami; następnie tynkują naczynie, układają stopniowo zewnątrz kamienne płyty i gliną tak wewnątrz jako i zewnątrz zalepiają i wygładzają. Naczynie to pozostaje przez kilka dni na

słońcu, a ponieważ od upału słonecznego glina pęka, przeto znowu zalepiają owe szpary dobrze gliną wyrabianą. Gdy już zupełnie takowe naczynie wykończą, stawiają naokoło niego piec z kamieni, tak, ażeby pomiędzy naczyniem i piecem była pewna przestrzeń, gdzie nakładłszy

268

pewną, ilość chrustu, zapalają takowy; tym więc sposobem naczynie takie przez parę dni wypalają. Kiedy piec ostygnie, rozrzucają go na bok, a garnek ten mieszczący w sobie od 8, 50, 100 do 200 wiader, przynoszą do domu, gdzie na dziedzińcu pod dachem umyślnie w wykopany w tym celu dół; takowy do połowy wstawiają, wybierają z jednej strony ziemię i tam wstawiają schodki na dół prowadzące, gdzie się znajduje otwór do toczenia wina.

Naczynie to napełniają winogronami, które pozostając w niem przez dni 14, wyrabiają i fermentują; poczem wybierają jagody na wierzchu pływające, i kiedy wino już jest dobrze wyklarowane, wtedy aby nie wietrzało, nalewają na wierzch na sześć cali oliwy i nakrywają grubą płócienną matą. Chcąc utoczyć wina, schodzi się po schodkach i otworem na ten cel pozostawionym u dołu naczynia toczy się; wino to jest tak czyste i klarowne jak rubin. Takie naczynie z winem ma prawie każdy Hiszpan na podwórzu, gdyż prawie każdy posiada swoje winnice. Dla tego też żołnierze nasi mieli u Hiszpanów wina pod dostatkiem, którego aż do zbytku używali, tak, że często przy owych naczyniach, do sprzeczek i bójki przychodziło, ponieważ każdy chciał sobie pierw tegoż wina utoczyć.

Kawy i herbaty Hiszpanie wcale nie znają; bogatsi piją czekoladę i szklankę wody, a biedniejsi zupełną z wody, chleba, soli, czosnku cebuli i oliwy. Obiady jedzą skromne i wszystkiego używają w miarę. Powszechną potrawą Hiszpanów jest *puchero*, potrawka z wołowego lub baraniego mięsa, którą

269

przyprawiają sobie tak zamożni iako i biedniejsi i co dzień jedzą; kury, kielbasy, słoninę (tosino), groch (garbancos), bób (avicuellas), marchew (carottas) i inne t. p. jarzyny stosownie używają podług pory roku. Do wszystkich potraw biorą pieprz turecki,

czerwony (pimiento), zaś czarny (pimiento negro) nie używają zupełnie. Rosół zwykle jedzą nalewany na bułkę. Podczas wielkich uczt podają na stół wety, składające się z fig, winogron, melonów, ogórków i t. d. Cielęcinę tylko w Madrycie widzieć można, w innych miejscowościach wcale jej nie znają. Rożnów tu nie mają, smażą wszystko w rądlach; na kolację jedzą najczęściej mięso z sałatą. Ze wszystkich przypraw Hiszpanie najlepiej lubią czosnek (ajos), którego tak wiele używają, jak u nas żydzi cebuli, i to z czerwonym pieprzem. Połączone te ostrości nie łatwo strawne, sprawiają ciągle odbijanie się, które to Hiszpanie uważając za dobry

znak, powtarzając „pomyślności!” (bonprovecho), na co ci kłaniają się z podziękowaniem, i to w największych towarzystwach u nich za dobrą monetę jest przyjęte. Nam cudzoziemcom z początku to zdawało się być nadzwyczaj dziwnem, lecz później przyzwyczailiśmy się do tego.

Hiszpanie nie mają wyobrażenia o życiu światowem, towarzyskiem, gdyż to dla nich jest zupełnie obcem, pod tym i innemi względami są bardzo zacofani; nie znają publicznych zabaw i t. p. Kobiety w największych towarzystwach siedzą rzędem po jednej stronie pokoju, mężczyźni zaś po drugiej;

270

pierwsze rozmawiają pomiędzy sobą cicho, a drudzy siedzą zupełnie milczący z majestatyczną miną i palą papierosy. Jeżeli wtedy przybliży się do damy mężczyzna, chociażby nawet mąż, uważają to za największą niegrzeczność. Księża znajdują się wszędzie w towarzystwach, najlepiej są uważani, we wszystkim biorą udział i pilną na wszystko zwracają uwagę, mianowicie jeżeliby który mężczyzna pocałował kobietę w rękę, księża zaraz spostrzegają to i nazywają największym występkiem. Będąc w towarzystwach, nie używają chłodzących napojów, chociażby nawet był największy upał, zaledwie tylko na prośby w razie wielkiego pragnienia dostać można szklankę wody. Jeżeli nadchodzi godzina posiłku, wtedy wszyscy goście rozchodzą się do swoich domów, zaś gospodarz wedle przyjętego zwyczaju zaprasza temi słowy. „Toda la casa es para la disposition de Auestedes“ (cały mój dom do dyspozycji Pańskiej), — lecz rzadko kto pozostaje, gdyż uważają to za hańbę, chociażby nawet i u krewnych pozostał, to i powtarzają zaraz wszyscy; „Chyba w domu nie ma co jeść.“ Kobiety w towarzystwach z przyczyny obecności księży są nadzwyczaj skryte, potajemne i nieprzystępne, udające niewiniątka, lecz za to do ukrycia tajemnicy, szczególnie w wypadkach miłosnych, są wprawne mistrzyni i pod tym względem żądają podobnie wzajemności od swoich wielbicielei. Jeżeli która przekona się o zdradzie swojej tajemnicy, natenczas mszcząc się, złość swoją do ostatniego stopnia wywiera. W skrytości wszystkiego się dopuści, lecz

271

nigdy po sobie tego nie okaże, że ją otacza jakakolwiek tajemnica.

Hiszpanki są prawie wszystkie brunetki, rzadko kiedy można widzieć blondynkę, mają włos czarny, oko duże tego koloru i wypukłe, usta małe, twarz takąż i drobną, która nadaje im nadzwyczaj miłą i powabną postać; nogi i ręce mają także małe i drobne.

Ubiór hiszpanek jest bardzo gustowny. Suknie noszą zupełnie obcisłe do stanu, długości do kostek nóg sięgające, aby małą i ładną nóżkę dobrze widać było, stanik w dwa lub trzy rzędy, od góry do dołu frendzlami obszyty; ubierają się zawsze czarno, latem

w jedwabne, zaś zimą w suknie sukienne. Strój na głowie noszą bardzo skromny; z naturalnych włosów splatają warkocze i bardzo zręcznie takowe zawinawszy, przypinają grzebieniem, z którego spuszcza się końce pięknie zakręconych loków, zaś dwie wielkie

brylantowe szpilki w warkocze zatknięte, uzupełniają całkowity strój głowy; kapeluszy i czepeków wcale widzieć się nie daje. Na ulicy nigdy nie spotka się kobiety idącej z mężczyzną, gdyż takowe tylko w towarzystwie matek, sióstr i krewnych wychodzą do kościoła lub do ogrodów publicznych. Rodzice, aby mieć zawsze na oku swe córki, postępują za niemi z całą majestatyczną powagą. Hiszpanie uważają za szczególną niegrzeczność przymilanie się, zaczepianie lub też zatrzymywanie kobiet na ulicy.

Najulubieńszym z tańców u Hiszpanów jest „fantago“; tu koniecznie występuje kobieta i mężczyzna, którzy stojąc naprzeciw siebie z kastanietami

272

w ręku, pięknie tańczą, nie dotknawszy się jedno drugiego; do tego, na pochwałę tańczących, towarzyszy gitara ze śpiewkami, która li tylko do nich wyłącznie się odnosi; wtenczas wygłaszają w nich pierwsze poznanie miłości i historię takowej, wyśpiewują gdzie i jak się pierwszy raz ujrzeli i poznali. Taniec ten powtarzany w różnych płasach, skokach i pantominach trwa dopóki się nie skończy

owa historia miłości; przyczem w tym tańcu jedno drugie stara się zwieść w czemkolwiek, co widzów przyprowadza do większej zabawy, tak, że śmiejąc się do rozpuku, wykrzykują: „bravo! bravo!“ W całej Hiszpanii jest tylko jedna i taż sama melodia do tańca, i tę używają wszędzie, nawet na weselach; cyganki są najrzęczniejsze tancerki mieszkające w Andaluzji, lub odszczepieńcy Maurów w Grenadzie, jak wyżej o tem nadmieniałem. Oprócz fantago, tańczą jeszcze Volero i la tana, z których pierwszy w większych domach i w teatrach, drugi zaś więcej w kółkach niższej klasy, są od dawna wzięte.

Hiszpanie zachowują także starożytny zwyczaj wyprawiania serenady wśród nocy pod oknem, podczas której kochanek akompaniując na gitarze, przyśpiewuje, przesyłając swej najdroższej czule westchnienia, oraz życząc jej błogiego spoczynku i przyjemnych marzeń. Chodząc z patrolem po ulicach, bardzo często zdarzyło mi się widzieć czulego trubadura, przesiadującego pod oknem swojej ulubienicy.

273

Ubiór mężczyzn jest jednakowy w całej Hiszpanii, składa się z kurtki lub krótkiego spencerka i szarawarów, bogatsi noszą, z czarnego cienkiego sukna lub mamszestru kamizelki i długie do kostek bez rękawów z krótkimi kołnierzami płaszcze także z czarnego lub brązowego sukna; zamożniejsi noszą, buty, klasa średnia trzewiki skórzane nieczyszczone, a zaś biedni mają trzewiki ze szpagatu (apargates) lub sitowia (esparto) plecione. Hiszpanie wyższego towarzystwa obcinają włosy, noszą trójkątne lub okrągłe kapelusze, długie płaszcze podszyte pasowym aksamitem ze srebrnymi dużymi guzikami, zaś mniej zamożni nigdy włosów nie obcinają, lecz splótszy takowe w warkocz, okręcają nim głowę, zawiązują dużą chustką i na tem noszą szpiczastą sukienną zjedwabniami chwastami i sznurami czapkę.

Wielki magnat (un grand sennor), aby się odróżnić swą zamożnością, nosi nadzwyczaj wielki trójkątny kapelusz, płaszcz z najcieńszego sukna, długi i szeroki, którym zupełnie się zakrywszy, jeden koniec z nadaną fantazją na ramię zarzuca, tak, iż cały podszyty czerwony aksamit widzieć można, u prawej ręki zaledwie tylko palce ma niezakryte, gdyż te są zawsze na pogotowiu do zdjęcia kapelusza, jeżeli na ulicy witany bywa; na skinienie również skinieniem odpowiada. Hiszpanie już w podeszłym wieku, noszą czarny jedwabny harbajtel, w którym swoje włosy układają, przybrany w rozmaite sznury i chwasty wyobrażające warkocz, W miastach

274

położonych nad morzem ubierają, się nieco gustowniej, gdyż noszą surduty i fraki podług mody francuskiej, biedniejsi ubierają się najczęściej w mamszester, który w miastach portowych jest nadzwyczaj tani.

Co się zaś tyczy gruntu, to ten w Hiszpanii jest prawie wcale nieurodzajny, ponieważ po większej części jest zupełnie piaszczysty; urodzajną ziemię widzieliśmy tylko w Estremadurze nad Tagiem, gdzie w lasach sosnowych niechętnie biesiadować musieliśmy. Hiszpanie nie wypuszczają w dzierzawę swej ziemi, ponieważ u nich nie ma tego zwyczaju, lecz orze na swym kawałku

gruntu jednym pługiem, który podobny do naszej motyki służącej do grzebania ziemi; do tego pługu zaprzęga parę wołów lub mułów, sieje żyto lub jęczmień i następnie bronuje. Pomimo nieurodzajności ziemi, jak a jest prawie w całej Hiszpanii, jednakże w prowincji Talavera udaje się bardzo ładna pszenica, podobnież zwana do tej prowincji talawera, którą nawet sprowadzano do Polski; lecz to jest jedyny wyjątek w Hiszpanii, bez której nie tylko w całym kraju ale nawet w pobliskich okolicach obejść się nie mogą. Pod względem rolnictwa Hiszpanie bardzo nisko stoją i mało przykładają się do tego, co musi być przyczyną: popierwsze, brak dobrej komunikacji, gdyż drogi są tu prawie wszędzie górzyście i skaliste; po drugie, że więcej oddają się uprawie wina, a po trzecie, z przyczyny lenistwa i niedbalstwa, ponieważ tyle tylko sieją, ile im samym na rok do czasu nowego sprzętu wystarczyć może; to też co rok otrzymują wielkie transporty

275

pszenicy z nad brzegów Barbary i z Lewantu z Grecji. Dla bydła, owiec i innych t. p. zwierząt, Hiszpanie po wsiach nie mają wcale stodoł, ani też obór; mają tylko stajnie dla koni, mułów i osłów.

Przy zbliżaniu się żniwa, Hiszpan oddziela na swoim polu kawałek ziemi na klepisko, ze sto łokci rozległej, na której, układa kamienie, podobnież jak u nas po wsiach, na wierzch kładzie glinę i takową do równa smaruje. Sprzątnięte zboże, na ten plac zaraz

sprowadza i oddzielnie każdy gatunek układa, dopóki wszystko nie zerżnie. Kiedy już zboże na polu zebrane zostanie, zaczyna młócić w następujący sposób. Bierze trzy lub cztery trzyłokciowe deski, pod spodem podbite kawałkami kos, noży, pałaszy, do tego zaprzęga trzech mułów lub osłów, a siedząc na koźle na deskach tych urządzonym, poganiam dosyć prędko owe zwierzęta, które lecąc deptaniem ziarna wymłacają, zaś żelaza pod spodem urządzone słomę na sieczkę krają, która od żaru słońca jest tak krucha, że w ręku ją zetrzeć można. Młockarz taki z jednej strony ma zawieszoną u pasa torbę z winem, a w drugiej pożywienie, je więc i pije kiedy chce i pali cygara lub papierosy; drugi zaś idąc za nim, z widłami drewnianymi przetrząsa wymłócone już zboże; a gdy słoma na sieczkę pocięta, wtenczas przy dobrym wietrze skutecznieją wianie, czyli czyszczenie z plew ziarna. Poczem oddzielnie zboże, plewy i sieczkę znoszą do domów i przechowują je na górze pod strychem. Dla tego też Hiszpan zimą nie ma nic do roboty, próżniactwo jest jedynem jego zajęciem. Ponieważ Hiszpanie nie

276

znają ani stodoł ani szpichrzy, przeto więc pod podłogą, mają sklepienia w rodzaju cystern urządzone, tam więc wszelkie zapasy zboża przechowują. Siana, kos, łąk wcale nie znają, gdyż prawie przez cały rok bujna rośnie trawa. Pszenica, jęczmień i groch są zupełnie odmiennego gatunku jak u nas; owsa używają bardzo mało; innych gatunków zboża oprócz wymienionych wyżej, wcale nie posiadają, kartofli sadzą bardzo mało i takowe na funty na targu sprzedają. Owce chowają nie tak jak w wielu miejscowościach Europy, lecz te od samego upłęcenia się ich aż do zabicia są ciągle pod odkrytem niebem, przez co mając zawsze świeże powietrze, zostają zupełnie zdrowe i dobrze w tym ciepłym klimacie utrzymywane. Po wsiach można ich widzieć połączone w wielkie stada, które mają wytkniętą drogę przez całą Hiszpanię, od północy ku południowi przechodzą pod nazwą owiec wędrujących. Stada te składają się od 6000 do 15000 owiec i kóz, które ową wędrówkę odbywają w następujący sposób: W

południowej Hiszpanii znajdują się tak zwani Pastores mayores (główni owczarze czyli majstrowie owiec), ci trzymają podowczarzy, parobków (ganadores). Skoro więc taki podowczarz ma wyruszyć na wiosnę ze stadem owiec ku północnej stronie Hiszpanii, wtenczas w całej okolicy o tem głoszą każdy przeto właściciel stada, pod rachunkiem, przyłącza swoje owce, takowe własną cechą oznacza i na całe lato oddaje je w opiekę podowczarzy. Stado takie powiększa się codziennie i następnie wielkim transportem wędruje od południa ku północy,

277

mając drogę przez rząd wytkniętą, tak, że tylko tą wskazaną drogą postępować może. Głównych takich wytkniętych dróg w Hiszpanii jest trzy, któremi owce i kozy będąc pędzone, znajdują najlepszą paszę pomiędzy górami i tak długo zatrzymują się w każdej miejscowości zarosłej bujną trawą, dopóki wszystkiej nie zjedzą, później wędrują dalej. Kiedy nadchodzi już czas strzyżenia, natenczas w okolicy Segowia i na innych wytkniętych gościńcach takowe się odbywa; w niektórych bliższych miastach zatrzymują się, gdzie właściciele małych stad są obecni przy strzyżeniu lub też wysyłają swych pełnomocników dla zabrania wełny lub sprzedaży. Po strzyżeniu jej, stada wędrują dalej w okolice północnej Hiszpanii, gdzie całe lato pozostają w Pirenejach, tu podczas zimy są zasłonięte górami, pomiędzy którymi się paszą, zaś w wielkie upały wychodzą na wysokie góry. Za zbliżaniem się zimy, cały transport ciągnie napowrót do południowej Hiszpanii, tam pozostaje przez całą zimę, gdyż pomiędzy górami mają pod dostatkiem trawy, która tamże rośnie bez przerwy. W ten więc sposób właściciel, chowając swoje owce, widzi je tylko przy strzyżeniu i kiedy owczarzowi pod rachunek oddaje. Podczas naszego marszu w Hiszpanii, bardzo często spotykaliśmy pasące się na najwyższych górach stada owiec, które z wielką łatwością, częściowo albo też całymi stadami zdobywać mogliśmy. Każde stado ma wielkiego psa, który idąc naprzód prowadzi je, owczarze zaś postępują za stadem, za owczarzami idzie osioł, który niesie odzież i żywność, jako to: ser, chleb i dwa duże rogi, z których

278

jeden napełniony jest oliwą, a drugi wodą z octem; osioł ten często i znużonego owczarza dźwigać musi. Prawie każdy ganador nosi z sobą gitarę, a przygrywając na niej, tańczy i śpiewem pieśni ściągających się do jego stanu, czas sobie uprzyjemnia. Owczarz tak całe życie przebywa między wysokimi górami i skałami pod gołym niebem. Ubranie jego składa się z kozłej kudłatej skóry bez wyprawy, dwie takie skóry tworzące płaszcz, zarzuciwszy na ramiona, przewiązuje się dwoma sznurami u pasa, niżej kolan podwiązuje także tę skórę sznurem, pod którą nosi niewidzialną koszulę i szarawary; tym sposobem chroni się od zimna i deszczu. Ganador taki najzupełniej podobny jest do dzikiego człowieka, zwłaszcza kiedy jeszcze okryty jest pstrą skórą; na głowie nosi ogromny szeroki kapelusz, i ten służy mu do zasłonięcia się od silnych promieni słońca. Hiszpańskie owce pod względem dobroci mięsa i wełny, nie można porównać do innych krajów Europy; wełnę mają tak ciekawą i delikatną jak pella; barany i maciory rosną prędko i są bardzo duże, co jest przyczyną sprzyjającego klimatu, dobrej i zdrowej paszy, gdyż ciągle mają świeżą z rozmaitymi aromatycznymi ziołami trawę, przytem są zawsze pod gołym niebem na otwartym powietrzu, co się przyczynia najwięcej do wzrostu i delikatności wełny; mięso podobnie jest daleko smaczniejsze, i bez porównania więcej soczyste i tłuste aniżeli mięso naszych owiec. Będąc w obozach, tysiącami zabijaliśmy te biedne zwierzęta i niszczyliśmy całe ich stada. Dziwną jednak jest rzeczą, że pomiędzy stadami owiec wiele

279

kóz się znajduje; Hiszpanie utrzymuje, że to im nic nie szkodzi. W domu chowają tylko konie, muły, osły, które im służą do uprawy roli i do dźwigania w podróży rozmaitych ciężarów. Niektórzy Hiszpanie trzymają dla przyjemności po parę koni lub mułów, które pochodzące ze stadnin królewskich, z których jedna znajduje się w Aranjuez, a wiele innych w Andaluzji. Z pomiędzy koni najpiękniejsze są wierzchowce, mające małe i kształtne łby, rozwarte nozdrza, długie uszy, pochyły kark, pierś wypukłą i szeroką, piękny grzbiet i cienkie wysmukłe nogi, co stanowi największą ozdobę dobrych koni; przy tem jeżeli koń taki jest pierwszy raz w ogniu na bitwie, wtedy staje się nadzwyczaj rozognionym i chętnym, lecz nie jest wytrwałym, albowiem na drugi lub trzeci dzień, ogień zapalczywości w nim stygnie, zwiesza łeb na dół i jakby osłabiony jest leniwy i ociężały, czego ułani nasi dobrze doświadczyli podczas bitew i marszów w Hiszpanii. Hiszpanie rzadko kiedy kastrują konie, w kawalerji są same ogiery (el caballo entero). Rzadko kiedy zdarza się u nich wałach (un caballo albo una hu ca), które zgadzają się pomiędzy sobą, ponieważ razem od małych źrebiąt w zrastają; kłacz (jeguos) także są zawsze z ogierami. Osły (los boricos) i muły mnożą się między sobą, pierwszym rozrzucając nozdrza na dobry cał, ażeby łatwiej mogły chwytać powietrze podczas dźwigania ciężkich pakunków; zdołają ich także;

przewlekając różnokolorowe w stążki przez dziury na wierzchu ucha zrobione, zawieszają je pomiędzy uszami, przytem wsadzają jeszcze na mundsztuku wielki

280

kiście z czerwonego jedwabiu zamiast piór. Siodła robią, słomiane z drewnianymi bakami przy bokach, na które zboże lub inne towary zawieszają.

Handlarze zboża (arieros) transportują wielką ilość takowego przez najwyższe góry do pobrzeży morza za pomocą tych zwierząt. Ścieżki pomiędzy górami są ciasne i najczęściej nad samymi przepaściami położone, które kopytami mułów i osłów tak są wydeptane, iż tworzą jakoby wschody coraz dalej na góry prowadzące. Każdy arieros posiada od 20 do 30 mułów i osłów, te łącząc się w karawany do 100 lub więcej, ciągną się sznurem za sobą przez góry, skały i niebezpieczne przepaście. Na czele takiej karawany

gdzie stary (Borico) z wielkim dzwonkiem u szyi, będąc głównym przewodnikiem całej karawany. Arieros to naprzód idące zwierzę nazywa el Capitano; gdzie przewodnik prowadzi, tam wszyscy za nim postępują: jeżeli ten się zatrzyma, natenczas staje także cała karawana, a gdy zboczy, nie idzie właściwie wskazaną mu drogą, wtedy zostaje boleśnie ukaranym, poczem złośliwy Hiszpan przeklinając go, woła: Arre Capitano — arre el demonio! (maszeruj kapitanie, idź do diabła i t. d.) Zwierzęta te są bardzo pożyteczne Hiszpanom, przytem nie są tak leniwe jak w innych krajach, szybko biegną, są silnie zbudowane, dużego wzrostu i pewniej jak koń postępują; na nich daleko wygodniej jechać niż na koniu. Ja sam pewnego dnia ujechałem na osle mil 12 i przekonałem się, iż utrzymanie osła daleko mniej kosztuje niż konia. Dziwny u Hiszpanów zachowuje się zwyczaj strzyżenia szerści,

281

pod brzuchem koniom, osłom i mułom; tem zajmują się Mariscules; ci mając do tego stosowne nożyce, bardzo zręcznie i prędko ułatwiają takowe czynności, co dobrem jest dla tych biednych zwierząt dźwigających wielkie ciężary w czasie dokuczliwych upałów. Strzyżenie to w Hiszpanii w każdej prowincyi praktykuje się w inny sposób i niejako jest modą, która część ma być ostrzyżoną. Powszechnie zaś strzygą grzbiety, gdyż ta część najczęściej na działanie słońca jest wystawioną, przytem za każdym stąpieniem zwierzęcia z ciężarem, część ta bywa w ciągłym tarciu, skutkiem czego biedne zwierzęta bywają często ranione. Dysputowałem o tem z Hiszpanami po kilka razy, ci objaśnili mnie, że zwierzę w ten sposób obstrzyżone nie podlega uszkodzeniu; dla tego też w całej kawalerii hiszpańskiej strzygą koniom grzbiety od samej skóry, o ile tylko czaprak i siodło zabiera miejsca; strzygą także kark do bioder, na którym spada piękna puszysta grzywa, innym wystrzygują uszy, innym znów strzygą cały kadłub, zostawiając tylko tył, na którym wystrzygują dla żartów różne kwiaty; w tyle zostawiają na 4 cale pas szeroki, i na nim podobnie strzygą rozmaite figle. Koń taki, zwłaszcza dla oka nieprzyzwyczajonego wygląda bardzo śmiesznie, jakkolwiek chłodniej mu wprawdzie, lecz za to brud się wcale nie trzyma; ale od robactwa jest wielce umęczony. Co się tyczy rogacizny, to tylko w większych miastach można widzieć pracujące woły, a głównie w prowincyi Biskaja i Starej Kastylii. Krowy dojeny nie zdarzyło mi się widzieć w całej Hiszpanii,

282

ponieważ właściciele puszcza ją pomiędzy góry i lasy, gdzie chowają się zupełnie w dzikim stanie; za zbliżeniem się człowieka kryją się, uciekają czempredzej, zaś buchając rzucają się niekiedy, ujrawszy postać ludzką. Woły używane do pracy, Hiszpanie chowają w domu, dla tego te są dobrze oswojone i do roboty w polu przywykłe. Wszystko bydło w Hiszpanii jest koloru płowego, rzadko kiedy zdarza się widzieć rasę czarnego lub brunatnego, jak np. byki, które używane są do potyczki; te mają szerszą nadzwyczaj miękką, piękny wzrost, wielkie i długie białe rogi, nadające bydłciu temu okazałą i przyjemną postać.

W żadnym kraju nie ma tyle kościołów jak w Hiszpanii, tu w najmniejszej wsi z kilku zaledwie domów się składającej, kościół być musi, w większych wsiach znajduje się po kilka, a po główniejszych miastach i stolicach jest ich wielka liczba.

Podczas naszego przybycia do Hiszpanii 1808 r. wszystkie klasztory napelnione były mnichami, tak, że w każdym było od 30 do 40 zakonników. W r. 1809 dnia 19 Sierpnia wszystkie te klasztory przez króla Józefa Napoleona zniesione zostały, skutkiem czego podstępni mnichy zmuszeni byli klasztory opuścić, poczem te na koszary nam przeznaczone były. Jeden tylko klasztor pozostał w Madrycie (de la Santo Cajetano, de la Providencia) świętego Kajetana Opatrzności. W tym klasztorze żyli tylko sami biedni mnisi; nie mieli oni majątku ziemskiego, ani też funduszu, z któregoby utrzymać się mogli, żyli więc co prawda

283

z Opatrzności Boskiej, będąc ciągle zajęci modlitwą postami. Mieszkańcy miasta różnej klasy, znosili im codziennie jedzenie i to stanowiło cały ich posiłek; w furcie przez mały otwór przyjmowali ofiary z łaski im udzielane, oddając zarazem próżne naczynia, z upokorzonym sercem dziękowali za dostarczone im pokarmy. Ten klasztor nie był skasowany szczególnie dla tego, że mnichy ci w klasztorze będący w czasie rewolucyi w Madrycie 1808 r. schronili u siebie niektórych oficerów francuzkich i przechowali ich aż do czasu powrotu do Francyi. Po klasztorach wszędzie były rządy mnichów, lecz jezuitów zupełnie tu nie było. Bardzo wielu zakonników mieściło się po wszystkich klasztorach, lecz to pochodziło nie z lenistwa Hiszpanów, ale przez wprowadzenie prawa majoratu, na zasadzie którego najstarsze z rodziny dziecko odziedziczało cały majątek; pozostali więc synowie nie wiedząc do czego się zabrać mają, ponieważ do rzemiosła wzięść się wstydzieli, w wojsku znów życie zdawało się im za przykre i niewygodne, nie przeto im nie pozostawało jak tylko szukać schronienia w murach klasztornych. Tym więc sposobem wielka liczba mnichów składała się z ludzi dorodnych, pięknego wzrostu i powierzchowności, zaś ludzie słabszej kompleksyi i nie odpowiedniej powierzchowności, z biedy musieli pójść do wojska, lub w służbie cywilnej szukać dla siebie stosownego utrzymania. Stojąc na kwaterze u pewnego Hiszpana poznałem sześciu tegoż synów, z których najstarszy zajmował się gospodarstwem wyręczając ojca, drugi był dominikanem, trzeci kapucynem, czwarty świeckim księdzem, piąty

284

karmelity; wszyscy ci księża skutkiem dobrego i wygodnego życia byli okazali i nie zły tuszy; szósty był oficerem, i ten przed przybyciem naszym niedawno wzięł dymisy w Grenadzie i już jako żołnierz był chudy i blady. Ci wszyscy synowie podczas mojej bytności bawili w domu u ojca swego; mnichy byli bez habitów a oficer bez munduru, ubrani po cywilnemu; ostatni tenże zawsze szacunek zachowywał dla braci swoich księży; przykro mi było patrzeć jak ci stronili od brata, który był oficerem. Mnichy ci skoro wypędzeni byli z klasztorów, tułali się wszędzie po domach w Hiszpanii; wielu do miast przez nas jeszcze niezajętych puciekało, wielu powróciło do swej familii, lecz pomiędzy temi okazali zawsze niechęć i nieżyczliwość, będąc na stopie imponującej i bardzo wymagalnej, lecz względem nas byli zdaleka, ponieważ wzgarda, jaka ku nam w ich sercach wrzała, mogliśmy łatwo z ócz ich wyczytać; z obawy przeto ustępowali nam, co też dobrze robili. Wiele z nich znajdowało się w polu, chcąc walczyć, trzymali w jednej ręce krzyż, w drugiej wizerunki świętych, lecz gdy kule świstać zaczęły, natenczas jaknajspieszniej uciekając, za front czempredzej się chowali. Często się także zdarzyło, że będąc schwytani przez naszych ułanów polskich, na miejscu zaraz ubici zostawali; tym sposobem pewnego razu czterech trynitarzy od razu powieszono. Co się tylko znajdowało w klasztorach po wypędzeniu mnichów, wszystko przez nas zabranem było, zaś wszelkie drewniane sprzęty zostały spalane przy pieczeniu i gotowaniu jedzenia; w ściany wszędzie powbijano gwoździe

285

i wielkie haki do zawieszania broni, tornistrów i innych rzeczy, ponieważ nigdzie nie było koszar, gdzieby nasi rozkwaterować się mogli; u mieszkańców, żołnierzy pomieszczać dozwolonem nie było, przeto więc klasztory, a nawet niekiedy i kościoły na ten cel przeznaczać musiano. Wszystko to wojna za sobą pociągnęła; boleśnie i strasznie jest o tem wspomnieć, a jednak tak się działo, albowiem potrzeba do tego zmusiła. Jeżeli wypadło nam gdziekolwiek kwaterować przez parę tygodni lub miesięcy, natenczas wszystko najokropniej zniszczonem i zburzonem zostało, nawet obrazów wcale nie uczczono, lecz takowe podobnie stały się pastwą płomieni. Komuż tu winę przypisać należy, jak nie francuzkiej wojennej władzy, która powinna była zażądać od tutejszej zwierzchności miasta (ajuntamiento) dostawy drzewa lub węgla, niezbędnie do gotowania potrzebnego, zatem, tu nie żołnierzy wina, bo ci będąc zgłodniałi nie mając nic pod ręką, czem by mogli ugotować cokolwiek dla ściągniętego już z głodu żołądka, brał więc i palił co tylko napotkał na drodze, bo głód nie przebiera w środkach.

W Hiszpanii po kościołach nie ma nigdzie do siedzenia ławek, albowiem przyjęty oddawna zwyczaj zachowuje się aż dotąd, jak n. p. kobiety od wejścia po lewej, zaś mężczyźni po prawej stronie powinni klęczyć. Podczas lata w czasie wielkich upałów okna pozastawiane są sukniem, aby uchronić się od silnie grzejących promieni słońca; tym więc sposobem pomimo upałów przyjemny chłód po kościołach panuje. Po drogach i gościńcach nigdzie żadnego krzyża, ani

286

kaplicy lub figury świętej, — nawet drogowskazu ujrzyć nie można było. Z przyczyny braku ryb w Środkowej Hiszpanii mieszkańcy tamże nie zachowują postu, lecz opłacają się za to stolicy papieżkiej. Duchowieństwo po miastach będące nie posiada wyższego wykształcenia; wielu księży po wsiach (beneficianos) mieszkających, nie znają ani słowa po łacinie, kiedy tymczasem pomiędzy naszymi oficerami znajdowali się dobrzy łacinnicy, którzy to ocenić mogli.

Wpływ księży na naród hiszpański jest bardzo widoczny. Ci zaraz od najmłodszych lat kierują tym narodem, uczą religii i zaszczepiają najpierwsze zasady egoizmu i moralności; dla tego też Hiszpanie pokładając całą ufność w księżach, uważają się za jedyne wyznawców swojej wiary i sądzą się być prawdziwymi dziećmi Bożemi; nazywają się sami wyznawcami religii: rzymsko-katolickiej (los catolicos verdaderos romanos). Utrzymują podług swojej nauki, że kto nie jest Hiszpanem, ten nie jest prawdziwym wyznawcą religii Jezusa Chrystusa, ponieważ nie pochodzi z krwi Jezusa, zatem nie może się zwać rzeczywistym katolikiem, że wszystkie inne narody fałszywie naśladować religię, małpują tylko, i nazywają takich „monneros”. Hiszpanie więc takie mają o nas wyobrażenie; nikt dotąd nie był w stanie przekonać, ani też odwieść ten naród od tak zawziętego ich fanatyzmu. Do tego stopnia księża hiszpańscy opanowali swój naród, że wszystkie nauki szkolne, cenzury i drukarnie, mieli w swym sterze; dzieła, jakie Hiszpanie posiadali, były ich wydania, pisali więc tylko o tyle,

287

o ile sami wiedzieli i objaśnić mogli i o ile za potrzebne uważali, a ich najsławniejsi autorzy poumierali w inkwizycji, lub do innych krajów uciekać musieli. Wychowanie młodzieży zupełnie zboczone, wpajaniem w nich od pierwszej młodości, najgorszym wyobrażeniem o innych krajach; wzbudzali niechęć do narodów, do doskonałości zalet, zwyczajów i religii, sobie tylko to przyznając, starali się przekonać młodzież, że kraj ich jest rajem, że oni są najpierwszym narodem na świecie. Wszędzie po drogach napotkać można niewidomych, którzy sprzedając obrazy świętych, przy tej sposobności starają się wyklądać naukę Jezusa Chrystusa, ci wszyscy profani religii uważani tu są za najoświecześniejszych i najmądrzejszych ludzi w świecie. Żaden a nawet najbiedniejszy Hiszpan nie opuszcza swego rodzinnego kraju w celu szukania gdzieindziej kawałka chleba, lecz w swoim aż do śmierci pozostaje. Od czasu opuszczenia Hiszpanii, t. j. od 1814 r., wszędzie spotkać mogłem Francuza, Włocha, Anglika lub Niemca, szukającego chleba albo schronienia w Polsce; Hiszpana zaś nigdzie z tych krajów nie napotkałem.

Skreślając niektóre szczegóły dotyczące się zwyczajów Hiszpanu, muszę, także nadmienić nieco o ich literaturze, która posiada w sobie wiele śmieszności i prawdziwych dziwactw; a ponieważ to najzupełniej nie zgadza się z moim przekonaniem, przeto czytelnicy moi raczą pozwolić o takowej chociaż małe udzielić sobie objaśnienie.

Stojąc czas jakiś w Almeria u pewnego księdza z wyższego stanu pochodzącego, tytułowano go bowiem

288

Cura Rector Benefician del Sant Jago; ten posiadał małą hiszpańską, bibliotekę. Mając wiele wolnego czasu, starałem się więc przeczytać lub też przejrzyć niektóre książki w ich języku będące. Przerzucając pewnego razu rozmaite dzieła, natrafiłem pomiędzy

innymi na małą książeczkę, opisującą geografję. Pomijam niektóre szczegóły, które mi z pamięci wyszły, lecz przy końcu tegoż dziełka autor wymienił niektóre oryginalne zdania o narodach europejskich, które zainteresowawszy mnie, zanotowałem i w piśmie poniżej takowego zamieszczam:

Narody europejskie.

1. Quatros Ingleses, quatros tunantes i burachones.
Czterech Anglików, czterech dziwaków i pijaków.
2. Quatros Franceses, quatros picaros.
Czterech Francuzów, czterech okpisów i łotrów.
3. Quatros Italianos, quatros ladrones.
Czterech Włochów, czterech złodziei.
4. Quatros Allemanos, quatros hombres de bien.
Czterech Niemców, czterech dobrych ludzi.
5. Quatros Polacos, quatros grandissinus comedores i bevedores.
Czterech Polaków, czterech wielkich żarłoków i pijaków.

289

6. Quatros Hollandeses, quatros comerciantes.
Czterech Hollendrów, czterech kupców.
7. Quatros Russos, quatros subordonados.
Czterech ruskich, czterech poddanych.
8. Quatros Turcos, quatros peros.
Czterech Turków, czterech psów.
a w końcu dodaje:
9. Quatros Espagnoles, quatros sennores cavaleros nobiles.
Czterech Hiszpanów, czterech panów, szlachejnych kawalerów.

Ponieważ książka ta z przyczyny dziwnych zdań podobała mi się, przeto ksiądz dał mi ją w prezencie; co wiele sprawiło żartów między naszymi oficerami; chciałem ją szczerze zachować i do Polski przywieść na pamiątkę, lecz mając ją zawsze na

wierzchu w mantelzaku, kiedy konia mego zabrali podczas wzięcia mnie do niewoli, owa książka wtedy wraz z mantelzakiem zatraconą została.

W Hiszpanii jest przyjęty zwyczaj, że na wieczór dzwonią, jak i u nas na pacierze po wszystkich kościołach, wtedy więc każdy Hiszpan, skoro usłyszy głos dzwonu, gdzieby tylko znajdował się w tej chwili, czy to na polu, w domu lub na ulicy, nawet jadący wysiadają z powozu, zsiadają z wozów, mułów i osłów i natychmiast padają na kolana, klęcząc modlą się tak długo, dopóki dzwony bić nie przestaną, następnie każdy wstaje, bierze się do swych czynności lub idzie

290

dalej zamierzoną drogą. Przeto więc widocznem jest, iż zaślepienie religijne u Hiszpanów przechodzi w fanatyzm do najwyższego stopnia. Nie wolno było podług praw św. inkwizycyji narodom obcym wyznającym inną religię zamieszkiwać a nawet przebywać czas krótki w ich kraju, gdyż taki będąc schwytany, uważany był za podszczuwacza religii, w ręce inkwizycyji oddany, a co więcej niewinnie na pastwę wystawiony. Jeszcze za naszych czasów Hiszpanie bacznią zwracali uwagę na obcych kupców, co z ponadmorskich stron przybywali, z którym i obchodzili się w następujący sposób:

Jeżeli Anglik, Hollender lub Duńczyk chciał się na ląd lub do miasta dostać, musiał najpierw zameldować się kapitanowi portu (capitano del puerto), poczem z pierwszego lepszego klasztoru wyznaczono mu mnicha, a ten śledząc go ciągle krok w krok, co robił albo też mówił, towarzyszył mu nieodstępnie. Dobry ten anioł stróż oprowadzając kupca wszędzie, musiał go napowrót odprowadzić do okrętu, zaco codziennie dostawał od tegoż, jednego piastra czyli 9 złp. Nocować w mieście żadnemu kupcowi nie było wolno, a broń Boże, żeby się Żyd miał w ich kraju ukazać, gdyż na samo wspomnienie Żyd (judio) Hiszpan trząsł się cały.

Uniwersyteta są tu skoncentrowanem źródłem zabobonów, zwyczajów starożytnych, a nauki w tychże o parę set lat w tył cofnięte pozostały. Młodzi księża wykładają naukę religii starszym, a chodząc po kweście, uczą filozofii i innych t. p. nauk. Zabobony są u nich nie tylko źródłem ciemnoty narodu, lecz

291

z tych wyrastają, prawdziwe niedowiarstwa w Najwyższego Stwórcę i największe błóznierstwa. Rzeczywista Biblia w Hiszpanii nie jest wcale wykładaną, ponieważ księża starają się takową przytłumić, lecz ułożywszy swą biblię i porobiwszy w niej dodatki, zupełnie takową przekształcili; używając do tego środka dla sprowadzenia narodu z prawej drogi, głosząc swe koncepta jako słowo Boże w widokach osobistych korzyści.

Hiszpanie wielką przywiązując wartość do swej religii, pod tym względem starają się być pierwszymi ludźmi na świecie, lecz na żaden sposób nie mogą być prawdziwymi chrześcianami, gdyż nienawiść bliźniego wielką u nich bierze przewagę, zaciera prawdziwą cechę chrześcijaństwa i miłość bliźniego; więcej oni obawiali się inkwizycyji niż kary prawdziwego Boga, utrzymując, że znaczną summą pieniężną mogą okupić swe grzechy i sumienie oczyścić, które to przekonanie pasterze ich starali się rozpowszechnić i w takowych utwierdzić. Naturalny ten obraz rzeczywistej prawdy o religii, życiu i zwyczajach Hiszpanów, będąc tychże bliskim świadkiem, starałem się moim czytelnikom choć w krótkości takowy przedstawić. Daj Boże, aby naród ten wyszedł z tak zaślepionej ciemnoty, a podążył do prawdziwej oświaty społeczeństwa. Może się już wiele dotąd zmieniło w tym kraju, lecz ja pisząc to, co widziałem naówczas własnymi oczyma, ręczę za rzeczywistość prawdziwego skreślenia, gdyż według mego zdania jest pierwszą zaletą i cnotą, aby była prawda opowiadającego lub piszącego jakiegokolwiek dzieła.

292

Co się znów tyczy stanu wojskowego stale będącego w czasie pokoju, to tylko nadmienić mogę, że cała armia hiszpańska składała się zaledwie z 50,000 ludzi, podczas kiedy inne mocarstwa znacznie w sztuce wojennej posunięte były, Hiszpanie zaś pod tym względem byli dalecy i prawie zupełnie w tył cofnięci. O organizacyi armii nic nie jestem w stanie tu nadmienić, albowiem jeszcze przed naszym przyjściem do Hiszpanii, wojska ich regularne po części pobite, rozrzucone i rozpierzniete były, a pozostała reszta w bitwach przez nas wyniszczony była. Wielu ochotników wystąpiło w obronie własnej ojczyzny, lecz nowi ci powstańcy nie będąc obznajmieni z wojennymi manewrami, byli tylko nieużytecznymi kolosami, czyli gromadami ludzi opierających się bez celu i siły; to też przez regularne nasze wojska dobrze wyćwiczeni i wymustrowani zostali; skutkiem czego musieli uciekać, lub też do niewoli uprowadzeni byli. Ta więc przyczyna najwięcej spowodowała ich niechęcią do służby wojskowej, co też wkrótce zupełnie zaniechany została. Broń, który zabieraliśmy na polu bitwy przez Hiszpanów pozostawioną, była starego jeszcze kalibru. Ubranie ich wojska składało się z mundurów różnych pułków, najwięcej zaś nosili mundury ciemnoniebieskie kapucyńskiego koloru z niebieskimi, zielonemi i żółtymi wyłogami, niektórzy znów mieli białe i niebieskie, a mianowicie kawalerzyści (los carabineros reales). Królewscy karabinierzy mieli mundury podług starej mody; ze sztywnej skóry nosili przymocowane stieflety do nogi, za pomocy

293

żelaznego pręta przesuniętego przez trzy żelazne kółka, do tych były także przymocowane ostrogi, za buty rycerskie służyły im trzewiki; karabiny zasadzają nie tak jak nasza konnica, która trzyma takowe u prawego boku siodła, lecz mieli przymocowane z tyłu tegoż z lufą zawsze spuszczoną ku ziemi. Słowem mówiąc, wszystkie przybory wojenne, umundurowania i ćwiczenia Hiszpanów były zupełnie zacofane, tak, że tym brakiem postępu odróżniali się od innych narodów Europy. Żołnierz swego porucznika, kapitana lub pułkownika tytułował nie podług rangi, lecz imieniem patrona jego: Sennor don Antonio, lub Sennor don Fernando i t. d. nazywał; prezentował broń nie tylko przed swym oficerem, lecz nawet przed każdym księdzem, którego spotkawszy na ulicy, zaraz w rękę całował. Artylerya ich była najzupełniej w złym stanie, zaprzężona mułami, jednakże znaleźliśmy między oficerami tejże, dobrych bombardierów i kanonierów, którzy byli zręcznymi artylerzystami, zaś starzy już wysłużeni inwalidzi składali milicję w Hiszpanii (los milicianos).

Będąc w kościele, zdarzyło mi się widzieć kilka razy, że oficerowie zdejmowali pałasze i do mszy św. służyli, i to z nowych pułków przez króla Józefa Napoleona sformowanych. — Żołnierz hiszpański będąc przyzwyczajonym, największy głód, znużenie, wiele marszów i przeciwności z łatwością wytrzymać może; przy fortecy i w górach za skałami jest najlepszym żołnierzem, aby tylko nie na otwartem polu; czego najlepiej doświadczyliśmy przy każdej sposobności.

294

Po doznaniu tylu nieprzyjaznych i niefortunnych klęsk, podczas długoletniej wojny z Francją i innemi regularnemi wojskami, które tyle im szkody wyrządzały, — wskazały im potrzebę zwrócenia uwagi na swą armię, aby takową sformować i powiększyć na stopie wyższej doskonałości.

Od czasu opuszczenia przez nas Hiszpanii, o ile z pism zasięgnąć mogłem, Hiszpania wiele się zmieniła, gdyż wojska swe obecnie uczy i munduruje, uzbroiwszy je na sposób europejski; pod względem statystyki powiększyła swą siłę zbrojną bardzo znacznie, albowiem podobno ma już 150,000 wojska, lecz czy ten naród będzie kiedy używał dłuższych chwil swobody i pokoju, o tem, z usposobienia ich wnosząc, wątpię.

ROZDZIAŁ XIV.

Walka byków w Hiszpanii.

(Los Juegos de los Torros).

Walka byków tylko w Hiszpanii istniejąca, musi mieć związek z walką dzikich zwierząt i Gladiatorom czasów rzymskich sięgająca. Na widowiska te w Hiszpanii urządzone są umyślnie w tym celu place bójki byków tak zwane (las plasas czyli la correteria

de los Torros), które najwięcej mają podobieństwa do rzymskich amfiteatrów, jaki widziałem w Weronie, który zbudowany był jeszcze przez Juljusza Cezara przed Narodzeniem Chrystusa, a zatem ma już przeszło 2000 lat, a jednak aż dotąd utrzymany tak dobrze, że nawet kawałka granitu nie brakuje, ani uszkodzonej cegły nigdzie nie widać. Największe i najslawniejsze place walki byków w Hiszpanii, znajdują się w Madrycie, Sevilli, Grenadzie, Segovia, Cordova, Burgos i Ronda, które położone są zwykle za miastem. Wszystkie zbudowane są jak w Weronie

296

w okrąg z cegły lub kamienia, podług jednej i tej samej konstrukcyi. Średnica, czyli właściwa kolej wewnątrz przeszło 100 łokci zajmuje, zewnętrzne obmurowanie cyrku jest $\frac{1}{3}$ większe, a niżeli całkowity wewnętrzny jego okrąg; ściany zaś są na 10 łokci wysokie. Cały ten budynek bez okien ma jedną tylko bramę główną i trzy w równej odległości małe furtki, do wejścia i wyjścia publiczności służące. Z zewnętrznej strony placu bójki widzieć można tylko okrągły mur, bramę i furty wraz ze spadzistym dachem na około prowadzącym; zewnątrz na około tegoż muru prowadzi ganek z kamieni, cegły lub drzewa urządzony, którego filary podpierając ściany zewnętrzne sięgają do samego dachu z dachówek. Wewnątrz ganku a zewnętrznego muru, urządzone są dla publiczności siedzenia w 12 rzędów będące (en echellon) z kamienia, które są bardzo wygodne, gdyż każdy siedząc ma łokieć miejsca szerokości; tym więc sposobem wiele tysięcy widzów wygodnie siedząc, pomieścić się może, przytem podczas widowiska nie wolno nikomu z miejsca wstawiać, aby sobą nie zasłaniał innym za nim siedzącym osobom. Dalsze wnętrze, objęcie placu bójki, składa się z mocnych bali lub grubego obmurowania, które to łączy się zawsze z filarami i dochodzi do pięciu stóp wysokości. Przy tem objęciu urządzone są znowu małe wąskie schody, na trzy stopy wysokie, które do tego służą, aby fehmistrz w razie niebezpieczeństwa ze strony przeciwnika mógł się wtedy jak najszybciej ratować; jeżeli więc od prześladowania uniknąć nie może owych śmiertelnych następstw, wtedy

297

wskakuje na te wschody, a przeskakując przez opasanie pomiędzy publiczność, spada często wprost kobietom na głowy, czego bynajmniej za złe nie biorą, gdyż podobna rejterada wywołuje wiele śmiechu i żartów pomiędzy publicznością. Wewnątrz placu na wzniesieniu są urządzone łoże dla rodziny królewskiej i osób wyższego stanu, wybite są pąsowym aksamitem z takimiż portierami i ozdobnemi firankami obszytemi złotem i frendzlami. Na przeciw łoży umieszczone jest siedzenie dla orkiestry składającej się z trąb i kotłów; muzycanci też noszą najczęściej purpurowe płaszcze, okrągłe kapelusze także złotymi galonami wykładane. Wewnątrz tego znajduje się dopiero właściwy cyrk, gdzie się walka byków odbywa, który jest zupełnie równy i piaskiem dobrze wysypany, przez Hiszpanów zwany (la carreteria de los Torros), czyli (la Arena), bieg albo kolej byków. Na prawo przy wejściu od

strony zewnętrznej przy periferium tegoż budynku, przybudowaną jest czworokątna stajnia, gdzie przeznaczone do potyczki byki, są zamknięte. Od ulicy są drzwi w stajni, któremi te zwierzęta bywają wprowadzane, drugie zaś są urządzone naprzeciw, któremi znów wypuszczone bywają na plac potyczki. Drzwi do stajni prowadzące są nader silnie zbudowane, iżby zwierzęta występujące w potyczce nie mogły wyłamać ani też takowych wysadzić, przytem tak szczelnie są opatrzone, że najmniejszy promień światła nie dochodzi do stajni; a to zrobiono w tym celu, aby byk wydostawszy się z takiej ciemności odrazu naienne światło, ujrawszy tak wielką masę ludzi, oraz

298

usłyszawszy — huczny muzykę, więcej był wystraszony i pochopniejszy do bójki. Z takiej ciemności wypuszczony byk, witany bywa odrazu głośnie, muzyką trąb i kotłów, której towarzyszą krzyki i śmiechy zebranej publiczności, skutkiem czego przestraszone

zwierzę, samo nie wie gdzie się na raz znajduje, staje nagle z podniesionym łbem i ogonem do góry, zaczyna sapać i przeraźliwie ryczeć, a ze strachu i wściekłości grzebie piasek przednimi nogami, następnie biega do koła w największych susach, szukając tu i owdzie miejsca, którędy by się mogło wydostać.

Byki (torros) takie przeznaczone do potyczki, chowają się dziko pomiędzy wysokimi górami, nie mogą mieć więcej jak od 8 do 4 lat, naturalnie więc ze młode, bojaźliwe i dzikie koniecznie być muszą, a za zbliżeniem się człowieka, czempredziej uciekają i kryją się pomiędzy górami. — Aby je złapać, Hiszpanie używają następującego sposobu:

Wynajdują pomiędzy górami wąską przepaść, którą założywszy chrustem, pozostawiają mały otwór w takowej opatrzonej zasuwaniem drzwiami, które za pomocą pociągnięcia sznurka zamykają się nagle. Do tej przepaści wprowadzają krowę, którą zdaleka od drzwi tych uwiązują, i tak ją pozostawiają. Bydle przyzwyczajone do towarzystwa zaczyna najokropniej ryczeć; echo ryczenia daleko rozlegając się pomiędzy górami, skałami i dolinami przywabia byki. Tenże usłyszawszy ryk właściwy ich rodzajowi, przybiega czempredziej w to miejsce, a kręcąc się na około przepaść szuka, dopóki nie znajdzie otworu, a potem wpada — weń

i prosto do krowy; natenczas w ukryciu siedzący mieszkańcy gór za pociągnięciem sznurka, zamykają drzwi u lochu będące i zwierzęta takim sposobem schwytane zostają. Następnie aby go wyprowadzić z tej przepaści, zarzucają mu na łeb pętlę, cokolwiek ściągają grdykę, wiążą długie i grube powrozy u rogów i u nóg, a jeżeli zaś byk jest bardzo gwałtowny i dziki, przeto aby go powstrzymać, zawiązują u rodnej jego części cienki szpagat, poczem zwalniają nieco grdykę; wszyscy są zdaleka od niego, każdy powróż przywiązany do jego nóg i rogów trzyma jeden lub też dwóch ludzi. Jeżeli byk gwałtem się wydiera, natenczas ludzie za nim będący ciągną go za liny, które do nóg przednich ma przywiązane — wtedy przykłęka; jeżeli i to nie pomaga, ciągną za sznurek u przyrodzenia uwiązany, a wtenczas dopiero byk już się wcale naprzód nie szarpie, lecz jeżeli znów chce się w tył cofać, wtedy powstrzymują postronki od nóg tylnych do nóg przodowych przywiązane. Zwierzę to, będąc tak silnie sznurami spętane, nie jest w stanie bronić się wcale, i wtedy gdyby nawet było najdziksze, musi już postępować za wolą człowieka.

W wielu miejscach łapią znów zupełnie w inny sposób byków. W rowach gdzie krowa uwiązana bywa, są urządzone drzwi wsuwane, lub takowe kratą opatrzone, poczem postępują tak samo w ten sposób jak wyżej było wymienione. Byk taki zaprowadzonym bywa do stajni przy cyrku, którego tu dopiero zwalniają z krępujących go powrozów.

W Grenadzie widziałem takiego byka przez 12 ludzi prowadzonego; powróż przyrodnej części przywiązany jest najskuteczniejszym środkiem, jakim to zwierzę do miejsca doprowadzić można.

Do każdej potyczki wypuszczają, od 8 do 10 byków, a najwięcej 12, i czem więcej zabitych zostanie, tem jest świetniejsze widowisko dla publiczności. Właścicielom tych zwierząt osobno płacą za nie, osobną biorą zapłatę za połów i dostawę takowych. Po wprowadzeniu byków do stajni zupełnie ciemnej, stoją te bez żadnej paszy i napoju, głód przeto podczas walki jeszcze większą wywiera dzikość, a im dłużej przeciąga się ta straszna bójka, tem większą i szlachetniejszą przynosi chlubę fehmistrzowi. Widowiska w niedziele i dnie świąteczne tylko mają miejsce, zaś w dnie zwyczajne wcale się nie odbywają. W uroczystości dworskie i wielkich grandów Hiszpańskich, widowiska potyczek byków są przeznaczone dla publiczności gratis. Waleczne te zabawy odbywają się tylko podczas lata, gdyż Hiszpanie utrzymują, że skutkiem ogromnych upałów zwierzęta te więcej jeszcze do wściekłości przyprowadzone bywają.

Najstarszy fehmistrz mający udział w takiej potyczce nazywa się (maestro de torros), mistrz fechtownictwa byków, który u Hiszpanów w największym jest poważaniu, i przy każdej sposobności wszelkie odbiera honory. Podczas potyczki ukazuje się z harcabelem, w trzewikach i jedwabnych pończochach, w krótkich obcisłych pantalonach z białej materii, wraz z taką kamizelką haftowaną w złote i srebrne kwiaty

szarąf szkarłatnego koloru, i płaszcz purpurowy jedwabny, który takowy podczas potyczki dobrze na około lewej ręki okręca, aby tym sposobem dzikie zwierzę jeszcze więcej rozdrażnić i takowe do żywszej bójki pobudzić; zaś w prawem rękę trzyma obosieczny

ostrzy miecz na 1½ łokcia długości mający. Podczas całej gry siedzi spokojnie na wysokim krześle ów Mistrz byków, (maestro de torros) jako widz na tronie dla niego przeznaczonym, i podnosi się dopiero wtedy, kiedy stojący przed nim Bandorileri na znak trąb i kotłów powstają i wyzywają go do walki z bykiem. Najpierw ukazuje się na placu bójki 3 lub 4 podmistrzów (torreadores), którzy są także lekko ubrani, w trzewikach, jedwabnych pończochach, w białych jedwabnych pantalonach i także w kwiaty złote i srebrne haftowanych kamizelach z czerwoną szarąf u bioder obcisniętą, w purpurowym jedwabnym płaszczu, a to jak nadmieniałem aby tym sposobem do większej zapalczywości zwierzę doprowadzić. Następnie znów ukazuje się dwóch wprawnych i silnych ludzi konno. Konie te muszą być koniecznie już stare, silne i nie lękliwe; kulbaka z tyłu siodła będąca wysoka jest na pół łokcia, stanowiąca jakoby poręcz od krzesła, aby byk nie mógł się rzucić rogami na jeźdźcę, i aby tenże zeskoczywszy z siedzenia zasłaniając się lancą, mógł się utrzymać na tej poręczy. Ubiór takiego jeźdźcy składa się z najmocniejszej skóry, na głowie ma duży okrągły kapelusz mocno pod brodę przewiązany, w lewej ręce trzyma cugle, a w prawej lancę na pięć łokci długą, która zakończoną jest na trzy cale długim żelaznym szpicem,

aby bydlę od razu nie zabić, lecz draśnięciem jeszcze więcej do wściekłości pobudzić. Na łokieć od dolnego końca tej lancy, znajduje się głębokie wcięcie, czyli grif, jak u lancy starożytnych rycerzy. Ci uzbrojeni rycerze do bójki, nazywają się (pikadores), zakłówacze.

Gdy wyjdzie ogłoszenie, że ma być przedstawienie potyczki z bawołami, natenczas każdy Hiszpan bez wyjątku stanu i wieku, bogaty czy biedny, młody czy stary, książd lub żołnierz, wszyscy przychodzą do życia i energii, a zaś płeć piękna największy ma udział w tem widowisku. Nic też dziwnego, że naród ten granicząc z Barbaryją, pała żądzą igrzysk, pastwienia się nad bydlęciem; to też o niczem wtenczas po domach, ulicach i kółkach publicznych nie mówią, jak tylko o nastąpić mającej potyczce, gdyż zabawa ta pełna nieludzkości wielką sprawia przyjemność narodowi Hiszpańskiemu. Nam cudzoziemcom przyjemość ta nie robiła żadnej rozkoszy, chodziliśmy jednak do cyrku z ciekawości, aby mieć o tem wyobrażenie, aby powróciwszy potem do ojczyzny opowiedzieć to swoim rodakom.

Skoro nadchodzi już chwila rozpoczęcia owej bójki, na którą zwykle obierają południową godzinę, kiedy słońce najwięcej dopieka, natenczas każdy bez wyjątku, jak najprędzej dąży na widowisko, nawet żebrak ostatni grosz oddaje, aby mógł uczestniczyć w tej zabawie (bamus el torros) „chodźmy na potyczkę byków;“ jak najspieszniej podążają wszyscy, zapominając już wtedy o jedzeniu i picu; i gdyby nawet naówczas miał być przedstawiony teatr, lub najslawniejszy koncert,

wtedy dla Hiszpana niczem jest wszystko w porównaniu z potyczką byków. Taki to Hiszpanie z przyzwyczajenia mają, dziwny gust i wybór. Gdy się już zbierze cała publiczność, wtedy dają sygnał do zaczęcia gry odgłosem wielkich trąb i kotłów. Podmistrze po bokach koło opasania, stoją już gotowi do bójki, jeźdźcy również znajdują się lewą stroną ku opasaniu, trzymając w prawem rękę lancę na pogotowiu do bójki i tak będąc w takiej pozycji z niecierpliwością oczekują przyścia byka. Na raz

uderzają w trąby i kotły; zasuwane drzwi nagle się otwierają i wypada ze stajni ogromny dziki byk. Ponieważ nikt by się nie odważył wejść do stajni, gdzie się te zwierzęta znajdują, przeto u góry w suficie urządzony jest mały otwór, przez który Hiszpan wysadziwszy wielką żelazną tykę na końcu ostro szpiczastą, a kłójąc nią w grzbiet najbliższej przy drzwiach stojącego byka, zagnała go czempředzej do wyskoczenia ze stajni. Ażeby zwierzęta te wszystkie od razu nie wybiegły, Hiszpan u góry będący spuszcza z wierzchu dużą zasuwaną klapę i to tylko zwierzę nakłute najbliższej przy drzwiach stojące od wszystkich bydła oddziela. W tej chwili wśród hucznej muzyki trąb i kotłów, otwierają się drzwi żelazne od stajni; biedne bydle sądząc, że już na wolność zostaje wypuszczone, przeto wyskakuje czempředzej na plac bójki, gdzie niespodzianie wystawione jest na srozsze męki w owej zaciętej nader drażniącej potyczce, jak w swoim zamknięciu.

Przeraźliwy odgłos trąb i kotłów, śmiech, krzyk, i wrzask publiczności, przejmuje na raz zwierzę

304

najokropniejszym strachem; wtedy stają, przed nim przeciwnicy, w czerwonych płaszczach, dalej jeźdźcy z długimi lancami rozstawieni. Przestraszone i rozjątrzone bydle na widok tyłu niewidzianych mu rzeczy, staje na chwile osłupiałe, później rozdzielone biega tu i owdzie cwałując na około cyrku, a przebiegając koło jeźdźców dostaje bodźca w krzyż od tegoż dla pobudzenia go do bójki, wtedy nagle zwierzę obraca się i zmierza rogami ku jeźdźcom, ci przyjmują go lancami, jednocześnie zaś z tyłu doskakuje znów fehmistrz, kłójąc go małą pałeczką opatrzoną na końcu gwoździem, natenczas byk odwracając się, zapomina już o jeźdźcu i pochylonemi rogami uderza na fehmistrza, lecz ten daje susa na bok, a rozjątrzony byk nie zaspakaja swojej zemsty; jeździec przelatuje około niego, inny znów godzi w grzbiet, byk znowu odwróciwszy się ku przeciwnikowi ściga go z największą zemstą, ten widząc grożące niebezpieczeństwo, przeskakuje czempředzej przez zagrodę na publiczność, przez co wywołuje krzyk i śmiech widzów, lecz w tej chwili jest już inny, klepiąc bydle po grzbiecie, które znów się nagle obraca i widzi przed sobą przeciwnika zasłaniającego się szkarłatnym płaszczem; wtedy zdumiony i osłupiały byk, ryczy najokropniej, staje, podnosi łeb i ogon w górę, następnie rozdzielony tak rażącym widokiem, wpada odrazu na nieprzyjaciela, ten zaś skacząc na wszystkie strony na prawo i lewo machając czerwonym płaszczem, wprawia go w największe obłąkanie; byk zaczyna prześladować nieprzyjaciela, ten natenczas rzuca płaszcz na ziemię, uciekając czempředzej na stronę,

305

zwierzę mniemając, że to człowiek, jego nieprzyjaciel upadł, z całą wściekłością kręci rogami w płaszczu, zagrzebuje go w ziemię, rozrywa na kawałki, a czasami unosi na rogach szczątki czerwonego sukna, jako zwycięzca chlubiąc się z pokonania nieprzyjaciela, okazując swą zdobycz. W tym czasie przystępuje znów innych fehmistrz rozdrażniając jego wściekłość do najwyższego stopnia, uderza go ostrą lancą po grzbiecie, a gdy bydle odwraca się za nim, doskakuje jeszcze jeden jeździec aby go w biegu powstrzymać i podobnież taką lancą silnie go w bok ugodzić; jeżeli fehmistrzowi pęknie lub złamie się lanca na grzbiecie byka podczas owej walki, natenczas silny a zarazem wściekły byk rzuca konia wraz z jeźdźcem najczęściej tak niebezpiecznie, że odrazu wnętrzności z niego wydobywa, a Picardos na nim siedzący jak najprędzej ratuje się ucieczką. Dwa razy byłem świadkiem podobnych igrzysk, raz w Maladze a drugi raz w Grenadzie, kiedy najsilniejsze konie od razu zabite zostały. Widzowie natenczas bez granic czują się zadowoleni i szczęśliwi.

Lekkość, zręczność i nadzwyczajna wrodzona zdolność, de torrerros, jest do podziwiania. Nie kiedy jeden z nich staje zupełnie blisko byka z płaszczem w same oczy, ten się cofa o parę kroków, aby odsądziwszy się silniej uderzyć, lecz podczas kiedy byk z pochylonemi rogami na przeciwnika rzucić się zamierza, ten pozwala mu się przybliżyć, poczem odrazu jednym susem wskakuje bykowi na łeb, następnie na grzbiet; byk nagle staje, a oglądając się na

306

wszystkie strony, szuka swojego przeciwnika. Scena ta wywołuje ogromny śmiech i radość pomiędzy publicznością, a torrerros największe odbiera oklaski. Byk jak każdy inny wół, nigdy na bok nie bodzie, lecz prosto przed sobą napada na nieprzyjaciela, dla tego też torrerros tak blisko bez bojaźni przybliżają się do niego skacząc po bokach, a rozwścieczony byk koło nich tylko przebiega. Męczą tak długo to biedne zwierzę dopóki ono nie wywiesi ozór długi i czarny jak węgiel. Ależ nie koniec na tem, jeżeli powyższe drażnienia nie odnoszą naturalnego skutku, natenczas do silniejszego rozjątrzenia używają jeszcze innych środków. Fehmistrz ma małą pałeczkę na łokieć długą, opatrzoną po obu końcach żelaznemi hakami, przy jednym końcu której osadzony jest strzępiasty i szeleszący papier, i tym, po jak najbliższem przystąpieniu do byka, stara się zacząć takową laską za uszy zwierzęciu, do czego potrzeba konieczne sprytu i wyrobionej zręczności. Kiedy już zaczepia ową pałeczkę, a byk usłyszy szelest za uszami, przytem czując ból od haków, na nowo staje do walki. Prócz tego mają jeszcze jeden boleśnniejszy i straszliwszy sposób do najsilniejszego rozjątrzenia zwierzęcia. Do kijka opatrzonego hakami, przywiązują wężykowato wzdłuż fajerwerki, z którym, fehmistrz zbliża się do byka, skacząc przed nim na wszystkie strony, a gdy ten nachyli łeb do ziemi aby ubódz swego przeciwnika, wtedy fehmistrz spiesźnie odskakuje na bok i z największą zręcznością zasadza ów fajerwerk bykowi za uszy, następnie spiesźnie zapala takowy chubką, poczem

307

osadzony fajerwerk zaczyna najstraszniej syczeć, następnie ów ładunek pęka na łbie byka i sierść na nim palić się zaczyna, wtedy okropnie jest patrzeć na to nieszczęśliwe zwierzę. Byk naówczas skacze jak szalony w najniebezpieczniejszych susach, uderzając wszędzie z największą gwałtownością, spędza fehmistrzów i jeźdźców na placu bójki będących, trząsa łbem na wszystkie strony aby fajerwerk zrzucić, który paląc się dosyć długo, parzy go najokropniej, zdaje się że z bólu i ze wściekłości posuniętej do najwyższego stopnia, chce się w ziemię zagrzebać. Zdarzyło mi się widzieć razu jednego, że w ten sposób rozjątrzony byk, przeciwnika swego, czyli karcerza, gdy ten chciał przez zagrodę przeskoczyć, aby uciec, tak silnie go rzucił uderzając rogami po biodrach, że ten nad publicznością w powietrzu przeleciał przez kilka rzędów ławek, i zaledwie niefortunny fehmistrz natenczas życia nie postradał. Jeżeli byk dostanie fehmistrza na swoje rogi, wtedy uradowana publiczność bezustannie krzyczy bravo! (bravo rappo), niech żyje waleczny byk, a fehmistrz nic nie wart, (viva el torro famoso pero el torrero non vale nada). Do rozjątrzenia bawołu używają jeszcze pięciu lub sześciu wprawnych do tego psów, które biegnąc wciąż za bykiem gryzą go w ogon, po nogach i t. p. Tym sposobem również bywa silnie zwierzę rozdrażnione, odwraca się i broni się na wszystkie strony, a

jeżeli którego psa na rogi dostanie, natenczas kładzie go na miejscu, wypruwając zeń wszystkie wnętrzności. W razie gdy podczas takiej bójki torreros wiele koni i psów

308

padnie zabitych, wtedy dopiero Hiszpanie widowisko takie uważają za dobre i zadawalniające ich spokojność, mówiąc (un juego de torros famoso) dzielna walka byków.

Kiedy już wszystkie użyte środki nie pomogły, aby byka do walki zachęcić, i kiedy publiczności za długą się już wydaje ta bezskuteczna bójka z jednym zwierzęciem, wówczas krzyczą widzowie: (el maestro torrero fuera!) „precz z fehmistrzami!“ Natenczas przy odgłosie hucznej muzyki trąb i tołombasów, podnosi się ze swego miejsca czyli tronu tak długo przez się zajmowanego sam, maestro torrero i występuje na plac bójki, podchodzi do łoża monarszej (jeżeli ten jest obecnym), lub przed wyższych grandów w łożu siedzących, zdejmuje z siebie płaszcz i miecz, a położywszy takowe na ziemię, wznosi do góry ręce ku nim i przemawia temi słowy: (jeżeli król siedzi mówi: (yopide a Vuestra Maestat zaś do wyższych grandów (yopide el exelentissimo sennor la licencia de que yo puede motar este terro, para la satisfaccion del publico), proszę o pozwolenie Waszej Królewskiej mości, lub Waszej Excellencyi, aby na satysfakcyą publiczności ten byk zabitym został. Publiczność chętnie przystaje na podobne żądanie Mistrza.

Wtenczas maestro torrero bierze miecz w prawą ręką, zas lewą podobnie jak fehmistrze, okręca purpurowym swym płaszczem, który mu służy za tarczę; wszyscy fehmistrze siadają wraz z publicznością jako widzowie nie mając już żadnego udziału w tej walce. Teraz dopiero maestro torrero sam pozostaje na placu bójki; w tej chwili panuje największa cisza, publiczność

309

będąc zaciekawioną najokropniej, z niecierpliwością wyczekuje chwili rozstrzygnięcia owej bójki.

Starszy fehmistrz wolnym krokiem zbliża się do byka, trzymając w prawej ręce miecz a w lewej płaszcz, staje przed nim z największą śmiałością do boju. Jeżeli byk okaże chęć rzucenia się na fehmistrza, wtedy tenże kiwa płaszczem na zwierzę, aby tę odwróciło się ku drugiej stronie, po takim kilkakrotnem powtórzeniu, kiedy byk dobrze zmęczonym zostanie, natenczas pozwala mu się przybliżyć nieco ku sobie, poczem z największą zręcznością nachyla się przed rogami, a byk aby go ubódz odwraca się po kilka razy. Jeżeli jest bardzo rozwścieczone zwierzę, to wtedy maestro torreros nie odwleka już dłużej, lecz w tej chwili kładzie go zaraz na miejscu, gdy zaś jest zmęczone, natenczas szuka sposobów, aby je rozdrażnić, bo inaczej byłby ów mistrz przez publiczność wyśmiany, że położył byka, który się nie bronił. Cios śmiertelny wtedy tylko zadać musi, kiedy zwierzę z całą wściekłością na niego uderza, schyliwszy łeb na dół, aby fehmistrza na rogi porwać, tymczasem ten kark jeszcze nagiąć powinien bykowi. Maestros torreros taką posiadają zręczność i siłę w ramionach, że zamierzwszy się z góry, od razu miecz topią między łopatkę aż do serca, a byk padając zaraz na kolana, zabitym zostaje, przyczem maestro torrero bardzo być musi bacznym, aby zwierzę to rzuciwszy łbem w górę nie wytrąciło mu z ręki miecza. Gdy maestro torrero szczęśliwie i zręcznie położy na miejscu byka, wtedy najobfitsze odbiera brawo, a trąby i tołombasy brzmią na znak odniesionego zwycięstwa.

310

Po czem otwierają, wielką bramę w której okazują się trzy konie lub muły, przez jednego człowieka wprowadzone, opatrzone każdy w chorągiewkę, powrozy i sztelwę, do której po przymocowaniu do rogów, owe konie lub muły zaprzęgają, wlekąc trzy razy na około placu bójki pokonane bydle, następnie wyciągają za bramę, którą zaraz napowrót zamykają.

Maestro torrero znów zajmuje swe miejsce na tronie i na nowo zaczyna się bójka z innym bykiem, którego zaraz na plac wpuszczają, i to trwa tak długo, dopóki przeznaczona na ten raz liczba tych zwierząt nie zostanie zabita. Przedstawienie takie zwykle późno się odwleka, a bardzo często ciągnie się pod sam wieczór. Jeżeli z przyczyny dzikości byk jednego dnia zabitym nie został, w takim razie walkę odkładają na dzień następny, na co znowu publiczność się zbiera i maestro torrero musi go zabić koniecznie, gdyż w przeciwnym razie byłby wyśmiany od widzów. Są niekiedy zdarzenia, że jeden i tenże sam byk trzy lub cztery razy bywa na plac wyprowadzany, lecz to się rzadko przytrafia.

Taką śmierć poniósł w mojej obecności w Madrycie najslawniejszy fechtmistrz w całej Hiszpanii Pedro Hillos, za czasów króla Józefa Napoleona, który rozkazał wydać wielką narodową ucztę dla wszystkich mieszkańców Madrytu, gdzie miała być główna, nadzwyczajna bójka byków, dana gratis. Na widowisko to sprowadzone zostały najlepsze byki, oraz wezwano najslawniejszych mistrzów ze wszystkich okolic Hiszpanii. Sam król Józef Napoleon zaszczylił to

311

przedstawienie swoją, obecnością, oraz licznie zebrani najzamożniejsi Grandowie hiszpańscy byli także obecni; wtedy cały amfiteatr był przepełniony publicznością. Pedro Hillos najslawniejszy w całej Hiszpanii maestro torrero, uwielbiany i kochany przez publiczność, tym razem występował także w tej walce, który na cześć króla i publiczności dnia tego 9 byków położył na miejscu; gdy przyszła kolej na dziesiątego, tenże nadzwyczaj był wielki, silny i rozzdziczony, a ponieważ Pedro Hillos będąc bardzo zmordowany, musiano zatem dnia tego odłożyć widowisko do następnego. Nazajutrz po obiedzie zaczęła się wczorajsza nie dokończona bójka; Pedro Hillos walczył śmiało z wielką przytomnością umysłu, lecz w chwili, kiedy ostatni cios miał zadać rozwścieczonemu bykowi, ten raptem opuściwszy łeb na dół, a uderzywszy silnie w brzuch rogami głównego fehmistrza, uniósł go na tychże i pozbawił tegoż życia; byk zaś dopiero zabitym został gdy bagnetami stojący żołnierze na warcie ugodzili w niego. Cała Hiszpania mocno żałowała Pedra Hillos; żonie zaś pozostałej po nim z czworgiem dzieci król Józef Napoleon przeznaczył dożywotnią wypłatę, 4000 franków rocznej pensyi.

Będąc w Maladze stałem na kwaterze u pewnego gospodarza, który był starym wysłużonym maestro de los torros. Ten chociaż będąc już starym, jednakże w niezwykle szerokich ramionach posiadał nadzwyczajną siłę. Kazu jednego pokazał mi obnażone swe plecy, na których miał dużą rowkową ryse; był to nie zatarty ślad rozplątania rogami niegdyś

312

rozwścieczonego byka. Rana ta musiała być bardzo głęboką, gdyż blizna była na pół łokcia długą.

Mięso zabitego w ten sposób byka jest bardzo smaczne. Wojsko nasze jednego razu na obchód imienin cesarza Napoleona, dostało racją z 12-stu byków. Rzeźnicy w Hiszpanii żadnego bydłęcia wprawie nie zabijają, dopuki takowe przeszło godzinę nie opędzą po podwórzu, ponieważ utrzymują, że mięso takie daleko jest smaczniejsze.

Na imieniny cesarza Napoleona dany był wielki spektakl bójki bawołów, dla publiczności, — gratis, z najlepszych byków pochodzących z wysokich gór Sierra de Ronda, z Niższej Andaluzji. W samym Ronda znajduje się największy plac w całej Hiszpanii, do walki byków przeznaczony, gdzie najślawniejsi fechtmiestrze na placu tym występują. Starsi i niżsi fechtmiestrze hojnie bywają wynagradzani, ponieważ życie swe najniebezpieczniej tu ryzykują. Dochód z takiego przedstawienia jest znaczny, albowiem za każdy raz jest wielka liczba publiczności, a entre placą po jednym franku.

ROZDZIAŁ XV.

Powrót do Polski i zmiany polityczne w tejsze.

Po skreśleniu niektórych zwyczajów narodu tego, opuściwszy Hiszpanię i oddalając myśl moją od niej na zawsze, w końcu chcę nadmienić czytelnikom o powrocie do rodzinnego kraju, co wtedy było największą moją dążnością. A zatem pozwólcie mi szanowni czytelnicy skreślić uczucia prawdziwej radości, jakiej doznałem natenczas powracając na łono mojej rodziny.

Po otrzymaniu paszportów przez admirała Hallowel, wymienionem nie było którą powracać mamy, przeto każdy przedsięwziął drogę, jaka mu się krótką lub dogodniejszą wydawała. Wielu z mych kolegów udało się przez Turin, Lijon do Paryża w celu zażądania od nowego rządu zaległej gaży słusznie nam przypadającej, której nie odbieraliśmy podczas naszej niewoli. Mnie wątpliwym zdawał się ten odbiór, i dla tego będąc bliżej ojczyzny, postanowiłem pomijając wszelkie starania o żołąd, powrocie do Polski.

314

Trzech nas przeto, kapitan Rozmysłowski, porucznik Gutowski i ja, podług mych życzeń, najkrótszą, udaliśmy się drogą do rodzinnej ziemi; a ponieważ ci dwaj moi koledzy nie mogąc się dobrze po francuzku i po niemiecku rozmówić, przeto trzymali się mnie jako przewodnika, ponieważ ja, oba te języki dobrze znałem. Co się tyczy samego miasta i portu Genui, o tem nie mam zamiaru opisywać, gdyż jestem przekonany, że okolice Włoch aż nadto są znane z wielu innych opisów.

Przy końcu Czerwca opuściliśmy Genuę, lecz w bardzo przykrem położeniu, zostawialiśmy bez grosza, bez chleba, w podartej odzieży i prawie zupełnie boso. Całym naszym majątkiem było zdrowie, którego Bóg nam udzielił, a nadzieja, że z każdą chwilą zbliżamy się do ojczyzny naszej, utrzymywała nas na duchu w radości, kazała zapomnieć o przykrej nędzy, a dodawała nam życia i wytrwania w przedsięwziętej drodze. Na nic nie uważając, a puściwszy się prędkim marszem, — dziennie robiliśmy wielkie kursa drogi. Przeszliśmy odnogę Alp, która odgranicza państwo genueńskie od Lombardji; Alpy szwajcarskie pominawszy na boku po lewej stronie będące, od strony których chociaż w Czerwcu, powiewał jednak ostry wiatr północny. Przechodziliśmy przez małe miasteczka Voltago, Nowi, Voghnera, dnia piątego przybyliśmy do Tortona, pierwszego miasta w Lombardji, w którym zastaliśmy austriacki garnizon. Przez dwa ostatnie dni naszej podróży, padał deszcz bezustannie, a ponieważ droga którą nam przechodzić wypadało,

315

była tłusta i gliniasta, przeto idąc za ledwie nie pogubiliśmy lichego obuwia. Podczas tej pięciodniowej podróży nic ciepłego nie mieliśmy w ustach; wszedłszy do miasta zameldowaliśmy się austriackiemu plac komendantowi, prosząc go, iżby raczył zwrócić uwagę na nasze smutne i przykre położenie w jakim byliśmy natenczas. Gdyśmy weszli do niego do pokoju strumienie wody z przemoczonych, nędznej naszej odzieży lały się na podłogę. Opowiedzieliśmy mu naszą nędzę, oraz cierpienia w niewoli jakie w Hiszpanii doznaliśmy. Plac komendant przejęty ludzkością udzielił polecenie do Magistratu miasta, w skutek czego otrzymaliśmy w Lombardji, oraz we wszystkich innych miastach, państwa austriackiego, przez które przechodzić nam wypadało, kwatery i życie; a zaś na prośbę oficerów obecnych, pomiędzy którymi znajdował się nasz jeden ziomek w służbie austriackiej będący, który za nami przemówił, przeto komendant rozkazał dać nam podwozy, w paszporcie nadmieniał, aby wszędzie po hotelach dobre kwatery, życie, chleb, wino i t. d. nam wydawano, jako również aby na każdej stacyi pocztowej w podróży dostarczano nam koni.

Ponieważ w Lombardji ze strony municypalnej zastrzeżonem było, aby żadnego z oficerów nie przyjmowano na kwaterę u mieszkańców, ani też żywności po domach prywatnych nie dawano; oficerowie przeto dostawali kwatery i żywność po hotelach; kapitanom dawano rosół i trzy potrawy, oraz wino i chleb; oficerowie wyższej rangi dostawali większą liczbę potraw, porucznicy zaś tylko dwie. Taka rozciągnięta opieka

316

w Lombardji, była bardzo dobrą i dogodną, dla oficerów, również dla mieszkańców; podobne urządzenie było i z furmankami, że tylko na mocy inwytacji zarządu municypalnego natychmiast dawano konie oficerom na stacyach pocztowych.

Podług takiej ustawy rządu, obywatele na potrzeby wojsk płacili państwu Lombardji. Skutkiem tak pięknego urządzenia doznaliśmy zupełnej zmiany w naszym nieszczęśliwym położeniu, zawdzięczając to serdecznie zacnemu i poczciwemu plac komendantowi. Dobre kwatery oraz potrawy po hotelach ożywiły nas nieco; na każdej stacyi natychmiast dawano nam kabriolety lub chaise, zaprężone dwoma lub trzema końmi. Z godziny na godzinę, już czekały na nas konie po stacyach; jadąc spiesźnie, mogliśmy dziennie przebyć trzy lub cztery takowe, jeżeli te były nie wielkie.

Odebrawszy wszelkie formalności do naszej podróży, złożyliśmy raz jeszcze najszczersze podziękowanie zacnemu komendantowi; następnie z największym zadowoleniem opuściliśmy zaraz Tortonę, przedsięwziawszy podróż przez Pavia, Mediolan, Pizeigitone (*Pizzighettone*), małą lecz dobrze obwarowaną fortecę, dalej przez Lody, (*Lodi*), Piacencia, gdzie nas przez rzekę Po promem przewieziono, następnie Cremona Bossolo Villa franca, w końcu przybyliśmy do Mantua, najsilniejszej fortecy we Włoszech, gdzie Ticino na około całą fortecę oblewa samym mułem, a tylko jedna droga do miasta prowadzi i z drugiego końca tegoż wyprowadza inna. Miasto to jest dosyć duże, ma równe długie ulice i pięknie

zbudowane domy; w każdym domu są urządzone suteryny, aby mieszkańcy podczas oblężenia schronić się mogli przed nieprzyjacielskimi kulami i w czasie bombardowania.

Komuż nie są znane straszne przejścia losu tej fortecy z 1797 i 1798 r., kiedy Wurmser tak silnie i wytrwale bronił, a Bonaparte takową obiegił? Pierwszy dotknięty głodem musiał zdać fortecę, zawarłszy tak honorową kapitulację, że z całą zbroją i połowami działami, mógł wyjść z fortecy do Austrii.

Podczas naszej podróży mieliśmy wielką dogodność, że można było zatrzymać się i zrobić dniówkę kiedyśmy chcieli, czyto w celu spoczynku, czy też dla zwiedzenia ważniejszych miejscowości Włoch. W tym celu zrobiliśmy dniówkę, ażeby dobrze zwiedzić silną i warowną fortecę Mantui. Następnie odbyliśmy dalszą podróż, przechodząc przez mnóstwo mniejszych i większych miast aż do Verony. Piękne i urocze równiny, jakie się nam widzieć dały, pomiędzy Tortona i Verona, zdają się być najpiękniejsze w całej Europie, poprzęznane są wspaniałymi miastami, mnóstwem wsi, rzek i casinias. Po bokach dogodnych dróg i szosy urządzone są ścieżki, wysadzone najpiękniejszymi owocowymi drzewami, tworzącymi szpalery, pod których cieniem w chłodzie, Włoch z cygarem w ustach w dwókołowym kabryolecie zaprzężonym pięknie wytuczonym koniem przejeżdża się codziennie. Słowem mówiąc, są tu najwspanialsze ogrody nader pięknie urządzone, wszędzie na rozległych równinach znajduje się pełno drzew i krzewów rozmaitych gatunków, wydających

najwyborniejsze owoce. Nadzwyczaj miłe i przyjemne powietrze, jakim się oddycha w tym czarującym i uroczym kraju, porównane być może z atmosferą ogrodową. Verona leży na lewym brzegu rzeki Etsz, która początek swój bierze w najwyższych górach Tyrolu, na której wznosi się wspaniały most. Miasto to za czasów jeszcze rzymskich, za panowania Cezara zbudowanem zostało.

Powodowani ciekawością, udaliśmy się w celu zwiedzenia amfiteatru stanowiącego 2,000 pamiątkę tegoż miasta. Zewnątrz gmach ten obrośnięty jest cały zielonym mchem, lecz aby obejrzeć wnętrze tegoż, poszliśmy do bramy, w której zaprowadzony był młotek, a zapukawszy takowym, otworzyła nam bramę, już nie pierwszej młodości kobieta, która ujrawszy nas zapytała się zaraz: „que vonlete voy“ co chcecie? naco odpowiedzieliśmy jej, że jesteśmy podróżnymi cudzoziemcami i życzymy zwiedzić wnętrze tegoż amfiteatru. Kobieta ta zgodziła się nato, lecz z warunkiem, aby każdy z nas zapłacił jej po 3 parpagiola (czyli 9 groszy polskich), a ponieważ żaden z nas nie miał ani grosza, przeto drugiej bramy otworzyć nie chciała. Przykro się nam zrobiło, że będąc tak blisko, nie możemy zaspokoić naszej ciekawości, zaczęliśmy więc usilnie i grzecznie prosić owej damy, aby nas wpuściła do wnętrza amfiteatru, lecz nic nie skutkowało, gdyż ta powodowana chciwością, właściwą temu narodowi, nie chciała ustąpić od nałożonej ceny, przeto zdjąłem z szyi czarną jedwabną chustkę, ofiarowałem tej kobiecie, poczem dopiero chytra ta

włoszka będąc zadowoloną, drzwi nam otworzyła i wpuściła do wnętrza amfiteatru. Ciekawość nasza zaspokojoną została, lecz nie zastaliśmy tam nic nadzwyczajnego. Wnętrze amfiteatru było zupełnie okrągłe, oprócz tego filary, łuki, 12 ławek otaczają cyrk ten

do koła, podobnie jak w Hiszpanii place służąc do bójki byków, z tą różnicą, że tu było wszystko z marmuru. Verona jest ładne i dosyć duże miasto, prowadzi handel najwięcej jedwabiem, liczy do 6,000 mieszkańców.

Po dwudziestoczęsto godzinnym pobycie w Veronie, opuściliśmy takową, oraz państwo Lombardyi, przebywając małe miasteczka Ala w Welszterub, nareszcie dnia następnego przybyliśmy do Roveredo, gdzie okazawszy poszporta nasze staremu pułkownikowi, komendantowi austriackiemu, ten nam zadawał dziwne pytania, mówiąc; „Wy jesteście Polacy, a dla czego służyliście Napoleonowi i dla czego poszliście z Francuzami do Hiszpanii“? Na co mu odpowiedziałem: Że my również służyliśmy zwierzchności kraju i podług rozkazu zastosować się musieliśmy, tak jak i pan swemu cesarzowi służysz i musisz być posłusznym. Na moją tę odpowiedź, zdawał się być obrażonym komendant, ów stary oryginał, który musiał służyć jeszcze pod Laudon, mógł mieć lat około 70 wieku, na w pół siwe włosy, których miał jeszcze trochę na głowie, splecione były w długi cienki warkocz, czarną wstążką obwiązany, który spadał mu na plecy, zaś głowę miał wypudrowaną i dobrze wypomadowaną. Ubrany był w stary biały mundur z czerwonym

kołnierzem i takąż samą podszewką podszyty, poły do kostek wiszące, które nie były przyszyte, lecz zapinane na hawtki u pasa, do tego białą kamizelkę, krótkie czerwone szarawary i długie sztywne buty do kolan sięgające, z wielkimi stalowymi ostrogami, przymocowanymi na sprzączki. Następnie zapytał mnie jeszcze: „Gdzie się wać pan wyuczyłeś tak dobrze po niemiecku“? Na co odpowiedziałem mu, nauki kończyłem w Niemczech. Wtenczas dopiero odezwało się echo ludzkości w jego sercu, rzekł więc: „każę wam dać podwoły i kwatery, ale żywności nie mogę.“ Przedstawiłem mu całe nasze położenie, że w Lombardyi podczas naszej drogi dostawaliśmy w hotelach życie, że obecnie jesteśmy bez żadnych środków wyżywienia się, skutkiem czego nie jeszcze w ustach nie mieliśmy. Stary pułkownik odpowiedział nam na to: „że w Lombardyi są inne przepisy jak u nas w Tyrolu, że niema dla nas żywności i takowej dać nie może.“ Lecz ja mu znów powiedziałem z niechcenia, że komendant w Lombardyi również odnosił się do przepisów praw, lecz powodowany ludzkością i tknięty nieszczęśliwem naszym położeniem, nie odmówił pomocy i nie wypuścił głodnymi z kraju, i że jeżeli przepisy prawnie pozwalają mu tego, to z poczucia z ludzkości i dobrego serca nie zechciał nam odmówić pożywienia. Słyszac to stary pułkownik, rozjątrzył się najokropniej i odpowiedział: „Patrzcie taki młody człowiek, mnie starego chce uczyć rozumu, każę go natychmiast aresztować.“ Na co ja z oburzeniem lakonicznie odrzekłem mu także: „lat cztery jęczałem

w niewoli hiszpańskiej, nie obawiałem się niczego, więc też i waszego aresztu nie ulękę się bynajmniej, abyście mnie tylko żywili.“ Ta nieustraszona, śmiała i stanowcza odpowiedź moja sprawiła, że stary Kseros nieco się powstrzymał i łaskawszem okiem na nas spoglądał, poczem nareszcie na wykazie napisał, aby po hotelach wydawano nam żywność, którą powinniśmy otrzymywać do czasu naszej bytności tamże. Dziękując staremu za jego wymuszone względy ku nam, rozstaliśmy się po przyjacielsku; jednakże długi czas ten stary Austriak pozostał w naszej pamięci, i drugiego podobnego temuż oryginała w dalszej naszej podróży nie zdarzyło się nam już napotkać.

Okolice Roveredo są najwięcej góryste, samo miasto niezbyt wielkie, pomiędzy górami w dolinie i bystrą rzeką Etsch tamże obok przepływającą położone. Mieszkańcy tutejsi powiększej części trudnią się chodowaniem jedwabników; gdyż w każdym prawie domu rozłożone są robaczki na stosownie urządzonych deseczkach po wszystkich pokojach zamieszkałych, co widziałem dobrze, ponieważ w tej porze karmiono ich liśćmi morwowemi. Po stancyach, gdzie się te robaki gnieźdzą, jest nader nieprzyjemny, trudny do przeniesienia zaduch.

Z przyczyny górystej okolicy mieszkańcy Roveredo mało dbają o uprawę zboża, przy tem nie są zamożni, gdyż głównem ich zajęciem jest jedynie tylko jedwabnictwo.

Tego samego dnia jeszcze przed wieczorem

322

opuściwszy Roveredo, przybyliśmy do miasta Trident, podobnież z czasów rzymskich pozostałego, a skutkiem odpustów, jakie się tu często odbywają, wówczas mnóstwo zastaliśmy religijnego narodu.

Miasto Trident jest dosyć symetrycznie zbudowane, składa się powiększej części z wielkich i wspaniałych gmachów. Tu nas zameldowano plac-komendantowi, który był pułkownikiem. Młody jeszcze ten człowiek był nadzwyczaj miły i grzeczny, zupełnie co innego niż ów stary dziwak z Roveredo, który nas tak szorstko przyjął. Opowiedzieliśmy temuż komendantowi nasze zajście, jakie miało z nim miejsce. „Tak“, rzekł on, to nie pierwszy raz i nic nowego, wszystkie wojska przychodzące z Roveredo opowiadają toż samo i uskarżają się na jego obejście. Cóż więcej można żądać od starego oryginała? Tu panowie co innego znajdziecie; magistrat ma już polecone, abyście wygodne kwatery i dobrą żywność otrzymali, oraz dostali konie do podróży. Nie omieszkajcie panowie zameldować się feldmarszałkowi hrabiemu Trimont, przedstawcie swe żądania, które życzliwie przyjmie, gdyż wszyscy oficerowie francuzcy, powracający z niewoli tędy do swej ojczyzny, udają się do niego, a on każe wypłacać pieniądze na koszt powrotu do swego kraju.“ Idąc za dobrą radą zacnego plac-komendanta, który sam mieszkanie hrabiego nam wskazał, a mając zaawizowane paszporta, udaliśmy się prosto do niego. Dwóch szyldwachów stojących na korytarzu u przede drzwiami hrabiego, zapytało nas zaraz: „Czego żądacie i kto jesteście?“ Na co odpowiedziałem, że życzeniem naszym

323

jest zameldować się hrabiemu. „Nie wolno“ odpowiedział jeden z szyldwachów na korytarzu będących, — lecz w tej chwili otworzyły się podwoje, w których ukazał się w podeszłych latach, przystojny, słusznego wzrostu mężczyzna; był to sam hrabia, który słysząc naszą rozmowę, wyszedł na korytarz, a przystąpiwszy do nas, zapytał, kto jesteśmy? poczem wskazał nam miejsce do pokoju, gdzie wszedłszy, oznajmiłem mu, że my trzej oficerowie polacy wypuszczeni z ciężkiej, czteroletniej niewoli hiszpańskiej, powracamy do swej ojczyzny, że poczytujemy sobie za obowiązek zameldować się Jego Ekscellencyi. Wysłuchawszy to hrabia, wziął od nas paszportu, a czytając takowe, zapytał: kto z panów jest kapitanem — a gdy ten przedstawił się, hrabia natenczas zdjawszy z głowy swą grecką czerwoną czapeczkę, a położywszy takową na stole, przysunął krzesło, mówiąc do niego: „Siadaj kolego!“ — następnie przeczytawszy dwa nasze paszporta i nazwawszy nas po imieniu, również wysunął dwa krzesła, prosząc nas siedzieć, tytułując podług rangi oficerskiej porucznikami. Hrabia ten miał postawę prawdziwie godną swego tytułu, lat około 60 mieć mogący, na głowie włos miał dosyć długi i gęsty, lecz dobrze już szronem pokryty; ubrany był po cywilnemu w czarnym fraku, czarnej jedwabnej kamizelce i takichże pantalonach, w czarnych jedwabnych pończochach i lekkich trzewikach. Stojąc tak wciąż przed nami, wieie zadawał pytań dotyczących się wojny hiszpańskiej, oraz naszej niewoli. Ja zaś będąc biegłym w języku niemieckim, każde pytanie objaśniałem mu z przyjemnością;

324

hrabia mocno żałował, że koledzy ze mną będący tym językiem mówić nie mogą; gdym mu opowiadał niektóre szczegóły wojny i niewoli, o barbarzyńskim obchodzeniu się Hiszpanów z niewolnikami, zdawał się okazywać prawdziwe współczucie i zainteresowanie.

Przy tej więc sposobności hrabia opowiadał nam także, kiedy w roku 1793 i 1794 będąc majorem, dostał się do niewoli francuskiej, w której znajdował się przeszło dwa lata, oddając sprawiedliwość narodowi temu, co mu chlubę przynosi; ze strony Francuzów dobrze był uważany i podług rangi płatny, że żaden kraj Europy nie może porównać się pod względem obchodzenia się i lepszego utrzymania swych jeńców jak Francya. Pytał mnie gdzie się tak dobrze po niemiecku wyuczyłem? odpowiedziałem, że w szkołach w Niemczech, do których od najmłodszych lat uczęszczałem, mianowicie w Berlinie; zdawało się, jakoby ocenił, że jeżeli młody człowiek przykłada się do nauk i zna język niemiecki najpotrzebniejszy ze wszystkich. Następnie zadawał mi wiele jeszcze innych pytań, a w końcu dodał: Polacy wszędzie dobrze się bili, polska armia może wykazać oficerów, którzy w Egipcie, St. Domingo, we Włoszech i w Hiszpanii odznaczyli się walecznością; armia austriacka nie może się poszczycić pierwszeństwem nad Polaków. Podczas całej przeszło godzinę trwającej rozmowy ciągle stał przed nami, a gdy który z nas zapytany został, odpowiadając chciał się podnieść, nie dozwolił hrabia tego uczynić. Nareszcie przybliżywszy się do drzwi, pociągnął za

325

dzwonek; w tej chwili ukazał się w pełnym mundurze adjutant hrabiego, któremu oddawszy trzy nasze paszporta, powiedział: „Masz pan trzy paszporta tych tu oficerów polskich, zaprowadź pan takowych do komisarza wojny i powiedz mu odemnie, aby zaraz tym oficerom podług rangi na dalszą podróż do swego kraju pieniądze wypłacił.“ Powstawszy natenczas najuprzejmiej podziękowaliśmy hrabiemu za jego szlachetną czynność, oraz za pomoc, jaką nam w tak nieszczęśliwym położeniu udzielić raczył, na co hrabia odrzekł: „Tak mała rzecz, którą wam uczyniłem, nie godna tyle wdzięczności; jest to moim obowiązkiem i wzajemnym długiem, ażeby kolega koledze w pomoc przychodził. Życzę wam, moi drodzy, szczęśliwej podróży, jako również abyście powróciwszy do ojczyzny, zastali swą rodzinę przy życiu i zdrowiu.“ Te słowa wyrzeczone były z serca, prawdziwie zacnego i szlachetnego człowieka. Do łez prawie byliśmy wzruszeni, widząc i mając dowód prawdziwej Opatrzności Boga; ukloniwszy się raz jeszcze hrabiemu, udaliśmy się za adjutantem; który przeprowadziwszy nas przez miasto i jeszcze kawałek za obręb tegoż, do komisarza wojny, a przybywszy do kancelaryi, adjutant pokazał zaraz nasze paszporta, dodając: Na rozkaz hrabiego feldmarszałka oznajmiam, abys pan tym oficerom polskim, każdemu podług rangi wypłacił na dalszą podróż pieniądze.

— Lecz pan komisarz rzekł do adiutanta temi słowy: „Feldmarszałek wciąż mi nasyła wypłatę pieniędzy, a w kasie nie ma ani jednego krajcara, o czym hrabia nie wie; nie moja w tem wina, że

326

pieniądze nie nadchodzą z Wiednia, zatem wypłacić nie mogę.“ Adjutant, młody człowiek, oburzliwie rzucił mu paszporta na stół, mówiąc: „Przecież ci panowie czekać nie mogą, aż pieniądze z Wiednia nadejdą; jeżeli pan nie masz takowych w kassie, to ze swej kieszeni wyłożyć musisz, a później sobie odbierzesz, taka jest wola feldmarszałka, którą do wykonania jeszcze raz panu przedstawiam” — a obracając się do nas, dodał: Panowie na krok nie odchodźcie od pana komisarza, dopóki wam pieniędzy nie wypłaci“ — poczem skłoniwszy się odszedł; pozostawiając nas samych u komisarza w kancelaryi stojących. Widoczny gniew malował się na twarzy jego; wciąż był zajęty pisaniem. Dwie godziny tak staliśmy na miejscu, że aż nogi i boki nas bolały, gdyż nie było nawet kawałka ławki, na której by usiąść można było. Kiedy już wybiła 9 godzina wieczorem, dopiero cesarsko-austriacki komisarz wojenny, powstawszy ze swego miejsca, zapytał: „Kto z was panowie umie pisać po niemiecku?“ — na co ja zaraz ofiarowałem swoje usługi, poczem kazał mi usiąść na miejscu przez siebie zajmowanem, a położywszy przedemną ćwiartkę papieru, dyktował, rozkazawszy wymienić pułk, batalion, kompanie, następnie pisałem: Ja niżej podpisany kapitan z tego pułku, batalionu, kompanii, zaświadczam, że cesarsko-królewska kasa wojenna w Trident, wypłaciła mi 60 złotych wiedeńskiej monety, Waehrung i Conventions, poczem podpisał odbierający. Dwa jeszcze podobne kwity napisałem dla nas dwóch poruczników, z tą tylko różnicą,

327

że kasa W. W. C. M. tylko nam po 40 złotych wypłaciła.

Po odebraniu pieniędzy udaliśmy się jaknajprędzej do miasta, aby raz jeszcze podziękować feldmarszałkowi, który przyjął nas mówiąc: „że nie ma za co, zrobiłem wam to, moi panowie, z grzeczności i obowiązku jako kolega, lecz postąpienie komisarza bardzo mnie zdziwiło (o czem musiał adjutant zaraportować). Prawie wszyscy ci komisarze wojenni są ludzie chciwi i nieludscy, umiejący sobie tylko napelniać worek, oszukując jaknajlepiej władze.“

Mając już pieniądze na drogę, wieczorem więc pożegnaliśmy na zawsze zacnego feldmarszałka, oraz podziękowaliśmy za dobrą radę pocziwemu plac-komendantowi.

Dnia następnego udaliśmy się w dalszą podróż przez niemiecki Tyrol, miasto Botzen, gdzie u pewnego barona de Ingram dostaliśmy wygodną kwaterę, tenże za miastem posiadał bardzo piękny majątek, wspaniały pałac i wielki owocowy ogród wraz z parkiem, z czego wnosić można, że był bogatym obywatelem. Stary baron natenczas, skorośmy przyszli, będąc w domu, przyjął nas wraz ze swym synem uprzejmie z prawdziwą serdecznością. Tu znaleźliśmy taką gościnność, jaką tylko w starożytnych domach napotkać można. Na wstępie zaraz tak stary baron, jako również i młody, zjednali nasze serca, okazując wiele miłości bliźniego, ugaszczając nas jaknajlepiej. Stary baron będąc wdowcem, podzielał nasze nieszczęśliwe położenie, za co starałem się uprzyjemnić mu chwilę opowiadaniem

328

wielu rozmaitych rzeczy, które tak go ciekawie zajmowały, że baron słuchając tychże do późnej nocy, odejść mi wcale nie pozwalał.

Ponieważ dzień następny była niedziela, przeto tak ojciec jako również i syn jego prosili nas, aby dzień ten pozostać i po podróży u nich odpocząć, mówiąc, że im zrobimy wielką przyjemność; na co z chęcią zgodziliśmy się wszyscy. Na noc posłano nam tak miękką, prawdziwie hrabiowską pościel, jakiej od 7 lat nie widzieliśmy, skutkiem tego spaliśmy długo i smacznie jak nigdy. Nazajutrz przebudziwszy się, każdy z nas znalazł na krześle przy łóżku stojącym parę pantalonów, czystą koszulę, kamizelkę i chustkę na szyję. Ubrawszy się w tę świeżą odzież, zeszliśmy na dół do barona na śniadanie, a oddawszy mu dzień dobry, poprosiłem na bok syna jego, w celu porozumienia się co do tych rzeczy znalezionych na krześle, lecz młody baron uprzedził mnie z największą delikatnością, aby zadosyć uczynić woli ojca, prosząc żeby nie dziękować i nie wspominać o tem, aby staremu tym sposobem przyjemności nie odmówić. My więc uczyniliśmy zadość jego żądaniu, lecz za to czuliśmy prawdziwą wdzięczność w sercu, cieszyliśmy się, będąc przekonani, że są jeszcze ludzie, którzy nas ocenić potrafią. Dzień ten niedzielny spędziliśmy swobodnie i tak przyjemnie jak nigdy w życiu. Wiele gości zjeżdżało się do barona, którzy swem towarzystwem starali się dzień ten uprzyjemnić i rozweselić nam biednym podróżnym. Najwięcej czas nam przechodził na opowiadaniu o rzeczach dotyczących się wojny hiszpańskiej

329

i naszej ciężkiej niewoli. Późno już wieczór, kiedy się goście porozchodzili, my także ze swobodną, i zadowoloną myślą udaliśmy się na spoczynek.

Następnego dnia pocziwy i szlachetny baron, odesłał nas swoim ekwipażem, nie czekając zaprzęgu z magistratu, który miał przybyć niezadługo. Żegnając się serdecznie z nami; ci zacni panowie opatrzyli nas jeszcze pokryjomu na drogę w znaczną sumę pieniędzy. Uprzejmie podziękowaliśmy za wszelkie względy gościnności, a wskoczywszy w przeznaczony nam powóz, pojechaliśmy do pobliskiej stacyi miasta Briksen. ¹⁾ Ztąd udaliśmy się przez Sturtzen, Mantenau, gdzie przebyliśmy najwyższą górę Brenner w Tyrolu, na wierzchołku której znajdowała się karczma, Z przyczyny śniegu, jaki wtedy padać zaczął, jako również ostrego powietrza, zmuszeni byliśmy wstąpić do wspomnianej karczmy, gdyż nasze lekkie letnie ubranie nie było dostateczne, aby od silnego zimna w nocy można się było dobrze otulić. Karczma ta stała w bliskości jeziora w czworokąt

(1) Po wielu latach pozostała mi w pamięci dobroć i ludzkość tych szlachetnych baronów. W roku 1836 w Polsce zapoznałem się z dwoma Tyrolczykami, którzy skutkiem handlu przebywali w Polsce; będąc z miasta Botzen, gdym się zapytał ich, czy stary baron Ingram ze swym synem żyją jeszcze?— zapytaniem mojem zostali mocno zdziwieni; odpowiedzieli, że stary umarł, a młody ożeniwszy się, odziedziczył majątek po ojcu i dobrze mu się powodzi. Chcąc się przypomnieć i raz jeszcze podziękować za gościnne przyjęcie nas w roku 1814, napisałem w tym celu list do młodego barona, lecz nie wiem czy takowy doszedł, gdyż odpowiedzi nie odebrałem.

330

otoczonego skałami, z jednej strony którego wypływa rzeka Etsz, a z drugiej Inn; pierwsza uchodzi do morza Adryatyckiego, a Inn wpada do Dunaju.

Następnie pojechaliśmy przez Innsbruck do Seefeld, ostatniej stacyi w Tyrolu. Dojeżdżając do granicy Bawaryi, naraz zostaliśmy mocno zdziwieni z przyczyny nagłego zatrzymania koni przez naszego furmana, na widok słupów odgraniczających Tyrol od Bawaryi. Dojechawszy do tego tylko miejsca, zatrzymał się i powiedział: „Teraz moi panowie wysiąść musicie!“ „Dla czego?“, zapytałem się zdziwiony, „wszak jeszcze będzie dobre półtóry mili drogi do Partenkirch, gdzie nas zawieść powinniście do pierwszej stacyi w Bawaryi.“ „Tak, wiem ja o tem bardzo dobrze, ale do tak przekłętego kraju jak Bawarya za nic nie pojedę.“ Cóż mieliśmy robić z takim baranem; zsiadliśmy z bryczki, przymuszając go do dalszej jazdy, lecz ten porzuciwszy konie i bryczkę, powiedział: „Róbcie sobie co chcecie, ja zostawiam wszystko i idę do domu, gdyż mnie do tego przekłętego kraju Bawaryi i sam djabeł nie zaprowadzi.“

Nic nam przeto nie pozostawało jak kląć ze złości a zarazem śmiejąc się, zabrać swoje tłomoki i manatki pod pachę i udać się spacerem 1½ mili drogi do Partenkirch, gdzie przedstawiliśmy się komendantowi, opowiedzieliśmy wszystko, jak z nami postąpił furman. „Tak — odpowiedział — to nic nowego, gdyż i nasi ludzie robią nie inaczej, dojeżdżają,

331

tylko do granicznych słupów, do Tyrolu zaś nikt z nich dalej za żadne pieniądze nie pojedzie.“

Taka wówczas panowała nienawiść pomiędzy Bawarczykami i Tyrolczykami, i to między narodem niemieckim. Tyrolczycy skutkiem braku rozsądku i oświaty, są fanatykami w katolicyzmie.

Tyrol na oko jest bardzo pięknym krajem, lecz brak dla biednych ludzi zarobku, zmusza ich udawać się w obce kraje, aby śpiewem, handlem fajek, tabakierek, grzebieni i innych t. p. rzeczy z rogu wyrabianych, mogli zarobić na utrzymanie. Oświata narodu tego stoi bardzo nisko. Razu jednego widziałem Tyrolczyka handlującego wyżej wymienionemi przedmiotami, który wciąż jeździł wózkiem na jarmarki po miastach. Wózek ten o dwóch kołach, na którym postawioną była duża skrzynia, ciągnęły dwie zaprzężone córki i dwaj synowie; starszą córkę zaprzął między dwa dyszle, przed nią młodszą, a przed tą dwóch najmłodszych synów. Wszyscy ten wózek ciągnąć musieli, a ojciec postępując za nimi z długą fajką, trząsał z bicza i krzyczał jak chłop na konie; w naszym kraju coś podobnego widzieć nie ma się sposobności.

Dalszą podróż z Partenkirch przedsięwzięliśmy przez Landstat, Lechwald i Augsburg aż do Donauwerth. Tu komendantem był ruski, pułkownik kozacki, rodowity Niemiec, nazwiskiem Otto von Ottenfels. Ponieważ ojczyzna nasza wówczas do Rosyi należała, uważani przeto byliśmy jako poddani temu krajowi. Komendant w paszportach naszych zrobił

332

adnotację, aby wszędzie dawano nam kwatery, żywność i podwozy, podobnie jak oficerom ruskim.

Przejechawszy przez Roth do Nuernberg a zwiedziwszy tamże starożytne miasto wraz z jego osobliwościami, następnie udaliśmy się przez Fuerth, miasto najwięcej przez żydów zamieszkane, w końcu do Bajreuth, gdzie komendant, generał bawarski, pozwolił nam przez dzień odpocząć. W tem mieście stał ruski pułk ukraińskiej piechoty. Tu poznaliśmy się z oficerami w hotelu, którzy prawie wszyscy byli z Wołynia, Ukrainy i Podola. Na uczczenie tej znajomości wyprawili w hotelu sute, prawdziwie koleżeńskie śniadanie, na którem znajdował się pułkownik i do 60 oficerów; podawano wysmienite potrawy po polsku przyrządzone, których dawno nie jedliśmy, oraz dobre wina. Piliśmy prawdziwie po bratersku. Kiedy nadeszła chwila naszego rozstania się i furmanka przed bramą na ulicy czekała, dziękowaliśmy serdecznie za koleżeńską gościnność oficerom, a pułkownik żegnając się z nami, nieznacznie wsunął nam do kieszeni pewną kwotę pieniężną, którą od oficerów korpusu na śniadaniu będących, zebrał na dalszą naszą podróż. Pożegnawszy się raz jeszcze i serdecznie podziękowawszy, wsiedliśmy zadowoleni na bryczkę i wyruszyliśmy dalej. Teraz już bezustannie jechaliśmy przez Guentzberg, Hof w państwie Saskiem, Plauen, Chemnitz, Zwickau aż do Oederau.

W tem miasteczku dostał z nas każdy bilet na osobną kwaterę. Idąc ulicą, szukaliśmy numeru na bilecie wskazanym, gdy wtem jakiś otyły człowiek,

333

już nie młody, stojąc przed domem, zwrócił na nas uwagę, a usłyszawszy mowę polską, kiwnął na nas, aby zobaczyć bilety i przekonać się, jakie mamy wyznaczone kwatery. Spojrzawszy na bilet, rzekł: „Ach, tam gdzie panowie kwatery zająć macie, są biedni ludzie, którzy nie będą w stanie dać wam odpowiedniej wygody; słyszałem, że panowie jesteście Polacy, jeżeli pozwolicie, to wszystkich trzech przyjmę do siebie na kwaterę.“ Któżby przyjęcia takiej prawdziwie z serca pochodzącej nie przyjął? Tu znów doznaliśmy w całym znaczeniu przyjęcia i dobroduszości saskiej, gdyż w domu tego pocziwego człowieka najlepszą znaleźliśmy wygodę, oraz dobre towarzystwo i spokojność.

Dnia następnego najuprzejmiej podziękowawszy za tak szczere przyjęcie, udaliśmy się w dalszą drogę przez Frejberg do Drezna. Tu już kapitan nas opuścił, gdyż zabrał się z oficerem ruskim, ułanem, który jako kurier dążył do Polski; a zrobił to w tym celu, aby jak najprędzej mógł się dostać do Poznania. My zaś pozostali dwaj porucznicy, przedsięwzięliśmy dalszą podróż przez Koenigsbruck, Spremberg, Guben i Forsta, a przebywszy państwo Pruskie, przy Crossen Odrę, dojechaliśmy do ostatniego miasta Schwiebus. Zatrzymanie się w tem mieście wypadło nam w dzień niedzielny; tu zaraz w domu zajezdnym kwaterę dostać mieliśmy. Przybywszy do tego domu zastaliśmy tylko szynkarkę, która nam ławkę w stancyi szynkowej do wypoczynku wskazała, o posiłku zaś ani mówić, któregośmy też nie

334

wymagali, raz, że gospodarza w domu nie było, powtóre, mając pieniądze, mogliśmy sobie kupić według żądania. Tak więc od godziny 2ej aż do 9ej wieczór, oczekując z niecierpliwością właściciela, siedzieliśmy, przypatrując się czterem gołym ścianom.

Nareszcie wszedł gospodarz, nazwiskiem Kiepert, któremu szynkarka oddając nasz bilet, nadmieniła, że obydwa jesteście oficerowie polscy. Na co tenże, będąc w nietrzeźwym stanie, począł krzyżeć, wymyślać na Francuzów, a jeszcze więcej na Polaków; wychwalając swego syna, który jako ochotnik służył w strzelcach, począł bić silnie w stół pięścią i wrzeszczeć: „My Prussacy zwyciężali pod Lipskiem, my Prussacy Francuzów za Ren przepędziliśmy, my Prussacy Paryż zajęliśmy!“ Tak ciągle jedno i to samo powtarzając: pan Kiepert człowiek w podeszłym już wieku, niekorzystnie nam się przedstawiał, będąc ubrany w szlafroku i trzymając fajkę w ustach. Podczas całej podróży nie zdarzyło się nam nigdzie, aby nas kto tak po grubiańsku przyjął, jak ten szwab oryginał. Woleliśmy zamilczeć i nic nie odpowiedzieć temu ordynaryjnemu, staremu gadule i samochwalcy.

Dnia następnego odwiedził mnie dobry mój przyjaciel, będąc nawet dalekim moim kuzynem, który w Schwiebus piastował u rząd przy kościele. Opowiedziałem o tak pięknym obejściu się Kieperta, a ten zaledwie to usłyszawszy, wezwał go zaraz do wytłumaczenia się. Wtenczas to wstyd ogarnął gospodarza, zmieszany, aby sprawę tę zatrzeć, chciał nam wystawić

335

dobrze śniadanie, które już podać rozkazał, zapraszając nas na takowe, poczem odezwałem się po polsku do swego kolegi, że stanowczo jeść nie będę i nic nie chcę od człowieka podobnego usposobienia i złego charakteru; a wzięwszy za czapki, wsiedliśmy na bryczkę i wyruszyli w dalszą drogę. Tego samego dnia jeszcze przyjechaliśmy na granicę naszej ojczyzny, niedaleko pięknego klasztoru Paradies i miasta Międzyrzycza (Mezeritz).

Na tem więc kończę moje opowiadanie.

Szczęśliwym nazwać się może ten, kto po tyloletnich trudach, znojach i przeciwnościach dosięgnął granic swojej ojczyzny, a więcej jeszcze, że powróciwszy przy zdrowiu i nie zostawszy kaleką. Wszelkie moje cierpienia ukończyły się. Cieszę się, powracając do swych rodaków, na łono swojej rodziny i krewnych. Co za radość przejmuję zbolełego człowieka, którego Bóg dobrotliwy zachował od okropnych nieszczęść, a zyskując błogą chwilę powrotu, każe zapomnieć i zatrzeć wszystko w pamięci, i chociaż pomimowoli, człowiek sięgnie myślą w ubiegłą przeszłość i na chwilę ból w jego sercu zamieszka. Przypomina sobie, jak to człowiek nieraz jest igraszką losu swojego życia; jednak nadzieja w przyszłości, ta prawdziwa poskromicielka smutku, błysnąwszy w bóje wyobraźni myśli, każe wyczekiwać w cierpliwości dalszego wyroku życia.

Powróciwszy do domu, zastałem jeszcze przy życiu swego starego ojca; Bóg dobry pozwolił mu doczekać

336

sędziwych lat życia, który dopiero w 1826 r. rozstał się z tym światem. Matkę zaś moją, już nie zastałem przy życiu. O! jakże chętnie obciałbym ją, był zobaczyć i uścisnąć drogie dla mnie jej nogi! — lecz Bóg inaczej losem rozrządził.

W tym czasie armia ruska zajęła Polskę, a każdy oficer i żołnierz nowej wyczekiwał w swojej ojczyźnie zmiany, oraz nowych rozkazów swego panującego monarchy. (1)

(1) Szanowni czytelnicy chcą się zapewne dowiedzieć, co się stało z Duena Sennora Pepiką i jej małżonkiem, Sennor don Tomas; chętnie więc chcę ciekawość zaspokoić, aby dopełnić końca swego opowiadania.

Skoro Sennora Pepika przysłała do zdrowia w Genui, na ten czas wynajawszy wygodną furmankę, w sześć tygodni po nas później przyjechali do Polski. Don Sennor Tomas podczas organizacji nowej armii, mianowany został wyższym porucznikiem 2go pułku strzelców, następnie zostawszy adjutantem placu fortecy w Modlinie, tamże umarł, pozostawiając Pepikę z dwojgiem dzieci, która po śmierci jego kupiła małą kolonijkę w bliskości Warszawy. Będąc zaciekawiony, razu jednego zrobiłem tam że spacer, aby pocieszyć po moim koledze wdowę, ależ niestety! już Duency Pepiki tam nie zastałem; oświadczone mi tylko, że ta sprzedawszy swe gospodarstwo, wyprowadziła się do guberni Augustowskiej. Od tej pory żadnej wiadomości o niej powziąć nie mogłem, oprócz tej tylko, że żyjąc, pobierała po mężu swym emeryturę.

ZAKOŃCZENIE.

Przy zupełnem zakończeniu mego pisma dołączam jeszcze dla czytelnika niektóre objaśnienia tyczące się języka hiszpańskiego i wymowy tegoż.

Język hiszpański składa się po większej części z mieszanej mowy, jako to: łacińskiej i maurytańsko-arabskiej. Jak się pisze, tak się wymawia, z wyjątkiem następujących liter:

- 1) Hiszpańskie *che* wymawia się jak polskie *c*, n. p. *leche* mleko, wymawia się: *lece*.
muchaco chłopiec, *muchaca* dziewczyna, wymawia się *mujaco*, *mujaca*;
mucho wiele, wymawia się *munco*;
la mancha miejsce, wymawiaj *manca*,
- 2) Długie *j*, czyli *jot*, znaczy jak polskie *ch*, np.:
la mujer kobieta, wymawiaj *mucher*.
el hijo syn, wymawiaj: *icho*;
jamás nigdy, wymawiaj: *chamas*;
el ajuntamiento magistrat, wymawiaj: *achuntamiento*;
jugar grać, wymawiaj: *chugar* i t. d.

338

- 3) Jeżeli *x* stoi w środku wyrazu, wtedy wymawia się jak *che*, n. p.: *Donquixote* wymawiaj *Donquichote*;
Alexandro Aleksander wym. *Alechandro*.

- 4) Jeżeli dwa *ll* obok siebie stoją, wtedy wymawiaj tak, jak gdyby jeszcze małe *i*, za temi następowało, n. p. *la calle* ulica, wym. *callie*, *el cavallo* koń wym. jak *cavallio* i t. d.

Inaczej wszystkie litery mają jednakie brzmienie i wymawiają się bez odmiany.

Samogłoski nigdy nie bywają zmieniane, jako to: *a*, *e*, *i*, *u*, *o*, *y*, mają zawsze to samo brzmienie. Jeżeli zaś dwie samogłoski obok siebie stoją, wtedy wymawia się każda z osobna, jako to: *bueno* dobrze, wymawiaj - *bu-e-no*, *aqua* woda jako *aqu-a*, *la fuerza* siła jak *fu-er-ça*, *nueva* nowy, wym. *nu-e-va*, *la eria* służąca wymawiaj *e-ri-a* da.

Dodając do *c* cedille, jak we francuzkiem, n. p. do słów: *el coraçon* serce, arcybiskup, wym. *c* jak *s*. Jeżeli *c* jest bez cedille, wtedy się zawsze wymawia jak *k*, n. p. *la casa* dom, wymawiaj *kasa*, *cura* ksiądz jak *kura*, *blanco* biały, *blanko*; *medico* doktor, *mediko* i t. d.

Inaczej język hiszpański jest pięknym językiem, oraz ma bardzo miły dźwięk, przytem wymowa jest łagodna, a głównie u płci pięknej wyższego wychowania. Najdźwięczniej mówią w Andaluzji, Maladze i Grenadzie. Jak liczne są prowincje, o tyle w każde z takowych inna jest wymowa i inny dyalekt tego języka, a głównie u prostego ludu, tak jak w krajach

339

całej Europy. Bardzo wiele się odróżnia katalońsko-biskajski i prawdziwy kastyljski. W samym mieście i w okolicy Jaen (wym. Chaen) wszyscy prawie mieszkańcy wprawdzie chrapią, zanim zaczną mówić, z czego się wyśmiewają hiszpanie innych okolic i nazywają ich „roncadores“, chrapacze z Jaen; rzeczą naturalną, że się bardzo o to gniewają, jeżeli słyszą, kiedy ich przedrzeźniają. Zresztą język hiszpański bardzo łatwy jest do nauczania.

KONIEC.

SPIS TREŚCI.

	Strona
PRZEDMOWA	IX
ROZDZIAŁ I. Wstęp i powód do wojny hiszpańskiej	1
„ II. Moje wstąpienie do wojska i służba wojskowa	8
„ III. Marsz przez Niemcy aż do Renu	15
„ IV. Marsz od Renu do granicy hiszpańskiej	20
„ V. Lista imienna oficerów niższych i wyższych stopni 9go pułku piechoty Ks. Warszawskiego	28
„ VI. Marsz do Madrytu i wypadki wojenne do końca 1808 roku	33
„ VII. Wojna w roku 1809	58
„ VIII. Wojna w roku 1810	88
„ IX. Wojna w roku 1811 do czasu mojej niewoli 21go Sierpnia 1811 roku	127
„ X. Moja niewola w roku 1811. - Podróż na morzu i moje oswobodzenie w roku 1814	164
„ XI. Wymienienie oficerów sztabu oraz innych wojsk różnej narodowości, którzy ze mną w niewoli pozostawali	241
„ XII. Powrót do Polski przez Włochy, Tyrol, Bajonę	247
„ XIII. Niektóre szczegóły o Hiszpanii, mieszkańcach, zwyczajach i potrzebach, o wojskowym i duchownym stanie, co zauważyłem podczas wojny i pobytu mego	257
„ XIV. Walka byków w Hiszpanii	294
„ XV. Powrót do Polski i zmiany polityczne w tejże	313
ZAKOŃCZENIE	337